

W. OCZACH PISARZY

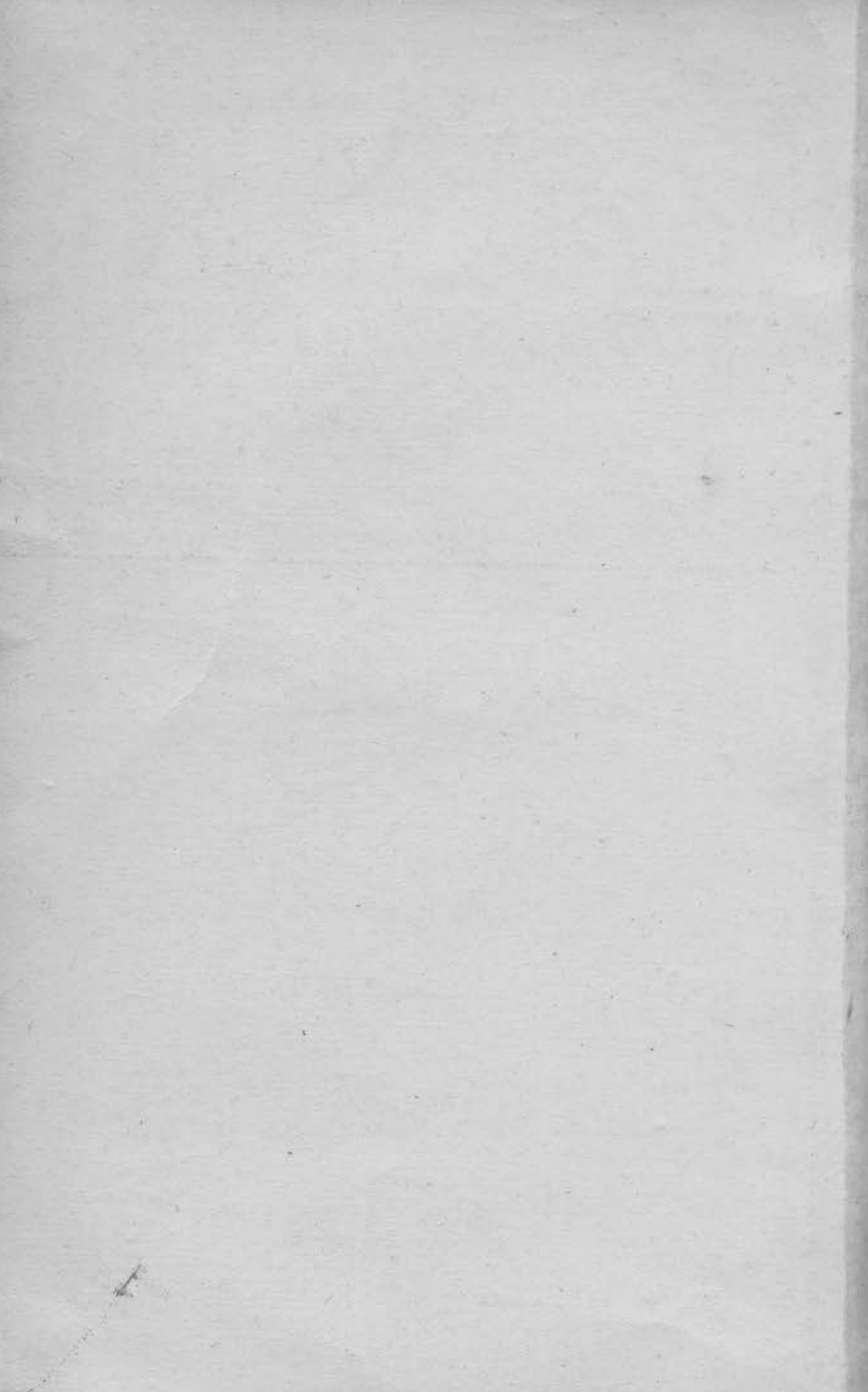
wybór opowieści wojennych

1939-1945

g.24
INSTYTUT

LITERACKI





W OCZACH PISARZY

ナ
ン
ノ
ノ
ノ

ノ
ノ
ノ
ノ
ノ

W OCZACH PISARZY

WYBÓR OPOWIEŚCI WOJENNYCH
(1939 - 1945)

Opracował

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI



INSTYTUT LITERACKI
RZYM

1947

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005506631



OKŁADKĘ
PROJEKTOWAŁ
ST. GLIWA

11.307.922

PRINTED IN ITALY

O. G. I. - VIA CESENA 14 - TELEFONO 767166 - ROMA

1947 2 460

Wojna w oczach pisarzy

GUSTAW HERLING-GRUDZINSKI

Na przestrzeni ostatnich paru lat wojny powieść, nowela, lub opowiadanie nie były najbardziej typowymi przejawami czujności pisarzy. Dziś łatwiej już nieco zrozumieć przyczyny tej słabości, która prozaików sprowadziła w najlepszym razie do roli przygodnych reporterów fotoliterackich, a potem pozwoliła żywioł wojny rozmieniać na drobny grosz lirycznych wzruszeń.

Jedną z tych przyczyn jest na pewno bardzo wyjątkowy charakter nowej wojny, w obliczu której stanął nagle współczesny pisarz. Kiedyś (choćby nawet po latach 1914-1918) literatura wojenna — mam na myśli wszystkie te opowieści i romanse, rozchwytywane tak gorączkowo w okresie pokoju — oparła swój byt i swoją atrakcyjność na kilku uczuciach, zawierających w sobie niejako organicznie załączek ciekawej problematyki ludzkiej i artystycznej. Pacyfizm był w Europie po pierwszej wojnie światowej powiewem, niosącym nowe nadzieje i nowy obraz życia zmęczonemu światu. Nosicielami tej idei nie byli wyłącznie pisarze. Zrodziła się ona raczej w umysłach polityków i w sercach tych wszystkich prostych ludzi, którym wojna zniszczyła coś bardzo drogiego: dom, rodzinę, dorobek całego życia. Ale wojna ówczesna, choć trwała tylko cztery lata, ciągnęła się w istocie rozpaczliwie długo. Postępowała bowiem naprzód bardzo wolno, narastała niejako z dnia na dzień, i chwila zawieszenia broni oznaczała w przybliżeniu dla obu stron walczących rzeczywiście kres sił. „Nasze pokolenie nie dopuści już do wojny” — mówili

ludzie, powracający z frontu i nic poza głębokim zrozumieniem nie witało tych słów w domach, do których wracali.

Problem prawa do życia dla ludzi, którzy uniknęli śmierci stanowił główny fundament pacyfizmu. To też rola pisarza po tamtej wojnie była bardzo ułatwiona. Wystarczyło, że odmalowywał grozę śmierci, aby stać się również głosicielem życia. Wystarczyło, że opisywał realistycznie i surowo wojnę, aby stać się również rzecznikiem pokoju. W ten sposób pisarz, nie tracąc nic ze swych możliwości literackich, ba — zaspakajając nawet swoją pasję wyjaskrawiania rzeczywistości wojennej, dołączał jednocześnie do ogólnoludzkiego prądu odrodzenia świata. Nie używając hasel, był ideologiem. Nie przestając być brutalnym artystą wojennym, był także mimo woli chorążym nowego humanizmu powojennego. Opisuując spokojnie niehumanizm, stawał dopiero w szeregu najszlachetniejszych obrońców ludzkości. Nie krzycząc — protestował. Nie rezonując — wskazywał drogę ku lepszymu jutru. Słowem, będąc tylko uczciwym pisarzem wojennym, torował światu drogę do osiągnięcia trwałego pokoju. A o czymże więcej marzyć może artysta, oderwany od swego warsztatu niepokojem i zaburzeniami własnej epoki?

Sytuacja psychiczna — bo o niej trzeba myśleć przede wszystkim mówiąc o literaturze — jaka wytworzyła się po tej wojnie, jest zupełnie odmienna. Mało już ludzi wierzy dziś, żeśmy sobie ofiarami, poniesionymi w ciągu ostatnich kilku lat najkrwawszych chyba w dziejach ludzkości zmagani, zarobili na pokój. Jeszcze mniej, że ten pokój da się utrzymać. A dla ilu narodów słowa powracających do domu kombatantów „nasze pokolenie nie dopuści już do wojny” oznaczają kres wszelkiej nadziei, lub wywołują gwałtowny sprzeciw przeciwko zmęczeniu i rezygnacji w walce o wolność?

Nie śmierć więc, ale wolność stała się w naszych cza-

sach granicą wojny i pokoju, probierzem ofiary i wynikającej z niej wiary w przyszłość. Śmierć zestandaryzowana, masowa, zadawana najbardziej udoskonalonymi narzędziami nie tylko na polach bitew, ale i w krematoriach, w obozach pracy, pod gruzami bombardowanych miast, w długich korytarzach podziemnych schronów, niewidoczna, a wszędzie zabiegająca drogę — ta śmierć spowszedniała w końcu i odeszła na dalszy plan. Pisarz rozumiał: nie ona zawiera w sobie najbardziej przejmujący skrót naszej wojny. Nie ona, śmierć człowieka świadczy najgłośniejsze o istocie tej wojny, ale śmierć miast, społeczeństw i narodów. A wśród takiej śmierci — jedynie myśl o wolności.

Tak więc perspektywy się odmieniły i wiele z tych spraw, które każdy pisarz wojenny uważał dotychczas za swoją „dekorację przenośną” utraciło dawne znaczenie. Pękły zasieki pomiędzy frontem a tyłami. Miejsce powracającego nareszcie do domu żołnierza zajął uciekinier lub deportowany, miejsce regularnie walczącej armii — najbardziej charakterystyczne wojsko Europy, partyzanci.

Oczywiście nie oznacza to wcale, że losy tej wojny nie zdecydowały się ostatecznie w gabinetach sztabów, lub na prawdziwych polach bitewnych. Wprost przeciwnie nawet, w żadnej może z dotychczasowych wojen zwycięstwo nie było tak jak teraz dziełem precyzyjnie skonstruowanej maszyny, w której armia, polityka i przemysł odegrały rolę głównych kół napędowych. Pisarz, którego totalny charakter tej wojny nie oszczędził również, powołując go po raz pierwszy w dziejach na front nie w roli żołnierza, ale w roli pisarza właśnie, rozumie jednak, że opisując zwykłą i narzucającą się oczom rzeczywistość wojenną działałby nie jako artysta, ale jako kontraktowy urzędnik państwowy. Gdyż literatura uznana została w naszych czasach za jeden ze składników wzbogaconego furazu wojennego.

W umyśle pisarza dzisiejszego wytworzyło się więc coś w rodzaju rozróżnienia pomiędzy „wojną oficjalną” i „wojną prawdziwą”. Przewożony bez trudności z miejsca na miejsce, prowadzony niejako za rękę przez sprawujących „honory domu” dowódców, wtajemniczany w największe sekrety działania maszyny wojennej, wpatrzony w ruchy wojsk na wielkich mapach sztabowych, lub z wysokości samolotu rozglądowego, zasłuchany w opowiadania żołnierskie — pisarz wie, że gromadzi materiał na niejedną trylogię wojenną, a ciągle brak mu tematu do jednej tylko, niewielkiej, ale poruszającej sumienia czytelników i odsłaniającej istotny sens tego paroletniego morza krwi i ognia, noweli wojennej. Powód jest bardzo prosty. Zawsze dotąd pisarz wiedziony swoim instynktem ludzkim i artystycznym odnajdywał w czas burzy własne „gniazdo bocianie”, z którego widać było więcej i lepiej niż z pokładu. W tej wojnie zostało mu ono etatowo wyznaczone.

O ile granice powszechności tej wojny rozszerzyły się niepomiaralnie, zacierając w praktyce różnicę pomiędzy światem wojska i światem cywilnym, o tyle znowu jej doznawanie indywidualne skurczyło się do rozmiarów nieuchwytnych dla gołego oka obserwatora — psychologa. Bardzo mało wiemy o przeżyciach człowieka na froncie, lub w bombardowanych miastach. Jeszcze mniej o sferze jego wojennych uczuć i myśli. Pisarz staje tu przed zagadką albo zupełnego zubożenia, albo też szczerzego zakrycia wojennych refleksów psychicznych. Coraz częściej powtarza się skarga na to, że blackout psychologiczny nie został jeszcze w tej wojnie odwołany. Nieśmiało wtóruje jej przypuszczenie, że maszyna zniszczyła wrażliwość humanistyczną władających nią ludzi. Bogactwo faktów przesłoniło, a nawet uniemożliwiło głębokość ich doświadczania. Problematyka wojny sprowadziła się do umiejętności wiernego odtwarzania jej przebiegu. Słowem z chwilą rozwalenia starej deko-

racji wojennej, z chwilą zamiany całego świata na jedną wielką scenę wojenną okazało się, że nie ma już ról dla aktorów, zastępuje ich bowiem z powodzeniem tłum statystów.

Nie wystarczy więc opisywać, myśli pisarz, czas wyprzedzi nasze literackie klisze zanim wyschnie na nich roztwór utrwalacza i pocwala w kierunku, znowu niedosiężnym dla pisarskiego oka. Tłum nie ma twarzy, twarz kryje się w tłumie. Przy najwyższych nawet wartościach reportażu literackiego, pozostanie on przecież mimo wszystko dokumentem chwili, świadectwem obecności, a nie pełnej świadomości wojennej.

Czy nie było naprawdę w tej wojnie niczego, co by zatrzymało choć na chwilę płynące w nas i obok nas zdarzenia, dało jeśli nie obraz, to przynajmniej potrzebę refleksji nad tym o cośmy się bili i ku czemu idziemy? Wielu pisarzy sądzi, że to co różniło naszą wojnę od innych jest też dla niej najbardziej charakterystyczne i istotne. Nigdy jeszcze w dziejach nie odbywało się na tak ogromną skalę zabijanie ludzi nie na froncie, lub nawet nie na tyłach, ale w obozach i więzieniach. Po raz pierwszy stworzono metody uśmiercania milionów ludzi za to tylko, że odczuwały pewną solidarność z walczącymi żołnierzami, lub głębokie przywiązanie do takich ideałów życia, które zostały dawniej już skazane na wypalenie do kości. W tym odwróceniu stopnia narażenia i przesunięciu ciężaru okropności i okrucieństw wojennych z wojska na bezbronnych i niechronionych przez żadne konwencje międzynarodowe „więźniów politycznych” dopatruje się wielu pisarzy drogi do uchwycenia nowego oblicza wojny. Powstało już sporo książek o niemieckich lagrach, krematoriach, katowniach i więzieniach — w tym parę polskich. Ale zanim ten literacki „lagryzm” doczekał się swego zenitu już zaczął zastraszać szybko obumierać. Czytelnik coraz niechętniej bierze do ręki książki o Dachau, Bergen-

Belsen, Birkenau bo czuje, że ta porcja literatury wojennej jest mu dostarczana z taką samą szczodrobliwością a nawet rozrzutnością, jak należna kiedyś racja propagandy wojennej.

Nieludzkość i bestialstwo traktowane tylko opisowo wypalają się jako temat szybciej, niż na to zasługuje wysiłek pisarza, lub pamięć tych, którym sztukę swą pisarz poświęcił. Jeżeli literatura wojenna nie ukaże tych zjawisk w szerokim kontekście przemian, jakim ulegają wszystkie okresy przełomowe, pozostanie, pomimo najlepszej swej woli, tylko dowodem pogoni za realistyczną sensacją, za dreszczykiem okropności, na których brak nasze czasy nie mają powodu się uskarżać: pisarz zaś, czy chce czy nie chce, — człowiekiem, oglądającym sens tej wojny w końskich okularach i na najbliższym własnego nosa przedpolu.

Jak dotąd bowiem nie pojawiła się jeszcze książka, któraby w odważnym stawianiu problematyki obozów i współczesnego niewolnictwa sięgnęła chociaż odrobinę dalej i głębiej niż na to pozwala klęska jednego tylko ze sprawców. Prawie połowa globu ziemskiego pozostaje nadal w nienaruszalnym cieniu, a wraz z nią prawie połowa sumienia każdego prawdziwego pisarza. Literatura niemieckich lagrów staje się więc w ten sposób kontynuacją wojennej propagandy, uprawianej innymi metodami. W pustce, jaka zapanowała na świecie po tej „wojnie ideologicznej” ma ona dowodzić, że cel za który oddawały swe życie miliony ludzi został już osiągnięty. Po długiej nocy niewoli nastąpił z dawna wyczekiwany świat wolności. Takie książki wydaje się szczególnie chętnie w krajach, które z trudem wielkim przekonywać trzeba, że osiągnęły „prawdziwą wolność”. Wydaje je się również w krajach, które chciałyby uwierzyć że dokonały istotnie „dzieła wyzwolenia”. Ale nawet geniusz największego artysty słowa nie potrafi dokazać

normalnemu człowiekowi, że trwająca jeszcze noc jest już świtem.

Jeden z najgłębiej czujących i rozumiejących pisarzy współczesnych, Artur Koestler, napisał w roku 1943 książkę o wojnie p.t. „Arrival and Departure”. Czytając ją dotykamy nareszcie najczulszego nerwu tej wojny i zbliżamy się do prawdy o pokoleniu, które ją prowadziło i rozegrało. I — rzecz zastanawiająca — choć jest to najciekawsza z dotychczasowych książek o wojnie, nie pada w niej ani jeden strzał, nie ma ani jednego opisu akcji bojowej lub bombardowania. „Krucjata bez krzyża” (tak brzmi tytuł polskiego przekładu książki Koestlera) jest opowieścią o młodym komuniście bałkańskim, który przed wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej, a więc wbrew instrukcjom partii, ucieka ze swego podbitego przez Niemców kraju do jakiegoś bliżej nieokreślonego państwa neutralnego, aby wstąpić do alianckiego lotnictwa. Zdawałoby się, że jako komunista powinien był raczej usłuchać głosu partii, która wojnę przed czerwcem 1941 r. uważała za taktyczną grę Rosji na marginesie „kapitalistycznej sprzeczności interesów”. Piotrowi jednak nie daje spokoju wspomnienie masowego mordu Żydów, którego był świadkiem pod okupacją niemiecką. Chce za wszelką cenę, jak wielu zresztą ludzi z jego pokolenia, „poświęcić siebie”, odkupić swą śmiercią panujące na świecie zło. W stolicy państwa neutralnego spotyka go nowy zawód. Konsul angielski przyjmuje jego ofertę jako dowód „romantycznego nonsensu” i „niezrównoważenia psychicznego” i doradza mu wyjazd do spokojnej i nieogarniętej jeszcze wojną Ameryki. W tym czasie wybucha konflikt rosyjsko-niemiecki. Piotr poznaje w Neutralii młodego urzędnika ambasady niemieckiej, fanatycznego hitlerowca, który rozumując podobnie jak konsul angielski i jak autorytety partyjne w Rosji proponuje mu jednak cynicznie współpracę z silniejszym. Wszystko jest względne — powiada hitlero-

wiec Bernard — a pewne jest tylko to, że na świecie dokonują się równocześnie dwa ogromne eksperymenty: eksperyment ekonomiczny Rosji i eksperyment biologiczny Niemiec. Jedyne ten drugi ma pewne szanse zwycięstwa. Piotr wie, że argumenty wszystkich trzech stron są podobne, choć cele, do których zmierzają — różne. U szczytu zmęczenia, rozczarowań i niewiary Piotr używa wreszcie przyjęcie do lotnictwa alianckiego i wyjeżdża z Neutralii. Gdyż ten „krzyżowiec w poszukiwaniu krzyża, człowiek chory na nostalgię walki o cokolwiek” zrozumiał, że w tej wojnie biliśmy się wszyscy „raczej *na przekór czemuś*, niż *z powodu czegoś*”.

Nostalgia walki o cokolwiek, wojna na przekór czemuś, a nie z powodu czegoś — jakież to wszystko wydaje się romantyczne! A przecież jeżeli jest jeszcze jakaś prawda, dzięki której wspominamy tę wojnę bez nienawiści i poczucia i głębokiego zawodu, to jest nią właśnie prawda walki wbrew sprzysiężeniu cynizmu. Można odebrać ludziom którzy najmężniej i najwierniej tej prawdzie służyli, ojczyznę, można odebrać im nawet prawo do życia, ale nikt już nie zniszczy w nich smaku wielkości, jaki taka walka przynosi i utrwała na zawsze.

Łatwiej więc teraz zrozumieć dlaczego nie ma jeszcze wśród nas prawdziwych pisarzy wojennych. Skończył się okres mieszczańskiej powieści wojennej, zaplątanej w psychologiczne i konwencjonalne dysproporcje pomiędzy frontem i tyłami. Bohaterami nowej literatury wojennej nie będą już nieznani żołnierze, dzielni oficerowie, mężowie powracający do wiarołomnych żon, siostry miłosierdzia i tajni agenci wywiadów. Będą nimi raczej fanatycy, rewolucjoniści, awanturnicy, burzyciele, podpalacze i szaleńcy — słowem ludzie, których przywiązanie do wczoraj i przeczcucie nowego jutra gna niepowstrzymanie dalej i dalej, aż dopełni się mit walki na przekór wszystkiemu i o coś trudnego do nazwania, mit, który sami w tej wojnie wytworzyli.

Dziś kiedy umilkły działa, uległ on tylko przeobrażeniu ale nie zginął ze szczętem. Ze wszystkich krajów Europy dochodzą wieści o ogromnym, niespotykanym nigdy dotąd, udziale młodzieży w walkach *politycznych*, i to właśnie w obliczu zmęczenia i rezygnacji starszego pokolenia. Nie treść tej walki, ale jej *napięcie* wskazuje, że w innej nieco, jedynie dziś dopuszczalnej formie, współcześni krzyżowcy znowu podnieśli broń, opuszczoną na chwilę w dniu, w którym radio-stacje całego świata ogłosiły nastanie pokoju.

* * *

Myślę o tych sprawach, gdy wypada mi oddać do rąk czytelnika wybór 24 opowieści, obrazujących udział Polski w drugiej wojnie światowej. Wydaje mi się, że w nich właśnie wyraża się częściowo — bo nie wszystkie są równej wartości literackiej — chemiczny skład tej wojny. Na wszystkich frontach świata pojawiali się, w ciągu ostatnich sześciu lat ci często nieproszeni, polscy żołnierze, awanturnicy, przymusowi poszukiwacze przygód, rycerze powietrza, marynarze, spiskowcy, uciekinierzy, więźniowie; ofiary przemocy i zwycięscy w bitwach, ludzie paleni w krematoriach i ludzie spalający się w uniesieniu walki. Można podczas lektury tej książki odczuwać coś w rodzaju przynębienia, bo wolno dziś ciągle jeszcze to morze krwi i poświęcenia nazywać daremnym. Ale można też czytając ją odczuwać coś w rodzaju wiary, bo jest to przecież równocześnie morze rozszalałych płomieni, którego nie ugasi żaden traktat pokojowy. Co tych ludzi ożywiało? Idea „Krucjaty bez krzyża”, „wojna na przekór wszystkiemu”? Zapewne. Ale istnieje również jedno słowo, którym zastąpi można łatwo najsztubtelniejsze rozważania pisarza. Wolność. Wolność, dla której nie ma jesz-



cze w tym świecie miejsca, tak jak coraz mniej go jest dla wszystkich, którzy o nią bez wytchnienia przez sześć długich lat walczyli.

Książka niniejsza stanowi ułamkowy często i niedoskonały, ale przejmujący wyraz tej prawdy.

W o j n a i s ł o w o

JÓZEF WITTLIN

W dawnych, nietotalnych wojnach, przynajmniej w tych, co toczyły się za naszej, nazbyt już wojnami przeładowanej, pamięci — straszliwa przepaść dzieliła świat wojska od świata cywilnego. Żołnierz miał jak gdyby monopol na wszystko niebezpieczeństwo, trud, grozę i bohaterstwo, a strona cywilna skazana była na bierną, wstydliwą często i niemoralną rolę konsumenta żołnierskiego trudu, żołnierskiego bohaterstwa, żołnierskiej śmierci.

W tej wojnie przepaść nie jest już tak głęboka. Na szczęście naszego sumienia, choć na nieszczęście naszych serc, zasypały ją liczne trupy cywilów obojga płci, nawet trupy niewinnych dzieci. A niekiedy kamienne zwłoki całych miast.

Przeto podziw, z jakim odnosi się dzisiejszy cywil do swego wojska, nie jest już tak żenujący. I wolny jest od faryzejskiej egzaltacji na widok munduru. To — podziw uświadomionego, uczciwego laika dla fachowca i mistrza. Podziw pacjenta, zagrożonego śmiercią, dla ratującego go od zagłady i narażającego się dlań stokrotnie — lekarza.

Fachowcy i mistrzowie pierwszej wojny światowej oraz późniejszych polskich wojen odnosili się przeważnie z pobłażaniem, jeśli nie z pogardą, do apoteozy własnych czynów, głoszonej mową wiązaną i niewiązaną przez ludzi, którym los szczydził niebezpieczeństw i pozwolił stronić od tzw. teatrów wojny.

Dziś, na tych teatrach, nie ma już sakramentalnej przegrody między sceną a widownią, nie ma już wglębenia dla orkiestry, dla basujących tragedii akompaniatorów, jakkolwiek niemało jest — budek suflerskich. Suflowanie wojnie — rzadko wpływa na istotny przebieg akcji, nawet jeśli w budkach, przypominających schrony, siedzą rutynowani prorocy.

Uwagi niniejsze mają pobudzić zaufanie żołnierza do cywila, który śmie innym, mniej wymownym cywilom komentować żołnierską sprawę. Na dnie bowiem stosunku żołnierza do cywila zawsze jeszcze tkwi uzasadniona nieufność.

W polskiej prasie emigracyjnej coraz częściej spotykamy autentyczne relacje uczestników tej wojny na lądach, na wodach i w powietrzu. Są to przeważnie bardzo wartościowe, z wielkim umiarem, godnością i skromnością, a niekiedy i z wielkim talentem opisywane dzieje spraw nadludzkich, momentów niepowtarzalnych, nieomal nadprzyrodzonych. Tak oto rosną sobie powolutku wielkie a nowe GESTA POLONORUM na wszystkich niemal kontynentach, morzach i pułapach niebieskich nieszczęsnego globu. Rośnie słowo o bohaterstwie i ofiarności polskiego żołnierza i marynarza, tym konkretniejsze im cichsze, tym wymowniejsze im mniej patetyczne. Rodzi się nowy język, będący czymś pośrednim między „suchym” sprawozdaniem technicznym inżyniera i mechanika, a mokrą od krwi, kroniką średniowiecznego anachorety. Krew, matka naszej pieśni na tym padole leż, łączy się tu w związku chemicznym z benzyną, lotną boginią tej wojny.

Polski wojownik lądowy, morski i powietrzny, dziedziczy nadal spuściznę swych poprzedników spod Kircholmu, Samosierry i Raclawic. Mimo benzyny, silników i całej skomplikowanej mechaniki, twa w nim nadal stara romantyczna nuta, choć w zmienionej nieco tonacji. Żadne maszyny, żadne silniki nie zdołają wy-

trącić w polskim wojowniku tej nuty, dyskretnej i smutnej, a tak autentycznej jak cała wiedza fachowa, bez której dziś niesposób wojować.

Zawodowy pisarz - cywil wita serdecznie słowo pisarza - żołnierza. Słowo to głosi bowiem prawdy, które cywil może przeczuć, odgadnąć, ale nie potrafi ich sprecyzować. A słowo żołnierza jest tak samo precyzyjne jak jego czynności wojenne. Są to na ogół nowe prawdy, całkowicie odmienne od prawd wojny z lat 1914-1920. Tamte wojny były par excellence wojnami piechura, artylerzysty lądowego, a na polskim odcinku — i kawalerzysty. O wojnie maszyny, o wojnie motorów, mówią dziś ludzie zbratani z maszyną, a mówią jak maszyniści: cicho, skromnie i fachowo.

W tej wojnie nie ma już miejsca na akompaniament blagi, ani w „życiu”, ani w śmierci, ani w słowie, które to życie i tę śmierć przekaże wieczności.

1939 - 1945

C h ł o p i

według opowiadania szeregowego M.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Wojna z Niemcami odkryła w Polsce nowe wojsko — chłopów. Można tak się wyrazić nie tylko dlatego, że w przeważnej części wypełniali szeregi regularnej armii, ale także z innych względów. Choć w słownictwie wojskowym daremnie szukać nazwy dla tej współpracy, potwierdza ją każdy dzień i każda noc naszego Września. Chłopi stali się „wojskiem do wszystkiego”.

Gdy wojna zaczęła przerzucać nasze oddziały z miejsca na miejsce i gdy w ciągu doby trzeba było przesuwać się o dziesiątki kilometrów, zabrakło wojsku map. Chłop stał się wtedy mapą, kompasem i przewodnikiem. Prowadził oddziały nieomylnie, jemu tylko znanymi drogami, pierwszy na czele pochodu. Żołnierze uważali go za najlepszą busolę i nazywali „polskim Bezardem”. Gdy postój wypadał w nieprzewidzianej okolicy, chłop obejmował kwatermistrzostwo. Gdy oddziały traciły łączność z bazami zaopatrzenia, chłop był ich prowianturą. Gdy zabrakło sanitariuszy, chłop pełnił ich służbę a dom jego stawał się szpitalem. Działo się to bez przymusu, „wojsko do wszystkiego” było ochotnicze.

Kiedy w końcu wojny Niemcy i Rosjanie zalali Polskę, żołnierze, którzy nie chcieli się poddać — było ich tysiące i dziesiątki tysięcy — znaleźli u chłopów wszystko: schronienie, poradę, przebranie i pomoc w ucieczce. Nieznany mieszkaniom niewiadomych wsi sprowadzał

do domu ludzi tułających się po lasach, odkarmiał ich, przyodziewał, wyposażał na drogę. Potem przekazywał ich z rąk do rąk, póki nie dotarli do miejsc przeznaczenia. Działał sprawnie i dokładnie, niczym ukryte przed wrogiem a sprzymierzone z wolnością biuro podróży.

Chłop przechowywał również broń. Nie niszczył jej ani jako żołnierz, gdy rozwiązywano oddziały, ani po zaprzestaniu walk, gdy składano mu ją poufnie jako współspiskowcowi. Ziemia nasza stała się potajemnym arsenałem.

Zdarzało się także, że ten wszechstronny żołnierz armii do wszystkiego szukał bezpośredniej rozprawy z Niemcami. Szczególnym wrogiem chłopca stał się najgorszy z rozbójników niemieckich: lotnik. Już pierwszego dnia wojny, gdy wódz Niemców, otwierając ją uroczyście, zapowiedział w Berlinie, że „nie będzie wojował z kobietami i dziećmi”, wiele polskich kobiet i dzieci nie wróciło z pól chłopskich do domu. Pozostały bez życia przy stogach siana, w brózdach ziemniaczanych, na pastwiskach przy pobitym bydle, upolowane z powietrza przez lotniczych myśliwców. Poza Polską, wśród spokoju świata zaskoczonego wojną, nikt nie chciał wierzyć w podobne okrucieństwo i wiadomości o nim poczytywał za zmyślane klechdy. Znalazły się jednak zdjęcia obcokrajowych świadków, przerażające widoki niezawinionej śmierci, których nie zapomni chyba nikt, kto je oglądał. Wszelkie słowo jest przy nich zbyteczne.

Ale chłop nie darował tej zbrodni. Wylapywał skoczków spadochronowych, tropił dywersantów i nawet wobec lotników zaznał rozkoszy zemsty. Długo szukałem autentycznego potwierdzenia tych wypadków, aż udało mi się spotkać naocznego świadka jednej takiej bitwy. Jeśli można jeszcze użyć postarzałych słów o gniewie ludu walczącego z niedosięglą przemocą, to chyba w odniesieniu do tego starcia — i

to dosłownie, bez przenośni. Zdarzenie, w którym uczestniczył mój znajomy, nie należy jednak ani do zagadek ani do fenomenów tej wojny. Utrwalam je dlatego, że wśród wielu legend było prawdziwe i wśród wielu doświadczeń wiąże się wprost z samym losem polskim. Oto co opowiadał mi szeregowy M., później głośny polityk na emigracji.

— Dnia 9 września znalazłem się między Warszawą a X., koło pewnej wsi, której nazwy wolę nie wymieniać.

„Nastał prześliczny ranek, mogło być około dziewiętej, nie chciało się myśleć o wojnie. Ale ona szła za nami krok w krok. Wieś, przez którą przejeżdżaliśmy, była właściwie bolesnym wspomnieniem wsi. Zostały z niej szkielety ścian i stopy rozwalin. W powietrzu pachniało spalenizną, gdzieś tam dymyły się zgłiszcza. Szosa, przepelniona uchodźcami, biegła wśród podwójnego szpaleru tego zniszczenia, pochód nasz toczył się wolno, przystając co chwila. „Kiedy was podpalili?” — zawołałem do chłopów stojących przy jakimś żurawiu studziennym. „Pałą nas codziennie” — odpowiedział któryś.

Na tym studziennym postoju szeregowy poznał całą wojenną historię wsi, podobną zresztą do setek innych. Lotnicy niemieccy nie przelecieli nad żadną miejscowością, by nie obrzucić jej bombami. Gdy się spaliła, bombardowano pogorzeliska. Prócz bombowców nadlatywały samoloty myśliwskie i siały kulami po każdym żyjącym stworzeniu. Ataków tych oczekiwać można było w każdej chwili, regularnie powtarzały się dwa razy dziennie, rankiem i pod wieczór. Początkowo chłopcy myśleli, że ta szosa pełna pojazdów przyciąga lotników, Niemcy jednak atakowali wieś nawet wtedy, gdy na drodze nie było nikogo. Ludność chroniła się do lasów, wracała by gasić buchające pożary, w końcu,

gdy wszystko legło w gruzach, snuła się po rozbitym osiedlu, niepomna na niebezpieczeństwo.

— Słuchałem tych opowieści — ciągnął M. — i czytałem w twarzach chłopskich to co przemilczeli. Znam ich dobrze, sam się z nich wywodzę. Wiem co znaczy chłopski gniew i co znaczy chłopska wytrwałość. Gdyśmy tak rozmawiali, unosili głowy, wodzili oczami po niebie. W gromadzie stał starszy już gospodarz, w niebieskich płóciennych spodniach, koszulę miał rozpiętą na piersiach. Milczał przez cały czas i dopiero pod koniec rozmowy odezwał się twardym, ponurym głosem: „Wczoraj napadli na wieś, zabili nam trzy dziewczęta, jednemu chłopcu obcięło nogę jak nożem”. Po gromadzie poszedł jakiś stłumiony szept. „A dziś — powiedział — tylko ich patrzeć. Szosa pełniuteńka”.

Oddział szeregowego M. ruszył z miejsca, cały pochód potoczy się dalej.

— I cóż pan powie — opowiadał mi M. — w tej samej chwili — bo nie wiem czy upłynęła minuta — rozpoczęło się zapowiedziane widowisko. Daleko mi było wtedy do myśli o teatrze, ale tylko tam wypadki mogą postępować w podobnej kolejności. Jeszcze brzmiało mi w uszach, że „tylko ich patrzeć”, gdy nagle usłyszeliśmy szum motoru i spostrzegliśmy samolot niemiecki. Karawana drgnęła, rozległy się krzyki i nawoływania. Samolot leciał wzdłuż szosy, nie szybko i nie wysoko. Ale już po odgłosie motoru odgadliśmy, że przybywa bez rozbójniczych, tym razem zamiarów. Nie był to dźwięk maszyny posłusznej pilotowi, równomierny, z pełnego gardła. Przeciwnie, motor zaciął się, dławił i strzelał gwałtownymi wybuchami. Niespodziewanie odezwała się nasza artyleria przeciwlotnicza, biła tuż przed nami, zdawało się, wprost z szosy. Poiski zaczęły pękać koło Niemca. Ale samolot ani nie zwiększył szybkości ani nie uciekał w górę. Zniżał się coraz bardziej, jakby szukał miejsca do lądowania,

Potem nad równym ścierniskiem skierował się ostro do dołu. Był od nas może o kilometr.

— Wyobrażam sobie wasze poruszenie.

— Paniki nie było. Pochód stanął. Wyskakiwaliśmy z wozów, ktoś krzyczał: „Brac go żywcem!” Wtedy właśnie rozegrała się ta chłopska bitwa. Gdyśmy ruszyli w stronę samolotu, spostrzegłem, że ktoś nas wyprzedza i że jesteśmy jakby w drugiej linii. Przed nami byli już chłopci. Moi przygodni znajomi spod wodopoju biegli pierwsi. Stary gospodarz w niebieskich portkach dawał rękami znaki innym ochotnikom ze wsi, niby dowódca ataku. Było ich razem może dziesięciu.

— Bez broni?

— Rzucili się naprzód jak kto stał, ale pamiętam że kilku miało w rękach widły i łopaty. Zabiegali z boku drogę samolotowi, który toczył się i podskakiwał gwałtownie na ściernisku. Artyleria przestała strzelać. Chłopi rozsypali się w tyralierę, atakowali po wojskowemu.

— A Niemiec?

— Gdy maszyna stanęła, oderwał się od niej ruchomy punkt. Biegliśmy wszyscy co tchu w piersiach. Pilot wyskoczył i skrył się za kadłub samolotu.

— Nie poddał się?

— Nie, zaczął strzelać. Chłopi okrążali już samolot. Strzały były niegłośnie, seryjne; pomyślałem: pistolet automatyczny. Jeden z chłopów obsunął się na ziemię i wolno przewrócił się twarzą do góry. Dobiegliśmy już do samolotu. Widać było lotnika w mundurze oficerskim jak strzelał wprost przed siebie. Chłopi szli kołem naprzeciw.

— Mógł ich przecież wszystkich wybić!

— Uskakiwali przed strzałami, przypadali do ziemi i znowu podbiegali. Jak na wojnie. Wreszcie jeden dopadł Niemca, dźgnął go, potem doskoczyli inni.

Gdyśmy się znaleźli przy maszynie, było po wszystkim.

Mój znajomy opowiadał dalej, że teraz, na tym polowisku, nie mógł się z nikim dogadać. Chłopi pokrzykiwali i nawoływali się pomiędzy sobą. Nie patrzyli na obcych, nie zwracali na nikogo uwagi, jakby to była tylko ich własna sprawa. Stary gospodarz odpędzał nadciągających, którzy cisnęli się na miejsce rozprawy. Nawet przed wojskowymi nie mieli respektu.

— To było tak — powiedział — jakby chcieli być tylko sami. Zachować dla siebie całe to zdarzenie. Wczoraj zabijali ich, nikt ich nie zdołał obronić; dziś pomścili się oni, co komu do tego!

Okazało się, że spośród atakujących trzech było rannych, jeden pozostał bez życia na polu. Minęła długa chwila, zanim sobie to uświadomili. Ranni pomogli jeszcze przenieść zabitego na szosę, potem dopiero dali się sami opatrzyć przygodnym sanitariuszom.

— Nie wiem co tam się dalej działo — ciągnął M. — bo czas nam było odjeżdżać. Karawana ruszyła, utonęliśmy w jej natłoku. Wydawało mi się jednak, że na tym ściernisku wykradłem coś z tajemnicy chłopów, których znam przecież tak dobrze. Jakąś ich przyrodzoną wyłączność, czy ja wiem, jakąś ich zapamiętałą siłę albo zapamiętałą rozpacz. Mijaliśmy znowu spalone wsie i dymiące zgliszczu, rzadko gdzie można było spotkać ocalałe domostwo. Wzdłuż całej tej drogi powtarzał się ten sam widok. Przed rozwalone chałupy wychodzili chopi, stali milczący, patrzyli długo za odjeżdżającymi. Za wojskiem, za cywilami, za nieskończonym pochodem. Zdawało mi się, że jak tam chcieli zamknąć w sobie swą zemstę i tylko samemu nią się nasycić, tak tutaj też kryli coś co im tylko było wiadome. Czy pomyślał pan kiedy co to było? Czy pamięta pan jak na nas patrzyli?

Czy pamiętam? Był to ostatni widok, który wywiozłem z Polski. Widziałem jak z ledwie ostygłych pogorzelsk wygrzebywali ocalałe sprzęty domowe i narzędzia gospodarskie. Uratowany dobytek znosili do piwnic, które miały odtąd stać się mieszkaniem ludzi. Z pól zbierali ziemniaki, wszystko co pozostało im z pól i żywności. Ale jeszcze bardziej przejmujący był widok tych, co porzucili pracę czy też nie mieli już co robić, i stali przed gruzami domostw, bezczynni i nieruchomi. Czasem, wszedłszy w środek rumowiska, zapominali snąć o świecie i trwali tam zasępieni obok sterzących, okopconych kominów. Patrzyli przed siebie nieodgadnionym wzrokiem, podobnym do nieżywego spojrzenia posągów.

Nie rozstanę się chyba nigdy z tym widokiem o siłę biblijnych obrazów. Wśród tłumów uchodźczych, niby wśród koczujących nomadów, zostawali na swych ojcowiznach, jak jedyni prawdziwi tubylcy. Wśród ruchu dwu armii, niby wśród mijających światów, opierali się wszelkiej zmianie, niewzruszeni autochtoni. Za cały kraj brali na siebie nieszczęście, odwet i przetrwanie — zaiste ludzie do wszystkiego. Jeśli nawet nie byli tego świadomi, wykonywali taki wyrok losu.

Czy można o tym zapomnieć?

Rozdział o Karolku

STEFANIA ZAHORSKA.

W ciągu całej tej nocy Karolek rozmawiał z Bichette. Chodzili naprzód po torze tam i z powrotem, na zakrętach przystawali, i wtedy nadsluchiwał, czy nie posłyszyci podejrzanych odgłosów - strzałów lub dudnienia czołgów. Lecz słyhać było tylko jednostajny szum uciekających samochodów, płynący z szosy i budzący w nim głuchą złość. Gdyby nie potworny kawał, który mu zrobił ten kolega, przyjaciel, ten najserdeczniejszy druh siedziałby teraz w swoim samochodzie daleko od tego brzydkiego miejsca. Lepiej było o tym nie myśleć. Sytuacja wydawała się poważna, możliwe że pociąg tkwił już w pułapce, z Niemcami przed sobą i za sobą. Ale na wyrywanie piechotę, po nocy, po nieznanach wertepach nie mógł się jednak zdecydować. Lubusia, która nie uszłaby daleko, i walizki, w których było trochę cennych przedmiotów, trochę pamiątek — wszystko to wstrzymywało. Skoro tylko pociąg stanął, chwycił jakiegoś jegomościa, który z niewiadomego ramienia naznaczony był „komendantem” — jakiś mały urzędniczyzna zapewne — i pokazując mu swoją legitymację, żądał wyjaśnienia.

— Dlaczego stoimy? Co się właściwie dzieje?

Jegomość udawał bardzo zaaferowanego, na legitymację nie spojrział (miałby się z pyszna, w normalnych czasach) i już odchodząc, rzucił mu przez ramię:

— Proszę spokojnie czekać.

Chciał go zwymyślać, ale dał spokój. Lepiej było w tej sytuacji nie robić sobie wrogów. Wtedy uczeplił się

tej młodej ósóbki, którą nazywano dziwacznie Bichetką. Powiedziała mu, że dotąd żyła poezją i literaturą a teraz jedzie „do wojska”. Było mu wszystko jedno, kim jest, czym żyła i dokąd jedzie. Miała jakąś dziecinną i ślepą pewnoś siebie, raczej nie siebie, lecz wszystkiego. Podrzucała głowę i wzruszała ramionami, kiedy inni uświadamiali sobie niebezpieczeństwo. Oczywiście, była niemądra jak niemowlę, w jej ujęciu cała ta droga zdawała się romantyczną przygodą. Wyobrażał sobie, jakby pisała w jakiejś poważnej sytuacji. Narazie jednak wołał jej wiarę w zwycięstwo, aniżeli wzdychania Lubusi. Zwrócił na nią uwagę w tej dziwacznej chwili, kiedy nagle znalazła się w jego objęciach, miękka i ciepła, o przyjemnym zapachu — był bardzo wrażliwy na zapachy — ale naprawdę nie o to chodziło. Po prostu czuł potrzebę żywego stworzenia, było mu bardzo ciężko na duszy. Nie wiadomo co będzie za godzinę, ta noc była ciężka niepewnością, choć nie była zimna i czarna lecz ciepła i osrebrzona księżycem. Chwycił Bichette za rękę, przemknął palcami po gładkiej skórze i westchnął:

— Taka cudna noc... — wskazał na pasmo mlecznej mgły, które równą linią odcinało się od seledynu nieba.

Kiedy nachylił się nieznacznie nad nią, zapach jej przypomniiał mu nasturcję, i poczuł nagle nieopanowaną ochotę mówienia o czymś bardzo odległym, o czymś co odrywało od teraźniejszości, a zarazem wiązało się z nią najściślej.

— Takie były moje strony rodzinne — zaczął — taka była moja ziemia, nad łąkami takie właśnie snuły się mgły, mgły mojej młodości...

— Czy pan deklamuje? — przerwała.

— Nie deklamuję — odparł, ale zmienił ton. — W każdym z nas jest najgłębsza struna, to jest przywiza-

nie do ziemi. Nie wiem, czy pani pochodzi z ziemiańskiej sfery, ze wsi, mam wrażenie, że raczej tak...

— Nie.

— Przepraszam... ale już to, że pani wychowana jest na literaturze, na poezji... cała polska, naprawdę polska poezja jest owiana miłością ziemi...

— To prawda — potwierdziła dobrotliwie.

Podchwycił jej zgodę i nagle począł przed nią roztaczać obraz swojego domu rodzinnego. Była to opowieść skonstruowana już dawno, z którą tak się zżył, że stała się niemal prawdą. Mityczna wieś, w której zwykł umieszczać swą młodość, była legendą, związaną z jakimś nieokreślonym w czasie i przestrzeni przodkiem, a on przenosił ją po prostu na ojca. W opowieści były części, które pachniały prawdą. Nie było tam salonów, lecz były wielkie izby o niskich pułapach, odlatywał tynk ze ścian, meble nie ruszane z miejsca od dziesiątków lat nie miały wszystkich nóg, szufłady otwierały się ciężko, były zapchane i nieporządne, po domu snuł się zapach wilgoci i jabłek, które wielkimi masami zalegały półki spiżarni, pełnej serów, garnków z mlekiem, ze śmietaną...

Wokół tego obrazu raczej skromnego, lecz pełnego powagi, rozwijał nieprzebrane bogactwo przyrody, jakby wyprowadzając gościa z zaniedbanego domu chciał mu wynagrodzić niedostatki wspaniałością drzew, klombów, trawników — było to coś pomiędzy parkiem a starym ogrodem — przechodził grabową aleją i wydostawał się na pola. Przewaga elementu pejzażowego nad domem miała swą głęboką rację: wskazywała na właściwe zamiłowania mieszkańców. Te pola były rodzinne, orane rękami pokoleń, utrzymywane w posiadaniu nieraz wielkimi ofiarami. Niekiedy zjawiał się w opowieści jakiś antenat - utracjusz. Głos Karolka nabierał wówczas akcentów pogardliwych i potę-

piających. Antenat - utracjusz udawał wielkiego pana, choć oczywiście nim nie był. Jeździł czwórką koni, trzymał hajduków i pełno służby, miał psiarnię, polował i pił wino. Przypadało do mniej więcej na czasy saskie, ale niekiedy data przesuwiała się i kolasy antenata przybierały formę mniej więcej z połowy XIX w. W pierwszym wypadku ekspiacja następowała już w okresie powstania kościuszkowskiego, w drugim cała urojona w rodzinie gotowość poświęceń i ofiar wybuchała wspaniałym ogniem w powstaniu 63-go roku. Ta część opowieści była najgłębiej przeżyta i dlatego najbardziej prawdziwa. Karolek naprawdę znał dzieje powstania. Przeżył je naprawdę głęboko. Znał niemal każdy ślad drogi, przebytej przez księdza Brzózkę, szedł tymi drogami przez całą swoją młodość. I jeśli na tych drogach umieszczał swego ojca, było to niejako zasłużone, było wyrazem najprawdziwszej tęsknoty. Fakt że ojciec nie był w powstaniu, małał wobec siły Karolkowych uczuć, a zresztą ta sprawa miała jeszcze inne powiązanie. Albowiem wtedy, kiedy Karolek szedł do legionów — a to przecie było już prawdą najpełniejszą — ojciec wyjął ze starego portfela 20 koron — może to były jedyne 20 koron jakie posiadał — i bardzo wzruszony dał mu je „na wyprawę”. I tym czynem ojciec naprawdę zasłużył na to, by syn umieścił go w partii księdza Brzózki. Karolek zresztą był przywiązany do swego ojca i właściwie radby był umieścić jego prawdziwy wizerunek w opowieści rodzinnej. Zdawało się to sprawą raczej kompozycji, że tego nie czynił. Ale pewne cechy rzeczywistego ojca przejął bez zmian: jego małomówność, jego ponurość, która rozświeśla się nagle dobrotliwym uśmiechem, jego pracowitość — jak to biedaczysko siedziało nocami z podwiniętymi rękawami nad głupimi aktami galicyjskiego starostwa — ta pracowitość przenosiła się na rolę, na plug. Tak było słusznie, bo tak powinno było być, bo

to był przypadek, że ani ojciec ani dziadek nie mieli nic z plugiem do czynienia. Niekiedy wprowadzał wariant dramatyczny: konfiskata majątku po powstaniu. Było to na ogół biorąc wiarogodne, tyle przecież majątków skonfiskował rząd rosyjski w Polsce po tragedii powstaniowej. Ale to się znowu nie wiązało kompozycyjnie. Mógł co prawda ratować jeszcze wiarogodność sytuacji dzierzawą, którą ojciec wziął po powrocie z Sybiru. Było to jednak dość skomplikowane i poza tym pozbawiało jego własną młodość tła starego domu, pól i lasów związanych z dziejami rodziny. A na tym właśnie zależało mu najbardziej. Nie ze snobizmu, lub jakiejś chęci pokazania swej „pańskości”. Był od tego jak najdalszy. Tkwiła w nim miłość do polskiej wsi, do polskich lasów, nieba, ziemi tak głęboka, prawdziwa, że po prostu nie umiałby jej wyrazić, nie umiałby nawet sam jej zrozumieć, gdyby nie dorobił do niej wiekowych korzeni. Ta miłość gorąca i żywa była jakby dowodem niewprost, że istotnie musiał być z tą ziemią związany węzłami tradycji. O dziejach swojej rodziny wiedział niewiele, a to co wiedział jakoś mu nie dogadzało i zatarło się w pamięci. Były to wspomnienia miejskie, drobnomieszczańsko ciasne, wciśnięte między dochody i rozchody, przygniecione wiecznym niedoborem i niekończącym się długiem w sklepiku. Ale ślad ziemiańskiego pochodzenia pozostał w nazwisku zakończonym na „ski”. Ten ślad trzeba było podjąć, wyłuskać z przypadkowości faktów tzw. prawdziwych i nadać mu prawdę inną, najprawdziwszą i najgłębszą: prawdę krwi. Nie było w tym żadnego kłamstwa. Drżał mu głos prawdziwym wzruszeniem, kiedy mówił do Bichette:

— Ja kocham każde drzewo, każdy liść, ja znam te drzewa w słońcu i we mgle i w deszczu, na wiosnę, na zimę. I wie pani — mam jakąś czułość specjalną dla „pospolitaków”, dla tych najczęstszych, najmniej sza-

nowanych stworzeń, dla skarłowaciałych sosen na piaskach, dla schorowanych brzoź, dla zwykłej trawy, dla mlecza, dla jaskrów, dla bab — pani pewno nawet nie wie co to są baby! Ja nigdy nie lubilem rabatów z pysznymi kwiatami, może z wyjątkiem nasturcji, ale był u nas taki zakątek na skraju ogrodu, właściwie już nie ogród, ot szopa stała i plot obok był wywalony od niepamiętnych czasów, i tam obok szopy to się to pospolite bractwo rozhułało, trawy, pokrzywy i właśnie te baby, tak je nazywaliśmy. Olbrzymie liście, jak talerze, ojciec nieraz mówił: „Skosić to wszystko, po co te chwasty mają rosnąć?” — ale nie skoszono... Co tam się działo w lecie, jaki szum, jaki gwar pszczół, os, trzmieli, polnych koników, much, pośpiech, pełno interesów, jak na głównej ulicy w Warszawie... tylko w bardzo gorące dnie, w samo południe — cisza. Obok było żyto. Nie wiem, dlaczego siano tam zawsze żyto i dlaczego nigdy się nie udawało w tym miejscu. Zawsze było rzadkie, nieraz śniedzią zgryzione. I zawsze mówiłem: „Biedne żyto...”, jeszcze teraz, kiedy gdzie widzę jakąś lysinę na polu, mówię: „Biedne żyto...”. Potem ojciec kazał tam owies posiać. Owies się udał, ale je się martwiłem. Bo coś mi się zmieniło, tam przecież powinno było być zawsze biedne żyto... I ojciec mi wytłumaczył: w jakichś zapiskach jakiegoś dziada było powiedziane, żeby na tym kawałku siać owies, bo tam jest zimna ziemia.

— Biedne żyto na zimnej ziemi — szepnęła Bichette:

— Pani rozumie, że gospodarskie mądrości jakiegoś dziadka były dla mnie mniej ważne. Nigdy się o swoich antenatów nie troszczyłem i gdyby los sprawił, że byłbym chłopskiego pochodzenia, nicby mnie to nie obchodziło. Może nawet wolałbym... Pani to rozumie — prawda?

Przystanął, chwycił jej dłoń i spojrzał jej w oczy. Patrzyły w niego dobrotliwie i szczerze.

— Rozumiem — powiedziała.

— Dziękuję pani.

Był jej naprawdę wdzięczny. Zdawało mu się, że go naprawdę rozumie, mógłby się przed nią wypowiedzieć, jak młody chłopak z nieszczęśliwej miłości. Czuł, że była wrażliwa na piękno, owiana tą samą tęsknotą tym samym klimatem, dlatego rozumiała go tak dobrze, tak dziewczęco wierzyła.

— Niech pani opowie teraz coś o sobie.

— Nie, niech pan jeszcze mówi... (Tak właśnie powinna była odpowiedzieć).

Przysiedli na nasypie oklejonym, ześlizgnęli się jeszcze trochę w dół, żeby być bliżej pasma mgły. Owiało ich wilgotnym chłodem. Do tego chłodu nawiązał — była teraz zima, gruba czapa śniegu leżała na dachu niskiego, szeroko rozsiadłego domu, kilka świerków rosło opodal w ogrodzie i opatulone były śniegiem jak wata. Zasypało śniegiem ganek przed domem, schodki i drogę do folwarku, wymieciono wąską dróżkę pośrodku, i taka była mądra, że nawet po nocy wiodła ludzkie nogi i tam gdzie trzeba, do stodoły, do stajni, do obory, do czworaków. Przed wilią był w domu ruch, starej kucharce dano dwie dziewczyny z folwarku do pomocy, jedna rozcierała mak z miodem w glinianej misie, piekły się wielkie strucle, i dom był pełen zapachu ciasta. W czeladnej izbie przygotowano osobną wilię dla nieżonatych fernali, matka sama nakrywała długie stół białym obrusem i podkładała pod spodem pasma siana. Czekano pierwszej gwiazdy. Potem folwarczna młodzież siadała naokoło stołu, rozochociona, ale ukiadana. Kolędy śpiewano razem, siostra grała na fortepianie daleko w salonie, ale otwierano szeroko wszystkie drzwi i dźwięki dochodziły wyraźnie, ojciec stojąc obok karbowego intonował szorstkim basem, okrutnie fałszował — miał już nieco w czubie — dołączały się do niego głosy naprzód nieśmiało, potem coraz mocniejsze,

i płynęła kołęda zgodnym chórem. Na pasterkę jechano jakby całym kuligiem, naprzód dwa dworskie powozy, potem szły fornalki — kiedy wyjechano za obręb dworu, owiewała człowieka solenna biała cisza, pola ścieliły się szeroko, wyrównane miękkim płaszczem śniegu — z bocznych dróg z okolicznych wsi spływały chłopskie wozy, dołączały się do szeregu, przodem jechał ojciec i sam powóz.

Bichette czuła chłód wiejący od mogił i ziemi — trawa na nasypie była mokra od rosy — ale zdawało jej się, że to tamta legendarna zimowa moc przejmującą dreszczem. Uniosła oczy, blade gwiazdy na wrzesniowym niebie zdawały jej się gwiazdami zimy, a szum uciekających samochodów szumem świątecznego kuligu. Było jej wszystko jedno kto to wszystko opowiadał, zapomniała o Karolku, o tym, że roztopczony przezeń obraz jest jego osobistą własnością. Karolek tymczasem, jakby coś zapomniał w domu, powrócił z ośnieżonych pól do stołowego pokoju i mówił o tym, że na wilęg podawano zawsze dwanaście potraw.

— Aż dwanaście? — zapytała naiwnie.

— To pani nie wie — zaśmiał się — taka jest tradycja, bardzo przestrzegana na kresach.

— Na kresach?

Zdawało jej się poprzednio, że Karolek mówił o swoim domu rodzinnym w Sandomierskim i chciała go o to zapytać. Ale dała spokój. Kłamie? Niech sobie. Tak właśnie było słusznie i dobrze, by zatarło się miejsce, by został tylko czas, jeden dla całego kraju. By odpadło wszystko co dotyczy tylko tego człowieka, by zostało tylko to co jest typowe, bezosobowe. Jeśli ten człowiek kłamie, wszystko jedno dla jakiego to czyni powodu — niech to czyni dalej. Niech w księżycowym świetle chodzi drogami zasłanymi śniegiem, niech wejdzie w tę odwieczną aleję wiodącą do dworu, niech rozchyli gałęzie zmarzniętych krzaków, wychucha otwór

na szybie pokrytej liśćmi mrozu i niech jej pokaże życie za białymi ścianami, jedynie prawdziwe życie. Bo taka przecież była jej tęsknota. Bo taki przecież był pejsaż jej własnego dziciństwa — w oficynie, na trzecim piętrze, w mieście Łodzi. Skulona między szafą, kanapą i oknem, przez które widać było kominy, z firanką przerzuconą przez głowę — coś jakby namiot — żyła przecież w takim samym dworze, chodziła grabowymi alejami, siadała pod lipami, rosnącymi przed domem. Matka wracała zmęczona ze szkoły, cichym, ochryplym głosem skarżyła się, że dzieci były dziś niegrzeczne i że musiała na nie krzyczeć — a ona szła lekka, jakby fruując w niebieskiej mgle nad zielonymi polami, opadała opodal Dewajtisa i gładziła swą dziecięcą dłońią jego wiekową korę. W kuchni skwierczał tłuszcz, na którym matka smażyła wczorajsze kartofle a ona wtedy właśnie siedziała w czeladnej izbie w Wodoktach, słuchała huczenia żaren, niezrozumiałego mrużenia Żmudzina i pieśni, które wraz z dworkami śpiewała Oleńka Billewiczówna. Kiedy przestała marzyć o Kmicicu, zakochała się w Rafale Olbromskim tak zapamiętała, że omal nie przejechał jej wóz ciężarowy na Piotrkowskiej ulicy. Wilia? Gdzie i jak przeżywała wilię? Nie mogła sobie w tej chwili przypomnieć. (Skromne wilie w mieście Łodzi nie liczyły się niemal, nad nimi były „nadwilie”). Zimny, krystaliczny zapach, który ma śnieg tego wieczoru, zdawał jej się zapachem wszelkiej poezji, szumiącej jej w uszach zawsze i wszędzie, całymi strofami, urywkami zwrotów i słowami błyszczącymi i misternymi jak płatki śniegu. Karolek wrócił z domu na białą drogę, gdzie przodem sunęły dwa powozy, ze nimi dworskie furmanki, zaprzężone w dobrze odkarmione robocze konie i chłopskie wozy, wymoszczone sianem i słomą. Zaglądał do tych wozów życzliwie:

— Każdego znano, poznawano po głosie, po koniu.

Wiedziano kto kradnie, kto pije, kto bije żonę, ale mu w ten wieczór wybaczano. Oni też wiedzieli co w dworskiej trawie piszczy... i pewno też wybaczali w ten wieczór. Kiedy stawali z kolędą na stopniach ganku, ojciec rozdawał datki i całowali go potem — niech się pani nie obawia — nie po rękach, po ramieniu, po przyjacielsku. Nie wiem, może ojciec nie zawsze był dla chłopów sprawiedliwy, nie chcę go idealizować. Krewki był, niecierpliwy. Tak mi wyraźnie przed oczami stoi...

Zawsze, kiedy zaczynał opisywać ojca, działo się z nim coś dziwnego, nad czym nie mógł zapanować. Pojawiał mu się we wspomnieniu uśmiech wyblakłych, szarych, trochę wylupianych oczu w obramieniu zaczerwienionych powiek, twarz już zmarszczona, poodrana, a jednak jakoś dziwnie drobna, rzadkie nad nią siwe włosy, i cała postać ojcowska, która jakby nie umiała się postarzeć, tylko kurczyła się w swej chłopięcej formie — obraz przypyływał ciepły i dobry, potem oddalał się i przestrzeń między nim a wspomnieniem wypełniała się niechęcią i niepohamowanym oporem: „Nie chcę ciebie, nie chcę takiego ojca”. Ojciec spoglądał łzawo i jakby przez chwilę chciał się bronić, stukał chudym palcem w ścianę serca: „Dla ciebie pracowałem, dla ciebie oszczędzałem, pamiętasz jak to było, kiedy powiedziałeś, że nie chcesz chodzić do szkoły? Poglądziłem cię, uśmiechnąłem się: tak będzie jak zechcesz synku... kochałem cię, nigdy cię nie uderzyłem, nigdy ci się nie przeciwstawiłem...”. — „Właśnie dlatego! — krzyczał mu w odpowiedzi — właśnie dlatego cię nie chcę, odrzucam! Idź!”. I biedny wygnany ojciec odchodził jeszcze bardziej skulony i zmalący.

— Tak mi wyraźnie przed oczami stoi — mówił do Bichette. — Wysoki był, raczej barczysty, chodził trochę pochylony. Miał wspaniałe czoło, jakby ulane z brązu, podcięte równą linią brwi, ciemnych, krzaczastych, zdawały się rzucać cień na oczy schowane głę-

boko w oczodolach... niezapomniane oczy... niekiedy dobrotliwe i roześmiane, niekiedy błyskające gniewem, jak... — nagle się wzdrygnął i spojrzał na Bichette zaszczonym wzrokiem.

Może się spostrzegła? Może rozpoznała? Chciał dodać jakiś rys inny, mniej znany z portretów, wizerunków których było wszędzie pełno po biurach i urzędach... Coś parło go z niepowstrzymaną siłą, jakby musiało się spełnić żarliwe, najtajniejsze marzenie, jakby musiała się dokonać ta wielka transformacja ojców, w której ten drugi potężniejszy i właściwszy zwyciężał. Brnął dalej z uczuciem fatalizmu i przedziwnej ulgi:

— Miał zwisającego węża który całkiem zakrywał usta. Nawet jak mówił, nigdy nie zapomnę żadnego słowa, nie widać było, głos płynął... nieraz dobrotliwy, żartobliwy, nieraz potężny, rozkazujący... — znowu spojrzał ukradkiem na Bichette.

Zapatrzona była w mgłę, zasluchana.

— Niekiedy chodził w długich butach, trzymał w ręku szpicrutę i niecierpliwie bił tą szpicrutą po cholewie... nad cholewą były niebieskie spodnie... — Karolek przyłożył ręce do oczu i mówił jakby w zapamiętaniu — ...tak mi pozostał w oczach obraz tej cholewy, kiedy stałem przed nim. Szpicruta drgała niecierpliwie, nagle oddaliła się, pozostał po niej tylko lekki świst, widocznie znalazła się nade mną. Ogarnął mnie strach, stanę się coś strasznego. Nie śmiałem spojrzeć. I w tej samej chwili czułem, że cokolwiek będzie, będzie dobrze, jakakolwiek decyzja zapadnie, będzie mądra, i dobrze jest że te decyzje zapadają tam wysoko, że mną rządzą, że ja jestem tylko ich przedmiotem. Zgiąłem kark i poddałem się z wewnętrzną radością tak gwałtowną, że nie wiem już nawet, czy szpicruta uderzyła we mnie...

Oderwał ręce od oczu i odetchnął głęboko, jakby z uczuciem ulgi, jakby już dokonało się to co się dokonać musiało. Przypomniawszy sobie, że mówił poprzednio o

chłopach. Głos jego był teraz już zwykły, opanowany.

— Myślę, że w gruncie rzeczy ojciec był dobry dla chłopów. Był ich wychowawcą, kierował nimi, rozstrzygał wszystkie ich sprawy mądrze i sprawiedliwie. Cóż może być lepszego? Ci, co znali jego młodość, mówili do niego nie: „panie dziedzicu”, lecz: „panie naczelniku”...

— Pan bardzo swojego ojca kochał — szepnęła Bichette.

Karolek rozśmiał się:

— A bo ja wiem? Potem przyszły ważniejsze, donioślejsze sprawy.

— Legiony...

— Tak. Byłem przez jakiś czas... bardzo blisko Komendanta...

Nagle wyprostował się i rozejrzał wokół.

— Któraż to może być godzina? Zegarek mi stanął.

Bichette chciała jeszcze o coś pytać. Chciała by snuła się dalej ta jakaś wieczność ponad rzeczywistością tej nocy.

„Nawet w takiej sytuacji można żyć w czwartym wymiarze” — przebłysnęła jej myśl.

— Pan długo był w legionach? — zapytała.

— Długo.

Wyraźnie nie miał ochoty o tym mówić. Jeśli legiony należały do „wieczności”, to jednak widocznie do jakiejś innej, bardziej rzeczywistej. Nic dziwnego zresztą, że tamte bohaterskie wspomnienia były dziś bolesne. Karolek siedział zgarbiony, oparł ramiona na podniesionych kolanach i głowę na dłoniach.

— Koniec końcem trzeba by wiedzieć co dalej — mruczał raczej do siebie. — Siedzimy jak ta mysz na pudle.

— A... co pan robił w Warszawie? — zaryzykowała pytanie.

Spojrzał na nią z ukosa, jakby niechętnie.

— Czy to nie wszystko jedno teraz?

— Tak, rzeczywiście... ale ja myślałam nie tak realnie, ale tak, wie pan, na płaszczyźnie wieczności...

— Co takiego? — zapytał.

Poczuł nagle wyraźną do niej niechęć. Wyobraził sobie jakby to wyglądało gdyby ta smarkatka przychodząca nie wiadomo skąd chciała się dostać do niego w Warszawie, miesiąc temu, tydzień temu, jeszcze wczoraj. A teraz go pyta, co robił... Na płaszczyźnie wieczności... Ujrzał siebie, za swoim wielkim biurkiem, jak siedział urzędowo nieruchomy, stanowczy, bardzo grzeczny. Na prawo leżały teczki niebieskie, na lewo żółte, osobno czerwone. Te — pilne.

To był jakby pejzaż polski doprowadzony do symbolu — Polska w zdaniach krótkich, w cyfrach, w nazwiskach, w znakach robionych czerwonym ołówkiem na marginesie i przyszłość zawarta w jednym słowie, w jego nazwisku skróconym do dwóch liter. Kiedy wyszedł z wojska i znalazł się nagle za biurkiem, było mu nieswojo. Jakoś mu się to wszystko wydawało martwe, tępe. „Bohater resortowy” — mówił sam o sobie ironicznie, a ministrowi z sąsiedniego ministerstwa, który mu dogadywał (ze swoim własnym miał oczywiście jak najlepsze stosunki) rzucił w twarz: „Ja się nie urodziłem urzędnikiem, ja nie jestem buchalterem”. („Ten idiota odpowiedział: „To po co pan na urzędzie siedzi?”). Powoli rozplątywały się sprawy i zrozumiał — strategię rządzenia. Zrozumiał, że rodzaje i gatunki broni, używane w wojsku, są ubogie w porównaniu z gatunkami broni cywilnej. W pierwszych czasach miewał ataki wstrętu, wyrzutów sumienia. Potem się przyzwyczaił. Nawet rozsmakował, nabral wprawę. I gdyby nie to warcholstwo w kraju...

Otwierając teczki czerwone, niebieskie i żółte, wchodząc w ten gąszcz chwastów i pokrzyw miał po prostu ochotę krzyknąć: „Skosić to wszystko”. Drażnił go ten

poszum ciągłej rebelii, głuchy pomruk oporu, który zdawał się płynąć z cichych papierów. Czego chciał ten kraj głupi i niesforny, niby łagodny a nieokiełznany? Opozycja jawna, uosobiona w wiadomych ludziach, to była właściwie fraszka, z tym można było sobie dać radę, tak czy inaczej. Ale zło tkwiło głębiej. Rozrastało się pod spodem, nieraz z zapadłych dziur, ze wsi, w których ludzie trzech zliczyć nie umieją, przychodziły raporty których czytanie przyprawiało go o furję. Nieraz ogarniało go zmęczenie, trwożliwa niepewność: co ja nam począć? Zdawało mu się, że nie poradzi, że go to wszystko zaleje. Podnosił znad teczek zmęczone, zastrachane oczy. Przed nim, na ścianie naprzeciw biurka wisiał portret. Postać była wielka, niebieska, jakby tonąca w chmurach, pod twardą linią zmarszczonych gniewnie brwi kładł się cień. Zapatrzone w to szaro-chmurne miejsce, czuł jak nagle wracają mu siły. Nie miał właściwie nigdy zamiaru porzucenia swego stanowiska, pocóż miałby to czynić — ale teraz ta wola trwania stawiała się funkcją uświęconą, nieodzownym ogniwem systemu, na którego czele stał on, wielki, odległy, a jednak bliski, jak... ojciec. Zdarzało mu się, że zrywał się z krzesła i stawał na baczność. Czuł się potem rzeźki mocny tą władzą, która spłynęła na niego i którą z kolei on ma wykonywać, twardo, bez wahania. „Co ja sobie będę łamał głowę?” — przebiegała mu przez głowę myśl lekka, niemal radosna. Siadał. Brał pióro do ręki. I szedł przez czerwony i żółto-niebieski wielki kraj — „do wielkości” — mówił sobie. „Dla wielkości Polski” — powtarzał, stawiając zamasytne litery, ostre jak świst szpicruty.

— Dlaczego pan milczy? — poskarżyła się Bichette, ciągle jeszcze tym tonem od „wieczności”.

— Tak jakoś, urwało się.

Chciał się odczepić od tej dziewczyny, ale czuł że tuż

za tymi myślami, które się snują, czają się inne, bardzo bolesne, i wyleżą za chwilę. Może już lepiej było mówić?

— Wie pani, gdyby nie to warcholstwo u nas w kraju, tobyśmy sobie tę Polskę poprowadzili, że aż miło. Takby szła, jak ten kulig świąteczny. Ludzie mają przewrócone w głowie, nie mogą zrozumieć że posłuch, że słuchać rozkazu, to nie jest nic degradującego — w jego głosie był smutek. — To jest wielka, święta rzecz, rozkaz. To jest jakby — rozejrzał się, jakby szukał słów na niebie i zapatrzony w księżyc, dokończył cicho: — To jest jakby samounicestwienie siebie, to jest zlanie się z wolą, która reprezentuje los. Dlaczego ludzie tego nie rozumieją? — poskarżył się — przecież to jest takie piękne i takie proste.

— A jeśli nie ma wodza? — wyszeptła Bichette.

— Zawsze jest wódz. Zawsze jest urząd wodza, wielki samym swoim przeznaczeniem.

I nagle urwał. Te myśli spod spodu znowu zbliżyły się, i coś mu się ścisnęło w sercu. „Po co ja to wszystko gadam? I jeszcze przed kim? Aż się zawstydził i nagle wstał.

— Zimno jest — powiedział.

Kilku podróżnych spacerowało przed pociągiem, większość skuliła się w środku, w przedziałach. Zielonkawę światło padało na ściany wagonów, które stały martwe i zimne, jak zczepione z sobą trumny. Mgły na polach uniosły się wyżej, poszczególne pasma odszczepiały się i chwiały w powietrzu.

— Pewno zaraz będzie świtało — rzekła Bichette.

— No i co dalej? Co dalej?

Karolek przystanął nagle i spojrzał na nią niewidzącymi, przerażonymi oczami.

— Przecież coś trzeba począć.

— No cóż, w razie czego pójdziemy piechotą — odparła beztrosko.

— Dobrze pani mówić.

— Tak dobrze panu, jak mnie.

— Może nie tak. Moja żona daleko nie zajdzie.

Powiedział to ze złością w głosie i zmitygował się zaraz.

— Mniejsza o nas, ale przecież cała sytuacja wygląda inaczej, jeśli Niemcy przecięli linię kolejową.

— Jestem pewna, że nie przecięli...

„Głupia” — pomyślał ze złością.

— ...a jeśli z jakiegoś powodu pociąg dalej nie pójdzie, to damy sobie radę... niech pan się nie martwi... dodała dobrotliwie. — Pomożemy pani... nie wiem, jakie jest właściwie imię pana żony.

— Ni mniej ni więcej tylko Agnieszka — roześmiał się ostro.

— Pomożemy pani Agnieszce...

Coś jeszcze mówiła, czego już więcej nie słuchał. Irytował go ten jej dobrotliwy ton, ta jakaś chęć pomocy, — jej dla niego. Całe odwrócenie sytuacji, cała jego bezradność, odzwierciadlała się jak w małym krzywym zwierciadelku w tonie tej dziewczyny. Raz jeszcze porwała go złość na tę paskudną sprawę z samochodem, o której nawet nie można było mówić. A poza tym... Pod spodem tkwiła złość na Lubusię. Rzeczywiście wszystkoby inaczej teraz wyglądało, gdyby nie ona. A ta dziewczyna czuła ten słaby punkt i uporczywie o nim mówiła.

— Mam wrażenie, że mimo pozorów... pani Agnieszka jest zaradna.

Właściwie to była prawda. Był do Lubusi przywiązany, a jednak wszystko co się z nią łączyło, sprawiało mu przykrość. Przez jedno mgnienie oka przesunął mu się przez myśl szereg ogromnie długi — cała komedia omyłek. Jak nie chciał się z nią pokazywać w towarzystwie, bo mu zawsze przeszkadzała jak zawsze ją tłumaczył, że jest chorowita, że choruje na serce, aż w końcu

sam w to uwierzył i ona uwierzyła i dorobiła do tego jego chore płuca — jak musiał zagadywać jej niewczesne uwagi i sprostowania, jak zawsze wylaziła z jakąś „prawdą” i upierała się głupio — jak go raz najbliższy przyjaciel zapytał cicho: „Po coś ty się właściwie z nią ożenił?” Po co? A no właśnie, nikt tego nie zrozumiał. Taka była prosta, jasna, jako dziewczyna, taka związana z tym domem, w którym wyrosła, gdzie był biały ganek i schodki i trzy świerki rosły opodal w ogrodzie... Była trochę krępa, ale mocna, miała gładkie, jasne włosy, figlarne niebieskie oczy, dopiero po ślubie zaczęła tyć — właściwie to nie był wcale dwór, ale jakby lepsza chałupa, ot, zagroda szaraczkowej szlachty w Siedleckim. I właśnie nie umiała wcale wyjść z tej zagrody, kiedy się warunki zmieniały. Kiedy jej raz powiedział, że muszą się rozejść, że chciałby się z nią rozwieść, mrugała przez chwilę powiekami, jakby jej kto piaskiem oczy zasypał, potem twarz się jej skurczyła. Ale nagle zirytowała się: „Co ty mi teraz takimi rzeczami głowę zawracasz, kiedy ja mam w domu wielkie pranie”. Zdawało się że nie ma o czym z nią mówić. Po latach, kiedy sobie tę scenę przypomniał, przebłysło mu, że to wszystko było nieprawda, że ona skłamała tę swoją głupotę. Nawet to, że tego samego wieczora przy gościach zaczęła się głośno na niego skarżyć: „Tu, proszę pani, kucharka chora i praczka w domu i bielizna musi iść na strych, a on mi przychodzi”... nieprawdopodobne rzeczy musiał wymyślać, żeby jej w porę zamknąć usta. To też było przez nią zrobione. Ale to wielkie pranie, zelgane czy prawdziwe, trwało przez całe życie. I ta jej głupota czy też mądrość. Ona nie ma poczucia wielkości — tłumaczył sobie. Jeden z przyjaciół ożenił się z jakąś nauczycielką francuskiego, czy coś takiego, głupia była i brzydka i kłótniwa, wogóle nie daj Boże, ale przynajmniej na zewnątrz umiała fason trzymać, umiała sobie po prostu dorobić sztafaż do swojej ministerialnej roli.

a Lubusia nie przystawała ani do niego, ani do sytuacji — jakżeż tu o tym mówić, jak to komu tłumaczyć? Spojrzał na Bichette i zaczął od zwykłej nuty:

— Moja żona, wie pani, jest chora na serce...

I nagle porwała go złość:

— Polska się psiakrew rozlatuje, a ta historia się wlecze — krzyknął głośno.

— Jakto Polska się rozlatuje? — Bichette aż chwyciła go za ramię.

— Włazą przecież, włazą Niemcy wszystkimi granicami, wszystkimi drogami, zalewają, nie ma nic, nikogo, obrony nie ma, głowy nie ma — zdawało się, że coś się w nim przerwało, jakiś gorzki potok wylewał się bez tamy i kontroli, — nic nie ma, miejsca nie ma dla nas, wszystko się zawali!

— Co pan mówi? — zapytała Bichette spokojnie.

Opamiętał się. Spojrzał w bok. Niebo, przed chwilą jeszcze seledynowe, zgasło i zsiniało.

— To wszystko kłamstwo co pan mówił — powiedziała Bichette.

— Wszystko? — zapytał. — Przecież... to... o ojcu to była prawda — powiedział cicho i bezradnie.

Obóz w Dobrudży

PORUCZNIK HERBERT

W Tulczy — małym miasteczku nad Dunajem w Dobrudży — zastaliśmy iście rumuński bałagan. Nie było co jeść, nie było gdzie spać, zarządzenia krzyżowały się i przeczyły jedno drugiemu, ludźmi nikt się nie opiekował i rozpręczenie groziło zupełną utratą panowania nad kilkutysięczną masą zgrupowanych tu lotników.

Jednego dnia mieliśmy naprawiać zrujnowane koszary rumuńskie na zimowe leże; drugiego dnia już — już mieliśmy jechać do baraków w Severin; trzeciego dnia miano skoncentrować nas w Transylwanii; czwartego dnia — oddzielić oficerów od szeregowych; piątego znów zostawaliśmy wszyscy w Tulczy. Tak samo było z wyżywieniem ludzi, podobnie z rejestracją samochodów, z wypłatą pensji, z ewidencją, z kompetencjami władz polskich, rumuńskich, policyjnych i wojskowych.

Najwyższy władca miejscowy, generał dowodzący korpusem, na nasze skargi i raporty rozłożył ręce:

— Panowie — rzekł z uprzejmym uśmiechem. — U nas zawsze tak było, jest i będzie. Myśmy się już do takiego stanu przyzwyczaili, i Romania Mare w tym nieładzie trwa od początku swego istnienia, a dwadzieścia milionów Rumunów jakoś żyje. Czy przypuszczacie, że wskutek przybycia dwudziestu tysięcy Polaków zaprowadzimy nagle porządek?

Istotnie, trudno było spodziewać się czegoś podobnego... To też gdy wreszcie uporządkowaliśmy jako tako koszary, gdy zorganizowaliśmy ludzi, dostawę żywności, kuchni i t.d., gdy — słowem — przygotowaliśmy

się do spędzenia zimy w Tulczy, nagle rozkaz załadowania czterech tysięcy ludzi do trzydziestu wagonów, i to w czasie niespełna godziny, celem wyjazdu w nieznaną, na nowe miejsce postoju — wcale już nas nie zdziwił. Wiadomo było z góry, że rozkaz musi ulec zmianie, bo do trzydziestu wagonów zmieści się najwyżej tysiąc dwieście chłopów z bagażem. Wiadomo było, że wagonów na czas nie będzie i że załadowany transport poczeka na stacji dziesięć godzin zanim ruszy.

W praktyce okazało się dodatkowo, że wagony podstawiono dopiero nazajutrz, że podstawiono ich siedem i że władze rumuńskie nie wiedzą, dokąd nas zawieźć.

Dopiero trzeciego dnia pod wieczór otrzymałem nowy rozkaz załadowania mego oddziału, złożonego w większości z podchorążych (w sile około 300 ludzi), i wyjazdu wraz z pięciu oficerami do wsi Sarighiol w pobliżu granicy bułgarskiej, gdzie miano nam przygotować kwatery.

Przezornie zabrałem z koszar co się tylko zabrać dało: kuchnię, trochę prowiantu, maty służące ludziom za posłania i — po piekielnej awanturze z władzami rumuńskimi — samochód ciężarowy, który wystąłem naprzód z kwatermistrzami, nie ludząc się ani przez chwilę, że Rumuni przygotowują nam kwatery w owym Sarighiolu.

Jechaliśmy koleją całą noc, potem zaś szliśmy pieszo 18 km od stacji kolejowej Hamangea po okrutnej drodze, poprzedzanej przez tabór, złożony z dwunastu chłopskich furek, na których jechały nasze rzeczy i trzęśli się chorzy.

Pogoda była słoneczna, dzień — 13 października — niemal upalny. Mijaliśmy wsie tonące w błocie, połamane, pozawalane mosty i mostki, puste pola i nędzne, źle uprawne winnice albo jeszcze niezebrane łany kukurydzy. Kraj wydawał się smutny: bezdrzewny, zaniedbany, rzadko zaludniony, biedny, choć tłuste gleby, nie-

mał w połowie leżące odłogiem, mogły stanowić nie lada bogactwo. Ziemia, zaledwie ruszona pługiem, nigdy nie nawożona, rodziła przecież wielokroć więcej niż wart był leniwy trud rolnika, poświęcony jej uprawie.

Chaty — ładne, czyste i zgrabne, ulepione z gliny i wybielone wapnem — stały, jak wszędzie w Dobrudży, wśród krzywych, wałących się murków z kamienia, wśród trzcinowych pogniłych płotów, czerniejąc otworami okien często pozbawionych szyb. Otaczały je byle jak sklecone szopy, chlewy, obórki: wałące się z dziurawymi dachami, z przeświecającymi ścianami, garbate, koślawe.

Gorsze wrażenie czyniły na pół w ziemię wkopane, z dala od „reprezentacyjnych” domków umieszczone kuchnie. Przybudowane do chlewa lub do obórki, z oknami zatkanymi wiechciem kukurydzy albo gazetą — stanowią one właściwe mieszkanie gospodarza i jego licznej zwykle rodziny. Niepodobna sobie wyobrazić zaduchu i brudu, jaki panuje wewnątrz takiej nory. Składa się ona z ciasnego przedsionka, w którym prawie całą podłogę zajmuje gliniane palenisko pod okapem, mającym ujście do komina. Tu zimą tli się ogień z wysuszonego baraniego nawozu, którego wysokie sterty stoją tuż przy obórce. Małe drzwiczki prowadzą z przedsionka do izby o nieco niższym poziomie. Izba jest tak niska, że stojąc w niej, głową dotyka się pułapu. Małe okienka, pozaklejane gazetami, wpuszczają nieco światła, które pozwala dojrzeć brudną podłogę z gliny i podwyższenie wzdłuż ściany przylegającej do komina. To podwyższenie, przykryte cienką trzcinową matą, stanowi wspólne łóże, ławę, stół, słowem — całe umeblowanie izby. Jada przy nim, siedzi lub sypia na nim cała rodzina.

Białe, zwykle trzyizbowy dom z ładnym ganeczkiem lub werendą, zwrócony zawsze bokiem do ulicy a frontem do podwórza — jest niezamieszkały i służy tylko

do wielkich uroczystości rodzinnych i do przyjmowania gości. Gliniane podłogi pokryte są matami, na ścianach wiszą kilimy o pożerających się wzajem, wściekle skłóconych kolarach, pod ścianami stoją kulawe ławki, jakiś rachityczny stół pośrodku i czasem, ale to bardzo rzadko, wielki gliniany piec — w rogu. Panuje tu stosunkowa czystość, okna są duże i często mają całe szyby.

Sarighiol jest zupełnie podobny do wszystkich wsi w Dobrudży. Mieszkają w nim prawie wyłącznie Bułgarzy. „Większość” rumuńską stanowią: pop, nauczyciel i żandarm. Poza tym jest jeszcze sklepikarz Niemiec i dwie czy trzy rodziny rosyjskie.

Kwater oczywiście nie było, a wysłany przez mnie oficer z trzema podchorążymi na próżno zabiegał o nie u „primara” i żandarma, bo obaj ci dygnitarze nic nie wiedzieli o mającym nastąpić naszym przybyciu.

Bułgary, dzikie brodate draby w baranich czapach, nieomal z nożami w zębach broniły wejścia do swych chat, wyraźnie zrozpaczeni naszym najazdem. Pod osłoną żandarmskich bagnetów wprowadzałem tam moich ludzi...

Do pilnowania nas wyznaczono porucznika Grossu, głupawego Rumuna, który ledwie umiał czytać i pisać. Był to mały, koślawy człowieczek z bielmem na oku, wiecznie pijany, cuchnący potem i samogonem z winogron. Utrzymywał, że mówi po francusku, ale myślę, że każdy dziki murzyn z Sudanu mówi tym językiem lepiej niż on.

Już po kilku dniach pobytu w Sarighiol zorientowałem się, dlaczego bułgarska ludność wsi przyjęła nas tak nieprzychylnie: do kwatery Grossu codziennie przynosił jego ordynans, (obdarty, brudny, bosi żołdat) koźbalkę pełną jaj, kur, winogron, sera i wszelkich produktów spożywczych, rekwirowanych prawem kaduka u chłopów. To samo robił plutonowy żandarm, i tak samo żywili się jego podwładni. Haracz w naturze —

papierosami, naftą, masłem i kawą — płacili sklepikarze wódką zaś — właściciel malej gorzelni. Ogólnie przypuszczano, że Polacy zażądają takich samych koncesji dla siebie, co dla wsi byłoby katastrofą.

Oczywiście, za wszystko płaciliśmy gotówką, zorganizowaliśmy dostawę prowiantów z rumuńskich wojskowych magazynów w miasteczku powiatowym Babadag i prowadziliśmy własną kuchnię. Nasi mechanicy po prostu z nudów zabrali się do naprawy bron, pługów maszyn do szycia i wszelkich narzędzi swoich gospodarzy. Trzej brygadziści wraz z podchorążym, inżynierem od konstrukcji lotniczych, naprawili gorzelnię. Chłopcy kupili i powprawiali szyby do wszystkich okien w swoich kwaterach. Uruchomiliśmy nieczynną od wielu lat „baję” (łaźnię). W izbie chorych nasi lekarze zorganizowali przychodnię dla ludności.

Potem ludzie zaczęli jeździć do robót w polu, a że każdy Polak pracował za czterech Bułgarów, karmiono i pojono ich z wdzięcznością, i atmosfera z dnia na dzień zmieniała się na naszą korzyść.

Szczytem tej zmiany był „wynalazek” cepów. To nieznane tutaj narzędzie rolnicze zmajstrował pewien szeregowiec do spółki ze swym przyjacielem i tym czynnem wsławił imię Polski bodaj czy nie w całej Dobrudży.

Syn rolnika, gospodarza spod Sochaczewa, pogardliwie traktował „owcarzy”, jak nazywał Bułgarów od stad owiec i baranów, które hodowali. Wyśmiewał ich nieudolność rolniczą, ich lenistwo i niedbalstwo. Opowiadał, że w Łowickim myszy są większe niż owce w Sarighiolu, a tutejsze krowy akurat takie duże, jak żydowskie kozy w Sochaczewie. Że pies polski jada lepiej niż tu człowiek. Że kury tu jak nasze wróble, a konie — jak w Polsce osły, „tyle że brudne jak świnie”. Do niczego zresztą ręki nie przykładął, łąził po obejściu i częstował swych gospodarzy ironią od rana do wieczora,

spluwając tylko z pogardą. Za to nędzne psy bułgarskie znajdowały łaskę w jego oczach. Karmił chlebem i resztkami swoich porcji z kotła nieszczęsne kundle, które jadły dotąd surową kukurydzę, a i to bardzo rzadko. Toteż wkrótce przestały na nas czekać, zaczęły warczeć na Bułgarów i nie chciały chodzić z baranami na pastwiska.

Ale nadszedł czas młócki. Gospodarze rozścielali zboże na glinianych klepiskach przed chatami i pędzili po nich woły i krowy, by raciami łuskały ziarno. Nasz Grześ aż się za głowę złapał:

— Ludzie, co wy robicie?

Powiedzieli mu, że młóć.

Załamał ręce, splunął i poszedł, nie mogąc patrzeć na taką młóckę.

Wrócił w trzy kwadranse z tym swoim przyjacielem, Poznaniakiem, niosąc dwa świeżo wystrugane cepy, porządnie przewiązane rzemieniami od tornistrów.

— Pokażemy wam, „owcarze” jedno, jak się młóci — oświadczył ze złością.

Wtedy Bułgary zaczęły się z niego podśmiewać:

— Kijem będzie ziarno łuskać?

Nie chcieli o tym słuszeć. Myśleli, że z nich kpi jak zwykle.

Zwymyślał ich, jak tam umiał, na pół po rosyjsku i wymógł, że zrobią próbę: trzy snopy wymłóć woły, a trzy on z tym Poznaniakiem, i — gdzie będzie więcej ziarna?

Dali się wreszcie namówić i zwołali sąsiadów na te zawody.

Woły leniwie chodziły tam i z powrotem, a Grześ najspokojniej palił papierosa: nie spieszył się. Grupa gospodarzy trącała się łokciami, przebąkiwała to niedowierzająco, to o polskich czarach, coraz bardziej zaciekawiona. Wytrzymał ich tak dobry kwadrans a potem mrugnął na swego kompana. Stanęli naprzeciw siebie.

rozłożyli na klepisku namiotową płachtę, rozsnuli trzy snopy zboża, plunęli w garście i zaczęli machać. Tylko im cepy warczały nad głowami, zwijając się na rzemie-
niach z surowca. Tylko echo szło po chałupach, i szyby
drżały.

Jeszcze woly nie skończyły swego, kiedy byli gotowi.

— Tu macie słomę — rzecze Grześ. — Tu jest słoma, nie zaś proch i sieczka, co wam po wołach zostaje.

Istotnie słoma, choć nieco stargana, była chociaż długa i nie tak połamana jak po bułgarskim młóceniu.

— A tu mata ziarno — powiedział Poznaniak. — To jest ale ziarno, nie? I zaś trzy razy tyle co spod wołów, nieprawdaż?

Bułgary najpierw osłupiały, a potem narobiły takiego wrzasku, jakby się wieś paliła. Ani Fulton, ani bracia Wright, ani nawet Edison nie odnieśli takiego triumfu w tak rekordowo krótkim czasie, jak nasze chłopaki spod Sochaczewa i Poznania.

Tegoż dnia powstała prawdziwa polska wytwórnia cepów w Sarighiolu. Robili je najpierw we dwóch, potem w pięciu, potem w dwudziestu. Znaleźli się wnet instruktorzy młócenia tymi cepami. Sarighiol młócił cały dzień, a wieczorem były tańce przed karczmą, i męska młodzież bułgarska mogła się tylko przyglądać, jak ich dziewczyny fruwały z polskimi żołnierzami w oberku i kujawiaku, które to tańce zostały wprowadzone w Dobrudży razem z cepami.

Nazajutrz wieść o cepach gruchnęła przez Casimczę, przez Ramnic, Slava Russa i jak się tam te wszystkie pogańskie wsie nazywają — w okolicę. Z dalekich stron zjeżdżali Bułgarzy i Rumuni, by to cudo zobaczyć i by się po polsku nauczyć młócić. Do mnie zaś przychodziły delegacje z prośbą o przydzielenie żołnierzy na kwatery.

Wreszcie Grossu, zaniepokojony naszą komitą z Bułgarami, napisał raport do Babadag, pochwalając zresztą ostrożnie tę działalność. Potem przyszedł do mnie

i wydoił flaszkę mojego rumu w dowód sympatii dla Polski, wyrażając swą sympatię w języku zgoła już niezrozumiałym, jakkolwiek w jego mniemaniu miał to być jeszcze ciągle język Rasyna i Balzaka.

Chcąc nie chcąc, musiałem nauczyć się kilku najkonieczniejszych zwrotów po rumuńsku, ażeby się jakoś z nim dogadać. Niezły był to zresztą człowiek ten nasz Grossu, a za 500 lei można go było skłonić do spraw pachnących kryminałem i degradacją w każdej szanującej się armii. Przeważnie zresztą wystarczała jego głupota (bez opłat pieniężnych), którą wyzyskiwałem ile tylko było można w celu wysyłki moich podchorążych do Francji via Bukareszt.

Toteż, po zorganizowaniu łączności z Babadag, gdzie ulokowało się nasze dowództwo z płk. L. na czele i gdzie mieliśmy centralę ubrań cywilnych oraz paszportów — obóz topniał szybko i bez wielkich trudności. Władze rumuńskie zorientowały się jednak, że Polacy przeciekają im między palcami, i nasłały mnóstwo żandarmów na wszystkie nasze obozy, na drogi, na stacje kolejowe, na etapowe punkty ucieczki. A na czele żandarmów przybył do Babadag płk. Zoicaro.

Wyjeżdżając z Tuluzy wiedziałem o nim tylko tyle, że zdołał wreszcie — w przeciwieństwie do swego poprzednika — uporządkować nieco rozpuszczoną bandę, jaką niewątpliwie wydać się wówczas musiały nasze pomieszane i zdezorganizowane rozbitki oddziałów, stacjonujące w tym garnizonie. Jego drakońskie zarządzenia i brutalność wywoływały wśród nas liczne odruchy niechęci, później urosły w wersję o sadyzmie, który mu przypisywano. Istotnie, Zoicaro wpadał we wściekły gniew przy łađa okazji, lub zgoła bez powodu, ilekroć zdarzyło mu się rozmawiać z Polakiem. W obecności płk. L., sprzał na ulicy po twarzy rumuńskiego żandarma za jakieś drobne uchybienie, a chłopca na szosie za to, że nie dość szybko zjechał z drogi przed

jego samochodem. Dał w pysk swemu adiutantowi i nie-raz pokrwawił nosy swoim ordynansom. Słowem, typ zbliżony do oficera rosyjskiego z carskiej armii.

Nasz Grossu drżał przed nim jak liść, żandarm plutonowy bladł usłyszawszy jego imię, a Zygmunt zgrzytał zębami, kłął po angielsku i po włosku (oraz w trzech innych niezrozumiałych językach) i przysięgał, że mu w łeb strzeli przy pierwszej okazji, niech tylko Zoicaro do nas przyjedzie.

Jakoż przyjechał.

Grossu zgłupiał do reszty i był prawie nieprzytomny z nadmiaru służbistego strachu: żandarm wytrzeźwiał w oka mgnieniu, choć pił od rana w karczmie. Zygmunt zaś, dowiedziawszy się o inspekcji, zniknął z horyzontu, i w żaden sposób nie można go było odszukać. Mimo więc, że byłem niezdrów, poszedłem sam stawieć czoło groźnej osobistości.

Wyobrażałem sobie plk. Zoicaro jako złośliwego gnoma o żółtej twarzy i złych, biegających oczach, parskającego — jeśli już nie dymem i ogniem siarczany — to w każdym razie żółcią.

Ten, którego ujrzałem przed „primarią”, istotnie był żółtawy na chudej twarzy o zapadłych policzkach, ale poza tym bynajmniej nie wyglądał groźnie. Nosił pince-nez, wybaluszczał głupkowato oczy i gadał prędko po rosyjsku, na próżno usiłując nadać swemu głosowi ton nieznoszący oporu.

„To ma być on?” — pomyślałem rozczerowany.

Ale w tej chwili w drzwiach „primarii” ukazała się masywna postać innego oficera i choć wyglądał zgola inaczej niż moje o nim wyobrażenie, tym razem nie miałem wątpliwości: to był Zoicaro.

Na czerstwej twarzy o szpakowatych wąsach i krzaczastych brwiach malowała się energia starego żołnierza. W złych, zimnych oczach leżała chmura, w której la-da chwila mogły ukazać się błyskawice gniewu. Po-

myślałem, że ten pułkownik istotnie może wzbudzić lęk, zwłaszcza u ludzi tego typu, co nasz Grossu.

Zdałem mu raport, zupełnie zresztą fałszywy, podając ilość ludzi na 270, podczas gdy było ich niespełna 180. Grossu potwierdził, że jest nas tylu, i zameldował, że sprawdzał wraz ze mną obecność na kwaterach tych, którzy nie przybyli na zbiórkę jako chorzy. („Chorych” wyznaczyłem poprzednio, i Grossu istotnie liczył ich wraz ze mną, ale nie przyszło mu nawet do głowy, że „ozdrowieją”, by uzupełnić na zbiorce brakujące stany).

Tymczasem zaczął padać deszcz. Pułkownik milczał lub rzucał bladej cytrynie w pince-nez krótkie rozkazy. Cytryna za każdym razem aż przykucała pod ciężarem tych słów i ołowianego wzroku Zeusa z Babadag, po czym, prędko, obszernie i wyniośle tłumaczyła mi po rosyjsku o co chodzi.

Chodziło przede wszystkim o rozkaz rumuńskiego Ministerstwa Obrony Narodowej, który miałem odczytać przed frontem mego zgrupowania. Rozkaz napisany był po rumuńsku i „przetłumaczony” na język polski przez władze ministerialne. Przytaczam ważniejsze jego ustępy:

„Oficerowie, podoficerowie i żołnierze Polskie!

Los zechciał aby się znajdowali na terytorii Rumunii na położeniu uchodźców wojennych. Rząd i Naród Rumuński uczynili wszystko aby zabezpieczyć wasze jak najmożliwiej człowiecze przyjęcie w ramach reguł i obowiązków międzynarodowych nawiązanych przez sytuację. Dlatego też, by ulżyć życie wasze, są przyjęte miary zakwaterowania was, rozdzielając w innych miejscach łóżko z żołnierzem rumuńskim; w innych zaś miejscach część wojska rumuńskiego została zakwaterowana u obywateli aby zaproponować wam koszary...

Zawiadamiamy was tą drogą, że jest nie zbędne, aby swojo sie trzymali jako internowane wojskowe i posłusznie wypolniali wszystkie zarządzenia co do porządku jakie panować musi.

Czynności nieprzyjaźnie, k'szczęściu pojedyncze, przeciw kraju, który was przytulił, są nie do pojęcia.

Proszę wszystkich bacznie pilnować, aby odkryć agitatorów i zda im dowódcę obozu, żeby kara była skierowana przeciw winowajców, a nie całego obozu. Ci, którzy nie będą wypełniali zarządzenia dowódcy obozu, będą ukarani... Apeluję do wyrozumiałości żołnierzy polskich, aby zrozumieli położenie i zachowaliby się w ten sposób aby ostrzegać się incydentów z przykreimi skutkami, wiedząc, że będą przyjęte energiczne miary przeciw tych którzy zapominają, że so wojskowe i nie wchodzą w ramy ducha porządku i dyscypliny.

Minister Obrony Narodowej
Generał Dywizji I. Ilcusu.

Czytałem ten utwór wolno, z trudem chwytając jego sens i ubierając treść we własne zdania, aby nie wywołać śmiechu moich oficerów i żołnierzy. Dobrnąłem jakoś do końca, zyskując w oczach audytorium nie lada poważanie, gdyż przypuszczano, że tłumaczę tekst francuski na polski.

Gdy skończyłem, deszcz lał jak z cebra. Zapowiedziano mi jeszcze, że osobiście będę odpowiedzialny za ucieczkę każdego żołnierza, że czeka mnie sąd wojskowy, więzienie itd. i że płk. Zoicaro potrafi schwytać każdego, kto się ośmieli opuścić obóz. Potem Zoicaro zanotował sobie stan ludzi, popatrzył swoim ciężkim wzrokiem na Grossu i zabierał się już do odjazdu, gdy z opłotków wyłonił się wielki parasol, a pod nim pop, który przyszedł prosić nas na filiżankę kawy i na wino.

Było to po mojej myśli. Wysłuchałem pogroźek z

udaną obojętnością, ale doskonale wiedziałem, że brak mi koło stu ludzi i że prędzej czy później się to wyda. Nie mogłem zresztą zaniechać dalszej ich wysyłki i przemyślałem, w jaki sposób tego dokonać i jak samemu uniknąć uwięzienia. Nie miałem pojęcia, co powiem groźnemu Zeusowi z Babadag i czy w ogóle co wymyślę, ale chciałem porozmawiać z nim „przez stół”, wiadomo bowiem, że przy stole i przy winie rozmawia się inaczej niż przed frontem. Chciałem go poznać z innej, niesłużbowej strony. Chciałem się zorientować, co się da u niego osiągnąć i w jaki sposób.

Pchnąłem więc sierżanta-szefa do Zygmunta, żeby na tę noc w każdym razie wstrzymać wysyłkę ludzi z obozu i — poszedłem do popa.

Pop, młody, bardzo przystojny mężczyzna, wyjątkowo inteligentny i wykształcony, bardzo mi sprzyjał. Wiele rzeczy rozumiał, sporo o naszych sprawach wiedział, a jeszcze więcej się domyślał. Mówił dobrze po francusku, do swej ojczyzny odnosił się z mieszaniną pogardy i pobbazania, ale może i kochał ten na pół ucywilizowany kraj, bo dla Sarighiolu pracował rzetelnie, niczym misjonarz kultury i samarytanin na wysuniętym posterunku kresowym. Poza tym — miał złą żonę, ale za to dobre wino i bardzo dobrą kawę.

Piliśmy właśnie to wino, rozmawiając o potrzebach i brakach obozu, o malarii, (na którą nb. choruje tu trzy czwarte ludności) i o konieczności zainstalowania w kwaterach pieców na zimę, gdy zjawił się Zygmunt. Trochę mnie zdziwiło jego przyjście, ale zgłupiałem zupełnie, gdy po przedstawieniu się pułkownikowi i po wymianie pierwszych obojętnych zdań, przyjaciel mój z tajemniczą miną wyjawiał powód swej wizyty.

— Wiem — rzekł stłumionym głosem — że pan pułkownik Zoicaro postanowił ukrócić niesubordynację naszych żołnierzy... Cóż? My rzeczywiście nie jesteśmy

w stanie zapobiec ich ucieczkom, ale chcielibyśmy panu pułkownikowi pomóc.

Tu łypnął na mnie spode łba i kopnął mnie w kostkę pod stołem.

Omiał nie wzruszyłem ramionami na taką dyplomację.

— Jesteś głupi bawół — mruknąłem po polsku — Co ci strzeliło do łba?

— Właśnie — podjął Zygmunt po rosyjsku, uśmiechając się słodko do cytrynowej glisty, która tłumaczyła jego słowa na rumuński, zerkając na mnie podejrzliwie. — Właśnie kapitan polecił mi szczegółowiej to panu pułkownikowi przedstawić. (Tu — ponowne kopnięcie, tym razem w łydkę). Otóż słyszałem, że pan pułkownik na szczęście rozporządza większą ilością żandarmów...

Zrozpaczony, robiłem dobrą minę do tej zlej gry i zainteresowałem się ze swej strony dyzlokacją posterunków, ale Zygmunt nie dał mi dojść do słowa.

— Nie przeszkadzaj — warknął. — Przecież widzisz, że robię ich na szaro.

— Kretyn jesteś — odrzekłem uprzejmie. Oni nas zrobią na szaro.

On zaś przysunął się bliżej z krzesłem do pułkownika i oświadczył konfidencyjnie, że pragnie mu się zwierzyć, ale to w najgłębszej tajemnicy i żeby nikt słówka o tym nie pisał, bo może się nie udać.

Zoicaro słuchał dość obojętnie. Żółty adiutant poprawiał co chwila pince-nez i przyglądał się nam coraz podejrzliwiej.

— Dowiedziałem się — ciągnął Zygmunt — o planie ucieczki.

Poderwało mnie.

„Zwariował chłop!” — pomyślałem.

Ale byłem bezradny, bo samym wzrokiem nie udało mi się zasztyletować zdrajcy. Zoicaro zainteresował się

nagle, żółty zastrzygł uszami jak koń, a Zygmunt zapewne pękał wewnątrz z dumy i rozkoszował się wywołanym efektem, robiąc obojętną minę, co osiągał przez kombinację podnoszenia brwi, marszczenia czoła i spuszczenia powiek.

— O jakiej ucieczce pan mówi? — spytał Zoicaro.

— Podслуchałem rozmowę — odrzekł Zygmunt. — Naturalnie zupełnie przypadkowo — usprawiedliwił się zaraz.

Usprawiedliwiał się zresztą niepotrzebnie, jak sędzę, bo to się przecież działo w Rumunii, gdzie takie drobności jak podsłuchiwanie rozmów nikomu nie przynoszą ujmy.

— Czyją? — nacierał tłumacz, coraz bardziej zaciekawiony.

Zygmunt się nie spieszył. Zapalał papierosa i lypał na mnie swoimi niebieskimi oczami, w których — jak zawsze — czaiła się wesołość.

— Ryba bierze — powiedział do mnie.

— Gruba ryba — mruknąłem. — Może połknąć haczyk, wędkę i rybaka, patentowanego osła.

— Kapitan ma zupełną rację — oświadczył mój przyjaciel. — Musimy panu pułkownikowi całkowicie zaufać.

„Bodaj cię rekin zjadł” — pomyślałem.

— Koło stu naszych żołnierzy ma dziś w nocy uciec z Sarighiolu — wypalił Zygmunt, tym razem po rumuńsku.

— Co? — zerwał się Zoicaro.

— Co? — pisał tłumacz.

— Co takiego? — zdumiał się Grossu i zamarł w bezruchu z otwartą gębą.

Omal i ja nie zapytałem: „Co takiego?”, ale zorientowałem się wreszcie.

— Ryba wzięła — rzekłem z uznaniem. — To nie jest źle pomyślane.

Zaczęliśmy dalej działać wspólnie. Trzej rumuńscy oficerowie nie mieli już żadnych wątpliwości, że postępujemy wobec nich lojalnie i że nawet jeżeli poprzednio nie przeciwdziałaliśmy ucieczkom, to przecież teraz, wobec perspektywy więzienia, będziemy sypali własnych ludzi ile wlezie. Tylko pop spoglądał na nas niechętnie i jakby z pogardą. Zoicaro i jego adiutant poklepywali nas po ramionach, zaręczali że będą mieli obfity połów i że nie minie nas nagroda. Pułkownik nas nie opuszczał. Żółtek zatelefonował po rezerwę żandarmerii, która przybyła o zachodzie słońca i według jego wskazówek cichaczem i w wielkiej tajemnicy obstawia wieś gęstym kordonem. Żandarmów było tyle, że mysz by się nie prześlizgnęła przez ich łańcuch. Prócz tego na wszystkich drogach czatowały zdwojone i potrojone posterunki, a po wsi krążyły patrole.

— Obawiam się, czy to nie zwróci uwagi naszych żołnierzy — powiedziałem do pułkownika. — Mogą zaniechać ucieczki tej nocy, zwłaszcza że jest księżyc.

Lekceważąco machnął ręką:

— Jeżeli kiedy, to właśnie dziś będą się starali uciec — odrzekł. — Wiedzą, że później będzie jeszcze trudniej. A jutro zrobimy rewizję: oni muszą tu gdzieś mieć ubrania cywilne...

— Z pewnością — wtrącił Zygmunt. — Tylko tak pochowane, że nie można ich znaleźć.

Rozeszliśmy się wreszcie. Zoicrao odprowadził mnie do kwatery, przed którą — ku memu zdziwieniu — stał żołnierz rumuński z karabinem.

— Czy to ma znaczyć, że jestem aresztowany? — zapytałem pułkownika.

— Skądże znowu! To tylko tak... Widzi pan: zwalniam pana na tę noc od wszelkiej odpowiedzialności. Ja sam odpowiadam dziś za każdego pańskiego żołnierza, ale — pan rozumie? — muszę zastosować środki ostrożności.

Prosił, żebym mu tego nie brał za złe i żebym nie wychodził z domu do rana. Jutro posterunek zostanie ściągnięty. Życzył mi dobrej nocy, a ja jemu pogodnych marzeń i rozstaliśmy się.

Byłem pewny, że Zoicaro nie będzie spał do jutra, i nie myliłem się: przez całą noc obchodził posterunki i taplał się w błocie po polach i drogach. Jeżeli zaś miał jakieś marzenia, to zapewne o stu schwytanych uciekinierach, a te nie spełniły się widocznie, bo Zeus z Babadag był nazajutrz wściekły.

Żołnierze, którzy pilnowali kwater moich oficerów i mojej, mieli posiniaczone twarze i pokrwawione nosy. Pokazał mi ich mówiąc:

— Tak u nas w wojsku karze się niedbalstwo. Ktoś musiał uprzedzić Polaków o moich zarządzeniach. Cóż pan o tym myśli? — spytał sarkastycznie.

Krew uderzyła mi z lekka do twarzy, ale się pohamowałem.

— Jestem wdzięczny panu pułkownikowi za pokazanie mi, jak rumuńscy oficerowie biją swoich żołnierzy po mordzie — odpowiedziałem. — Gdyby mi ktoś przed tym opowiadał, że taka rzecz jest jeszcze gdziekolwiek w Europie możliwa, nie uwierzyłbym. U nas oficer za to poszedłby pod sąd.

To go doprowadziło do wybuchu wściekłości.

Nie będzie słuchał moich pouczeń. Polska armia? Polska armia uległa Niemcom w ciągu trzech tygodni!

Odpowiedziałem, że rumuńska uległaby w ciągu trzech dni, gdyby się w ogóle biła.

— Ale cóż — dodałem — wy nawet przeciw bolszewikom nie wystąpiliście razem z nami, choć was do tego zobowiązywał traktat. A teraz traktujecie nas jak jeńców, nie jak sprzymierzeńców.

Nic już na to nie powiedział, tylko zgrzytał zębami. Potem zapytał, czy zbiórka gotowa, i poszedł ze mną odebrać raport i sprawdzić stan.

Tak jak przewidywałem stawiała się na plac alarmowy wszystko co żyło z wyjątkiem rzeczywiście chorych, którzy leżeli w małym szpitaliku urządzonym obok plebanii. Razem było na zbiorce 172 ludzi.

Gdzie reszta? — zapytał tłumacz.

Wzruszyłem ramionami, a Zygmunt sprężyście zameldował, że jest siedmiu chorych i dwóch kucharzy.

Zoicaro wezwał żandarmów i kazał przeszukać wieś. Nie znaleźli oczywiście ani żywego ducha. Rewizja też nie dała wyników, bo ubrania cywilne zawczasu zostały dobrze ukryte przez Zygmunta.

Wtedy zdumienie ogarnęło Rumunów: jakto?! więc pomimo kordonu, pomimo uprzedzenia ich przez nas, pomimo że czuwały i że sam groźny Zoicaro oka nie zmrużył, wędząc i obchodząc przez całą noc obóz — tych stu zdołało uciec?!

Zeus z Babadag nie wierzył własnym oczom.

— Jak? Którędy? Jakim cudem? — pytał to swego adiutana, to Grossu, to znów miejscowego żandarma.

Podejrzewał ich wszystkich. Podejrzewał swoich żołnierzy, mnie, Zygmunta i popa. Do południa wisiał przy telefonie w nadziei, że przecież gdzieś kogoś złapano na drodze, w autobusie, w pociągu lub na stacji. Na próżno... Stu ludzi wpadło mu jak kamień w wodę.

Więc spokorniał i zaczął z innego tonu. Najpierw do Zygmunta, bo ja byłem bardziej obrażony:

— Dlaczego oni uciekają? Czego im tu brak? Mają przecież co jeść, nie potrzebują pracować i są bezpieczni. I — dokąd uciekają?

— Bo ja wiem — wzruszył ramionami Zygmunt.

— A rozkosznie to tu u was nie jest.

Zoicaro całkiem zmiękł, obiecał przysłać piecyki i lepszą żywność, a potem mnie zaatakował:

— Pan musi wiedzieć dokąd i po co oni uciekają.

Zastrzegłem się, że o niczym nie wiem, ale wytłumażyłem mu, że istnieje pewna różnica między naszym a

rumuńskim żołnierzem. Powiedziałem, że Polacy potrafili uciekać z Syberii na Madagaskar, żeby mieć wolność i żeby o nią walczyć. Że dla nas wojna się nie skończyła, zmieniły się tylko pola bitew.

— Hm — powiedział zamyślony. — Więc trzeba się spodziewać, że i pan prędzej czy później pojedzie do Francji?

— Zawiadomię pana pułkownika pocztówką z drogi — odpowiedziałem.

Uśmiechnął się i podał mi rękę.

Ci spod Narwiku...

ZYGMUNT BOHUSZ-SZYSZKO

Jędrak przewracał się z boku na bok na twardym, węzłowatym sienniku i nie mógł zasnąć. Była to jego pierwsza noc w wojsku. Na lewo i na prawo od niego spali koledzy, wcześniej przybyli do Coëtquidan. W półmroku, panującym w baraku, można było rozróżnić ich skurczone, owinięte w koce postacie. Bębnienie kropli deszczu po dachu, krytym papą, zawrodożenie wiatru i chrapanie ludzkie — zlewały się w jednostajną, znaną każdemu żołnierzowi symfonię koszarową. Żelazny piecyk dawno ostygł, temperatura więc obniżała się gwałtownie, a od nieszczelnych drzwi szły lodowate powiewy.

Jędrak miał siedemnaście lat, ale zgłaszając się dziś w kancelarii wojskowej zelgał, że ma 18 skończone. Pan sierżant - szef, obejrzał go wielce krytycznie i coś szepnął siedzącemu obok porucznikowi. Ten ostatni również przyjrzał się uważnie Andrzejowi, a spotkawszy błagalny i wystraszony wzrok jego niebieskich, chłopięcych oczu, zmiękł i zapytał łagodnie:

— Skąd jesteś chłopcze? —

— Spod Lille. —

— Uciekłeś z domu? —

— Nie proszę pana, ojciec mnie wysłał. Powiedział, że sam jest już za stary, by służyć w wojsku, a że dla mnie to w sam raz. Że muszę iść bić się za Polskę.

— A nie łiesz?

— Jak Boga kocham nie. Ja nawet list od ojca mam do dowódcy polskiego. —

— Dawaj!

Ojciec Jędrka, stary emigrant z Polski, już od dwudziestu kilku lat mieszkał we Francji i był sztygarem w kopalni węgla. Dobrze mu się powodziło. Dwie córki wydał zamaż za zamożnych farmerów, starszego syna puścił szukać szczęścia w Ameryce, a Jędrka i najmłodszą córkę trzymał przy sobie. Nie sfrancuział i dzieci wychował po polsku. Mimo dobrobytu tęsknił do Kraju i z roku na rok wybierał się z żoną odwiedzić swe rodzinne strony. Wojna przecięła te marzenia, ale też podnieciła jego patriotyzm. Posłał syna do Wojska Polskiego formującego się we Francji.

Po kilkudniowej podróży w wagonach, zatłoczonych żołnierzami wszystkich francuskich i angielskich nacji kolonialnych, nie wiadomo dlaczego jeżdżącymi bez przerwy wszystkimi pociągami we wszystkich kierunkach, dotarł Jędrak do wymarzonego celu i znalazł się w obozie polskim. Był zdumiony tym, co tu zobaczył. Inaczej sobie wyobrażał wojsko. Pamiętał przecież uroczystości wojskowe w Lille, kiedy to maszerowały szeregi świetnej piechoty francuskiej, przyciągały i cieszyły oko wspaniałe konne pułki kawalerii, podniecały i podnosiły na duchu hłaśliwe czolgi. Tłumy wiwatowały na cześć wojska i obrzucały go kwiatami.

A tutaj w Coëtquidan? Kompania do której wcielono Jędrka przedstawiała dziwaczny i śmieszny widok. Nie było dwóch żołnierzy jednakowo ubranych. Zupełnie jak na maskaradzie. Błękitne kepi marokańskie, furażerki różnego koloru i cywilne kapelusze stanowiły nakrycie głowy. Wypłowiałe i polatane mundury i spodnie żuawów, strzelców alpejskich, szaserów, dragonów i huzarów przedstawiały wprawdzie ogromnie malowniczy obraz, bynajmniej jednak nie przyczyniały się do nadania oddziałowi wojskowego wyglądu. Obuwie — były to w przeważnej części cywilne półbuty różnych kształtów i fasonów, od błota i wilgo-

ci rozłazące się na wszystkich szwach.

Jędrrek nie wytrzymał i zapytał jednego ze starszych kolegów, dlaczego wydają im te obrzydliwe łachy. Zapytany był żołnierzem, który przedarł się z Polski. Popatrzył na chłopca posępnie, a następnie splunął i warknął:

— Oni dla swoich też nie wiele mają. Ani broni, ani umundurowania. Widziałem ich wojsko. Wyglądają jak sakramenckie dziady. A o nas mówią, że my wojować nie umiemy, bo Niemcy nas w trzy tygodnie pobili. Nie wierzą nam i twierdzą, że szkoda dla nas porządnego umundurowania i uzbrojenia. Widziałeś te Bertiery co tu wydają? Jednostrzałowe. To z tym mamy bić się z Niemcami? —

Tyle goryczy i gniewu brzmiało w głosie kolegi, że Jędrkowi wstyd się zrobiło za tę Francję, w której się urodził i wychował, ale nie znalazł ani argumentów, ani słów na usprawiedliwienie.

Zaczęły się dla Jędrka żmudne i ciężkie dni. Była to połowa stycznia 1940 roku. Zima, jak gdyby pragnąc obrzydzić wszystkim „słodką Francję”, srożyła się coraz bardziej. Po dniach pluchy, przychodziły nagle mrozy i wiały wściekle wiatry, zrywające dachy z baraków i wydmuchujące z mieszkalnych izb każdą odrobinę ciepła. Jędrrek wraz z kolegami marzył w swym letnim płaszczyku na ćwiczeniach i w baraku, podczas wykładów i podczas godzin posiłku. Nie mógł nigdy wysuszyć rozmiękłych trzewików i wilgotnej bielizny. Był od rana do nocy i od nocy do rana zziębnięty, śmiertelnie znużony i głodny.

Prawdziwym rajem wydawała się kantyna, w której było i widno i ciepło, a co najważniejsze można było wypić szklankę gorącego wina i coś przegryźć. Pieniądzy mu nie brakowało, bo ojciec szczerze go na drogę zaopatrzył. Nie wszyscy koledzy Jędrka byli w tak

szczęśliwym położeniu. Szczególną biedę cierpieli ci, którzy przyszli z Polski. A było ich w kompanii około dwudziestu. Nie mieli prywatnych rzeczy do sprzedania, a żołd nie wystarczał na wszystkie potrzeby. Jędrek, mając dobre serce, zapraszał to jednego, to drugiego z nich na szklankę wina i zyskał w krótkim czasie przyjaźń prawie całej kompanii. Był zresztą najmłodszym z nich wszystkich, charakter miał miły i koleżeński, więc zarówno dowódcy, jak i koledzy otaczali go serdeczną opieką i ile mogli starali się mu ulżyć w służbie. Lecz Jędrek był synem górnika, odziedziczył po ojcu ambicję i twardość. Chciał uczciwie i samodzielnie wykonać wszystko, co do niego należało. Gniewał się, gdy pomijano go w kolejce nocnej służby, lub pracy na stacji kolejowej, czy też w magazynach. Wstyd mu było korzystać z ulg i przywilejów. Siedział więc do swego dowódcy drużyny, młodego i wesołego kaprała podchorążego Gałązki i stając przepisowo na baczność, żądał sprawiedliwości i równouprawnienia ze starszymi kolegami.

Dni płynęły za dniami i nic pozornie nie zmieniał się w świecie. Jędrek był w dużym stopniu rozzaczarowany wojskiem. Sądził, że wkrótce po przyjeździe do obozu wyruszy na front. Jego młodzieńcza fantazja nasywała mu szereg obrazów, w których obowiązkowo wykonywał bohaterskie czyny i zabijał Niemców. W rzeczywistości okazało się, że front jest gdzieś niezmiernie daleko i że nic się tam nie dzieje, a w głębi kraju życie toczy się zupełnie tak samo, jak i przed wojną. Gimnastyka, musztra formalna i wykłady, jedyne zajęcia które można było prowadzić w braku uzbrojenia i zimowego umundurowania, zaczynały go wraz z kolegami nudzić.

Aż któregoś dnia gruchnęła wieść, że nowa wojna rozgorzała w świecie: Rosja Sowiecka napadła na małą Finlandię, a Sprzymierzeni mają zamiar wysłać korpus

ekspedycyjny na pomoc Finom. Polacy ponoć wezmą w tym udział.

Zawrzało jak w ulu w obozie i okolicznych wioskach, w których kwaterowały oddziały polskie.

— Kogo poślą, pierwszą, czy drugą dywizję? Pewno pierwszą, bo jest bardziej zorganizowana. —

— Ale czy to wszystko prawda? Czy to nie zwykła plotka, których tyle krąży po obozie?

Podniecenie rośnie, a plotki najbardziej fantastyczne rzeczywiście zaczęły obiegać obóz. Uczucia nudy, zmęczenia i zniechęcenia zniknęły, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Po kilku dniach przyszły nowe wiadomości, nie mniej od pierwszych sensacyjne:

— Gen. Sikorski wezwał płk. Bohusza do Paryża i mianował go dowódcą oddziału ekspedycyjnego polskiego.

— W najkrótszym czasie ma być sformowana Brygada Podhalańska, która otrzyma wyposażenie górskie i pojedzie do Finlandii.

— Do Brygady Podhalańskiej pójdą wszyscy górale z Polski, a reszta uzupełniona będzie z zaciągu ochotczego.

Jędrak przez te dni chodził jak w gorączce, czepiał się wszystkich, zapytując czy już Brygada Podhalańska jest sformowana i gdzie. Czy jego tam przyjmą, czy jego wiek nie stanie na przeszkodzie itp. Nie był on zresztą wyjątkiem, gdyż podobne podniecenie i zdenerwowanie opanowało wszystkich, od najstarszych oficerów do najmłodszych strzelców.

Aż wrócił z Paryża płk. Bohusz i przywiózł ze sobą konkretne rozkazy.

Odżył całkowicie obóz Coëtquidan i jego okolice. Zaroila się stacja kolejowa od ludzi wyladowujących transporty nadchodzące w trybie przyspieszonym z umundurowaniem, ekwipunkiem i bronią.

Złosciłi się dowódcy pułków, którym płk. Bohusz zabierał najlepsze bataliony i najlepszych ludzi. Ale nie poradzić nie mogli, bo rozkazy Naczelnego Wodza były kateryczne i wyraźne. Brygada Podhalańska miała iść do tak trudnej i odpowiedzialnej pracy bojowej, że musiała mieć niezawodnych dowódców i żołnierzy.

Jędrak żył w radosnym upojeniu, bo jego kompania wraz z całym batalionem weszła w skład Brygady Podhalańskiej. Pomimo młodego wieku był on silnym, wysportowanym chłopcem, więc przeszedł zwycięsko nową komisję lekarską i został uznany za zdolnego do walki w północnym, górzystym terenie.

Każdego dnia wraz z kolegami ganiał Jędrak dwa — trzy razy na dworzec kolejowy i w kocach przynosił coraz inne części nowiutkiego umundurowania i rynsztunku. Kompania jego w oczach zmieniała wygląd. Szczególną dumą napelnily ich zawiesiste berety ochronnego koloru, które w miejsce furazerek ustalone zostały jako przepisowe nakrycie głowy dla Podhalań. Co było mierzenia, pasowania, fasonowania, żeby beret zawiadacko leżał na czupurnej fryzurze i nadawał twarzy groźny wygląd. A gdy wydano obszerne peleryny zamiast płaszców, żołnierze sąsiednich oddziałów zzielenieli z zazdrości „a pleć piękna, lićznie reprezentowana w okolicznych „kafejkach”, bistro i hotelikach, stała się prawie wyłączną domeną podhalańską.

Plecak i worek Jędraka wypchane już były na twar-do ciepłą bielizną, swetrami różnego rodzaju, wiatrówkami, kominiarkami, rękawiczkami i kożuszkami. Już teraz nie marzył, ale natomiast przybyło mu nowe zmartwienie: jak to wszystko spakować i jak to nosić. Dopytywał się więc starych żołnierzy, czy i oni na poprzedniej wojnie mieli takie bagaże. Ci wzruszali ramionami i nie umieli znaleźć odpowiedzi. A jeden z wyjadaczy uśmiechnął się i spokojnie powiedział:

— Ja tam tego wszystkiego taska! nie będę. Chyba, że ze dwóch murzynów mi za ordynansów dadzą.

Potem przyszła plaga przeglądów. Najpierw apel mundurowy przeprowadził sierżant - szef, potem przegląd plutonu przez porucznika, przegląd kompanii przez kapitana, przegląd batalionu przez majora i nareszcie defilada przed pułkownikiem dowódcą pól - brygady. Co się biedny Jędrzek nawojował z różnymi paskami, rzemykami, sprzączkami, podpinkami i zapinkami, to tylko Pan Bóg jeden wie, no i podhalanie wiedzą. A z ćwiczeń — ciągle tylko wykłady, gimnastyka i musztra.

Tak upływały dni za dniami. Zima zaczęła się przesilać. Od czasu do czasu posępne chmury przecierały się i anemiczne słońce starało się rozgrzać zmarzniete skały i ubogie półka bretońskie.

— Kiedyż na tę wojnę pójdziemy? — myślał Jędrzek, a wojna w Finlandii właściwie dobiegała końca. Okazało się, że ogromnie łatwo było obiecać Finom pomoc zbrojną, lecz niezmiernie trudno obietnicę tę zrealizować. Droga przez Bałtyk była niedostępna, jedyny północny port fiński Petsamo był zajęty przez wojska czerwone, a neutralne Norwegia i Szwecja ani słyszeć nie chciały o przepuszczeniu Sprzymierzonych przez swe terytorium. Po tragicznym, lecz bezskutecznym apelu narodu fińskiego do prezydenta Roosevelta, Finlandia skapitulowała wobec przewagi agresora.

Cel więc dla którego stworzono Brygadę Podhalańską przestał istnieć. Zaczęto przebąkiwać o tym, że Podhalanie pójdą na granicę francusko - włoską.

Jędrzek znowu zmarkotniał. Nie spostrzegł się jednak, jak przez te kilka tygodni zmężniał i dojrzał, a któregoś dnia nagle zrozumiał celowość tych męczących i nudnych godzin szkolenia pojedynczego człowieka, zbiorów i musztry formalnej. Miał właśnie służbę i nie brał udziału w ćwiczeniach. Stał z boku i przyglądał

się zbiorce kompanii. Był słoneczny i pogodny, chociaż chłodny poranek. Kompania stanęła w dwuszeregu na placu przed barakiem. Dowódcy plutonów kończyli przegląd swych ludzi, by zdać następnie raport dowódcy kompanii.

Jędrak z mimowolnym zachwytem przyglądał się swemu oddziałowi. Doskonale wyrównany dwuszereg żołnierzy postawnych, barczystych, ubranych jednostajnie, z jednakowo dopasowanym rzymskim, tchnął pięknem i siłą maszyny bojowej, posłusznej i niezawodnej na polu walki. W sylwetce każdego żołnierza i w postawie całej kompanii odczuwało się pewność siebie, poczucie swej siły i mocy, a ponadto jakiś nieuchwytny, tylko Polakom właściwy fason żołnierski. Nie było w tym fasonie przesady albo pozy, lecz każdy szczegół umundurowania, uzbrojenia i postawy, świadczył o wrodzonym zamiłowaniu do pracy żołnierskiej i umiejętności swobodnego poruszania się mimo ciężaru plecaka i broni. Był to atawizm pokoleń, wyrosłych w nieustającej walce o wolność swego Kraju i o byt swego Narodu. ,

— To dopiero wojsko! — Pomyślał nagle Jędrak z dumą w sercu że to jego kompania, że on jest częścią tej gromady żołnierskiej, że i on sam, kiedy stoi w szeregu na pewno wygląda tak pięknie, jak jego koledzy. Wzrok jego z radością przebiegał od długonogiego Szczepańskiego, stojącego na prawym skrzydle, aż do mikrusa Antka Wójcika, najmniejszego w całej kompanii. Znał ich wszystkich, wiedział skąd który pochodzi, jak się nazywa i jaki jest w pożyciu koleżeńskim i w służbie. Czuł się wśród nich, jak w rodzinie i nie umiałby sobie dzisiaj wyobrazić życia bez nich, bez tych wszystkich formalności bytu kompanijnego, bez drobnych przykrości i radości codziennych, bez tej specyficznej, swojej własnej atmosfery, jaką wyrabia każdy bez wyjątku zwarty oddział wojskowy.

Główny ton ich życiu nadawał niewątpliwie dowódca kompanii, imiennik Jędrka, Andrzej Turnia. Był to krępy, średniego wzrostu mężczyzna, góral z pochodzenia, charakter prawy, prostolinijski i twardy. Zarówno Jędrak, jak i jego koledzy bali się początkowo kapitana, bo nie żartował w służbie, a potrafił tak przewiercić człowieka wzrokiem swych siwych oczu, osadzonych głęboko pod krzaczastymi brwiami, że każdy chętnie zapadłby się pod ziemię. Wyrażał się lapidarnie, nie szczędząc barwnych i soczystych określeń. Sam będąc gospodarskim synem, doskonale rozumiał swoich żołnierzy i niezawodnym instynktem umiał znaleźć odpowiedni dla każdego sposób traktowania i podejścia. Podwładni więcej niż raportów bali się jego ciętych i trafnych określeń i uwag, które potem narażały delikwenta na długotrwałe drwinki i żarty całej kompanii. Znał się na służbie tak, że nie można go było nabić w butelkę, a równocześnie tak dbał o swych żołnierzy, że nie można go było nie pokochać.

Było w Brygadzie kilku żołnierzy, którzy znali kapitana jeszcze z Polski i często opowiadali o jego odwadze i wytrwałości w czasie kampanii wrześniowej. Szczególnie chętnie opowiadano sobie wypadek, kiedy po ciężkim i krwawym boju resztki batalionu Turni skupiły się na małej polanie leśnej. Znalazł się tam dywersant niemiecki, który skorzystał z tego, że żołnierze byli śmiertelnie znużeni i zrozwyczajeni systematycznym odwrotem przed czołgami niemieckimi, i wystąpił do nich z przemówieniem, wzywającym do wymordowania oficerów i poddania się Niemcom. Turnia, który przypadkowo był w pobliżu, nie mówiąc ani słowa, z pistoletem w ręce, począł iść spokojnym krokiem wprost na dywersanta. Jego zwarta w sobie, groźna postawa z pochyloną w przód głową i jego wzrok utkwiony nieruchomo w oczach tamtego, działały tak, że dywersant opuścił karabin i patrzył jak urzeczony na zbliżające się

niebezpieczeństwo. Turnia zbliżył się na odległość jednego kroku i nadal nic nie mówiąc, podniósł pistolet i strzelił zdrajcy między oczy, a potem, jak gdyby nic się nie stało, zarządził zbiórkę oddziału i poprowadził go w nakazanym kierunku.

Opowiadania te jeszcze bardziej utrwalaly zaufanie kompanii do dowódcy i wzmacniały jego autorytet. Nawet najbardziej niespokojne duchy i zawadiackie charaktery, starały się unikać wybryków i wykroczeń, by nie narazić się na raport karny u „gazdy”, bo tak go nazywali między sobą.

Jędrak patrzył w niego jak w tęczę, a ile razy miał składać raport, jako służbowy w kompanii, po dziesięć razy przed tym sprawdzał na sobie pas, ładownice i mundur. Turnia ze swej strony z upodobaniem spoglądał na zręczną postać młodego żołnierzyka, ale nie dawał po sobie poznać, że go lubi i nie wyróżniał go w rozdzielaniu zajęć służbowych, pracy oraz porcji ojcowskiego wymyślenia.

Tymczasem Brygada zakończyła organizację i została przesunięta w głąb półwyspu Bretońskiego w okolice miasteczka Maletroi. Kompania Jędrka stanęła w malowniczym pałacyku, otoczonym rozległym, starym parkiem. Była już połowa marca, a chociaż jeszcze od czasu do czasu przeciągały rześiste ulewy i wiały dokuczliwe, północne wiatry, słońce jednak przygrzewało coraz częściej i silniej, osuszając stopniowo ziemię. Zaczęły się teraz ćwiczenia bojowe dzienne i nocne oraz strzelanina wszelkiego rodzaju. Krótki, kawaleryjski „mousqueto” najnowszego wzoru, stanowiący zasadnicze uzbrojenie Podhalan, był stworzony jak gdyby specjalnie dla Jędrka. Ten filigranowy karabinek ginął w łapach dryblasów, lecz całkowicie pasował do wzrostu i chłopięcej sylwetki siedemnastolatka. Był też największą jego radością, dumą i zabawką. Chyba nikt w kompanii tak często nie czyścił, nie rozbierał i nie skła-

dał, nie oglądał i nie sprawdzał swego karabinka, jak to robił Jędrak. Gdyby mógł to spałby z nim razem. Strzelał dobrze, cieszył się każdym trafieniem do tarczy i marzył o tej chwili, kiedy będzie mógł użyć swej broni przeciwko Niemcom.

Ani Jędrak, ani jego towarzysze nie zdawali sobie sprawy z tego, że w tym samym czasie, kiedy oni zgłębiali sztukę patrolowania, obserwacji, czuwania na placówkach, natarć i obrony, — o setki kilometrów od nich, po drugiej stronie frontu odbywała się pośpiesznie podobna praca, tylko zakrojona na znacznie szerszą skalę. Ukrycie przed całym światem Niemcy szykowali się do wykonania napadu na Norwegię.

Dzień w którym inwazja ta nastąpiła, stał się przełomowym dla Podhalan. Nie trzeba było być strategiem, by zrozumieć, że inwazja ta nie może pozostać bez odpowiedzi ze strony Sprzymierzonych, że własny ich interes i bezpieczeństwo wymagają błyskawicznej kontrakcji. Jasne było, że ze strony polskiej tylko Brygada Podhalańska może być użyta do działań w Norwegii, gdyż była jedyną jednostką, względnie przygotowaną do podjęcia walki.

Przewidywania te wkrótce potwierdziły się. Cofnięto kwatermistrzów, którzy już byli wysłani do Grenoble. Przysłano do Brygady dwie kompanie wypasionych mułów alpejskich, nadeszły środki motorowe i duże dotacje amunicji.

Dla Jędrka ćwiczenia bojowe nabrały zupełnie innego niż przedtem znaczenia i wartości. Nauczył się szybko i trafnie orientować się w terenie i panować nad swym temperamentem, który go początkowo unosił i pozbawiał zimnej krwi. Umiał już jak wąż prześlizgiwać się przez kłujące żywopłoty akacyjne, ukrywać się jak jaszczurka w każdym załomie skały i jednym krótkim zrywem ciała wykonywać kolejne skoki od zasłony do zasłony.

Wszystkie ćwiczenia, w których brał udział, były dwustronne. Koledzy z tej samej kompanii, a potem z innych, działali jako nieprzyjaciel. W jednym z takich ćwiczeń Jędrrek przez nieuwagę dostał się do niewoli. Wstydział się przez kilka dni i przysięgł sobie w duchu, że to już nigdy więcej mu się nie zdarzy. Innym znowu razem w krótkiej potyczce z patrolem sąsiedniego plutonu, złamał Jędrrek bagnet i był w strachu, że wyfasuje conajmniej siedem dni paki. Ale okazało się, że przehartowane bagnety karabinków francuskich w ogóle łamały się jak wykalaczki i na dobrą sprawę trzeba było je wymienić. Nie zrobiono tego w braku czasu, a Jędrrek bez paki otrzymał nowy bagnet.

W pierwszej połowie kwietnia, po nowej fali przeglądów wszelkiego rodzaju, cała Brygada zebrała się w Maletroi na uroczystość wręczenia sztandaru. Przyjechał Naczelny Wódz gen. Sikorski z biskupem polowym Gawliną i moc innych dygnitarzy cywilnych i wojskowych.

Jędrrek stojąc w pierwszym szeregu ze wzruszeniem oglądał wojsko, ustawione na obszernym błoni. Dość nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, że Brygada to takie mnóstwo ludzi. Dopiero teraz, widząc długie i głębokie szyki żołnierzy, ubranych w peleryny, zwisające z fasonem na lewym ramieniu, zrozumiał jaką siłę stanowią i jak wielkich rzeczy z siłą tą dokonać można.

Uśmiechnął się wesoło, kiedy spoczął na nim wzrok dowódcy Brygady obchodzącego front i czekał z napięciem przyjazdu Naczelnego Wodza.

Jędrrek nie umiał zdać sobie jasno sprawy z tych uczuć, które rozpierały mu pierś, ale czuł w sobie nową moc nieznaną, wynikającą z przynależności do wielkiej rodziny żołnierskiej.

— Szkoda, że ojciec i matula nas nie widzą — pomyślał niespodziewanie i nagła tęsknota za domem ukłu-

ła go w serce. Wiedział dobrze, że z chwilą wyjazdu do nieznanej i dalekiej Norwegii, niezmierzony ocean odgrodzi go od domu rodzinnego i od Francji. Nie bardzo rozumiał, dlaczego właśnie tam mają jechać, zamiast bić się z Niemcami nad Renem, skąd jest znacznie bliżej do Polski. Mimo woli przypominał sobie określenie jednego z kolegów, że Norwegia dla nich będzie północnym St. Domingo.

Rozmyślenia te przerwały mu słowa komendy i tony hymnu narodowego. Przybył gen. Sikorski. Wysoka, mocna postać Naczelnego Wodza i jego wyrazista, energiczna twarz spodobały się Jędrkowi, a kiedy, po skończonej mszy polowej i poświęceniu sztandaru, zabrzmiał jego silny, donośny głos, chłopak zamienił się w słuch. W słowach Naczelnego Wodza znajdował odpowiedź na dręczące go wątpliwości. Zaczynał rozumieć, że bijąc się za wolność Norwegii — będzie bił się za Polskę, bo wolność, prawda i sprawiedliwość są jedne na świecie dla wszystkich ludzi i wszystkich narodów.

— Wy pierwsi po 1939 roku pójdziecie w bój z Niemcami, — mówił gen. Sikorski, — by zadać klam twierdzeniom, że Polski już nie ma, by wziąć odwet za zdradziecką napaść na naszą Ojczyznę i by stwierdzić przed światem, że Polska walczyła, walczy i walczyć będzie wszędzie tam, gdzie ku temu będą warunki. Na was będzie patrzył cały Naród polski, bo w waszych rękach spoczywa dziś jego honor, jego wolność i jego przyszłość.

Po kilku dniach, w wielkiej tajemnicy oddziały Brygady zostały przerzucone w okolice Brest, a po różnych jeszcze tarapatkach w postaci fałszywych alarmów, sprzecznych rozkazów francuskich i polskich, załadowane na wielkie statki pasażerskie.

Jędrzek poraz pierwszy w życiu widział morze, port i statki wszelkiego rodzaju. Interesowały go przede wszystkim okręty wojenne. Całymi godzinami więc wpatry-

wał się w groźną sylwetkę dział i wieżyc stalowych pancernika „Richelieu”, zakotwiczonych w wewnętrznym basenie portu. Obserwował z zaciekawieniem pracę marynarzy na pokładach kontr-torpedowców i łodzi podwodnych. Oszalał na ruch i bałagan panujące w porcie. Ryk syren okrętowych, jazgot wielkich dźwigów portowych, szczekanie klaksonów samochodowych i nawoływania ludzkie, mieszały się w nieustający hałas, denerwujący i męczący. Szybkie ślizgacze i motorówki śmigały w różnych kierunkach, pozostawiając na brudnej powierzchni wody długie, białe pasma piany.

Od czasu do czasu wszystkie naraz syreny i sygnały zaczynały wyć niesamowicie na znak alarmu lotniczego. Ustawiały wszelkie prace. Tłumy robotników, marynarzy i żołnierzy, gniotąc się, popychając i wrzeszcząc pędem biegły do schronów. Artyleria przeciwlotnicza i karabiny maszynowe rozpoczynały ogłuszającą strzelaninę, nie wiedząc do kogo, a potem gdzieś z przestworzy przychodziły śpiewne tony motorów i gwizdy bomb. W mieście i w porcie wykwitwały pióropusze czarnego dymu, a budynki i statki drgały od potężnych detonacji. Ani jeden myśliwiec francuski nie zjawił się w tych chwilach w powietrzu, by bronić portu, miasta i swych obywateli. Luftwaffe triumfowała w powietrzu tak, jak w 1939 roku w Polsce.

Potem wszystko się uspakajało, Jędrak z kolegami wylazł na pokład i znowu mógł spokojnie obserwować życie wielkiego portu, lub zachwycać się lśniącymi, czarnymi ciałami delfinów, koziolkujących na gładkiej powierzchni wody tuż koło statków.

Nareszcie wszystko co było do załadowania, nie wyłączając mułów, zostało załadowane. O zmroku ściągnięto mostki, łączące molo z burtami statków. Jędrak stał w tłumie żołnierzy przy parapecie i patrzył na brzeg. Poddął się uczuciu skupienia i powagi, jakie ogarnęło odjeżdżających ludzi. Z fizyczną wprost wyrazistością

poczuł, że całe jego dotychczasowe życie niepowrotnie odeszło od niego, że to wąskie pasemko wody między kadłubem statku, a kamiennym obmurowaniem moła, odcięło go na zawsze od wszystkiego, co mu było znane, bliskie i drogie, że został teraz sam na sam z nieznanym przeznaczeniem. Znowu zrodziła się w jego sercu tęsknota za rodzicami i domem, oraz żal, że nie skorzystał przed wyjazdem z przysługującego mu dziesięciodniowego urlopu i nie odwiedził ich. Wymknął się więc z tłumu kolegów, ukrył się w ciemnym kącie za wielkim wentylatorem i z oczu jego popłynęły gorące, dzieciennie łzy.

Uspokoił się dopiero wówczas, gdy poczuł że cały statek drga lekkim, rytmicznym tętnem maszyn.

— Płyniemy! — pomyślał Jędrak i znowu skoczył do burty. Moło i budynki nadbrzeżne pozostały już daleko w tyle i ledwie były widoczne w kształcie ciemnej, niewyraźnej smugi. Statek prowadzony przez pilota, minął właśnie wyspę i wypływał na zewnętrzną redę. Przed nim w odległości kilkuset metrów jeden za drugim sunęły, jak widma inne statki, formujące konwój. Eskorta w postaci czterech kontrtorpedowców francuskich, czekała poza linią sieci zaporowej i pól minowych, zamykających wejście do zatoki.

Na wszystkich statkach panowała kompletna cisza i nie błyszczało żadne światło. Śruby okrętowe, pracujące na najmniejszych obrotach, nie pozostawiały smugi białej piany, łatwej do zauważenia przez lotnika nawet w nocy. Obsługa dział przeciwlotniczych była w pogotowiu. Obserwatorzy wytężali słuch i wzrok. Atak lotniczy w tym momencie, kiedy statki płynęły wąskim, zawilym przejściem przez pola minowe i nie mogły rozproszyć się, był najbardziej niebezpieczny. Nerwowe napięcie udzieliło się żołnierzom, którzy mimo woli wsłuchiwali się w wieczorną ciszę i mówili ze sobą tylko szeptem.

Nareszcie brzegi zatoki przestały być widoczne, pilot odjechał swoją motorówką, a statki przyspieszyły bieg. Lekkie kołysanie wskazywało na to, że konwój wyszedł na otwarte morze.

Jędrak zmęczony całodzienną pracą przy załadowaniu i nadmiarem wrażeń, zszedł stromymi schodkami w dół. Z trudem przeciskał się wśród gór bagażu żołnierskiego, worków i skrzyń. Musiał uważać, by nie nastąpić na nogi leżących wszędzie ludzi. Chrapanie śpiących, którzy nie doczekali się wydania spóźnionej kolacji, i przytłumiony szmer rozmów, wypełniały wnętrze statku.

Jędrak odnalazł swoje miejsce i wcisnął się pomiędzy dwóch kolegów. Mimo zmęczenia jednak długo w noc nie mógł zasnąć i wędrował myślą od domu rodzinnego po tajemniczą i nieznaną Norwegię.

Dni za dniami mijały bez wypadków. Morze było spokojne, więc choroba morska, o której tyle słyszał Jędrak, nie dokuczała żołnierzom. Nie napotkano żadnej niemieckiej łodzi podwodnej i nie zjawiały się na niebie niemieckie samoloty. Od Szkocji konwój zwiększył się o kilka statków angielskich. Wzmocniono również eskortę. Życie na statku ułożyło się w monotonne i regularne ramy koszarowe. Gimnastyka poranna, wykłady, pogadanki i próbne alarmy przy łodziach ratunkowych, zajmowały tylko kilka godzin dziennie. Pozostały czas był poświęcony wylegiwaniu się na górnym pokładzie statku, rozmowom z kolegami, jedzeniu i grze w karty. Niejeden z kolegów Jędraka kłął szpetnie i narzekał, że na statku nie ma wina. Prywatne zapasy z bidonów i z plecaków już dawno były wypite, a regulamin wojenny wykreślił wszelkie alkohole z jadłospisu transportów morskich.

Po kilku dniach zdziwiony Jędrak spostrzegł, że konwój gdzieś po drodze zgubił noc. O północy niebo było blado-błękitne i bezgwiazdne, a opalowe światło

polarnego dnia leżało srebrnym blaskiem na długich, płaskich falach oceanu.

Z każdym nowym dniem podróży, w pamięci chłopce zacierały się obrazy poprzedniego życia i malała tęsknota za domem i Francją. Niekończące się gawędy żołnierskie niespostrzeżenie zmieniały swój charakter i treść. Lekki i niefrasobliwy nastrój ustąpił miejsca poważnym myślom i dociekaniom. Najchętniej słuchano wspomnień o walkach wrześnieowych. Pod wpływem opowiadań oficerów i żołnierzy, którzy przyszli z Polski, w umysłach tych kolegów, którzy jak Jędrrek, pochodzili z Francji, powstawał coraz bardziej wyrazisty i prawdziwy obraz bohaterstwa i tragedii Narodu Polskiego. Ta umęczona Polska, której wielu z nich nie знаło i nie widziało nigdy, stawiała teraz przed nimi i brała ich wszechwładnie w swoje posiadanie. Odpadały z nich, jak suche liście z drzew, pozostałości tych objawów życia francuskiego, które doprowadziło Francję do moralnej i fizycznej klęski.

W tym zbiorowisku ludzi, przybyłych tu ze wszystkich stron świata, odrodził się i dojrzał teraz twardy duch Polaka, obywatela i żołnierza.

* * *

Była połowa maja, lecz głębokie śniegi pokrywały jeszcze góry od brzegu fiordów, aż po szczyty. Pod działaniem promieni słonecznych, śnieg stał się papkowaty i wilgotny. Za każdym krokiem żołnierze zapadali się do kolan. Pod śniegiem chlupotała woda.

Jędrrek obladowany jak muł, piął się ze swoją drużyną stromym zboczem. Był zlany potem, jak gdyby tylko co wyszedł z kąpieli i ledwie przebierał nogami. Ta wymarzona przez niego wojna, wcale nie wyglądała tak pięknie, jak to sobie wyobrażał. Dziesięć dni już minęło od chwili wylądowania na norweskim brzegu,

od dwóch dni batalion ich był w akcji, ale dotąd jeszcze Jędrak nie widział żadnego Niemca i nie słyszał świstu kuli. Całodzienny marsz naprzelaj przez góry, bo jedyna wąska drożyna była tak zawałona śniegiem, że jej odnaleźć nie było można, trwał właściwie dwadzieścia cztery godziny z małymi przerwami na sen i posiłek. Nocy nie było. Słońce wogóle nie kryło się za horyzontem i świeciło o północy złotym, chłodnym blaskiem, od którego szczyty gór mieniły się pastelowymi odcieniami fioletów i czerwieni. Mimo zmęczenia, Jędrak nieraz pał wzrok pięknem surowej, północnej przyrody i w niemym zachwycie spoglądał na szmaragdową wodę fiordów, na ciemno granitowe zwisy prostopadłych, urywistych skalnych ścian, na fantastyczną, zmienną grę światła na zaśnieżonych zboczach i pokrytych lodowcami szczytach, graniach i przełęczach górskich.

Batalion ich wykonywał manerw na skrzydło i tyły pozycji niemieckich, broniących od zachodu i północy dostępu do fiordu narwickiego. Żołnierze byli tak zmęczeni, że nawet kląć przestali, a rozkaz dowódców pchał ich wciąż naprzód i naprzód. Jędrak zaciskał zęby i maszerował ze wszystkimi, skupiając całą siłę woli, by nie usiąść wprost na śniegu i nie zapłakać.

Lecz wszystko ma swój kres. Przebrnęli pasmo górskie i zaczęli schodzić w dół do fiordu. Niespodziewanie, gdzieś od lewej strony dobiegły ich dalekie głosy dział i kabinów maszynowych. Zmęczenie zniknęło nagle, żołnierze ożywili się. Wielu z nich poraz pierwszy w życiu usłyszało głos bitwy. Dotychczas znali wojnę tylko w formie nalotów, nie brali w niej czynnego udziału i byli stroną bierną, kryjącą się przed wzrokiem lotników i przed bombami. Obecnie mieli sami stać się aktorami dramatu ludzkiego, któremu na imię — bój.

Patrole, idące przodem meldowały pierwsze ślady obecności Niemców. Znalezione tuż przy drodze stanowiska placówek niemieckich. Wszystko świadczyło o

pośpiechu z jakim Niemcy wycofali się. Rzucili wszystko: amunicję, rynsztunek, helmy stalowe i konserwy. Widocznym było, że nie spodziewali się przybycia Polaków z tej strony i byli zaskoczeni.

— Wieją szkopy przed nami! — mówili podnieceni żołnierze i przyspieszali marsz. Chęć dopędzenia wroga i zmierzenia się z nim przewyciężyła zmęczenie. Drapieżny instykt walki i odwet obudził się w ich duszach i pchał do przodu.

Zeszli do wsi, leżącej na brzegu fiordu, lecz Niemców i tutaj nie znaleźli. Oznaki popłochu były jeszcze widoczniejsze niż na placówkach. Niemieckie leże były jeszcze ciepłe, a zdobycz poważna i wartościowa. Szczególnie przydał się magazyn żywnościowy i kuchnie. Zimne konserwy zbrzydły już żołnierzom, więc z radością rozmieścili się w ogrzanych domach i zjedli gorący, niemiecki obiad. Czuli się w pełni zwycięzcami i byli dumni z tego, że samo ich zbliżenie się spowodowało tak paniczny odwrót Niemców. W umysłach ich zrodziło się lekceważenie przeciwnika, który nie zdradzał chęci walki.

— Wnet wypędzimy ich z Norwegii — mówili między sobą, — a potem przez morze skoczymy za nimi do Gdyni i do Gdańska.

Radosne uczucie optymizmu przepelniało serca żołnierskie. Przyszłość wydawała się im jasną i prostą. Rzuceni na daleką północ, odcięci od świata i od wiadomości, nie wiedzieli jak groźne chmury zgromadziły się nad Europą i nad słoneczną Francją. Słyszeli wprawdzie że niemiecka ofensywa już się rozpoczęła, lecz sądzili, że jej rozmach załamie się na linii Maginot'a i na oporze dzielnych, twardych wojsk francuskich i angielskich. Nie wiedzieli również, że słowa Churchilla, wypowiedziane po opanowaniu Norwegii przez Niemców: „Łatwiej w Norwegii wylądować, niż się tam utrzymać”, znajdują pełne zastosowanie, ale właśnie w stosun-

ku do aliantów. Walka bowiem w środkowej Norwegii, źle przygotowana i zaopatrzona, była już na ukończeniu. Niemcy bezapelacyjnie zwyciężali. Anglicy stali w obliczu klęski i konieczności wycofania większej części swych sił do Szwecji. W Londynie zapadła już decyzja przerwania kampanii norweskiej i wycofania wszystkich sił z powrotem na kontynent.

Na północy zwyciężył jednak głos dowódcy wojsk francuskich, gen. Bethoire'a, który twierdził, że bez zdobycia Narwika i bez zniszczenia skupionych tam wojsk niemieckich, nie można myśleć o odwrocie. Niemcy na pewno przeszliby do kontr-akcji i nie dopuściliby do wycofania nie tylko sprzętu, ale nawet ludzi. Ofensywa Sprzymierzonych trwała więc tu nadal i rozwijała się pomyślnie.

Po krótkim wypoczynku batalion Jędrka został załadowany na rybackie kutry i przewieziony na południowy brzeg fiordu narwickiego.

Tuż po wylądowaniu kapitan Turnia poinformował swych żołnierzy, że Brygada Podhalańska weźmie udział w natarciu na Narwik, a ich batalion za kilka godzin wyruszy, by zluzować Anglików i wejść do pierwszej linii. Kapitan wskazał im palcem wysoki grzbiet górski, odległy od nich zaledwie o kilka kilometrów i powiedział:

— Grzbiet ten zajęty jest przez Niemców. Z tej strony grzbietu znajdują się Anglicy. Dzisiaj wieczorem zluzujemy ich, a jutro lub pojutrze uderzymy. W tym samym czasie Francuzi zaatakują Narwik od północy, a marynarka angielska będzie nas wspierała ogniem od strony morza.

Nasza kompania będzie na tej środkowej, szczytowej górze.

Jędrak patrzył na silną, posępną plamę gór i dziwił się, że tam są czołowe pozycje. Cisza panowała kompletna. Nie można było spostrzec nigdzie żadnego ru-

chu, nie słyhać było strzałów. Nic nie zdradzało obecności wroga na spadzistych graniach, a przecież Niemcy musieli doskonale widzieć wszystko, co działo się w dolinie.

Znów obraz wojny w niczym się nie zgadzał z wyobrażeniem, jakie Jędrak wyrobił sobie z opowiadań żołnierskich i z opisów bitew. Pomyślał tylko, że będzie lżej obecnie wdrapywać się na góry, bo śnieg na południowych stokach gwałtownie znikał, ukazując rude plamy zeszłorocznej trawy.

Nieco później, kompania Jędrka pomaszerowała wzdłuż brzegu fiordu, wyciągając się długim, przerywanym sznureczkiem. Drużyny szły gęsiego, utrzymując między sobą odległości przeciw - lotnicze. Pogoda sprzyjała temu ruchowi, bo już od południa wielkie fale mgły nadeszły spoza gór, wlały się jak potworny, zbałwaniony wodospad do olbrzymiej wnęki fiordu i zawlokły nieprzeniknioną błoną horyzonty. Żaden z obserwatorów niemieckich nie mógł więc zaobserwować ruchu oddziałów polskich, a lotnictwo w tych warunkach nie mogło działać.

Po dwóch godzinach kompania zatrzymała się przy małej wsi rybackiej. Tutaj czekali już angielscy przewodnicy. Plutony rozdzieliły się i wsiąkły w mgłę.

Nadzieja Jędrka, że wchodzenie na wolne od śniegu zbocze będzie łatwe, została srodze zawiedziona. Stok góry, który zdawał się łagodnym i gładkim, uciekał coraz stromiej i otwierał dzikie rozpadliny, urwiska i napelnione wodą wnęki. Rozkisa, gliniasta gleba, ledwie przykryta cieniutką warstwą trawy, chwytala za stopy, zapadała się, oblepiała buty olbrzymimi kaloszami błota i wszelkimi sposobami starała się powstrzymać ludzi i obrzydzić im życie.

Tak doszli do małego domku, ukrytego w głębokim żlebie wśród anemicznych drzewek niemniej anemicznego lasu. Tu według wskazówek przewodnika, po-

zostawili większą część niesionej amunicji, żywności i ryszunku. Wzięli ze sobą tylko najbardziej niezbędne rzeczy, gdyż dalsza droga miała być specjalnie stroma i trudna.

Jędrak trzymał się tuż za pchr. Gałązką, z którym szczególnie zaprzyjaźnił się i zbliżył. Gałązka, starszy od Jędrka o cztery lata, doświadczony przeżyciami kampanii wrześniowej, opiekował się nim jak bratem. Najchętniej trzymał go przy sobie jako gońca i obserwatora, brał ze sobą na kwaterę, razem z nim jadał i sypiał. Pod wpływem jego opowiadań, kształtowała się i utrwalała wiedza Jędrka o Polsce i poczucie obowiązku żołnierskiego wobec Niej.

Gałązka, syn nauczyciela ludowego spod Krakowa i niedoszły prawnik, stał się dla Jędrka alfą i omegą spraw wojskowych, obywatelskich i ludzkich.

Ścieżka stawiała się istotnie karkołomna. Nogi idących ślizgały się na trawie i kamieniach, grożąc upadkiem w szczeliny, na dnie których stała woda. Stromizny w wielu miejscach były takie, że żołnierze musieli podsadzać jeden drugiego, by się na nie wdrapać. Te czterysta pięćdziesiąt metrów absolutnego wzniesienia od powierzchni fiordu do szczytu góry, zdawały się chwilami ludziom wychowanym na nizinach, nie do przebycia.

Pod wielką skałą przewodnik zatrzymał się na dłuższy wypoczynek, nakazując przy tym zupełny spokój i ciszę, bo znajdowali się w odległości zaledwie paru set kroków od stanowisk własnych, a Niemcy byli nie wiele dalej. Od tego miejsca trzeba było posuwać się pojedynczo, kryjąc się w załomach skał i za krzakami, bo cała ta część była pod obserwacją i ostrzałem wroga, siedzącego na szczytowej grani. Pozycje własne leżały nieco niżej na podłużnym cyplu skalnym, dającym niezłe ukrycie i warunki ognia.

Pierwsza szła drużyna Gałązki, który ruszył w ślad

za przewodnikiem. Bezpośrednio za nim miał wykonywać skoki Jędrak, a na końcu drużyny starszy strzelec Babczyński, weteran z wojny 20-go roku, zastępca drużynowego.

Wykonywanie skoków było trudne. Scieżka była stroma i przepaścista. Mgła przesłaniała wszystko i nie pozwalała żołnierzom zorientować się w otoczeniu. Wdrapywali się więc jeden za drugim w odstępach 10 — 15 kroków, a że brakowało im zaprawy w chodzeniu po skalistych górach, robili dość poważny hałas. To manierka uderzona o skałę zabrzęczała, to kamień strącony stopą z łoskotem potoczył się w dół po zboczu, to znów stąpiwszy nieostrożnie sam podhalanin zjechał kilka kroków w dół, kalecząc ręce i drąc spodnie.

Gdzieś niedaleko warknęła seria cekaemu. Przed Jędrkiem coś klapnęło w ziemię, a koło uszu zadźwięczały śpiewne gwizdy. Chłopiec przykucnął pod kamieniem. Serce mu biło jak młot. Nareszcie usłyszał pierwsze kule. I wcale to nie straszne. Nie wiadomo tylko skąd ten Niemiec strzela i czy widzi ich, czy też wali na ślepo. Po chwili Jędrak ruszył dalej. Jeszcze ze dwa razy odezwał się karabin maszynowy, ale już za nimi.

Stanowiska, na które przyszli, sprawiły jeszcze jedną niespodziankę Jędrkowi, gdyż wyglądały zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażał. Nie było tutaj ani rowów strzeleckich, ani schronów. Wśród dziko porozrzucanych głazów, pomiędzy którymi rosły bezlistne, lecz dość gęste krzaki, wygrzebane były wnęki, ledwie przykryte gałęzmi. Anglicy przed odejściem pościągali z nich swe płachty namiotowe i nieprzemakalne peleryny, zastępujące daszki, więc legowiska wyglądały niezachęcająco.

Na tej wysokości nie czuło się w pełni dobrodziejstw wiosny. Podmuchy wiatru były lodowate i dokuczliwe, a ukryć się przed nimi było trudno, bo przychodzi-

ły z różnych stron. Pod skałami i w fałdach terenowych leżały jeszcze plastry szreniowatego śniegu. Ogień rozpałać było wolno tylko znacznie niżej, gdyż każda smuga dymu natychmiast ścigała nawałę pocisków moździerzowych. Anglicy we mgle nie mogli wskazać dokładnie gdzie jest nieprzyjaciel, zresztą tak mieli już dosyć tej wojny górskiej, że byle jak przekazywali swe pozycje i pospiesznie schodzili w dół, nie przestrzegając wcale zasad ostrożności.

Drużyna Gałązki zagospodarowała się na małym pagórku, mając z lewej storny głęboki i urywisty jar, a z przodu i z prawa rozkisałą, płytką dolinkę. Co było dalej — na razie nikt z nich nie wiedział.

Gałązka sam ustawił karabin maszynowy, wyznaczył czujki i obserwatorów, wysłał patrol do prawych sąsiadów, a reszcie ludzi kazał spać na zmianę. Jędrkowi przypadło miejsce między dwoma potężnymi głazami. Chłopiec zrobił sobie z peleryny prowizoryczny daszek, plecak podłożył pod głowę i, zawinawszy się w koc, zasnął kamiennym snem.

Po kilku godzinach Gałązka obudził go. Mgła wyraźnie rzedła i rwała się na strzępy, zmiotana porywami wiatru w głąb dolin. Słońce, które stało już wysoko, coraz częściej zaglądało do wąwozów i szczelin. Powoli odsłaniały się okoliczne szczyty i szczegóły bliższego otoczenia. Grań, na której siedzieli Niemcy, była już dokładnie widoczna, lecz nie zdradzała niczym obecności wroga. Ponure zwały brunatnych skał zachowywały złowrogie milczenie. Nie można było wypatrzyć stanowisk niemieckich, tak były dobrze dostosowane do terenu i zamaskowane.

Pomimo zwiększonego ruchu, spowodowanego luzowaniem i następnie urządzaniem się podhalan, ani jeden strzał dotąd nie padł z grani. Może dlatego, że słońce było o tej porze na południowej stronie nieba i

świeciło prosto w oczy Niemcom, utrudniając obserwację i celowanie.

Tymczasem z każdej drużyny wysłano po kilku ludzi w dół po amunicję, żywność i bagaże. Nie można było myśleć o tym, by muły mogły wejść tą ścieżką, którą przyszli ludzie. Trzeba więc było wszystko nosić na własnych ramionach.

Jędrak z lornetką w rękach, osłonięty zrębem skały i zamaskowany krzakiem, wypatrywał oczy, studiując szczegółowo każdy kamień i każdy krzak przed sobą. Szczególnie uważnie oglądał on zagęszczenia krzaków i ciemne plamy cienia, gdyż tam spodziewał się znaleźć odbicie promieni słonecznych na lufie karabinowej, lub na helmie Niemca. Trwało to już długo, lecz bystre oczy chłopca nic godnego uwagi dotąd nie dostrzegły.

Słońce coraz bardziej zataczając łuk ku zachodowi, zaczęło świecić w oczy Jędrka. Chłopiec przesunął się nieco w bok, by wykorzystać skrawek cienia, lecz w tej samej chwili sucho trzasnął strzał i kula uderzyła tuż koło jego głowy, obsypując go drobnymi odpryskami skały. Echo tak odbiło odgłos strzału, że Jędrak był pewien, iż strzelano z tyłu za nim. Mimo woli więc odwrócił głowę, ale nie zdążył jeszcze spojrzeć poza siebie, gdyż czyjeś mocne donie chwyciły go za nogi i jednym szarpnięciem zwlokły w dół za skałę. Prawie równocześnie nowa kula stuknęła w kamień i z żalosnym jękiem poszła nad dolinę.

— Łba, mały, na próżno nie wysadzaj, bo szkoda go dla niemieckiej kuli. Naciągnij na hełm kominiarkę, bo świeci w słońcu jak latarnia — spokojnym głosem powiedział kapitan Turnia, który obchodząc stanowiska swej kompanii właśnie w samą porę znalazł się przy Jędrku.

Gałązka, kryjąc się poza skalami, podszedł z mel-dunkiem. Kapitan dowiedziawszy się, że stanowiska Niemców dotąd jeszcze nie są określone, poradził ukre-

cić ze szmat kukłę, włożyć na nią hełm i na drągu ostrożnie wystawiać w różnych miejscach, by sprowokować ogień ze strony wroga i ustalić w ten sposób gdzie on siedzi.

Porozmawiawszy z żołnierzami chwilę i wypaliwszy z nimi papierosa, Turnia skierował się do sąsiedniej drużyny. Szedł najkrótszą drogą wprost przez odstojniętą poloninkę, pokrytą miejscami płatami śniegu. Na przestrzeni kilkunastu kroków poloninka ta widoczna była ze strony wroga, zaledwie więc kapitan ukazał się na niej, rozległo się natychmiast kilka pojedynczych strzałów, a potem seria ze szmaiserów. Turnia, nie przyspieszając kroku i nie odwracając głowy w stronę strzałów, przebył nietknięty niebezpieczną przestrzeń i skrył się za skałami.

Drużyna Gałązki z zapartym tchem obserwowała tę scenę, a kiedy dowódca ich był już w bezpiecznym miejscu, z westchnieniem ulgi orzeczono, że „Gazdy kule nie imają się”.

Pod wieczór ochłodziło się, zaczął padać drobny śnieg i znowu mleczna mgła zasnęła góry. Przyszły nowe rozkazy. Postanowiono, że batalion, wykorzystując mgłę, wykona krótkie, niespodziewane uderzenie i zajmie grzbiec, będący dotąd w posiadaniu wroga. Było to konieczne z tego względu, że ten kto siedział na grzbiecie miał nie tylko doskonałą obserwację zarówno w kierunku Narwiku, jak i w głąb ugrupowania Brygady Podhalańskiej, lecz również uzyskiwał zdecydowaną przewagę nad przeciwnikiem, znajdującym się niżej na stoku góry.

Drużyna Gałązki miała wyruszyć o godzinie 22-ej, zając cypel skalny, sterczący wprost przed nią, umocnić się na nim i nie dać się z niego wyrzucić. Plecaki kazano pozostawić, a do chlebaków wziąć dodatkową amunicję i granaty ręczne.

Jędrak miał wypieki na twarzy i oczy mu się świe-

cili, gdy z karabinkiem w garści wyczołgał się za Gałązką na krawędź skały i zaczął skradać się w kierunku Niemców. Na prawo i na lewo od siebie widział niewyraźne sylwetki kolegów, pomykające we mgle, jak duchy. Szli zachowując zupełną ciszę, bo Gałązka zabronił strzelać dopóki nie zobaczą wyraźnego i pewnego celu.

W kilku miejscach naraz tuż przed nimi w górze huknęły strzały. Gałązka odbezpieczył granat, rzucił go przed siebie silnym zamachem, a po detonacji skoczył naprzód z krzykiem hurra. Jędrak poderwał się za nim, lecz potknął się i wywrócił jak długi. Gdy podniósł się ze stłuczonym kolanem, nie widział już przed sobą drużyny. Gdzieś w przodzie trzaskaly strzały, rozlegały się serie erkaemów i wrzaski ludzkie. Kulejąc pobiegł w kierunku bitwy. Po kilku zaledwie krokach niespodziewanie usłyszał za sobą przytłumione głosy. Zatrzymał się więc znów, gdyż sądził że są to koledzy spóźnieni tak jak i on. Z mgły wyłoniły się dwie sylwetki ludzkie w hełmach zupełnie innego kształtu niż francuskie.

— Niemcy! — jak błyskawica przemknęło przez myśl chłopca. Bezwiednie podniósł karabin i strzelił. Pierwszy z Niemców wypuścił broń z rąk i upadł twarzą do ziemi, głośnie stuknąwszy hełmem o kamienie. Drugi uskoczył w bok i skrył się za skalami. Jędrak zarepetował karabinek i stał chwilę w pogotowiu. Serce mu biło, kolana lekko drżały.

— Zabilem Niemca — uprzytomnił sobie nareszcie, a fakt ten bynajmniej nie sprawił mu radości lub przyjemności. Był tak zaskoczony i wstrząśnięty wypadkiem, że nie ukrył się za skały i przedstawiał doskonały cel dla drugiego Niemca, gdyby ten znajdował się w pobliżu. Dookoła jednak panowała cisza. W przodzie strzały i krzyki również już umilkły. Jędrak ochłonął wreszcie i ostrożnie zbliżył się do zabitego. Wielki, bar-

czysty człowiek leżał na kamieniach nieruchomo i bezwładnie, jak zmięta szmata. Strumyczek krwi sączył się spod niego, tworząc na szarej skale czerwoną, parującą plamę. Jędrka ogarnął nagły strach i poczuł przykre uczucie czczości. Zawrócił i pospiesznie udał się w kierunku, gdzie przed chwilą słyszał głosy walki. Po wydrapaniu się na grań odszukał swą drużynę.

Gałązka już się niepokoił nieobecnością chłopca i chciał wysłać patrol na poszukiwania. Słyszał pojedynczy strzał za sobą i obawiał się złej przygody z Jędrkiem. Ucieszył się więc ujrzawszy go i pytał czemu został w tyle.

— Spotkałem dwóch Niemców — odpowiedział chłopak — jednego zabiłem, a drugi uciekł.

— Naprawdę? To ty tam za nami strzelaleś? A toś się dzielnie spisał. Gdzie leży ten Niemiec? —

— Pod samym stokiem, kilkadziesiąt kroków stąd.

— Trafisz tam? Bo musimy go obszukać i zabrać dokumenty. Przed nami Niemcy zwichli. Nie spodziewali się natarcia. Mieli dwóch rannych, lecz zabrali ich ze sobą.

Po kilku minutach wypoczynku, Jędrak z dwoma strzelcami udał się do zabitego Niemca, a reszta drużyny pospiesznie umacniała zajęte stanowiska, gdyż spodziewano się, że Niemcy mogą wrócić. Natarcie nie wszędzie poszło tak gładko, jak tutaj. Góry rozbrzmiewały wciąż strzałami, natężenie których to słabło, to wzmacniało się. Na ogół jednak po kilku godzinach podhalanie prawie wszędzie siedzieli już na grzbiecie.

Jędrak w kompanii stał się bohaterem dnia. Musiał szczegółowo opowiadać o zabiciu Niemca swym kolegom, a potem dowódcy plutonu i kompanii. Jednemu tylko Gałązce przyznał się, że żał mu zabitego i że szczególnie wstrząsnął nim widok jego martwej twarzy, na której zastygło przerażenie.

— Gdybyś, kochany mój, tak jak ja widział be-

stiaństwo, z jakim oni w Polsce mordowali nasze kobiety i dzieci, nie miałbyś wyrzutów sumienia. Zabiłeś nie człowieka, a zwierzę. Rozumiem twoje uczucia, bo pierwszy raz zetknąłeś się tak bezpośrednio z prawdą wojny, ale to minie. Przyzwyczaisz się i nie będziesz zwracał uwagi na takie drobne sprawy. Pomyśl zresztą o tym, że gdybyś go nie zabił, on by cię zastrzelił i napewno nie miałby skrupułów. Odwrotnie, chęłpilby się, że jeszcze jednego Polaka zgładził.

Minęło kilka dni. Zbliżał się koniec maja. Słońce mocniej przygrzewało zbocza gór. Drzewa i krzaki w dolinach pokrywać się zaczęły żółtawą runią młodych listków. Wiadomo było, że już wkrótce ma nastąpić ostateczny atak na Narwik. Zostały ukończone wszystkie przygotowania. Wciągnięto na góry przydzielone moździerze i zapasy amunicji. Nieustannym patrolowaniem rozpoznano z grubsza stanowiska Niemców i dojścia do nich.

Żołnierze z niecierpliwością czekali na tę chwilę, bo mieli już zupełnie dość wyczerpującej służby na graniach i codziennego dźwigania ciężkich skrzynek z doliny na górę.

Z miejsca, gdzie znajdował się Jędrak, widać było daleko w dole część Narwiku, leżącego po drugiej stronie fiordu. Wznosiły się nad nim potężnymi uskokami wysokie, zaśnieżone góry, a na szczycie jednej z nich można było dojrzeć przez lornetkę niemiecką flagę. Po tej stronie fiordu, niewidoczne z gór, leżały miasteczka Ankenes i Nyborg, ufortyfikowane przez Niemców i zamienione przez nich w twierdze. Miasteczka te miał zdobyć ich batalion.

Nareszcie przyszły ostatnie rozkazy. Kapitan Turnia obszedł jak zwykle wszystkie plutony i drużyny, omawiając szczegóły natarcia. Dowódcy plutonów sprawdzali pogotowie swych żołnierzy i znajomość poszczególnych zadań. Kompania ich miała nacierać

wprost na Nyborg. Inne kompanie szły na prawo i na lewo od niej. Tuż przed akcją trzeba było posunąć się do przodu i usadowić się na upatrzonej podstawie wyjściowej do natarcia.

Jędrek, który już kilka razy był w ogniu na patrolach, okrzepł duchowo i wyrabiał się na odważnego i doświadczonego żołnierza. Cała drużyna dopiero teraz zżyła się naprawdę i zrosła w jedną całość. Ludzie poznali się gruntownie, wyzbyli się garnizonowych nawyczek i narowów, nauczyli się wzajemnie dopomagać sobie w biedzie. Przy tym nabrali zaufania do swych własnych sił i do dowódców.

Nadeszła oczekiwana tak niecierpliwie godzina ataku. Przed północą z dnia 27 na 28 maja, z lekkiej mgły, leżącej nad powierzchnią fiordu narwickiego, wysuwać się zaczęły jeden za drugim angielskie okręty wojenne. Płynęło kilkanaście kontrtorpedowców i trzy krążowniki. Ustawiły się półkolem zaledwie o kilometr od Narwiku i o północy otworzyły ogień ze wszystkich swoich dział. Echo górskie podchwyciło głos tej kanonady, odbiło go stokrotnie od prostopadłych ścian skalnych, poniosło wąskimi cieśninami fiordów i rzuciło przez granie w świat.

Jędrek dokładnie widział i same okręty i skutki ich ognia. Miasto zasnęło się dymami wybuchów i pożarów. Domy, stojące bliżej brzegu, trafione ciężkimi pociskami, rozlatywały się jak domki z kart. Wydawać się mogło, że z tego piekła nikt nie wyjdzie żywym. Chłopiec wpatrywał się w ten obraz, drżąc wewnętrznie z podniecenia.

Cichy gwizd Gałązki wyrwał go z zapałnienia i w jednej chwili postawił na nogi. Drużyna ruszyła naprzód. Gałązka posuwał się pierwszy. Jędrek szedł o cztery kroki za nim, a pozostali strzelcy, rozrzućeni grupkami po dwóch, po trzech, skradali się po bokach. Chwilami widzieli, lub słyszeli ruch sąsiednich drużyn.

Stok góry dość stromo uciekał w dół, schodzenie więc choć trudne, nie było zbyt uciążliwe. Po wzmagającej się nerwowej strzelaninie, częstych wybuchach pocisków moździerzowych i coraz dłuższych seriach broni maszynowej, orientowali się, że atak już rozwinął się na całej linii. Przed ich drużyną na razie było cicho. Wiedzieli, że Niemcy siedzą nieco niżej, poza garbem skalnym, kryjącym ich od ognia i od obserwacji. Garb ten był coraz bliżej. Ruch drużyny stawał się ostrożniejszy i bardziej czujny. Nareszcie i przed nimi zatrzaśkały strzały, odezwał się karabin maszynowy i zagwiłdały kule. Jędrak przestał uważać na kolegów. Skakał od kamienia do kamienia za Gałązką, który parł do przodu. Musiał się dobrze kryć, gdyż kule coraz gęściej i coraz bliżej niego klaskały po kamieniach i brzęczały w gałęziach krzaków. Niemcy wspierali się wzajemnie ogniem, kule więc szły i z przodu, i z boku, a czasem nawet z tyłu. Szczególnie jeden ciężki karabin maszynowy był dokuczliwy. Umieszczony na niedużym wzniesieniu, osłonięty blokami skalnymi, prał długimi seriami wzdłuż frontu, zmuszając drużynę Gałązki do przywarowania. Koniecznie trzeba było go zlikwidować, bo inaczej dalszy ruch był niemożliwy. Gałązka znakami przywołał do siebie Jędrka i powiedział:

— Jędrak, skocz na lewo, zobacz kto tam jest z naszych i we dwóch, lub we trzech ściągnijcie na siebie uwagę tej grzechotki, a ja z kilkoma ludźmi spróbuję obejść ją od tyłu.

Jędrak natychmiast wykonał rozkaz i z pierwszym napotkanym kolegą wyszukali sobie odpowiednie stanowiska i zaczęli ostrzeliwać miejsce, z którego szły serie cekaemu. Czas dłużył się, a walka u sąsiadów znacznie posunęła się naprzód. Gałązka nie dawał znaku życia, a niemiecki cekaem wciąż trzymał drużynę w miejscu. Chłopca ogarniać zaczęło zniecierpliwienie.

Przestał strzelać, zbliżył się do kolegi i szepnął:

— Słuchaj, nie wiem co się dzieje z drużynowym. Może nie mógł znaleźć przejścia na tyły tej pozycji, ale tak dalej być nie może. Strzelaj teraz częściej i zmieniaj stanowisko, a ja spróbuję podczołgać się bliżej i rąbnąć w nich granatem.

Odłożył karabinek, żeby mu nie przeszkadzał, zdjął bezużyteczną, bo już pustą manierkę, wziął w garść granat i jak jaszczurka zaczął podczołgiwać się do Niemców. Czasami po kilka minut musiał leżeć nieruchomo, przytulony do kamienia, bo serie szły tuż nad nim tak nisko, że czuł podmuch kul. Jednak krok za krokiem posuwał się naprzód i był coraz bliżej celu. Odpoczywając chwilę pod jednym z głazów, zorientował się, że znajduje się już zaledwie o kilkanaście kroków od nieprzyjaciela. Gdy serie urwały się, słyszał wyraźnie szczęk zamka, przewlekanie nowej taśmy i przytłumione obce głosy. Odbezpieczył granat i zaczął kombinować, jak go rzucić. Przyplaszczony pod kamieniem, prawie wciśnięty w ziemię, nie widział celu i nie mógł zamachnąć się. Nie było innej rady, jak tylko unieść się lub klęknąć, by dobrze ujrzeć Niemców i granat rzucić nie za blisko i nie za daleko.

Jędrak ostrożnie podkurczył jedną nogę, podłożył pod bok łokieć, a potem nagłym sprężeniem mięśni podniósł się, zobaczył Niemców i błyskawicznie rzucił w nich granatem. Gdy padł znów za kamień poczuł uderzenie w bok. W tej samej prawie chwili rozległ się huk wybuchu. Granat był dobrze wymierzony. Karabin maszynowy zamilkł. Chłopiec chciał wychylić głowę, by zobaczyć co się dzieje, lecz ze zdziwieniem poczuł, że nie może się poruszyć. Ogarnęło go zmęczenie i senność. W uszach dzwięczały mu dalekie dzwony, początkowo tak głośno, aż bolała od nich głowa, a potem coraz cichsze i słabsze. Nad sobą widział blady błękit nieba. Zapadł się w nicość.

Walka na całym froncie stawiała się coraz bardziej zażarta i bezwzględna. Nie brano jeńców. Każde gniazdo oporu trzeba było zdobywać z osobna. Na lewym skrzydle batalionu Niemcy przeciwuderzyli i odrzucili w tył Polaków. Kapitan Turnia stracił łączność z sąsiadami i słyszał odgłosy boju prawie na swoich tyłach. Mimo to parł do przodu, wdzierał się coraz głębiej w ugrupowanie Niemców i zbliżał się do fiordu. Kompanię swoją trzymał mocno w garści i nie dopuszczał do pogubienia się plutonów. Spokojnie, lecz z temperamentem wyrąbywał sobie, jak ciupagą, drogę naprzód do zwycięstwa.

Śladami Turni szedł po zboczu górskim samotny człowiek z obnażoną głową i bez broni. Przystawał, pilnie rozglądał się dokoła i czegoś szukał. Był to kapelan Król. Twarz jego, zwykle tak pogodna i wesoła, dziś wyrażała troskę i skupienie. Rozwiana przez wiatr czupryna tworzyła w słońcu aureolę wokół jego głowy. To nic, że w gmatwaninie skał napotkać było można zacząjonych Niemców. To nic, że zbocze ciągle jeszcze rozbrzmiewało walką i ślepe kule gwizdały gęsto. To nic, że z tamtej strony fiordu nadlatywały pociski móżdżerzowe i krusząc skały rwały się z piekielnym, złym łoskotem. Ksiądz nie usiadł w sztabie za górami i przyszedł, by odszukać tych, którzy swe życie oddawali tu za Polskę, by im udzielić ostatniego namaszczenia.

Wyprzedził sanitariuszy i szedł tuż za linią boju. Szlak walki odnajdywał łatwo po śladach podkutych butów na gliniastych łączkach, po częściach rynsztunku zgubionych, lub porzuconych przez żołnierzy, po luskach karabinowych błyszczących w słońcu. Śladami tymi doszedł do kotlinki, w której przed godziną walczyła drużyna Gałązki. Po drugiej stronie w szczyrbie skalnej dojrzał dwa trupy Niemców i przewrócony cekaem. Udał się w tym kierunku. Po kilku krokach, w

niskich krzakach stanął nad podhalaninem. Był to kolega Jędrka, z którym wspólnie ostrzeliwali niemiecki cekaem. Hełm miał przebity w kilku miejscach. Już nie żył. Ksiądz zmówił nad nim modlitwę za umarłych i ruszył dalej. U stóp wzniesienia z rozbitym cekaemem, leżał na wznak pod płaską skałą drugi podhalanin.

— Jędreku! — Wyszeptał ksiądz, który znalazł chłopaka i tak jak wszyscy lubił go.

Jędreku żył jeszcze, lecz był nieprzytomny. Kula na ukos przebiła mu lewą stronę klatki piersiowej i musiała przejść blisko serca. Kapelan ostrożnie rozciął na nim bluzę i założył prowizoryczny opatrunek. Był w kłopotcie, bo pozostawić chłopca tutaj — znaczyło skazać go na pewną śmierć, a szukać sanitariuszy na tym rozległym zboczach, poprzecinanym jarami, pokrytym skałami i szczotką krzaków, było sprawą beznadziejną. Ksiądz nie namyślał się, wziął Jędrka na barki i zaczął z nim powoli i ostrożnie wspinać się do góry. Stawał i odpoczywał często, bo sam był drobny, a chłopak rozrośnięty i ciężki.

Długo trwała ta droga, zanim ksiądz, goniąc resztkami sił, dotarł do grzbietu. Biegła tu ścieżka patrołowa, łącząca poprzednie stanowiska batalionu. Kapelan złożył Jędrka na suchej trawie poprawił opatrunek i zwilżył mu czoło i usta zgarniętym w szczelinie śniegiem. Sam usiadł obok ciężko dysząc.

Po pewnym czasie chłopiec otworzył oczy i zdziwionym wzrokiem przyglądał się pochylonemu nad nim księdzu.

— Ksiądz kapelan... — wyszeptał z trudem. — Co się ze mną stało? Gdzie ja jestem? — i poruszył się tak jak gdyby chciał usiąść.

— Leż spokojnie, dziecko — odpowiedział ksiądz, przytrzymując Jędrka — jesteś ranny i nie wolno ci

się ruszać. Zaraz sprowadzę sanitariuszy, którzy zaniósą cię na punkt opatrunkowy.

Wzrok Jędrka stawał się coraz bardziej przytomny. Jakaś myśl zaczęła kielkować w jego głowie, bo zmarszczył czoło i coś sobie przypomniął.

— Czy Narwik, proszę księdza jest już wzięty? — Zapytał z trudem, a usłyszawszy twierdzącą odpowiedź kapelana, uśmiechnął się radośnie, chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zakrztusił się krwią i znowu zemdlał.

Pierwsza bitwa

JERZY PACZKOWSKI

Pókiśmy maszerowali lasem, noc ważyła się jeszcze z dniem, ale wkrótce las począł rzednąć coraz bardziej, aż wreszcie został za nami razem z nocą. Dzień wstał pogodny, chociaż powietrze pełne było jeszcze wilgoci i po okolicznych łąkach pełgały jeszcze ostatnie mgły. Nie umiem powiedzieć, która była godzina, kiedyśmy wyszli z lasu. Wtedy nie wiedziałem nawet, jaki to dzień tygodnia. W tym marszu prawie nieustannym, od tak dawna odcięci od swoich, pozbawieni listów i gazet, byliśmy jakby oderwani od świata, i nikomu nie przychodziło do głowy zaglądać do kalendarza. Teraz dopiero wiem, że była to niedziela 16 czerwca 1940 r.

Ludzie maszerują w milczeniu, wzdrygając się czasem z zimna, osowiali na pozór, ale wiem, że w głębi duszy przede wszystkim źli. Źli na jeszcze jedną nieprzespaną noc, źli na tę bitwę, która nie doszła do skutku, na te stanowiska, które kopano się przez cały dzień i które potem trzeba było bez wystrzału opuścić. Ja też jestem zły na to wszystko. Idę na czele swojej drużyny, tuż za biedką sprzętową, i przeżuwam bezsilną złość. Nie czuję ani zmęczenia, ani głodu, maszeruję prawie z przezwyczenia, nie licząc kilometrów, tylko ramiona i plecy bołą mnie jeszcze od tych skrzynek z amunicją, które musiałem taszczyć do biedek z opuszczonych po tamtej stronie lasu stanowisk.

Ppor. Trzonowski idzie obok mnie i gniewnie gryzie źdźbło trawy. Jestem pewien, że obaj myślimy w tej chwili o tym samym.

„Mój Boże — mówi sobie pocziwy Maniś, i sumienie zawodowego oficera aż się w nim pieni ze złości — tyle dobra, żeby tyle dobra Szwabom zostawić! Toż to grzech i obraza boska!”.

Obaj, zresztą nie tylko obaj, myślimy teraz o tym nieprzebranym bogactwie wojennym, które zostało w lesie. O skrzyniach z amunicją, ustawionych w wysokie piramidy, o tych minach przeciwczołgowych, ślicznie pomalowanych na kolor ochronny, do których jak na złość brakło zapalników, o setkach, tysiącach granatów zaczepnych i obronnych, poukładanych w skrzynkach jak pomarańcze, o nieprzeliczonych pociskach do 75-ek, do działek przeciwpancernych wszelkiego kalibru, o rakietach, o pakach wypełnionych trytolem czy melinitem. I pomyśleć, że to wszystko przez głupią katańską niedbałość, przez głupi, a w gruncie rzeczy komiczny przypadek, dostanie się w ich ręce za darmo, zupełnie za darmo! Myśmy zabrali cośmy mogli. Biedki 3-go plutonu uginają się pod ciężarem skrzynek. Prawie całą amunicję zwykłą wymieniliśmy na przeciwpancerną, której nam było brak; to, co nie mogło się zmieścić, zakopaliśmy w lesie. Ja sam jestem obwieszony granatami jak indiański łowca głów — wymóżdżonymi głowami swych wrogów. Przypuszczam, że samochody 1-ej kompanii także zabrały co się dało. Ale cóż to znaczy wobec tego co zostało za nami, w tym ogromnym lesie?

Grunt, że wszyscy są — pocieszam się w myśli — i żeśmy się trochę obłowili! Z naszego sprzętu nic nie zostało na stanowiskach, zabrało się nawet grzybki, nawet gwoździe do siatek ochronnych! Gdyby w tej chwili miał się odbyć apel sprzętowy i sam pułkownik przyjechał na inspekcję, nie miałbym sobie nic do zarzucenia!... 3-ci pluton byłby zupełnie w porządku. Ale nam z Maniśiem cierpieć wolno. To jego wojskowe, a moje cywilne prawo!...

Takie były nasze myśli, gdyśmy dostali pierwszą serię. Przyszła oczywiście nagle, z prawej strony, a zatem z północo-wschodu. Padł rozkaz:

— Środek wolny! Biedki w lewo!

Pluton posłusznie rozszczępił się na dwa rzędy i maszerował dalej rowami po obu stronach szosy. Biedki zjechały w lewo od drogi poniżej horyzontu. Spłoszone nieco konie trzymali przy pyskach woźnice.

Po pierwszej serii przyszła druga i trzecia. Dostaliśmy się pod ogień nieprzyjacielskich karabinów maszynowych.

Zadzieram głowę. Dla mnie i dla wielu z nas, którzyśmy się świeżo uczyli wojennego rzemiosła, jest to ogniowy chrzest. Jeszcze wtedy, gdy nas smarkaci podporucznicy, nie zwyczajni prochu, straszili grozą wojny, postanowiłem sobie nigdy pod ogniem nie pochyłać głowy. Nie przypuszczałem, że obietnicę tę złamię w pierwszym dniu mojej kampanii.

Ale wtedy jeszcze zadzierałem nosa. Miło mi było świecić przykładem moim podkomendnym, tym więcej że pociski szły górą, wysoko nad nami, miło mi było widzieć, jak Wciurek i Szczepański, moi dzielni karabinowi, wtulają głowy w karki przy każdej serii.

Ogień staje się ciągly, ale wciąż jeszcze „przenosi”, mogę więc pozwolić sobie na dalszą medytację. „Gdybyś miał to wszystko kiedyś opisać — mówię do siebie — jak określiłbyś dźwięk, który wydaje kula prze-latująca nad głową?...”. „Jaka tam kula? Nie żadna kula, tylko pocisk!” — przerywa mi surowym tonem świeżo upieczony plutonowy-podchorąży, w którym siedzi moja cywilna dusza. Cywil nie daje za wygraną. „Posłusznie pana przepraszam, panie podchorąży — odpowiada wewnętrznym głosem — za to iż ośmieliłem się użyć w moich rozmyślaniach wyrażenia nie zgodnego z regulaminem piechoty. W wierszykach, pamiętanych z dzieciństwa, była mowa tylko o kulach, które

świszczą, gwizdzą, bzykają lub świegocą. Chodzi mi, krótko mówiąc, o konfrontację nabytych pojęć onomatopiecznych z rzeczywistością fonetyczną. Zresztą pan i tak tego nie rozumie. Niech mi pan nie zamąca zadumy i pozwoli patrzeć w niebo, żeby nie zasnąć w marszu. Wolno mi chyba patrzeć w to niebo, takie błękitne — regulamin nie przewiduje zakazu — wolno mi gonić wzrokiem obłoki, gnane porannym wiatrem, i słuchać tej wysokiej muzyki, która towarzyszy naszym krokom. Widzi pan, panie plutonowy-podchorąży, ja w cywilu byłem poetą”.

Czy kule istotnie świszczą? Czy świegocą jak ptaki, czy też bzykają jak uprzykrzone muchy? Zastanawiałem się nad tą sprawą jeszcze w szkole podchorążych, na strzelnicy, kiedy siedział zamknięty w schronie i słyszał każdą serię moich kolegów, przelatującą nad okopem, niemal nad samą głową. Żadne określenie nie zdoła oddać tego dźwięku. Wytężam słuch i raz po raz słyszę nad sobą jakby dwie sylaby zaśpiewane tak szybko, że prawie zlewają się w jedną: „wi-ju, wi-ju, wi-ju”. Najbliższy prawdy był Małaczewski, który pisał o śpiewie kul. Dziwny śpiew. Wydaje się, że całe niebo nad nami pokryte jest siecią długich, skrzypcowych strun, po których raz za razem przejeżdża niewidzialny smyczek i w które raz za razem brzdąka niewidzialna ręka. Gdybym był muzykiem, mógłbym to potrafił przełożyć na melodię.

Przy takim akompaniamencie maszerujemy jeszcze jakiś czas, ale droga łagodnie się zniża i opuszcza niebezpieczny grzbiet. Jesteśmy teraz poniżej horyzontu. Tutaj nam nic od nieprzyjacielskich k.m.-ów nie grozi. Niemcy sami to musieli zrozumieć, bo z nagła ogień ustaje. Po prostu znikliśmy im z oczu.

Na szosie coraz gęściej i coraz większy kurz. Mijają nas pośpiesznie jakieś oddziały piechoty, jakieś niezna-

ne kompanie strzeleckie, samochody ciężarowe, biedki przydzielonych plutonów cekaemów.

Tymczasem nasza droga, zstępując coraz niżej, wchodzi między jakie domy i zamienia się w ulice miasteczka. Jesteśmy chyba u celu. Na granatowej tablicy, u wejścia do miasteczka, czytamy duży biały napis: Marimont. Nazwa ta nic nam zupełnie nie mówi. Żeby chociaż była jakaś mapa, ale o tym — jak to się mówi w wojsku — szkoda marzyć! Map nie mają ani dowódcy drużyn, ani nawet dowódcy plutonów. Kto wie, może dopiero na szczęblu dowódcy kompanii?... Co do mnie, przyznaję, że nie miałem w rękach przyzwoitej mapy od czasu skończenia podchorążówki. Wszystko co wiem, to to że jesteśmy o parę dni marszem od Luneville. Zatem w Lotaryngii. Poza tym, jako warszawiak, cieszę się, że miścina nazywa się Marimont. Przypomina mi to szkolne wycieczki na Bielany. Uważam to za dobry omen.

Zatrzymujemy się w środku miasteczka, na placu, przed kościołem, gdzie zbiegają się trzy drogi: ta, którąśmy przyszli, druga w kierunku północnym, idąca stromo pod górę, i trzecia prowadząca na zachód. Miścina leży jakby na dnie niewielkiej kotliny, między wysoką górą, porośłą gęstym lasem, a niedużym wzniesieniem, na którym stoi biały kościółek, ze wszystkich stron otoczony murem. Wysoka góra przypomina mi Heidelberg, biały kościół — jakieś polskie miasteczko. Domy schludne, jak wszędzie tutaj, ale opustoszałe i smutne.

Ludzie zdjęli tornistry i poprzysiadali gdzie się dało — na ławkach, przyzbach i po rowach. Ten marsz bez jednego odpoczynku dał im porządną szkołę. Moja drużyna trzyma się jako tako, humory dobre, gdyby tak dali kawę, byłoby jeszcze lepsze. Martwi mnie tylko stary pocziwy Ptaśnicki, który dyszy ciężko ze zmęczenia i ozór wywiesił po pas. „Facet wyraźnie nam

nawala — myślę sobie — mogli go byli wziąć do konnej marynarki. Potrzebny on w tej drużynie jak piąte koło u wozu!”.

Tymczasem na placyku robi się ruch. Kpt. Piątkiewicz widać wrócił z „rozpoznania” terenu, bo wezwał do siebie wszystkich dowódców plutonów i już im coś wgaduje swoim tubalnym głosem. Widzę z daleka por. Kleinbroda, który zawsze wygląda w mundurze jakby był w przebraniu, młodziutkiego ppor. Matusika i jeszcze paru innych, których nie znam bliżej.

Nasz Maniś poprawia sobie hełm na głowie, sprawdza guziki czy zapięte i wali do Piątkiewicza po rozkazy. Zdaje się, że o kawie na razie nie ma mowy!

Kapitan zasalutował, porucznicy rozbiegli się do swoich plutonów. Maniś, po zetknięciu się z wyższą szarżą, wraca do nas, jak por. Trzonkowski, służbista, z którym nie ma żartów. Już wpół drogi wydaje gromki rozkaz:

— Panowie podchorążowie, do mnie!

Biegniemy do niego obaj, Czapla i ja, poprawiając po drodze podpinki hełmów i obciągając płaszcze.

— Na rozkaz, panie poruczniku!

Dowódca plutonu wyprowadza nas na skraj miasteczka, skąd roztacza się szeroki widok na północno-wschodni horyzont. Stamtąd właśnie dostaliśmy pierwszy ogień. Obrócony twarzą do niewidzialnych wrogów, Maniś rozkłada szeroko ręce i pokazuje nam jakie będzie front.

— Kompania broni się w tym froncie. Przedni skraj pozycji przebiega, o tędy, jakieś sto metrów poniżej opłotków. Nieprzyjaciel spodziewany z tego kierunku za godzinę. Ubezpieczenia nasze na przedpolu w rejonie drogi.

„Zadanie plutonu kaemów: zamknąć wyjście z lasu tu, tu i tam. Zniszczyć nieprzyjaciela na lizjerze lasu.

Zadanie dodatkowe: przygotować ognie dalekie na drogę o tam na horyzoncie. W tym celu rozkazuję...

Maniusiowi zabrakło tchu. Odchrząknął i spuścił z tonu:

— Pan, panie podchorąży Paczkowski, zajmiesz pan stanowisko po prawej stronie w rejonie tego kościoła nad zboczem, koło żywopłotu. Natomiast pan, panie Czapelski, pojedziesz pan tam na lewo i zajmiesz stanowisko no tej wysokiej górze. Aha, moje miejsce tutaj, przy dowódcy kompanii.

— Gdzie biedki?

— Biedki, aha, na razie tam za kościołem w rejonie drogi. Zostanie przy nich aspirant Nowik. Resztę dam znać!

Tu Maniuś znowu przypomniał sobie, że przed chwilą rozmawiał z wysoką szarżą, i dorzuca służbowym tonem:

— Wybrać i wykopać stanowiska, nie otwierać ognia bez potrzeby. Gotowość ogniowa za pół godziny!

— Rozkaz, panie poruczniku!

Obyczajom wojskowym stało się zadość. Ppor. Trzonkowski na powrót przedzierzgnął się w Maniusia.

— No chłopcy, do roboty! A jak się pokażą, kropić!

„Kiedyż ci oficerowie nauczą się nareszcie wydawania rozkazów zgodnych z obowiązującym regulaminem?” — wzdycha do mnie plutonowy-podchorąży. Ale nie mówię nic, by nie psuć Maniusiowi humoru. Weszło nam wszystkim na duszy, bo czujemy, że tym razem — kajne gadanie — zacznie się na całego!

Wracamy we trójkę do biedek i podrywamy rozlewnionych ludzi:

— Obsługa do biedek! Karabiny z wozu!

Wszystko idzie sprawnie jak ta lala.

Czapla zabiera swoją drużynę i wyrusza na podbój

„heidelbergskiej” góry. Nie lubię się z nim rozstawać, ale trudno.

— Servus Czapla! Bonne chance!

— Servus Jerzy. Bądź zdrow!

Patrzę za nim jeszcze chwilę jak się zaczyna wspinać na strome zbocze. Rozstrzepany Maniś przypomina sobie właśnie, że ma mi coś ważnego do powiedzenia. Odciąga mnie na stronę i mówi:

— Walka opóźniająca. Trzymamy póki będzie trzeba. Rozumiesz?

— Rozumiem. Jaka droga wycofania? — pytam na wszelki wypadek.

Trzonkowski pokazuje mi jedną z trzech rozstajnych dróg — tę która idzie na zachód. Dotąd mam w pamięci tablicę orientacyjną z napisem: „Direction Bourgaltroff”. Nie zapomnę jej nigdy w życiu.

Jest jakaś 6-a rano, może wpół do 7-ej. Nie mam chwili czasu do stracenia. Przez sady i opłotki podciągam drużynę pod sam kościół, zostawiam ludzi w jakimś rowie i idę na wybór stanowiska. Zbocze spod kościelnego cmentarza schodzi łagodnie w dół aż do gęstego żywopłotu, a potem urywa się dość gwałtownie i zbiega spadzistymi tarasami aż do samej drogi, którąśmy rankiem przyszli. Obieram stanowiska tuż za żywopłotem, lewe — dla Szczepańskiego na samym cyplu wzgórza, bliżej miasteczka, prawe — dla Wciurka, 30 m. dalej. Trochę to co prawda daleko, i nie będę mógł głosem objąć obu stanowisk, ale trudno, nie ma innego wyboru. Nie chcę okopać stanowisk wyżej, bo pobliski kościół jest zbyt dobrym dozorem dla artylerii nieprzyjaciela, nie mogę zaś schodzić ani metra w dół, bo drzewa owocowe zasłonią mi cały horyzont. Te dwie jabłonie każę zresztą zrybać.

Oslona tu będzie znakomita, ochrona słaba, ale lepszej nie znajdę w tym rejonie. Zreszta mam być gotów

za pół godziny. Przyklękam na stanowisku, podnoszę ręce do góry i łączę obie dłonie nad hełmem — karabinowi do mnie!

Szczepański i Wciurek czekali na ten gest. Nadbiegają natychmiast, mają zresztą zadanie ułatwione, bo po drodze poprzecinałem nożycami wszystkie druty. Teraz ja z kolei obracam się frontem ku tej stronie, z której mają przyjść, i wydaję rozkaz. Zadanie, położenie i wykonanie. Rozkazodawstwo, to moja stara specjalność. Mógłbym udzielać korepetycji nawet dyplomowanym majorom.

Szczepański, oczywiście, kręci nosem na swoje stanowisko, ale każe mu milczeć. Nie od dziś drażni mnie ten rumiany rzeźnik spod Strasburga, który wszystko wie lepiej ode mnie, a nawet od dowódcy plutonu. Wciurek jest d..., ale przynajmniej karny żołnierz. Mam ja karabinowych, jechałże mnie najjaśniejszy sęk!

Drużyna jest już przy żywopłocie. Ludzie zdejmują tornistry, ściągają płaszcze i zabierają się do roboty. Tym razem nie będę się wyglupiał z kopaniem wzorowych stanowisk. To dobre na ćwiczenia pokazowe z udziałem dowódcy pułku. Wiemy, co się stało ze stanowiskami, wykopanymi wczoraj według wszelkich prawideł regulaminu. Niemcy muszą je bardzo podziwiać, to jedyny z tego pożytek! Pamiętam jak nam wbijali w głowę: a stanowisko belgijskie, a „fasolkowe”, a typu Hotchkiss... Na diabła mi te wszystkie mądrości! Rację miał ppor. Spirydowicz, kiedy mówił podczas fachowych kaemiarskich dyskusji, że my, podchorążowie z Guer, jesteśmy wszyscy za bardzo obkuci. A tymczasem sprawa jest łatwa. Trzeba po prostu powiedzieć ludziom, o co chodzi, używając przy tym jak najczęściej zaimka osobowego „mi”. (Zwyczaj używania tego zaimka przy wydawaniu rozkazów przejąłem od

podoficerów zawodowych, których nasz dowódca kompanii zawsze nam stawiał za wzór):

— Postawa pośrednia. Osadzić *mi* kaem żeby *mi* nie latał — i wkopać *mi* go, żeby *mi* go nie było widać!

O wnęki dla obsługi nie potrzebuję się bać. Kaemy siedzą w stanowiskach jak mur, ognie przygotowane, amunicja pod ręką, pierwsze taśmy wyjęte ze skrzynek. Łączność z biedką amunicyjną zapewniona. Każdy wie, gdzie jego miejsce i gdzie ma schronić głowę przed ogniem. Zatem posyłam po kawę i zabieram się do rysowania szkicu.

Horyzont, jaki mi się dostał pod dozór, jest bardzo rozległy, za szeroki na jeden ślizg. Podzieliłem go na dwa odcinki dozorcze, każdy karabin ma swój. Zresztą na horyzoncie nic się na razie nie dzieje, tylko po łąkach ryczą biedne, niewydojone krowy. Poza tym, co jest przed nami, nic właściwie nie mogę zobaczyć. Od tyłu widok zasłania mi kościół, z lewej i z prawej — gęstwina drzew i żywopłotów. Jestem z moją drużyną jakby na wyspie, oddzielonej od świata morzem bujnej i soczystej zieleni. Nie mam dotąd żadnej łączności z miasteczkiem i nie sposób stąd dostrzec, co się tam dzieje. To źle. Martwi mnie poza tym prawa strona. Karabin Wciurka, wysunięty na sam skraj naszego prawego skrzydła, powinien dostać jakąś ochronę. Choćby ze sześciu ludzi, bo drużyny na pewno mi nie dadzą.

Oddaję horyzont kapralowi Szczepańskiemu pod opiekę i schodzę w lewo w dół zasięgnąć języka u „zajaków”. Okazuje się, że do „zajaków” jest blisko — 150, 200 m. — tylko że droga trudna, przez żywopłoty, winnice i sady. Toruję sobie przejście nożycami. Na dole zastaję cały sztab 1-ej kompanii w jakiejś mурowanej zagrodzie. Jest Piątkiewicz, z którym lubimy się od czasu kiedy nasz pluton go wspiera i ubezpiecza. Jest por. Kleinbrod, który tak jeszcze niedawno mówił

mi, że zawarł pewną umowę z Opatrznością, w sprawie obrony lub oddania Paryża. Ppor. Matusik, wesół jak szczygieł, krząta się po opłotkach i rychtuje swoje erkaemy.

Żegnając się, mówię do Piątkiewicza:

— Panie kapitanie, proszę posłusznie o danie mi znać, kiedy kompania będzie się wycofywała, bo ja stamtąd nie widzę nic.

Kapitan śmieje się rubasznie:

— Nic się pan nie bój, panie podchorąży! Wyślemy gońca na czas.

To samo obiecuje mi Matusik. Poczciwy Kleinbrod ściska mi rękę i mówi:

— Jak będziemy przechodzili koło pana, sam krzyknę: „Panie Jerzy, czas!”. Może pan na mnie liczyć!

Uspokojony, wracam do swoich stanowisk. Wszystko w porządku, tylko chłopcy trochę się nudzą. Musi być dobrze po 7-ej. Niebo coraz bardziej błękitne. Słońce zaczyna prażyć. Jest wesoło, leniwie i sennie.

Ciszę przerywa Czapla. Ocykam się na odgłos pierwszej serii. Tak, to na pewno on, poznaję jego Hotchkissy po głosie. Czapla bije na przemian jednym i drugim, czasem oboma naraz. Jak się dowiedziałem potem, wytropił on ze swej góry niemiecką kolumnę maszerującą przez jakieś dalekie miasteczko.

— No uwaga, chłopcy — mówię do swoich — pan podchorąży Czapelski otworzył ogień. Przyjdzie i na nas kolej!

Klęczę przy lewym karabinie z lornetką peryskopi-czną przy oczach i długo uważnie przemierzam mój horyzont, prosząc Boga, żeby się coś i dla mnie znalazło. Od tego patrzenia oczy zachodzą mi łzami. Nie mogę patrzeć dłużej. Oddaję Szczepańskiemu lornetkę — niech obserwuje. Ja będę karabinowym.

Ogień na lewym skrzydle się wzmaga. Vis-à-vis za-

czyna się odszczekiwać. „Fritze” biją szybciej i coraz gęściej. Zupełnie inny głos niż naszych Hotchkissów. Czapla ma swoją drogą szczęście! U mnie ciągle nic. Nie chcę otwierać ognia bez potrzeby, żeby nie zdradzić stanowisk. Nie każę ładować przed czasem, bo uczono mnie, że od tego sprężyny powrotne niepotrzebnie się męczą.

Nagle słyszę głos Szczepańskiego. Przystojny rzeźnik szłołgał się z lornetą z dziesięć metrów w dół i szuka celów przez okno wyrąbane w gęstwinie drzew.

— Panie podchorąży! Idą!

— Gdzie, do cholery?

— Z tamtego lasu, o, na lewo od dużego pojedynczego drzewa! O, jeden, drugi, trzeci!

Wyteżam wzrok aż do bólu. Są, rzeczywiście, są! Spod skraju lasu, wprost przed nami, pełźnie w kierunku winnicy coś w rodzaju szarych, ostrożnych mszyc. Ćwierć sekundy na ocenę odległości.

— Celownik 800.

— 800 — odpowiada celowniczy Głowacki i jak automat ładuje taśmę wsuniętą przez Pawlaka.

— Na horyzoncie — skraj lasu. Pod lasem winnica. Cel: przejście od lasu do winnicy. Jest?

Głowacki wybałusza gały:

— Jest!

— Ogień punktowy, odryglowany. Krótka seria!

— Gotów!

— Ognia.

Seria poszła.

— Za krótka! — melduje Szczepański.

Znowu wyteżam wzrok. Mszyce znikły.

— 900! — krzyczę Głowackiemu prosto w ucho, upraszając przepisowe rozkazodawstwo. — Jak zobaczysz sk....synów wal!

Głowacki wali.

— Za długa! — krzyczy z dołu Szczepański.

„Co jest, do cholery!” — myślę sobie.

— W takim razie 850! Idę do Wciurka!

Idąc, pochylam się raczej dla przykładu, bo żywopłot kryje mnie dostatecznie. O Wciurka się nie martwię — spokojny facet. Nie otworzy ognia bez potrzeby. Odchodząc, daję mu ogniową plenipotencję. Wracam na swoje miejsce. Karabin milczy, a tymczasem ogień z tej i tamtej strony rośnie z każdą minutą. Czapla kropi z obu kaemów jak opętany. Nagle zza opłotków Marimont odzywają się Matusikowe erkaemy. Szczekają drobno, cienko, raz po raz. Ich wysoki ton wydaje mi się niepoważny. To jakby cekaemy, które przechodzą mutację. Gdzieś na łąkach trzaskają pojedyncze strzały karabinowe. Niemcy musieli podejść bliżej. Wciurek nareszcie uderzył w czynów stal.

— Puść! — mówię do Głowackiego i odsuwam go od karabinu.

Głowacki niechętnie ustępuje mi miejsca.

Tasma siedzi. Trzymam prawą ręką na uchwycie spustu, a lewą przy bębnie celownika.

Mszyce są coraz bliżej. Spostrzegam jedną, która podrywa się do skoku.

— Celownik 600.

Odryglowuję kierunek. Mszyca zrobiła skok i przypnęła za jakimś krzaczkiem.

„Czekaj durniu, ostatnia twoja godzina! Wiem, że teraz, aby mnie zmylić, przerolujesz spod krzaczka na pewno albo na lewo, albo na prawo, znam te strzeleckie kawały, i mnie tego uczyli w szkole. Potem wykonasz nowy skok. O tak!”...

Puszczam króciutką serię. Mszyca pada. Jeśli się poderwie za chwilę do skoku, to znaczy, że facet gotów. Czekam z palcem na spuście. Szczepański krzyczy jak gdybym ustrzelił zająca:

— Jest, panie podchorąży, jest!

Mszyca leży.

Głowacki, wściekły żem go odstawił od tylców, przykucnął koło mnie i czarnym paluchem wskazuje mi coraz to nowe cele:

— Oo, panie podchorąży! Tu, na lewo, pod lasem, ile ich jest! Widzi ich pan?

Widzę ich. Musieli zrozumieć, że przejście do winnicy jest dosyć niebezpieczne. Widocznie obesзли z tyłu lasem i teraz pchają się z lewa wprost na Marimont, wprost na erkaemy Matusika.

Dobrze idą kanalie. Zasłużyli na ogień poszerzany. Walę do nich serię po serii, nie szczędząc amunicji i zlekka poprawiając podnośnicą. Pawlak ładuje jak anioł. Puste skrzynki odsyłam do tyłu, na ich miejsce Szulczak i Pstrąg podsuwają mi pełne. Łączność z biedkami znakomita.

Jestem tak pogrążony w strzelaniu, że ledwo spostrzegam ppor. Trzonkowskiego, który przyszedł, a raczej przyczolgał się do nas z wizytą. Jakby dla uczczenia tego wypadku trzaska coś nagle za kościołem jak petarda.

— Oho! — mruczy Maniś — miotacze min! Zaczynają nas macać!

Puszczam Głowackiego do kaemu i cały obracam się w słuch. Strzelając sam, ledwo zdołałem zauważyć, że orkiestra, która nam przygrywa od rana, wzbogaciła się i wzmogła o nowe instrumenty. Na naszym niebie dzieją się dziwne rzeczy. Sto kilkadziesiąt sekund przelatuje nad nami pocisk niemieckiego móździerza, i całe niebo napelnia się na chwilę niesamowitym szelestem. Jest tak jakby leciała w powietrzu jakaś olbrzymia niewidzialna księga, której karty mną się i szeleszczą w locie. Trwa to przez dobrych parę sekund, a potem — trzask! gdzieś za nami i huk jak od petardy, i jakiś pla-

ski, ni to szklany, ni mosiężny brzęk, jakby ktoś zatraskiwał z furią wielkie oszklone drzwi.

— Boisz się? — ryczę do Pawlaka.

On tu z nas wszystkich najmłodszy.

— No, no, panie podchorąży! — odkrzykuje mi Pawlak i śmieje się do mnie znad swoich taśm. — Czego ta mam się bać?

Niemcy walą do nas z moździerzy coraz gęściej. Trzask rozlega się za trzaskiem, jeden głośniejszy od drugiego. Jeszcze nie umilkł brzęk, a już leci po niebie nowy kłębek piekielnego szelestu. Wybuchy pocisków słychać teraz jakby tuż za kościołem. Wyraźnie skrócili ogień.

Pierwsza, równo ucięta gałązka spada mi wprost na twarz. Znalazły nas i kaemy. Znowu rozciąga się nad nami sieć niewidzialnych strun i brzdęk, brzdęk! coraz niżej nad głową. Lecą nam na hełmy gałązki, strzępy dzikiego wina i liście, liście zielone, nie obeschłe jeszcze od rosy.

— Chować głowy! — krzyczy nagle Manius i sam przypada do ziemi.

Tym razem pocisk już nie szeleści jak tamte, ale pluszcze w powietrzu jak wiosło uderzające o wodę. Blisko, bliźiutko, tuż nad nami! Przywarty ciasno do ziemi już nie liczę, ale słyszę upływające sekundy. Trzask — prask! Lecą tysiące, miliony rozbitych szyb. Pocisk rozerwał się pod samym kościołem, 50 m. za nami.

— Boisz się? — krzyczę do Pawlaka.

— No, no, panie podchorąży! — odkrzykuje mi znowu.

Ale widzę, że przybladł.

Znowu trzask jakby jeszcze bliżej, gdzieś w obejściu kościoła.

— Wymacali nas — mówi Manius. — Pójdę zo-

baczyć co się dzieje na dole, uważaj z amunicją!

Znowu zostaję sam ze swoją drużyną, sam na swojej wyspie, otoczony zielenią i burzą.

Głowacki siedzi blady, z zaciśniętymi ustami, i kropi, kropi gdzie się tylko pokażą. Nie oderwałbyś go teraz od tyłców nawet siłą!

Nie wydaję mu żadnych rozkazów, tylko od czasu do czasu podaję celowniki.

— 600, 500, 550. Krop!

Lufa rozgrzana jak cholera. Każę ją chłodzić szmatą.

Łupią do nas z kaemów, z miotaczy min, gdzieś na lewym skrzydle strzela artyleria, rzekłbyś, że całe niebo rozpada się na dwoje przy każdym pocisku. Kropią do nas od rana, ale przecież i my nie od macochy! Bijemy do nich z tego wzgórza, ja i moja drużyna i dwa moje stare kaemy. Gadam do nich ogniem i żelazem, a z lewa, ze swojej góry przegaduje się Czapla. Wiem, że w tej chwili myśli o mnie, tak jak ja o nim, i cieszy się, że jeszcze trwam, że mnie jeszcze nie zmusili do milczenia.

Ziemia jęczy od huku, spod kościoła snuje się dym. Co za widok i jaka muzyka! Warto się było urodzić, żeby choć raz — takiego wysłuchać koncertu!

Radość rozpiera mi serce. Mógłbym płakać w tej chwili ze szczęścia i dumy, że jestem żołnierzem.

"Pers" **z Brygady Karpackiej**

JAN ERDMAN

Kiedy przyszedł do naszego plutonu, więcej było śmiechu i żartów, niż poważnej rozmowy. Dryblas uparł się walczyć za Polskę, a po polsku gadać nie umiał. Jeszcze z komendą dawał sobie radę, w kuchni też się nie pozwolił wykiwać, ale kiedy kończyła się służba, a zaczynały się najmielsze namiotowe pogwarki — „u nas w Sieradzu...” — albo „u nas w Tyśmienicy...” — leżał jak worek i słowem się nie odzywał.

— A ty skąd? — nie wytrzymał wreszcie Wacek — We Lwowie byłeś?

— Nie.

— A Stanisławów znasz?

— Nie.

Wśród leżących zaległa cisza. W pojęciu chłopców z Pokucia nieznanomość Stanisławowa świadczyła o zupełnym zacofaniu i zawstydzającym prowincjonalizmie. Dla takiego nie warto sobie gęby wietrzyć.

Ale zastępcy dowódcy plutonu nie wystarczyły lakoniczne „meldunki negatywne”. Pan podchorąży, osoba urzędowa, musi znać na pamięć personalia każdego, najbardziej nawet nikczemnego żołnierzyka.

— Kolega właściwie z jakich stron?

— Z Iranu.

— Z Iranu? Fiu-fiu! Czeka-j-no, to po naszemu — Persja?

— Dawniej nazywała się Persja, teraz Iran.

— Wiem, wiem, czytałem... Irak, czyli dawniej Mezopotamia, i Iran, czyli dawniej Persja. Właściwie po jakie лихо oni się przechrzcili? I tak głowa się kręci od wszelkich regulaminów, a tu na stare lata jeszcze geografii uczyć się trzeba. No ale Persja — co innego. Znam, pamiętam wszystko. Stolica i największe miasto — Teheran...

— Ja właśnie z Teheranu! Ładne miasto!

— Panie, panie, tylko powoli z tymi ładnymi miastami. Nim się tu przyszło, kawał świata przewędrowałem. I Budapeszt, i Győr, i Zagrzeb, i Belgrad, i Sofia, i Stambuł, i Ankara, i Bejrut — i o każdym z nich mówiło się, że to „piękne miasto”. A ja wam powiem tyle: takiego jak Kraków — nie ma na całym świecie!

— Ja Krakowa nie znam, ale Teheran toż ładne miasto.

Podchorąży Libek nie lubił się spierać z szeregowcami, więc przeszedł na inny temat.

— Dużo was przyjechało z tej Persji?

— Teraz dwóch: ja i jeszcze jeden pan. Ale kilku od nas jest już w brygadzie.

— Wyszkołenie kolega ma?

— Co takiego? Co mam? Jeszcze mi nie bardzo idzie po polsku, w Teheranie nie było z kim rozmawiać. Po rosyjsku, po persku, po francusku — owszem, skolko ugodno. Człowiek tam się urodził, zasiedział, Polski nigdy nie widział — a teraz wstyd. Domówić się nie potrafi. Ale ja się nauczę. U mnie są duże chęci. Jak zajedziemy do Polski, będę mówił jak panowie.

— Już my kolegę podciągniemy. No, a z bronią obchodzić się umiecie?

— Tak.

Maleńkiego Stefana, który tym samym transportem przyjechał z kompanii szkolnej ośrodka zapasowego, aż podrzuciło.

— Co ty tylko „tak” i „nie” kwękasz! Opowiedz

o sobie, jak cię pytają. On, panie podchorąży, jest bardzo zdolny, na broni zna się doskonale. W ośrodku był konkurs na najszybsze rozbieranie i montowanie Breny, Władek zajął pierwsze miejsce. 47 sekund! Nawet dostał dyplom od pana majora. (Władek, pokaż dyplom panu podchorążemu). I w ogóle jeśli chodzi o wyszkolenie bojowe, Władek był prymusem w kompanii. Ja — nie chwaląc się — byłem też niezły, ale Władek był lepszy. Bardzo dobry żołnierz!

— No to pięknie. A kto jest naprawdę dobrym żołnierzem, okaże się dopiero teraz...

* * *

Jakoż się okazało.

Brygadę Karpacką przetransportowano do oblężonego Tobruka. W pierwszych dniach września 1941 r. oddziały nasze były już na linii.

Z Władkiem widziałem się wtedy nie wiele. Chyba tylko przy zmianie czujki albo przy mijaniu patroli.

— Stój! Kto idzie?

— Zmiana.

— Że zmiana — to wiem, już nawet zaspaliście dwadzieścia minut, ale kto wlecze się za tobą?

— Kwaterajtis.

— Kto?

— Nie wiesz? No — Kwaterajtis, Pers.

— Ah, Pers... Tak mów od razu. Kładźcie się tutaj. Ty uważaj w prawo, Pers w lewo. Za tamtą fałdą charatają się już ze trzy kwadranse. Pewno jakiś wypad... W każdym razie — czujność i obserwacja!

— Idź spać i nie zawracaj głowy.

Ot i całe spotkanie, ot i cała rozmowa. Noc ciemna choć oko wykol. Bo w Tobruku cała praca, cała służba przypadała na noc. W dzień się spało, czyściło broń i

grało w karty, w nocy szło się na patrol, na wypad, na podsłuchy, czujki i zasadzki.

„Pers” zdobył sobie ogólną sympatię. Podchorąży go lubił, ponieważ cichutko skradał się po pustyni i miał kocie oczy. Koledzy go lubili, ponieważ nie wymigiwał się od służby. A już najbardziej zaprzyjaźnił się z Michałem, maturzystą z Nowego Targu, z którym całkiem spędzał na tajemniczej dłubaninie. Naprawili włoski c.k.m. Schwarzslosa, do zdobyczej Bredy dorobili śrubkę, założyli sygnalizację między czujką a gniazdem i wreszcie — co najważniejsze — z baniek benzynowych przygotowali komplet naczyń dla kuchni.

Szczytem współpracy polsko-„perskiej” miała być niezawodna bomba przeciwczołgowa, wykonana z puszek od konserw i pięciu zaczepnych granatów włoskich. Ale przy pierwszej próbie „cud techniki” zaczął bez najmniejszego powodu burczeć i syczeć. Władek miał tyle przytomności, że zdążył cisnąć puszkę do dolka i paść na ziemię. Uratował się, ale od tej chwili podchorąży surowo zakazał niebezpiecznej majsterki.

Przyjaciele zastąpili dłubaninę konferencjami. Władek rzeczywiście czynił olbrzymie postępy w polskim. Jeszcze robił błędy, ale zapas słów powiększył stokrotnie.

Działa grzmocą, artyleria przerzuca pociski nad pozycją, a ci siedzą w dziurze i gwarzą w najlepsze. Władek najchętniej opowiadał o Persji.

— Wiesz, Michał, tam są owoce, jakich na całym świecie szukać!

— Cóż to znowu za owoce?

— Sam nie wiem co to jest, ale pierwszorzędne. Są winogrona, maliny i takie wielkie maliny rosnące przy ziemi... Po irańsku nazywają się...

— To truskawki, bracie. U nas też tego zatrzęsienie!

— ...poza tym „persiki”, które my teraz fasujemy. I takie wielkie czerwone kule, a w środku drobne zia-

renka, smaczne, kwaskowe. I orzechy najrozmaitsze. I „aprikosy”. I „horma”. I takie brązowe bulwy, których dostaniesz za tumana...

— Sam jesteś tuman! Co mi zawracasz głowę bulwami. Jabłka u was są? Gruszki są?

— Są, ale nieosobiennyje...

— No to wszystkie te owoce możesz sobie w nos wsadzić. Lepszych owoców od jabłek i gruszek nie ma, a lepszych gruszek niż w Polsce nigdzie nie znajdziesz. U nas w sadzie były dwie winiówki...

— O gruszki nie będę się sprzeczał, ale tyle ci powiem, że perskie owce na cały świat są znane i cała Europa je kupuje.

— Skończ-że już raz ze swymi bulwami! Jeśli o to chodzi, nawet nauka mówi, że jabłka i gruszki są najlepszym owocem, bo posiadają najwięcej witamin. Więc co: z nauką chcesz wojować?

Przez chwilę w dołku panowała gniewna cisza. Amator teherańskich fruktów wyprowadził z równowagi miłośnika krajowych winiówek.

— Po wojnie to ty pewno do tych swoich bulw wrócisz?

Pytanie było podstępne, prowokacyjne. Władek sponowiał. Rzuciło go w tył, jakby dostał policzek.

— Skąd znowu! Co ty takie rzeczy! Wrócę z Brygadą Karpacką do kraju, sprowadzę matkę i wstąpię na politechnikę. Będę inżynierem.

— Widzisz, teraz mówisz rozsądnie. Będziemy studiowali razem. Albo Lwów — albo Warszawa, jeszcze się nie zdecydowałem. Ale raczej Lwów, bo w Warszawie za wielki nacisk kładą na teorię. A inżynier musi być praktyk — kapujesz?

— Pewnie! Ja też myślę, że Lwów. Duże to miasto?

— Phi, bracie — olbrzymie! Od rogatki Stryjskiej do Janowskiej. A piękne... Właśnie w sierpniu pojechałem na egzaminy wstępne...

— W jakim sierpniu?

— No, przed wojną. Mówię ci — pycha! Park Ki-
lińskiego... W Teheranie macie park?

— Jeszcze nie ma, ale będzie.

— A tu, bracie, park — cały dzień można łązić! Jak
cały Teheran!

— A ludności we Lwowie wiele?

— Przeszło trzysta tysięcy.

— No, to Teheran ma więcej niż pół miliona.

Michał umilkł speszony. Pół miliona? Na to nie był
przygotowany.

— Ale — wtrącił pojednawczo Władek — mimo to
Lwów jest na pewno ładniejszy od Teheranu. To samo
mówiła nam nauczycielka z konsulatu. Wiesz, zrobić
tak: jak pojedziemy z frontu na odpoczynek, wezmę
urlop i pojedę do Teheranu, do matki. A po skończo-
nej wojnie — przeniosę się na stałe do Polski. Ot co?

Na tym stanęło, i na to zgodzili się obaj przyjaciele.
Na wyprawę z Tobruku do Teheranu „Pers” uzbierał
już 8 funtów.

— Licz na mnie, Władek: dam ci swoje dwa „ka-
sztany”. Nie kręć nosem! Zawsze to stąd kawał drogi:
jakieś dwa i pół tysiąca kilometrów. Pieniądze się przy-
dadzą.

* * *

W listopadzie pogoda zaczęła się psuć. Chmury,
deszcze, zimno. Korzystając z ciemności, Włosi nabrali
animuszu i od czasu do czasu zaczęli obwąchać patro-
lami nasze pozycje.

Zarządzono zasadzkę.

— Pójdzie Bocheński i pięciu ludzi. Kąt 280. Przy
rozbitym czołgu zapaść i czekać. Gdy się pokaże nie-
wielka grupa — podpuścić i wystrzelić z bliska, przy
większym oddziale — otworzyć od razu ogień i wyco-

fać się. Dobrze byłoby wziąć jeńca. A zresztą — nie brawurować, zachować maksymalną ostrożność. Przetyczki do min macie?

Miny przyczyniały nam więcej kłopotu, niż cała ta strzelanina, i całe to włoskie wojsko. Ale po dwumiesięcznym pobycie na froncie znaleźmy miny jak własne zapalniczki. Zrywowa, pedałow, naciskowa, szrapnelowa — wszystko furda! Rozbrajało się na pamięć, po omacku.

Patrol wdział gumowe buty i przepisowe kombinezony. Podchorążowie zabrali automatyczne Thompsony, reszta — zwykłe karabiny.

Weszli w ciemność. Pierwsze kroki najgorsze. Nic nie widać, a trzeba przedostać się przez płataninę drutów i odnaleźć wąską ścieżynkę, we własnym polu minowym.

Teraz można się rozwinąć.

— Pójdziemy tyralierą 250 m. Libek liczy kroki. Sprawdzić broń. Powtarzać moje ruchy. Idziemy!

Bocheński z kompasem w rękę z przodu, reszta tworzy wachlarz. Co 10 - 20 m. padają na ziemię: nieprzyjacieli boi się, oświetla przedpole rakietami. Rakiet spadają na ziemię, tli się — już można wstawać, iść dalej. Słuch napięty, usta półotwarte, broń w pogotowiu.

Czasem ktoś wejdzie na krzak lub zgniecie pustą muszelkę. Trzeba się zatrzymać, położyć, przeczekać. A nuż nieprzyjacieli w pobliżu... A potem znowu krok za krokiem, wolno, uważnie, z zastanowieniem.

Podchorąży daje znak. Nachyla się ku najbliższemu.

— 250 m. Do czołgu jeszcze 50, do nieprzyjaciela 100. Pójdę sprawdzić, czy Italianie nie przyszedli pod czołg wcześniej i czy już na nas nie czekają. Gdyby coś, macie mnie ubezpieczyć.

Rozkaz przepływa po linii. Rozłożyli się, gotowi do strzału. Bocheński zniknął; jeszcze przez pewien czas słyszeć ruchy czołgającego się człowieka. W świetle rakie-

ty rozbity czołg wydaje się większy, groźniejszy, niż z naszego gniazda.

Cisza. Gdzieś ze skrzydła gdacze karabin maszynowy. Ale nie do nas, nie w naszą stronę. Adolf musi już być przy czołgu. Cisza jest dobrą zapowiedzią.

Zbliża się. Już na 20 m. można go rozpoznać po pałakowatym grzbiecie.

— W porządku, nikogo nie ma. Ustawić się w gęsiego i marsz za mną. Uważać na miny: trzy rozbroilem po drodze.

Odwraca się, pełźnie. W całym baonie nikt tak nie chodzi na czworakach, jak Bocheński. Jak pies. Gdyby były zawody, wygrałby bezkonkurencyjnie. Wprawa! Kto ma za sobą tyle patroli...

Reszta rusza — na razie nie gęsim szykiem, tylko „lejkkiem”. Niedobrze; przecież tylko droga oczyszczona przez przodownika jest bezpieczna. Ale ostatecznie — każdy i tak maca przed sobą ziemię.

Największy kłopot z karabinem. Czołgając się, trzeba mieć obie ręce wolne dla badania terenu. Zawiesić karabin na szyi — nie będzie gotów do strzału. Włóczyć go za sobą — hałas. Przez dwa miesiące Tobruku nie rozwiązaaliśmy tego zagadnienia — i nie rozwiążemy go nigdy.

Władek stosuje system najprostszy: posuwa karabin prawą ręką, a lewą dotyka ziemi. Szybko, systematycznie obszukuje zbity deszczami piach i suche słonorostry. Taka mina wystaje z ziemi 2 — 3 cm., czasem nawet mniej. Ile razy zeschnięty korzeń przypomina wąsy zapalnika!

Władek zbliża się do grupy. Czołg już blisko. Jeszcze 20 kroków, jeszcze 10...

Suchy trzask, potem wybuch. Płasko, płąciutko, przy samej ziemi. Głowę wtulić, przeczekać. Oczywiście, zaraz odezwią się Włosi. Trzy, nie — cztery Bredy. Spandau od razu się zadławił.

Jęk. Wzdech...

— Ratuń mnie pan... panie podchorąży!

Sieją z k.m.-ów po krzakach. Jeszcze trzeba czekać. Teraz podczołgać się.

— Szwagiel! Jasiek! Co ci?

— Oddychać nie mogę. Ratuń mnie pan. Wody!

Pierś zakrwawiona. Trzeba go odnieść do gniazda.

— Pójdziemy z nim, Walkowicz. Z powrotem, do chalupy.

— Panie podchorąży, w głowie mi się kręci. Dostałem odłamkiem, jestem ranny.

— Ładna historia! Kto jeszcze? Liszka zdrów?

— Zdrów, tylko rękę mi skaleczyło.

— A Libek?

— Całe siedzenie we krwi. Też wycelowali... Aż wstyd się przyznać. Ale iść mogę.

— To szrapnelówka. Trudno, ranni niech wracają. Szwagla zanieś Kwaterajtis.

Ale Kwaterajtis nie przychodzi.

— Pers, chodź tu do cholery! Schował się i lba boi się wystawić. Popatrz: przenoszą, strzelają na Bielany.

Ale Kwaterajtis nie daje się przekonać, milczy.

— Władek, co z tobą?...

Rozpełzli się, szukają. Jest, leży nieruchomo. Cała pierś, cały bok rozerwany. Przed nim niewielka jamka: tu siedziała mina. Szrapnelowa, najgorsza. Wyskakuje na metr w powietrze, pęka w górze i razi odłamkami w promieniu kilkudziesięciu metrów.

Władek musiał dotknąć jej karabinem. Cały wybuch w niego poszedł. Nawet nie pisnął.

Władysław Kwaterajtis pogrzebany jest na cmentarzu w Tobruku. Przy badaniu dokumentów okazało się, że był on najmłodszym żołnierzem baonu: nie miał jeszcze 18 lat.

I wyszła na jaw rzecz druga: jak lubiany był

„Pers” przez kolegów. Dowiedziawszy się, że był jedynakiem, baon sięgnął po radę do głowy. Z ziemianki do ziemianki krążyła lista. Z żołnierskiego żołdu zebrano sumę nie byle jaką: 350 funtów.

Głupia to rzecz pieniądze w zestawieniu ze stratą syna, ale chodzi przecież o symbol. Symbol sympatii i koleżeństwa Brygady Karpackiej.

Może staruszcze będzie trochę lżej.

Teheran, w październiku 1942.

Jak spaliliśmy włoską wieżę obserwacyjną

ADOLF BOCHENSKI

Myśl dokonania tego wyczynu, który znajdzie może kiedyś miejsce w dziejach humorystycznych armii włoskiej — zrodziła się dość niespodzianie.

Było to na patrolu. Skład: 1 i 3. Wśród tych trzech był jeden podchorąży praktykant. Przypominam, że praktykanci są bardzo mile widziani na pierwszej linii, gdyż zwiastują odlot, choć z reguły są niezaprowiantowani i jedzą za dwóch. Drugi był żołnierzem Legii Cudzoziemskiej, jednym z tych wspaniałych żołnierzy Polaków z Francji — przy tym genialny kucharz i znawca przekleństw we wszystkich możliwych narzeczach, co mu daje możliwość łatwego rozpoznawania, jakie wojsko w danej chwili znajduje się przed nami.

Dłużej jednak musimy zająć się trzecim, strzelcem J., jako że stanowi główną osobę tego opowiadania. Przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że urodził się i zamieszkiwał do r. 1939 w Raclawicach, pow. Miechów. Pomimo tak znakomitej przynależności geograficzno-wojskowej, aż od przyjazdu do Tobruku nie okazywał żadnego zamilowania do wojskowości koszarowej. Około 3/4 czasu przebywał we wszystkich możliwych szpitalach na Środkowym Wschodzie, chorując na wszystkie możliwe choroby poczynawszy od oczu a skończywszy na żylakach. Poza tym miał dość ostry zatarg z szefem kompanii na temat mulów. Strzelec J., który kierował samochodem, absolutnie nie chciał obsługiwać tego zwie-

rzęcia jucznego i nawet sławna koncepcja „zniekształcania mułów” w celu opl. nie trafiała mu do przekonania. Zasłaniał się żyłakami, spał do dziewiątej i nie chciał słyszeć o mułach.

Jako surowy sierżant „made in Agami” patrzyłem się więc na niego dość krzywym okiem, dopóki nie dowiedziałem się, że pochodzi z Raclawic, co ze względów historycznych z lekka zmieniło mój stosunek.

Po przyjeździe do Tobruku strzelec J. przeszedł jednak zupełną przemianę, która zrobiła z niego wkrótce jednego z najbardziej bojowych żołnierzy kompanii.

Przyznaję, że idąc na ten patrol miałem lekkiego stracha. Zadanie było dość trudne i w tamtych stronach byłem już kilkakrotnie solidnie ostrzeliwany przez najrozmaitsze Bredy, Fiaty i Schwarzlose. Niepokój przejawiał się w ten sposób, że wychodząc ze swoich pozycji przez jakie dwa km. szedłem z wszystkimi możliwymi ostrożnościami, zwłaszcza żołnierz z Legii szedł poprostu jak kot. Gdy jednak zaczęliśmy podchodzić bliżej npla, wrodzona fantazja poczęła brać górę i zachowywaliśmy się z właściwą mi hałaśliwością, która stanowi przedmiot rozpaczy żołnierzy całej kompanii oraz d-cy plutonu.

Gdzie prowadziło nas zadanie tego patrolu, z wiadomych względów podać nie mogę. Czytelnicy orientują się zapewne, w jakim rejonie leżą zazwyczaj wieże obserwacji artyleryjskiej npla. Na miejsce przeznaczenia udało nam się szczęśliwie dotrzeć mimo czujnych posterunków włoskich. Po zdjęciu przez praktykanta nieskończonej ilości kątów kierunkowych, chciałem już nakazać odwrót, rzuciwszy ostatnie pożegnalne spojrzenia na stanowiska npla. Dostrzegłem wówczas jakąś podejrzaną postać, stojącą o około 200 m. od nas w kierunku południowym. Początkowo przywarliśmy do ziemi — jako patrol rozpoznawczy, a nie bojowy. Po chwili jednak odczułem wyrzuty sumienia i przypomniałem so-

bie nauki naszego kapitana, aby „likwidować drobne patrole npla”, wobec czego nakazałem natarcie. Bagnetu na broń nie potrzebowałem dawać, gdyż australijskim zwyczajem wogóle bagnetów z broni w żadnych okolicznościach nie zdejmujemy.

Sława Hannibala od młodości nie dawała mi spać, więc chciałem tak przeprowadzić mój manewr, jak i ów bitwę pod Cannami. Ja obchodziłem npla z lewej strony, legionista trzymał centrum, a J. i praktykant stanowili prawe skrzydło. Po chwili stwierdziliśmy jednak że nieprzyjaciół zachowuje się dziwnie nieruchomo, pomimo naszego zbliżania się, i odznacza się ogromnym wzrostem. Wreszcie okazało się, że nie jest to człowiek, ale wieża włoskiej obserwacji artyleryjskiej. Wieża ta była drewniana, ale wyposażona w pręty żelazne, solidniejsze niż przypuszczaliśmy. Pierwszą myśl, by ją spalić miał strzelec J. Uznałem ją jednak wówczas za szaleństwo i zarządziłem odwrót.

Człowiek inaczej patrzy na świat w noc bezksiężycową i w odległości 5 km. od własnych stanowisk a inaczej po powrocie do schronu. Prędko więc zdecydowałem się na powrót do wieży i spalenie jej, na co z entuzjazmem zgodził się strzelec J.

Plan polegał na zapaleniu wieży zapomocą 10-metrowego lontu, który umożliwiłby nam przebiegnięcie przed właściwym pożarem około kilometra. Cały dzień zużytkowaliśmy na kompletowaniu materiałów palnych takich jak lont, ładunki z prochem, benzyna, szmaty itp. Wszystko razem stanowiło pokaźny tobiół. Ambicją naszą było, by skompletować nasz arsenał wyłącznie z materiałów włoskich. Ostatecznie angielską była jedna tylko z manierek z benzyną, do której uprzednio wpadła mysz.

Wyruszyliśmy — jak tylko ściemniało. Strzelec J. niósł tobiół z paliwem i Thompsona. Ja niosłem kb. bagnetem, busolę i w ręku drogocenny zwój lontu, po-

krajany według wskazówek saperów „tak jak kielbasa”. Byliśmy żegnani z pewnym patosem przez nasz pluton oraz przez część zaprzyjaźnionego z naszym.

Tymczasem nasz d-ca, sympatyczny człowiek i odważny w ogniu, po naszym wyruszeniu, wysłał do d-cy kompanii telefoniczny meldunek mniej więcej takiej treści: „podchorąży B. i strzelec J. udali się w nieznanym celu w kierunku npla., zaopatrzeni w dużą ilość materiałów wybuchowych, łatwo zapalnych i żrących”. Wiadomość ta wywołała pewien popłoch w poczcie kompanii i spędziła sen z jego powiek.

„Gwiazdami miał drogę znaczoną po stepie,
I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie
Błądzący po stepie zaufał w sztylęcie
Bo sztylet mu dała dziewczica...”.

Ta zwrotka kołatała mi po głowie gdy zapuszczałem się w pustynię. Prawdą było to co w niej poeta mówi o błądzeniu i prawdą to co o gwiazdach, zwłaszcza, że gwiazdy w nocy zazwyczaj widać, a cyfr na busoli angielskiej absolutnie zobaczyć nie można. Zamiast sztyletu miałem pistolet i nie dała mi go żadna dziewczica, ale strzelec Szymała. Niestety tym razem ze względu na ścisły kąt kierunkowy, dany mi przez Anglików, postanowiłem orientować się przy pomocy busoli. Musiałem liczyć kroki, aby obliczać odległości i do tego przystawać co 500 kroków i sprawdzać kąt. Nota bene to liczenie kroków jest nieznośnym utrudnieniem służby patrolowej i na następną kampanię — jeśli Bóg da doczekać — zamierzam zaopatrzyć się w krokomierz fosforyzowany. Lont niosłem w rękę. Przez chwilę przeszło mi przez głowę, aby zabezpieczyć go zakładając na ramię, ale po chwili zrezygnowałem z tego.

Na 1500 m. od stanowiska położyłem się na piasku i zacząłem manipulować busolą, celem poprawienia kie-

runku. Wychodziło, że mamy iść na „Łucznika”, co mnie specjalnie ucieszyło, gdyż mam słabość do tej konstelacji. Kilkaset kroków dalej z największym przeżeniem zauważyłem że czegoś mi brakuje. Oczywiście okazało się, że to jest lont, który w czasie ostatniego postoju zostawiłem na krzaczku. Co gorzej zapomniałem, ile kroków naliczyłem od tych 1500 m. Rozpoczęliśmy odwrót celem odnalezienia lontu. Szukaliśmy go jak wariaci przez przeszło godzinę w tę ciemną noc. W końcu ręce nam opadły i stanęła jak widmo przed nami potworna perspektywa powrotu z niczym do domu i zameldowania plutonowi, że zgubiliśmy lont. Do tego mój towarzysz oświadczył zdecydowanym głosem, że bezwzględnie wracamy, gdyż palenie zapalnikami w odległości 100 m. od linii włoskiej jest szaleństwem. Byłem tym zrozpaczony, co widząc mój towarzysz proponował, by podsunąć się jeszcze dalej pod nplą, oddać tam kilka serii z Thompsona i powrócić opowiadając, że napotkaliśmy patrol italski i po walce wycofaliśmy się na z góry upatrzone stanowiska. Przez chwilę pomyślałem, że trzeba się uchwycić tej koncepcji i że w międzyczasie mój towarzysz zmieni zdanie. Celem ułatwienia mu tej zmiany wziąłem na swoje barki tobół z paliwem. Istotnie po przejściu nowego kilometra oświadczyłem stanowczo, że decyduję się iść sam, na co J. powiedział, że również idzie. Przyznaję, że zdębiałem i zimno mi przeszło przez kręgosłup na myśl, że mogę być odpowiedzialny za życie tego człowieka. Szliśmy dalej w milczeniu niezupełnie pewni, czy ostatecznie będziemy palić tę wieżę. W każdym razie postanowiliśmy dojść do niej.

I wszystko byłoby się skończyło na parogodzinny błądzeniu po pustyni, gdyż te dyskusje zagmatwały nam kwestię kątów kierunkowych i „Łucznik” przesunął się daleko na zachód. W czasie błądzenia wychodziliśmy kilka razy na pole minowe włoskie. Skręcaliśmy

na prawo i na lewo i znowu na prawo. Zdawało się, że trzeba będzie dać spokój z tym wszystkim kiedy nagle wieża zamajaczyła w naszym sąsiedztwie.

Teraz już nie mieliśmy wątpliwości, że trzeba ją podpalić. Tu J. wykonał wielką część roboty a ja ograniczyłem się do pocierania słupów benzyną i oblewania szmat naftą. Włosi milczeli tymczasem jak ryby, noc była ciemna choć oko wykol, w oddali słychać było tylko szczekanie psów. Nadeszła chwila decydująca, kiedy trzeba było wydobyć zapalki i podpalić proch, od którego miały się zająć szmaty i cała wieża. Stanąłem więc w pozycji okracznej, do strony npla zasłaniając ogień zapalek od czujki włoskiej. J. wyciągnął pudełko i w ciągu kwadransa zapalał 10 zapalek, które szybko gasły. Wreszcie płomień chwycił proch. My w jednej chwili za karabiny i w nogi, a dookoła zrobiło się jasno jak w dzień, gdyż wieża w parę sekund stanęła w płomieniach.

Pierwszy strzał padł, gdyśmy byli 10 kroków od wieży i zaraz z trzech stron odezwała się linia włoska. Włosi mają zwyczaj strzelać w nocy przeważnie nabojami świetlnymi, tak że przed nami roztoczyło się coś w rodzaju niesamowitego fajerwerku. Według obliczeń angielskiej obserwacji artyleryjskiej strzelało około 50 włoskich broni maszynowych i wystrzelało razem ok. 20.000 naboji. Przypuszczam, że koszt tych naboji przenosił to co dotąd wybraliśmy obaj z J. jako żołd i suchy prowiant od początku naszej służby wojskowej tzn. od września 1939 r. Poza tym strzelały „skorpiony” czyli 45 mm. moździerz włoskie, duże moździerze włoskie i wreszcie działka ppanc Breda. Te ostatnie były najgorsze. Strzelają bowiem świetlnymi pociskami o torze niesłychanie płaskim, tak że pocisk leci nad samą ziemią. Wygląda to jak gdyby posuwał się bardzo powoli naprzód, odbijając się często od ziemi.

Przypomina niesamowitą świetlną torpedę. Czasem chciałoby się uchylić i tak uniknąć zderzenia z Bredą, czasem chwycić i nie puścić dalej.

Obawiam się, że nasz los byłby mniej więcej przypieczętowany, gdyż przez pierwszy okres naszego odwrotu było jasno jak w dzień. Na szczęście broń masynowa włoska — z wyjątkiem może rkm. Breda stanowi graty, które mają zwyczaj psuć się i stawać co chwila, poza tym trzeba wymieniać taśmy itp. Co pewien czas zdarzały się krótsze lub dłuższe przerwy w ogniu, które umożliwiały nam skoki. W pewnej chwili zauważyłem niespokojnie, że mój towarzysz wali się na ziemię, zadzierając literalnie nogi do góry i myślałem, że już po nim. W każdym razie z przyjemnością, stwierdziłem, że jego żylaki uległy gruntownemu wyleczeniu i przypuszczam, że nawet dca mej kompanii, który jest rekordowym, europejskiej sławy biegaczem, nie mógłby mu darować. W tych warunkach nie było mowy o badaniu busoli i przyznaję, że zupełnie o tym zapomniałem. Ale gwiazdy oddały mi usługę, gdyż stwierdziłem, że „Kassiopea” znajduje się na lewo od nas tzn., że mój towarzysz w błyskawicznym tempie zbliża się do prawego skrzydła pozycji włoskich. Cudem udało mi się go wstrzymać i wziąć właściwy kierunek na „Łabędzia”. Dalej bez wielu incydentów dotarliśmy do własnych pozycji, wytrzymawszy po drodze idealnie nieszkodliwy ogień artylerii włoskiej.

Na drugi dzień rano po wstaniu z wielkim trudem z tego, co optymista nazywa łóżkiem, a pesymista mądejoyem łóżem — stwierdziłem z obolałymi kolanami, że na miejscu, gdzie stała wieża, widnieją tylko rusztowania z prętów żelaznych.

Cóż poza tym? Dla miłośników tradycji wojskowej będzie rzeczą miłą dowiedzieć się, że w pierwszej promocji Krzyżów Walecznych w Brygadzie znalazł się żołnierz, który pochodzi z Racławic.

Z w y c i ę z c a

ZOFIA ŻYTYŃSKA

Odelga przekręcił głowę lekko w bok i spojrzał na leżącego obok Jaśka Biele. Aż włosy zjeżyły mu się na głowie od tego spojrzenia, jak gdyby dopiero teraz, nagle, wszystko zrozumiał i wszystko do głębi zobaczył.

— O Jezu, Jasiek! — Ale skurcz chwycił go za krtani i słowa ugrzęzły w gardle wół rozpaczliwego szeptu. Franek poczuł, jak krople potu pokrywają mu ciało i spływają z czoła lepкими strugami. Ciężar winy przytłaczał jeszcze bardziej, jeszcze niżej do rozpalonej ziemi. Zdało mu się, że chyba nie wytrzyma dłużej, że lada chwila ciało poderwie się samo i nie on, ale usta, jakby już nie do niego należące, krzykną prosto w ciężkie od stłumionego jęku powietrze: to ja! to ja!

W ostatecznym wysiłku podniósł oczy w stronę, gdzie pola i łąki podnosiły się faliście ku góróm i pełzły ukosem długimi zagonami aż po skraj lasu. W jego sinej prędze, zamykającej zewsząd widnokrąg było jakby wsparcie. Szła od niego jakby siła i ukojenie, jakby moc większa od męki ciała i gorszej stokroć męki myśli.

Ha cóż! Oczami do lasu nie dolećisz, a oni, choć może i wiedzą, nie wyjdą i nie rzucają się słabo uzbrojoną kupą ludzi na niemieckie pancerne auta i na żandar mów zewsząd otaczających chałupy. Bo i po cóż by szli? Żeby wszyscy wyginęli za jednego, zamiast, by jeden zginął za wszystkich? Tylko, że nie o zwykłą śmierć tu chodziło, a o mękę, i nie na śmierć trzeba się

było sposobić, a na wytrzymanie najgorszego, co można sobie wyobrazić. I nawet nie własne męki wydawały się Odeldze najstraszniejsze, lecz to, że mu niechybnie przyjdzie przeczekać, jak niejeden kamrat ze wsi, niejeden sąsiad i towarzysz przed nim i za niego pójdą na tortury, jak ich Niemcy będą szarpać prawie na jego oczach. Najstraszniejsze było to, że tylko on, on jeden może odjąć od nich, zmienić ich los. Ale nie tylko ich dola od niego zależała, i nawet nie jego własne bezpieczeństwo wymagało ich ofiary, bo go i tak jego kolej niechybnie nie minie. Trza mu milczeć za tamtych z lasu, za własny honor, za sprawę.

Ha cóż! Gdyby tylko na nim spoczywał ciężar tego milczenia! Ale przecie sam sprawił, że może popaść teraz w niemieckie łapy nie jak tamci, wedle listy, na której był ponad wszelką wątpliwość, ale jako ten, który brał udział w zamachu, jako ten, który wie o innych, wie od kogo i przez kogo przyszedł nakaz. Nie było się co ludzić, wtedy mu zgotują inne męki, skuteczniejsze dla złamania oporu, wymyślniejsze, okrutniejsze niż innym. Od jednego Jaśkowego słowa zależy, by Niemcy przestali męczyć niewiedzących i dostali w ręce jego, sprawcę, jego — skazańca.

Odelga wbił kulaki w wyschnięte usta. Bokiem, chyłkiem spojrzał znów na Bielę. Od tamtego, leżącego o dwa, trzy kroki zaledwie ciała szedł na niego jakby podrywający prąd. Nie było widać twarzy Bieli. Trzymał ją ukrytą na skrzyżowanych rękach i tylko lekki, prawie niewyczuwalny podmuch wiatru rozdmuchiwał bujne pasma jasnych jak len włosów. Niesposób było wymiarkować, co tamten myśli, co zamierza. Jak żywy stanął przed oczami Odelgi ten wieczór, kiedy szli po spole z Jaśkiem drogą na Rudniki na jego kawalerską pohulanekę. Ten przeklęty wieczór jego, Frankowej słabości. Teraz już łatwo było osądzić, że to myśl o We-

ronce do cna go wtedy pozbawiła rozumu, że go do tej głupoty popchnął ból, którego się wyzbyć nie umiał, który nim do reszty owładnął, gdy idąc przy Bieli drogą przez wieś, szedł wraz drogą do jej, Weronki, ostatecznego utracenia. Boć to przecież wtedy, za dzień, Weronka miała stać się Jaśkową żoną, miała się hucznie sprowadzić do Jaśkowej chałupy, lec pod Jaśkową pierzyną.

Ano cóż! Weronka była dziewczyna jak się patrzy, gospodarska córka, jedynaczka. Dziesięć morgów i chałupa jak pałac, za wodą, a i te grunta, co jej po ciotce z Brzezia przypadały. Że się czasowo gniotła ze starymi w jednej izbie u Paczuchy, to przecie tylko dlatego, że Niemcy ich dom na kwaterę dla posterunku zabrali. Ale po wojnie, ho, ho, będzie z niej pierwsza we wsi gospodyni. A on co? Morg takiej ziemi, że i na kamieniu prędzej obrodzi, chuda szkapa w stajni i tyle. A że mu się właśnie tej Weronki jak niczego na świecie zachciewało, to już była tylko jego własna, chłopska głupota. I tylko jego głupota była, że uwierzył, jakoby się jej lepiej od innych widział, po tych dwu czy trzech nocach wiosennych, kiedy się z nim na sianie wylegiwała, cała aż spocona od miłosnych uścisków. Widział się on jej może i lepiej, oberwanie i włóczęga, od statecznego gospodarskiego syna, widział się lepiej, jeno nie do ślubu. Nie była ona głupia, ta Weronka. Porządne, murywane obejście u tego Jaśka Bieli, warsztat jak mała fabryka, a i ubranie miastowe, brązowe w kratkę i kaszkieł nowiuteńki, na bakier czupryny przyodziany. Będzie se pani.

To wtedy zazdrość zakotłowała w sercu, zadławiła rozsądek i chociaż z tym Jaśkiem byli sąsiedzi, choć od małego razem ganiali, w mieście bywali po społu a i teraz, z nawyku chyba, jeszcze się trochę trzymali kupy, zachciało się Frankowi czymś tamtemu zaimpono-

wać, coś ważkiego przeciwstawić jego powodzeniu, jego ośmiomorgowej gospodarce, jego ubraniu w niebieską kratkę. Kto go wi, może on go i na kpiny tylko na to wesele zaprosił, by się sobie samemu jeszcze większym wydać przy jego, Franka, małości. A ot i pokazać mu, cholerze, że nie taka ta małość, że nie taki on, jakby się zdało, nieważny i byle kto.

Byłby jeszcze strzymał, zbyt świadom, do czego mogłyby doprowadzić takie przechwałki, byłby pary z gęby nie puścił, ale tego wieczora wszystko obróciło się przeciw niemu. Za wodą, krzepko osadzone w ziemi, świeciło w księżycu obejście Weronki, teraz zajęte przez żandarmów. Mimo woli obaj przystanęli.

— Ładne wiano, co? — odezwał się Biela, ogarniając zagrodę rozmiłowanymi oczami. Franka aż ścisnęło za serce. Już mieli ruszyć dalej, kiedy zabłysło światło u Króla i przez nieosłoniętą niczym szybę zobaczyli wysoką postać w granatowym, policyjnym mundurze, z wypiętym do przodu, wypasionym na niemieckim maśle i polskiej krzywdzie brzuchem.

Złość załala krwią mózg Odelgi. Złość na kratkowane ubranie Jaśka, na jego butną minę, na tę cholerę Weronkę z okrągłym jak u młodej klaczy tyłkiem i tę spacerującą w oświetlonym oknie polską świnię na niemieckich usługach. Chodzi se i nawet okna nie przesłonił, zaraza, a od wsiowych ludzi za najmniejszą szparkę, za promyk światła przez dziurkę w papierze kary pobiera. A już do biedniejszych, najbiedniejszych chłopów to ma szczególne upodobanie. Z gęby im pieśniadze wydzierają, kryminałem straszy, rewolwerem nad głowami wygraża. Kotłowała się w Odeldzie złość, cisnęła do gardła kwaśnym fermentem obelżywych słów. Jeszcze byłby się wstrzymał od gadania, byłby wściekłość w sobie zdusił, lecz nagle wspomniął, jak to Jasiak na fabryce z inżynierem rajcował, wódkę z nim i

z Królem nieraz w sklepie spółdzielczym pijał, a potem z fabryki obstalunki co lepsze na robotę dostawał z krzywdą dla innych chałupników. A z policjantem w handelek się zabawiał, jako że droga była najpewniejsza. Wplątały się te wspominki w myśli jak ostatnia kropla goryczy i przeważyły szalę wytrzymałości.

— Chodzi se, tuczony pies — szepnął zaciekle — niech se chodzi, niedługo już jego chodzenia!

— Ty co, Franek! — przeraził się Biela i aż przystanął w wysrebrzonym mroku drogi.

— Ano nic, tak se ino mówię, co myślę...

— Do resztyś zdurniał, czy co? — oburzył się tamten. — Niech jemu tylko jeden włos z głowy spadnie, to Niemcy całą wieś wytluką. Zresztą, co on winien? Na służbie jest, to i co ma robić? On jeden, a tych zielonych ilu, no?

— Głupstw byś nie gadał — odwarknął! Odelga. — Kanalia jest i będzie wisiał jak wszystkie kanalie.

— Ludzie! Czyście wy rozum potracili? — zająknął się Biela. — Toż dopiero co w Maciejówce pięćdziesięciu chłopów poszło za jednego niemieckiego żandarma, a wy takie samo nieszczęście na wieś chcecie sprowadzić!

— A może nie, co? Lepiej cicho siedzieć, na wszystkie świństwa do woli im pozwalając, by ludzie nawet zapomnieli, że są co więcej niż bydłota! Wam ino ważne, by się najeść i wyspać spokojnie, a resztę szlag może trafić, nie wasza rzecz, prawda?

— Toż nie mówię — zachnął się Biela — ale przecie nie czas i nie pora po temu. Jak się chce Niemca bić, trza mieć siłę, jak nie jemu równą, to choć taką, by coś ze skutkiem zrobić było można, a nie tylko nieszczęście na ludzi sprowadzać, a samym do lasu uciekać. Tyś widzę taki sam mądry, pewnieś się z nimi zwąchał na własną i cudzą zatrutę. Oj, będziecie wy jeszcze przede wsią za krzywdy odpowiadać, będziecie!

— Stul pysk! — rzucił się Odelga. — Nie wiadomo, kto większą krzywdę narodowi robi, taki, co Szwabów rżnie z narażeniem własnego życia, choć i siły dostatecznej i oparcia nie ma, czy taki, co się na handlu z nimi bogaci i wódkę chleje...

Biela skoczył jak oparzony.

— Kto z Niemcami pił? Może ja?!

— A pewno, że ty — odpowiedział Franek z flegmą i zaraz się nieco odsunął, bo tamten aż przystanął na drodze i skurczył się w sobie jak do skoku.

— Król nie jest żaden Niemiec! — wrzasnął, aż się echo poniosło po stromych zboczach przysiółka.

— A pewno, ino jeszcze gorsza kanalia, Niemiec, to jeszcze wyrozumieć można. Ale żeby taka polska świnia swojej własnej, ojcowskiej wsi nie przepuściła, żeby własnych braci rodzonych na śmierć skazywała! A przez kogo zabrali Helę ze sklepu? A kto doniósł, że stary Malinowski pomaga sierotom po zamordowanym Bugaju?

— A skąd wiesz, że on? — z głupia frant zapytał Biela.

— Skąd? My już wszystko wimy — zaperzył się Odelga i dopiero wtedy to „my” zabrzmiało w ciszy nocnej jak groźne przypomnienie, jak nawołujący do opamiętania się głos. Ale już było za późno.

— Wy się dopiero dowiecie — rzucił ponuro Biela. — Dowiecie się, jak nam Niemcy wieś wyrzną, a jeszcze może i chałupy z dymem puszczą.

— Ano dowimy się — mruknął Franek, zwieszając głowę. — A i wy się jeszcze dowiecie.

I wtedy odczuł znów, choć już inaczej, szczególne brzmienie tego „my” i „wy” we własnych ustach i zamilknął, przytłoczony do reszty.

Ano cóż, tak i było. Byli we wsi oni, choć nieliczni, czterech wszystkiego, boć większość przecie siedziała w

lesie, w oddziałach, i tamci, którzy ino żeby brzuch napasć, napaskować, a w sobotę po robocie gębę bim-brem zalać tak, by przez całą niedzielę nie zdążył wy-parować. Ano było. Czemu? Małoż to się on, Franek, nad tym nagłowił? Małoż to się w lesie nasłuchał, że lu-dzi trza do rozumu przyprowadzać, że źle jest z pol-ską wsią, bo się nijak kupy nie trzyma, bo sami miej-scowi ludzie Niemcom robotę ułatwiają, donoszą, roz-powiadają co, gdzie i jak. Że ci, co we wsiach siedzą, równie trudne mają zadania, a może i trudniejsze niż krwawa partyzancka robota, bo społeczne, bo ludzi na dobrą drogę nawracające. Że musi wieś razem stanąć, bo ino razem i swojej i polskiej sprawy obroni. A tymcza-sem daleko, bardzo daleko było do jakiejś chłopskiej, czy polskiej wspólnoty. Chłopi co bogatsi, co więksi, zamiast ze swoimi, choć biedniejszymi trzymać, z Niemcami przeciw nim idą i gnębić pomagają, byle swe-go obronić. A i w lesie nie wszystko było w porządku, było się czemu dziwować i nad czym rozpaczać. Toż w Chęcinach, trzeciej stąd wsi, nie Niemcy ubili kowala Mrocza, ludowca i dobrego Polaka, a swoi, i to nie wsiowi, a leśni, żołnierze. A w myśłowskim lesie nie kto inny, a oni Niemców na oddział naprowadzili, jak-by dwie były Polski i dwie walki — dwie różne i nie-nawistne sobie sprawy. Ha cóż! Nie na jego to już, Franka, rozum i siły. Jemu przykazano robić jego wła-sną, małą a ważną robotę, ludzi we wsi przekonywać, napominać, pokrzepiać upadłych na duchu, zjednywać nowych, a nie, jak on, językiem mleć w złości o spra-wach, w których wyraźnie i pod karą milczenie było przykazane. Gnębił się potem tyle dni lękiem i rozpa-czą, że Biela zdradzi, że się ze strachu wygada, że o-strzeże posterunek, albo i samego Króla. Ano nic. Nie wygadał. Nie zdradził. Nawet nigdy już o tym więcej słowa nie wspomniął. Króla zabili, a teraz wyszło na

Jańkowe. Teraz leżeli po spólu na wsiowym placu, stłoczeni jak bydło na rzeź, wgnieci w rudą ziemię błyskiem niemieckich bagnatów. Jak psy koło stada krążyli żandarmi. Leżał na brzuchach tłum chłopów, zbity, skopany, a opodal, oddzielnie, tłum od zmysłów odchodzących bab. I tylko jak bzykanie komarów unosił się nad nimi stłumiony szmer pojękiwań. Chłopi milczeli. Niesposób było oderwać głowy od ziemi, niesposób spojrzeć na matki i żony, ni szepnąć słówko sąsiadowi. Zaraz leci na kark podkuty niemiecki but, spada na plecy kolba karabinu. Leży wieś pod niebieskim jak bławat niebem, rozplaszczona, wdeptana w placowy pył i końskie łajno. Jenó rozbiegane dzieciska, co mniejsze, bo starsze wszystkie pozganiiali, wybałuszają wystraszone ślípia z rozwartych drzwi pustych chalup i z niektórych izb roznosi się płacz i wrzask niemowląt. Jak długo już leżą? Spędzili ich przed świtaniem z łózek, a teraz słońce podniosło się wysoko, paląc bolące plecy, jakby ludziom nie dość było męki przez ludzi wymyślonej, jakby jeszcze i natura, twar-da i bezlitosna, swoje chciała dodać do tej kaźni. Język skołowaciał w gębie od pragnienia, ból darł mięśnie nóg. Ale Odelga nie czuł prawie fizycznego cierpienia.

Od niego zależał los wsi. Świadomość tego gorsza była od najgorszego cierpienia. Szczerbiński przedwczoraj zaledwie listonosza, co to przed Niemcami musiał uciekać, w las poprowadził i nie wrócił. Kapera, jakby pismo nosem zwąchał, pojechał do miasta, a Świstak gdzieś się przytulił, albo nawet zdołał uciec. Sławny był przecie z tego, że i z piekła umie się wydostać. Jedno pewne, że go Niemcy w rękach nie mieli, a i między ludźmi go nie było. Na placu został tylko on jeden. Odelga. I nikt prócz niego nie mógł wydać Niemcom wszystkich sprawców zamachu na Króla, nikt nie mógł ocalić wsi.

Ocalić? Franek aż zębami zgrzytnął na tę myśl. Znadto dobrze wiedział, co oznaczała. Nie wystarczyła-by jego dobrowolna śmierć, szarpaliby wszystkich co do jednego, by wskazać drogę do lasu. A ze wsi i tak kupa ludzi poszłaby na karne roboty, poszłyby krowy i świnie na kontrybucję. Czyje krowy i świnie? Ano przecie nie wójtowe, nie sołtysa i nie bogatszych gospodarzy, a samej biedoty wsiowej, co ani wójta ani policjanta nie ma czym przekupić.

— Ino że tak będą męczyć na śmierć niewinnych, niewiedzących...

Ano cóż, temu ani on, ani nikt nie zaradzi, a winnych i niewinnych nie ma. Jest wieś i wieś musi, choć po niewoli, trzymać się kupy...

Za splaszczonymi plecami Odelga czuł ziejący gorącem i przerażeniem oddech wsi. Ten dech wspólnoty w nieszczęściu umacniał go na siłach. Jeżeli poddadzą się, Niemcy ich złamią. Ofiary pójdą na marne i tylko wstyd przed tamtymi, którzy latami już po lasach się marnują, życia ludzkiego nie znają, tylko poniewierkę i walkę nieustanną, do końca. Toż przecie tam, po lasach, nawet baby siedzą z partyzantami i swoje robią, choć to i trudno pomyśleć. Sam taką jedną widział. Młoda dziewczyna, ledwie jej może dwadzieścia lat było, nie więcej. A nic, tylko się uśmiechała, wyprowadzając go na znane drogi i rękę uściśnęła jak jaki żołnierz, jak równy, choć od razu było widać, że panna lepszego pochodzenia, miastowa, inteligentka. I on by nie miał wytrzymać, on, Odelga? Wytrzyma!

Nikt nie wie, kto wykonał zamach, tylko on jeden i...

Znów aż w piersiach zaboląło jak pchnięcie nożem. — Jasiek! Rany Boskie! Toć on nie strzyma. Bo i skądby miał wziąć siłę. Jak go zaczną kłuć bagnietami pod żebra, jak wylamią ręce i nogi, wyśpiewa słowo w

słowo, co mu on, Franek, w ten przeklęty wieczór nabredził, a i jeszcze więcej powie, niż sam wie na pewno. A wtedy... Ucieszą się Niemcy, nie ma co — kotłowały w głowie zrozpaczzone myśli. — Każdy we wsi wie, kto z kim trzymał, a jak jeden wygada, zaczną wszyscy. A wtedy po nim, po Franku, choćby milczał jak grób, jak po nitce do kłębka dojdą do innych. Co z tego, że Świstaka, Szczerbińskiego i Kapery do rąk nie dostaną. Toż u jednego w chałupie baba z trojgiem małych dzieci, u drugiego siostra kaleka i dwoje starych, a u Kapery młoda żona z dzieckiem przy piersi.

— Jasiek... — potoczył się z warg Odelgi cichy, chrapliwy szept. — Jasiek!

Ale Biela nie słyszał, może nie chciał usłyszeć. Leżał równo z twarzą przywartą do prochu, jakby skamieniały. Aż nagle, w tej samej chwili, zanim Franek zdołał powtórzyć rozpaczliwe wołanie, tamten zatrzęsł się cały, a wraz z nim zadrgała, skurczyła się jak w konwulsjach wielka, rozpełźnięta jak robaki po placu, masa ludzka. To z szopy, gdzie Niemcy zabrali czterech pierwszych chłopów, runęło nieludzkie wycie męczonych. Z boku, od strony, gdzie leżały kobiety, zawtórował mu histeryczny płacz i poniósł się po tłumie jęk babskich głosów: — O Jezu, Jezu Maryjo!

Wycie męczonych to wznosiło się, to nacichało, aż wreszcie umilkło całkiem rwąc się w ostatnim, pojedynczym krzyku.

— Pod Twoją Obronę, Matko Najświętsza — niósł się gdzieś znad ramienia Odelgi rozdygotany szept starego głosu.

— Kto się w opiekę... — zajęczały tu i ówdzie co odważniejsze baby niepomne na nakaz milczenia. Nagle kobiecy krzyk rozsadził powietrze i prysnął strasznym lamentem nad wgniecionymi w piasek głowami.

To żona Bartka Kuleszy, nie bacząc na kolby i lufy

karabinów wyrwała się z tłumu wprost na wyrzucone z szopy, jeszcze drgające ciało męża. Ostro, krótko świsnęła kula i Kuleszka zwałiła się jak podcięta na ziemię, obok tamtych czterech ciał.

Sołtys, żółty jak trup, z rozdartą na piersiach koszulą, z przetrąconą nogą, otoczony zewsząd żandarmami, zaczął głosem jak z tamtego świata czytać następne nazwiska.

— Wincenty Ciechanek...

W śmiertelnej ciszy podniósł się z tłumu stary, wąsaty chłop.

— Tato! — poleciał za nim stłumiony głos od ziemi. — Tato, co robicie, stójcie!

Czyjaś ręka pociągnęła go za połę ubrania. Stary nachylił się gniewnie.

— Cicho bądź! Takem rozsądził i tak ma być. Moja wola. Zostańcie z Bogiem!

I jął się przepychać ku przodowi. Ale już Niemiec przyskoczył do sołtysa i wyrwał mu listę z trzęsących się rąk. Stary Ciechanek trącony pięścią w pierś zatoczył się i upadł na leżących w pierwszych szeregach.

— Ten ma 27 lat? Kpiny, czy co do cholery!

Sołtys, jeszcze o cień bledszy, odczytał ponownie:

— Wincenty Ciechanek, syn. Lat 27.

Ani na tyle nie wyglądał. Chuderlawy, mały, chwiał się bezbrinnie na kabłąkowatych nogach, a po umazanej prochem twarzy toczyły się brudne łzy.

Odelga powiódł wokół oczami. Niemców było chyba tylu, co ludzi na placu, a za chałupami, dokoła wsi, stał drugi kordon esesowców. Od krzyku w szopie wystąpił znów na ciełe i jął śpływać strugami zimny, śmiertelny pot. Stary Ciechanek uniósł się na łokciach i nadsluchiwał, jakby z nieludzkiego jęku męczonych chciał wyłowić głos, którego brzmienia nie mógł przetrzymać — głos syna. Twarz miał jak wyrytą z kamienia, tylko

między brwiami i na skroniach żyły nabrzmiały mu fioleto-wo, prawie czerwono. Aż nagle uniósł się wyżej, wyżej jeszcze, jakby go ciągnął ku górze ten najcieńszy, prawie dziecinny ton, ostrą nutą przecinający wszystkie dochodzące z szopy odgłosy — i runął, zarywając się w ziemię rozwartymi, niemymi ustami.

Odelga już nie myślał. Wiedział — on tak nie będzie. Palce zacisnęły się same w kulaki i po ciele zaczęły latać drgawki. W oczach robiło się to czerwono, to czarno. Serce rozsadzało piersi kanonadą obłąkanych uderzeń: teraz, teraz!

— Jan Biela.

Jeszcze zobaczył podnoszącego się Jaśka i zerwał się od razu na nogi, nim jeszcze soltys, trzęsący się pod mokrą do ostatniej nitki koszulą, wydobył spoza szczękających zębów jego nazwisko. I tym razem los postawił ich obok siebie, w tej ostatecznej godzinie skazania. Franek popatrzył w oczy Bieli i zobaczył w nich tak bezgraniczny, strach, tak nieludzkie umęczenie, że nagle, jakby od tego widoku, drgawki opuściły ciało i stało się wokół spokojnie, w myślach chłodno, rozważnie i trzeźwo. Wszystko już było wiadomo.

Zanim głos soltysa wyrwał ze stężalego tłumu dwu dalszych skazańców, w Odeldze ucichły na moment myśli. Już nie planował. Jakaś dziwna, chłodna próżnia zapanowała w nim, jakby ciało było wewnątrz puste, do cna wydrążone z czucia. Tylko oczy zawisły na chwilę na drewnianym kołku parkanu, wokół którego owinał się powój i Franek dojrzał nagle wielki, liliowy kwiat, jakby nie własnym spojrzeniem, poprzez powiększającą jakąś soczewkę. Zobaczył każdą jaśniejącą i ciemniejszą żyłkę na aksamitnych płatkach, każdy żółty pyłek i poruszające się prędko, zapalczywie nóżki skrytego we wnętrzu kielicha owada. Zieleń trawy wokół zdała mu się tak dziwna, tak pełna, jakby nigdy dotąd

nie wiedział, że trawa wokół niego jest zielona. Jakby nie wiedział dotąd, że są na świecie kwiaty. Gwałtownie nieprzypadkiem zadziwił się pięknem. Trącony, poleciał ku szopie jak nie na swoich nogach i nagle, zamiast tamtego widoku ujrzał przed oczami pokrwawioną drabinę ze zwisającymi powrozami. Skurczył się cały w sobie od tego obrazu, zebrał, i zanim zdążyły go pochwyć ręce żandarma, przysiadł, i jak zamachem kosy poderwał tamtemu nogi jednym rzutem ramienia. Szybciej niż prysnął w górę ryk obezwładnionego, nim inni przyskoczyli mu na pomoc, dłoń namacała upatrzoną broń i oderwała od tamtego, tłoczącego z góry ciała. Palce nacisnęły na oślep, wyzwalaając z automatu serię wystrzałów. Oczy odnalazły w zamęcie jasną głowę Bieli i wzięły ją na cel. Jego własną czaszkę kula przeszła tylko o moment później, nim jeszcze zdążył pomyśleć z wyzwolonym, radosnym triumfem: nikt się nie dowie!

Dwadzieścia cztery godziny śmierci

JERZY PYTLAKOWSKI

Wiktor obejrzał się i spostrzegł człowieka, który patrzył na niego uważnie. Spojrzenie nieznanego było tak mocne — czuł na twarzy niemal fizyczny ucisk parry błękitnych oczu — że Wiktor, chociaż bardzo zamyślony i przejęty swym dzisiejszym niepowodzeniem, odpowiedział spojrzeniem równie mocnym i uważnym.

W mroku marcowego przedwieczera sylwetka nieznanego, ukrytego we wnęce bramy, była tylko białą miazgą twarzy opatrzonej dwoma świetlnymi punktami oczu wysyłających w kierunku Wiktora niepokojące fale uwagi i niezrozumiałej ostrości.

Wiktor stracił nagle poczucie niezależności. Wydało mu się, że jest kiepskim aktorem na jaskrawo oświetlonej scenie i że surowy krytyk, który zna lepiej od niego samego przebieg scenicznej akcji, obserwuje i wydrwiwa jego nieudalą grę. Oczywiście ani nie zwolnił, ani nie przyspieszył kroku — rutyna uczyniła swoje.

Musiało mu być gorąco, gdyż z prawdziwą przyjemnością poddał twarz chłodnemu powiewowi, który szedł od Wisły. W chwili, gdy wieżowy zegar Instytutu Głuchoniemych zaczynał wydzwaniać godzinę szóstą, Wiktor dostrzegł dwóch ludzi, którzy pojawili się nie wiadomo skąd i szli ku niemu szybkim, wojskowym krokiem. Teraz aż przyklepił się do zimnej, chropowatej ściany kamienicy. Prawą ręką ujął kolbę dobrze ukrytej broni i powoli, jakby nie chcąc spłoszyć snu i

czyichś drzemiących oczu, tyłem cofał się do bramy. Mężczyźni zbliżali się szybko. Chciał właśnie odbezpieczyć broń, gdy na obu swych rękach poczuł mocne uchwytty obcych dłoni, a w uszach jego, jak ogłuszająca, nieoczekiwana detonacja, wybuchł wyraz „Polizei”.

Musiał puścić jeszcze nieodbezpieczone parabellum i rozkrzyżować ręce tak, jak pokierowali nimi dwaj mężczyźni ubrani po cywilnemu. Trzeci szedł tuż za Wiktorem i trzymał automat gotowy do strzału. Ci dwaj, których widział już przedtem, zbliżyli się. Jeden z nich wydobyl z kieszeni gwizdek, przybliżył go do ust i dał przeraźliwy sygnał. Natychmiast pojawił się samochód. Tam właśnie poprowadzili Wiktora. Czuł przeraźliwą słabość w kołanach, a w ustach brakło mu śliny. Badał drobnymi na pozór ruchami siłę policyjnego uchwytu, lecz zaraz otrzymał potężny cios kolbą w plecy z odpowiednim napomnieniem. Zrezygnował więc z doświadczeń i bez sprzeciwu dał się posadzić na tylnym siedzeniu między dwoma opiekunami. Dwaj inni usadowili się obok szofera i konwój ruszył.

W nieoświetlonym aucie Wiktor starał się zebrać myśli. Zdołał to uczynić tylko z niemalym trudem, gdyż bardzo mu przeszkadzał oddech obcych ust, który z obu stron lechtał niemile naskórek twarzy.

Samochód jechał niezaprzeczenie w kierunku alei Szucha — co do tego nie mogło być najmniejszej wątpliwości. Przez okno zerkala ku Wiktorowi ulica — jakby polecała się jego pamięci. Auto było niskie i świeżo upieczonemu aresztantowi zdawało się, że wystarczy jeden krok, a znajdzie się sam w mroku ulicznym, znów jak przed chwilą — zagubiony przechodzień.

Usiłował odtworzyć w swej wyobraźni przebieg przypuszczalnej reakcji straży na próbę ucieczki i szybko doszedł do wniosku, że nie ma żadnych szans. Mimo to nie stracił spokoju, był bowiem jeszcze związany ściśle ze swoimi kolegami i osobami bliskimi, z pracą o-

raz z tym wszystkim, co nadawało jego młodej postaci charakter człowieka żywego i mającego niezaprzeczone miejsce w życiu. Nie dramatyzował, bo znajdował się już w niejednej opresji i nie tracił nadziei, gdyż jeszcze myślał o uwolnieniu, a więc nie poddawał się.

Ostatecznie stało się tylko to, na co czekał, czego spodziewał się i obawiał każdy z ludzi pracujących w konspiracji. Teraz odpadła obawa i lęk — już mu nic więcej nie groziło. Już nie musiał rozglądać się uważnie, idąc ulicą, unikać tłoku tramwajowego, ani przemykać się między przechodniami jak zgoniony, zaszczuty, wściekły pies.

Dobrze schowany, a dziś nieużyty rewolwer palił go wyrzutem śmiesznego, bezbronnego poddania się. Tytuły gazetek, które miał przy sobie, stały mu żywo przed oczami, a na tle ich czarno skreślonych liter pojawiały się twarze i sylwetki znajomych redaktorów, zerów, kolporterów. Wszyscy dużo mówili i żywo gestykulowali.

Wiktor westchnął ciężko i dopiero teraz poczuł, że obie ręce zdrętwiały mu zupełnie — tak bardzo były skrępowane przez trzymających je gestapowców.

Jeden z mężczyzn siedzących obok szofera przerwał milczenie.

— Jak się nazywasz? — spytał po polsku chropowatym, bezdźwięcznym głosem.

Wiktor nie odpowiedział.

Nie dlatego, żeby chciał pokryć milczeniem zapytanie. Po prostu nie wiedział, który z jego pseudonimów był znany policji. Wiktor, Zbyszek, Jasiński, czy może, nie daj Bóg, Ostrowski?

— Wiktor, co? — sam sobie odpowiedział gestapowiec. Pozostali wybuchnęli głośnym śmiechem.

Ten drwiący śmiech poruszył w więźniu poczucie godności osobistej.

Z nieco sztuczną, nonszalancką pewnością siebie

wkroczył Wiktor do wielkiego gmachu Sicherheitspolizei przy alei Szucha.

Blask elektryczności omamił go najpierw jakby nadludzkim przepychem tej świątyni niemieckiej sprawiedliwości, a nieznajome, poważne twarze ludzi, którzy go otaczali, tłumaczyły mu, że uczestniczy w czymś pogrzebie — tak bowiem miarowo, uroczyście, milcząco kroczyli ci ludzie, jak księża konwojujący trumnę z nieboszczykiem. W duchu uśmiechnął się — śmieszna wydała mu się pompatyczna powaga, z jaką policjanci otaczali jego wychudłą postać przyobleczoną w nędzne, zniszczone ubranie.

Zaprowadzono go w podziemia. Tutaj oddał rewolwer wraz z całą zawartością kieszeni. Za rewolwer i gazetki otrzymał pięć uderzeń w twarz, aż krew poszła z dziąseł. Działo się to w korytarzu obok kancelarii. Tak już wyjałowionego z bagażu, lecz mimo piękącego bólu twarzy jeszcze zupełnie opanowanego, popchnięto do znajdującej się obok kancelarii. Tu jakiś starszy feldfelbel spisał z kennkarty personalia Wiktora i starał się daremnie otrzymać od niego adres żony, rodziców lub jakichkolwiek innych krewnych.

Wiktor tak był pochłonięty odczuwaniem politowania dla ubogiego umysłu kancelisty, że nie zauważył wcale, gdy Scharfsturmführer dał znak owemu kanceliście, aby opuścił kancelarię.

I zostało ich trzech prócz Wiktora. Scharfsturmführer Frost, wysoki blondyn o twarzy angielskiego sportsmena i rękach zawodowego muzyka, czarny jak kruk tłumacz — Ukrainiec, niski i tęgi, oraz młody Volksdeutsch, silny, wysoki o atletycznej budowie drab. W rękach tłumacza znalazł się od razu pejcz. Volksdeutsch zaś zaopatrzył się w grubą laskę.

W kącie kancelarii na małym stoliku stało radio. Głośnik pelen był dźwięków bardzo rytmicznego i bojowego marsza.

Kazano Wiktorowi zdjąć palto, co też posłusznie uczynił. I następnie, bez żadnych pytań ani indagacji, w rytmie muzyki, spadały na niego pierwsze uderzenia. Smakował je przez chwilę jak nową emocję, lecz szybko przeraził się ich boleścią. Wydało mu się, że wszystko się kończy. Cały jego długo i pracowicie konstruowany świat, pojęcia, którymi żył on i jego otoczenie, wszystko co piękne i wszystko co złe, i jego matka, którą uwielbiał, i żona, którą kochał, i idea, której wierzył, i praca, którą zapelniał swoje życie, i przyjaciele, których obdarzał przyjaźnią — oni wszyscy i to wszystko przestało istnieć — w jednym krótkim, strasznym momencie, zniweczone ciosami hitlerowskiego pejcza. Doszedł do niepomysłnego wniosku, że przemoc i ból mogą zdławić w człowieku wszystkie jego myśli i uczucia, i stworzyć coś zupełnie nowego, mianowicie: tylko ból.

Wiktor pełzał właśnie brzuchem po podłodze owej podziemnej kancelarii i przyjmował na plecy, udach, karku i ramionach istną fontannę ciosów.

Nie mógł się pogodzić z tą niezasłużoną, w jego mniemaniu karą. Nie mógł ocenić wielkości i potęgi przemocy, która nim poniewierała, gdyż całe życie walczył z przemocą. Dławił go niewypowiedziany protest. Niczego nie rozumiał. Teraz już tylko czuł: cięcie rozpalonego metalu na plecach, pośladkach, udach, łydkach. Głuche uderzenia laską odbijały się głośnie echem w płucach, nerkach, sercu i wywoływały w całym organizmie Wiktora zupełny chaos.

Organizm chory walczy z chorobą. Organizm zdrowy cieszy się zdrowiem. Organizm wystawiony na mękę — buntuje się.

Krakanie. Miauczenie. Niekrakanie i niemiauowanie. Krakanie oszałego ptaka. Miauczenie ginącego we wrzącej wodzie kota. Krzyk tysięcy zarzynanych dzieci. To organizm Wiktora broni się przed gwałtem.

Śmieszne byłoby, gdyby porucznik Wiktor, dowód-

ca grupy operacyjnej „Szakal”, dawny, jeszcze przedwojenny dzielacz robotniczy, gdyby to Wiktor tak krzyczał! Tak wił się na podłodze. Tak starał się uchronić plecy od razów; przykrywał je rękami, piersiami, brzuchem — lecz nie, już znów cofnął się — ciosy w piersi i brzuch gorzej doskwierają. Gdyby tak spróbował wstać i umknąć ciosom — nie, obalają go od razu.

Frost uśmiechnął się dyskretnie: machina działa sprawnie. Bandyta pozna, co to jest organizacja niemiecka.

A Wiktor wił się jak piskorz i krzyczał. Nie on — jego organizm.

Scharfsturmführer Frost z uśmiechem ubolewania wzmocnił transmisję bojowych marszów niemieckich — bandyta ryczał przeraźliwie. Następnie Scharfsturmführer Frost wziął laskę od Volksdeutscha, który już bardzo się zasapał — brak rutyny — i przepisowo, pokazowo, rytmicznie puścił w ruch swoją prawicę wraz z laską. Młody gestapowiec nie spuszczał oczu z szefa — studiował. Wiktor zaś przestał krzyczeć. Stracił przytomność po raz pierwszy.

Z omdlenia ocucił go ból. Dwaj posługacze podnosili go i chcąc nie chcąc urażali obolałe ciało. Powstał sam, chociaż był bardzo osłabiony. Sam także szedł podtrzymywany tylko z lekka przez posługacza. Zaprowadzono go do separatki i tu dopiero, odczytując bez żadnej potrzeby dziesiątki razy napis niemiecki zabraniający surowo rozmów i palenia, odzyskał pełnię świadomości. Całe ciało, nie tylko skatowane jego części, paliło i piekło. Przy najdrobniejszym ruchu ból potęgował się wielokrotnie. Korytarzowy przyniósł mu w aluminiowym kubku zupę z brukwi i kawałek chleba. Wiktor jedzenia nie tknął.

Korytarzowy nie spuszczał z Wiktora oczu i w ubikacji, gdzie więzień obmył sobie twarz i ręce, połał

włosy zimną wodą i napił się jej, aby się nieco orzeźwić.

Dziwnym trafem pozostawiono mu na ręce zegarek. Był uszkodzony; wskazówki zatrzymały się na godzinie pół do siódmej.

Wiktor zagadnął korytarzowego, który go przyszedł zakuć na noc, o godzinę. Była dopiero ósma.

Korytarzowy z hałasem zatrzasnął kratę i odszedł. Co chwila jednak wracał i patrzył na Wiktora. Miał to czynić przez całą noc, choć może o trzeciej czy czwartej nad ranem zdrzemnie się nieco i zapomni o służbie. Ale to i tak nie zmienia sytuacji, Wiktor bowiem nie myślał o samobójstwie: nie miał trucizny. Było to poważne zaniedbanie.

Z pobliskiej kancelarii dochodziły dźwięki muzyki. Właśnie jakiś niezły tenor śpiewał po włosku tragiczną arię Cavaradossiego z czwartego aktu „Toski”. Wiktor był muzykalny i ocenił od razu należycie charakter utworu zharmonizowany z jego obecną sytuacją. Gdzieś dalej, na korytarzu, gestapowcy strzelali z wiatrówki do tarczy, a odgłosy tych strzałów dochodziły Wiktora jako głuche, drażniące uderzenia.

Powoli na korytarzu ruch ustawał, a wkrótce także przycichło radio i strzały. Teraz Wiktor został zupełnie sam ze swymi myślami, ze skatowanym ciałem i z wszystko widzącym cieniem zaglądnącego co chwila korytarzowego.

Chciało mu się pić — musiał mieć gorączkę. Skutek do tyłu kajdankami ręce drętwiały, a twardy ucisk żelaznych obręczy nieznośnie doskwierał. Nieustannie czuwający blask lampy elektrycznej razil łzawiące z bólu oczy.

Spróbował usiąść na twardym krześle: syknął z bólu: jakby elektryczna iskra przeszła po całym ciele. Stał przez chwilę pod ścianą, lecz nogi go bolały. Był zmęczony, chodził dzisiaj dużo. W końcu brzegiem le-

wego poślodka nieco mniej zmasakrowanego zahaczył o płaszczyznę krzesła krzywiąc się z bólu i jęcząc cicho. Rychło jednak zapomniał o swych fizycznych dolegliwościach, tak bardzo bowiem pochłonęły go rozmyślenia.

Uznał nagle — myśl ta olśniła go zupełnie nieoczekiwanie — że umrze z całą pewnością jutro, pojutrze lub za dwa dni. Wstrząsnął nim niepomierne, gwałtowny żal za życiem. Niemal łkał wewnętrznie z rozpaczy. Drobne, nic nie znaczące zdawałoby się szczegóły dnia codziennego nabrały olbrzymiej wagi. Kąt noclegowy, stolik w jadalni, gdzie jadał ostatnio obiady, urywki przeczytanych książek, słyszanych melodii, barwy znajomych krajobrazów oszołomiły go nieosiągalnym pięknem. Żona, matka — postacie kochające — wizerunki ich wzruszyły go niemal do łez, tak bardzo wydała mu się nierealna ich miłość i dobroć. Wyszły z dzieciństwa młode wspomnienia, późniejsze — skarby przeżyć, które każdy człowiek kryje w sobie. Wszystko to było doskonale i nadludzko przyjemne. Fragmenty czynów i prac, które spełnił orzeźwiły go na chwilę swoim męskim, rześkim i skromnym wyrazem. Zazdrościł sobie samemu swojego utraconego życia. Pełne szczęście, którego nigdy nie zaznał, odnalazł obecnie w sobie samym z dnia wczorajszego jeszcze. Czuł najwyraźniej, jak bardzo był bogaty codziennie, gdy mógł poruszać się swobodnie i spełniać swoje czyny. To dziwne, lecz praca, która najbardziej wypełniała jego życie, teraz była tylko mało ważnym fragmentem, głupstwem i niepotrzebną naleciałością. Życie osobiste zaś — zawsze uważał je za rzecz drugorzędną — obecnie stało się bezsprzecznie pierwszoplanową treścią jego jestestwa.

Gorączkowo i nieprzytomnie zaczął szukać ratunku. Historie udanych ucieczek, o których słyszał i cudownych ocalań ożywiły go bardzo. Oglądał ściany celi.

Wstał, aby zbadać wytrzymałość krat. Wszystko to zajęło mu sporo czasu i byłby chętnie przez całą noc szukał drogi wyjścia z celi, gdyby nie oczywista bezsensowność tych prób. Zrezygnował więc, chociaż nie stracił nadziei. Ostatecznie jutro może przynieść jakąś korzystną sytuację. Znowu pograżył się we wspomnieniach. Przecież to one tylko łączyły go jeszcze z życiem.

Myśli Wiktora stawały się coraz mniej jasne: fragment parku Paderewskiego wraz ze znajomą ławką z okresu narzeczeństwa i później działalności konspiracyjnej przyłgnał do jego wyobraźni. I w końcu orzech włoski i krzak bzu, otaczające ławkę, łagodnym szumem liści, powiewnym głaskaniem opowiadały mu coś kojącego i nierealnego, coś, czego nawet nie rozumiał, co tylko czuł, czuł tak bardzo, że odległe czasy wróciły, a teraźniejszość odeszła i Wiktor usnął głaskany gdzieś tam w zakamarkach wyobraźni zebranymi podmuchami drzew i krzewów jego minionego życia.

Rano obudził go hałas. Przypędzono jakichś ludzi, tylko czuł, czuł tak bardzo, że odległe czasy wróciły, a oczy ich, więzienne, wielomówiące oczy, napęłniły Wiktora lękiem. Po korytarzu chodzili gestapowcy, radio już grało i strzały z wiatrówki znowu się rozpoczęły. Korytarzowy rozkuł Wiktora i odprowadził go do toalety. Ledwie Wiktor powrócił do celi, natychmiast pojawił się Volksdeutsch.

— Chodź! — zawołał na Wiktora głośno i zwięźle jak na psa.

Wiktor szedł przodem — tak bowiem iść musiał. Co chwila oglądał się na Volksdeutscha, gdyż nie wiedział, dokąd ma iść. Okazało się, że celem był pokój 317. Wszedłszy do pokoju Wiktor zauważył, że tak referent jak i tłumacz, są w mundurach. Odczytał z łatwością ich szarże i obrzucił wzrokiem pokój; jasne ściany, wielkie okno, dużo światła, poza tym zwykłe umeblo-

wanie biurowe: dwa biurka, kilka krzeseł, szafa — wszystko to sprawiało wrażenie normalne i nawet przyjemne. Volksdeutsch tu właśnie przyprowadził Wiktora, lecz sam zaraz opuścił pokój.

Przez chwilę Wiktor stał bez ruchu pod drzwiami. Nie wiedział, co ma z sobą zrobić, był zażenowany. Gestapowcy spoglądali na niego uważnie ze swych foteli.

— Siadaj — rzekł wreszcie tłumacz nawet dość uprzejmie.

— Sprichst du deutsch? — spytał Frost.

— Nie — odpowiedział Wiktor po polsku.

W tym momencie bzyknęła mucha i Wiktor zdziwił się, że w marcu są już muchy.

— No, nie udawaj. Dlaczego nie chcesz mówić po niemiecku? — tłumacz poparł swego zwierzchnika.

Wiktor zmieszał się. Niesłusznie posądzono go o kłamstwo, a nie wiedział jak udowodnić, że mówi prawdę. Nic nie odpowiedział i zresztą nikt więcej nie nalegał. Frost zaczął uderzać o kant stołu laską znaną Wiktorowi z wczorajszego wieczoru, tłumacz zaś uderzał również znajomym pejcem o nogę fotela. Milczenie trwało przez chwilę. Słyszać było tylko suche uderzenia laski i wilgotne mlaskanie pejcza. Wiktor sapał głośno i patrzył jak zahypnotyzowany na ruchy laski.

Nagle Frost zagulgotał gwałtownie. Tłumacz uśmiechnął się i zadał Wiktorowi pierwsze pytanie:

— Więc poruczniku Wiktorze, lub też Janie Jasiński jak się nazywasz?

Wiktor znów nic nie odpowiedział. Dopiero zbierał myśli. Wprost czuł, że w powietrzu unosi się coś odrębnego, niezwiązanego z chwilą obecną. Zdawało mu się, że coś, co już się stało, ciąży nieodwołalnością dokonania i na nim, i na obu gestapowcach. Przestał brać

na serio zadawane mu pytania, gdy nagle tłumacz zdziwił go. Bardzo grzecznie zaczął tłumaczyć, że oni dokładnie wiedzą, kim jest Wiktor i co robi. I poparł te słowa faktami: udział w pracy wojskowej, politycznej, przytoczył pseudonimy osób, z którymi Wiktor współpracował, adresy lokalów, które były już martwe, daty i przedmiot akcji, w których ostatnio uczestniczył. Tłumacz wyraził nawet swoje ubolewanie z powodu przysłania przez okręg instruktora: a więc mimo takiej pracy, mimo takiego oddania się idei, twoje dowództwo uznało, że trzeba cię kontrolować. Przysłano ci szefa. Oto masz zapłatę.

Przez cały czas trwania tej przemowy — trwała ona około pół godziny — Frost nie spuszczał oczu z Wiktora. Co mógł wyczytać z twarzy porucznika?

Wiktor zdziwił się, a następnie przeraził dokładnością zebranych przez policję informacji. Było jasne, że gdzieś, może nawet wśród „Szakali”, znajdował się prowokator. Oceniał pośpiesznie postacie towarzyszy i nie mógł znaleźć szpiega. Jednakże przytoczone fakty były świeże — nikt nie wpadł i nie sypał. Informacje z całą pewnością pochodziły z wolności.

— Muszę ich ostrzec — myślał — koniecznie ostrzec.

Zapomniał o wszystkim, tylko to jedno pragnienie opanowało go.

— A teraz powiesz nam — kończył tłumacz swoje wywody — kto to jest instruktor i gdzie go można zastać.

Zapadło milczenie. Frost wymownie bawił się laską, tłumacz zaś pieścił pejcza. Obaj nie spuszczaali oczu z Wiktora.

— Mów! — ryknął tłumacz.

Drzwi się otworzyły i wpadł Volksdeutsch. Stał tuż obok Wiktora i zerwał mu z ramion palto.

Wiktor chciałby powiedzieć coś, co miałoby sens i nie szkodziłoby nikomu, lecz nic takiego nie przychodziło mu do głowy. Milczał więc. Zauważył, że Frost spojrzał wymownie na tłumacza. Ten wstał, stanął przed Wiktorem i powiedział:

— Będziesz robił tak.

Obie ręce wyprostował przed sobą w linii poziomej i ćwiczył przysiady.

— Zrozumiałeś? — spytał na zakończenie.

— Tak — odparł Wiktor.

Był zadowolony, że żądają od niego tylko tyle.

Z trudem udawało mu się utrzymać równowagę. Ciało bolało go bardzo, a przecież wyprostowanie ramion napinało mięśnie pleców i piersi, przysiady zaś forsowały obolałe mięśnie pośladków i nóg. Był osłabiony i chwiały się. Gdy znalazł się w pozycji kucznej, musiał podeprzeć się dla utrzymania równowagi. Było mu wstyd i czuł śmieszność sytuacji: on, Wiktor, dorosły człowiek, dobry gimnastyk, niezdarnie się gimnastykuje, a trzech wrogowie patrzą na to. Zresztą nie dano mu długo rozmyślać o tym. W chwili, gdy był już w pozycji półprzysiadu i zdążył do zrobienia drugiego przysiadu, Ukrainiec obdarzył go świszczącym dotknięciem pejcza. Dobrze wycelowany, cios zawisł na udach nieco poniżej pośladków i oparł się całą siłą na wyprostowanych w tym właśnie momencie i najbardziej pionowo zwisających przewodach nasiennych, utrzymujących jądra.

Effekt tego ciosu był znakomity: Wiktor skoczył naprzód — jest taka figura w kozaku — i upadł na twarz — czego w kozaku nie ma. Nie krzyknął wcale. Był oszołomiony tą nową metodą śledztwa. Nawet nie dziwił się tak bardzo: wszyscy przecież wiedzą, które miejsce ciała mężczyzny jest najsłabsze. Czuł tylko wielką niechęć do swojego ciała za kłopot, jakiego mu

przysparzało. Długo byłby tak leżał z głową w kwadracie słońca, które zaglądało przez okno i docierało aż do podłogi, gdyby nie Ukrainiec i Volksdeutsch. Poczęli go kopać z pasją i wołać z nerwowym pośpiechem: — Dalej! Dalej!

Krzyki i uderzenia zrobiły swoje: Wiktor zupełnie mechanicznie znowu stanął na nogach i znów z wyciągniętymi ramionami gimnastykował się. W tym samym momencie i w to samo miejsce trafił drugi cios. Tym razem Wiktor nie upadł, lecz usiadł. Czuł ból niezwykle przejmujący, przerastający wszystko, co można sobie wyobrazić. Nie mógł nawet krzyczeć z osłupienia, że człowiek jest zdolny znieść tak wielkie cierpienie. Ogarnął go skurcz, spazm, coś w rodzaju porażenia nerwowego; paraliż ten szedł do lędźwi, a kończył się aż w gardle. Nie mógł się ruszyć ani jęknąć. W oczach miał czerwień, w uszach cały ocean szumu. Był zupełnie pokonany. Ciosy, razy i wymysły potrafiły go zmusić do dalszej gimnastyki. Szał zaczynał go ogarniać. Szał bezsilności, protestu, trwogi. Charczał, z ust jego płynęła piana, z oczu ciekły łzy — zachowywał się tak, jak gdyby wymiotował. Stale upadał i stale wstawał, by kontynuować przysiady, zmuszany do tego przez tłumacza, który znał najdokładniej wszelkie arkana tresury ludzi. Aby uniknąć mniejszego bólu, ułatwiał zadawanie większego, ponieważ żądano tego od niego. Wola oprawców była silna, potrafiło go złamać.

Wreszcie słońce dopomogło Wiktorowi: oślepiało go, gdy kucał, z bestialską, okrutną radością raziło, przez okno wpadając; gdy wstawał, cień zapelniał łzawiące oczy. Wiktor upadł i nie mógł wstać, stracił bowiem równowagę. Choć kopano go po głowie, tratowano i bito, leżał bez ruchu jakby w półnarkozie. Czuł ból, lecz nie reagował na niego. Oprawcom zdawało się, że stracił przytomność. Zaprzestali ciosów. Byli zresztą

zmęczeniu. Tłumacz usiadł i ocierał spocone czoło. Frost patrzył na zaczynającą się za oknami wiosnę. Tylko Volksdeutsch badał ofiarę: zaglądał Wiktorowi w oczy i podkopywał go jeszcze z lekka.

Chwila spookju otrzeźwiła Wiktora.

— Muszę zdobyć nieco czasu — szalonym wysiłkiem woli zdołał się zmusić do myślenia. — Muszę ich zawiadomić.

Nagle wstał i zaskoczył tym przeciwników. Nawet Volksdeutsch dał mu spokój. Wszyscy trzej patrzyli na Wiktora jak na ducha.

Pierwszy tłumacz ochłonął.

— No, będziesz mówił? — spytał ironicznie.

Wiktor milcząco skinął głową.

— Mówić nie mam co — wycharczał. — W mieście, na ulicach — tragicznie to mówił. Miasto było dla niego jakby bezpowrotnie utraconą ojczyznę. — Kręcą się ludzie. Lokalu nie ma. Nie znam. Nie wiem, gdzie instruktor mieszka, ani jak się nazywa. Wiem, gdzie może być.

Starał się odgadnąć, która jest godzina. Zdobyć choć godzinę czasu — myślał.

— O dziesiątej — zakończył.

Wrócili go. Po schodach ledwie szedł. W celi, chociaż głowa jego była tylko zlepkiem bólu i krwawych wrażeń, nie stracił ani chwili czasu. W kieszeni znalazł ołówek i skrawek papieru. Trzęsącą się ręką wypisał adres pewnej czcigodnej matrony. Rozglądał się, zadając sam sobie ból. Po korytarzu chodzili gestapowcy. Stale musiał uważać.

„Klimat ciężki” — pisał — „Poza tym bakcyl musi tkwić w organizmie któregoś z szakali. Strzeżcie się. Szukajcie zarazka. Żegnajcie, Wiktor”.

Wydawało mu się, że znajduje się w celi dopiero pięć minut, gdy przyszli po niego wszyscy trzej, w cywil-

nych ubraniach. Przed wejściem do auta tłumacz pokazał Wiktorowi rewolwer i rzekł:

— Jak będziesz uciekał, to...

Wiktor przyjął te słowa bez żadnego wrażenia. Tkwiła w nich przecież ironia. Gorsze było co innego.

Wozili go po mieście wczorajszym autem. Wybrał sobie Plac Teatralny.

— Tu — stęknął.

Samochód zatrzymał się. Pomogli mu wyjść. Szedł pierwszy, oni trzej za nim. Myślał nad tym, jak rzucić kartkę. Rękę z kartką wziął przed siebie. Upadł na tę rękę. Podnieśli go. Ludzie zaczęli się przyglądać. Kartka została na chodniku. Dalszy jej los nie interesował go, gdyż nie zależał od niego. Stał w bramie domu przy ulicy Wierzbowej i udawał, że przygląda się przechodniom. Wiosenne, ciepłe powietrze upoiło go, przez chwilę był nawet szczęśliwy: nie myślał o niczym i nie czuł bólu. Wreszcie poczuł zmęczenie.

— Wracamy — szepnął. — Nikogo nie widać.

Gestapowcy nic nie odpowiedzieli. Wepchnęli Wiktora do auta. Auto ruszyło.

I gdzieś na rogu Brackiej i Chmielnej stało się nieszczęście. Wiktor zupełnie bezmyślnie patrzył przez okno na ulicę. Patrzył i właściwie nic nie widział. Lecz ją dojrzał. Swoją żonę. Szła powoli, przygnębiona i smutna, z pochyloną głową. Oczywiście nie widziała go. Ożywił się cały. Przybliżył się do szyby. Chciał zawołać coś, cokolwiek krzyknąć, lecz powstrzymał się. Gestapowcy zauważyli jego nagle ożywienie.

— Kogo widziałeś? — spytał tłumacz.

— Nikogo — odparł prawie wesoło.

— Nikogo?

— Nie.

— Czekał — warknął tłumacz.

I znów zapadło milczenie.

Wiktor ogarnęła gorączka. Móc jeszcze jeden raz uścisnąć żonę. Przez pięć minut widzieć ją. Spojrzeć w jej oczy. Ucałować. Skatowane ciało kryło jeszcze w sobie miłość.

Jak wpadł na to? — Instruktor. Chcą od niego instruktora. Wie przecież, gdzie go można zastać.

Z instruktorem to był oczywisty skandal. Wiktor znał swoich ludzi, pracował z nimi już od lat. Praca szła dobrze i nagle dowództwo przysłało mu instruktora, który zaraz na wstępie zaznaczył: dużo musi się tu zmienić. Było to tego dnia właśnie, gdy go aresztowano. Jątrzył w sobie tę ranę jadąc autem i idąc do celi. Dopiero w samej celi przestał, gdyż Frost, tłumacz i Volksdeutsch przystąpili zaraz do akcji. Bili go wszyscy trzej jednocześnie — Volksdeutsch jakimś żelaznym prętem — nie patrząc gdzie: po głowie, po karku, po całym ciele. Metoda ta okazała się łaskawsza dla Wiktor: dosyć szybko stracił przytomność.

Kiedy obudził się? Jak długo leżał bez przytomności? Sam nie wiedział. Powoli zaczynał zdawać sobie sprawę z rzeczywistości. Ból siekł go niemiłosiernie. Głowa pękała. Na lewe oko nic nie widział, tak było zapuchnięte. Można powiedzieć, czuł całe swoje ciało. Nigdy jeszcze nie miał ciała tak wielkiego, złożonego z tylu cząstek i włókienek. Rozpadał się na tysiące drobnych kawałków bólu i znów zlewał w jedną gorejącą całość. Raz mu było zimno, to znów gorąco. Szeptał coś do siebie i stękał.

Zaczął myśleć. Skończy z instruktorem. Muszą go puścić. Wtenczas wróci do żony. Będzie żył spokojnie i cicho. Bez polityki. Tylko dla żony i matki. Chciał krzyczeć i wołać, żeby go puścili, że robi co zechcą, lecz nie miał siły. Targał się więc wewnętrznie zupełnie bezcelowo, gdyż przyszli do niego wszyscy trzej, z nadjami.

— Będziesz mówił? — zagaił tłumacz.

— Tak — szepnął.

Tłumacz, doskonały znawca psychiki swoich klientów, rzekł z uśmiechem:

— Wydasz łącznika, puścimy ciebie. Ty nie jesteś nam potrzebny. O niego nam tylko chodzi.

Wiktor był szczęśliwy. Oczywiście. Jego puszcza. Im chodzi tylko o instruktora.

Znów jeździli autem. Wiktor kazał się wozić wszędzie tam, gdzie wiedział, że instruktora nie spotka. Przestał się łudzić, stracił nadzieję. Bał się bowiem spotkania z instruktorem. Wiedział, że nigdy i za nic go nie wyda, a chciał za wszelką cenę mieć w zapasie dla siebie choć iskierkę nadziei.

Jeździli więc po Żoliborzu, Wiktor zaś wiedział, że instruktora można spotkać na Mokotowie. Chodzili po cukierniach, barach, restauracjach, to znaczy gestapowcy chodzili, bo Wiktor ślaniał się tylko na nogach. Czekali ukryci po wnękach bram. Szpiclowali, rozglądali się — najzupełniej bezowocnie. Wreszcie Frost zdenerwował się. Kazał wracać. Powrócili więc. I w celi Wiktor znów otrzymał cięgi. Za nieudany wypad, za kłamstwo, za stratę czasu.

Krzyczał głośno, tłumaczył się, że to nie jego wina. Tłumaczenia nic nie pomogły, swoje dostał. Zostawili go w spokoju, gdy już zupełnie bierny, półżywy, bez skargi pozwalał się katować.

Długo leżał oszołomiony, oglupiały, z dręczącym wyrzutem bolących członków, z napęczniałą od krwi śliską koszulą na grzbiecie, z piekącymi ranami sączącymi krew. Był prawie martwy, choć cierpiał. Znajdował się jakby w agonii. Nie liczył się już za żywego, nie był także umarłym. Cierpiał i w niczym nie mógł sobie ulżyć.

Nachodzić go zaczęły najrozmaitsze widziadła i ma-

jaki. Zapadał w gorączkową drzemkę i budził się co chwila z okrzykiem lęku: sny także nie dawały mu spokoju. Budził się więc, ogarniał nieprzytomnym spojrzeniem celę i znów zapadał w sen graniczący z letargiem. Na zegarach wskazówki posuwały się naprzód; godziny następowały jedna po drugiej, lecz dla Wiktora czas stał na miejscu: niezmienna rzeczywistość otaczała go oparami majaków i trwał tak — zniszczony, obrzmiały, sennie nieprzytomny — niegdyś człowiek.

Obudziło go pragnienie. Język wprost przysechł mu do podniebienia. Gardło paliło niemiłosiernie. Nie miał sił wołać o wodę, zresztą byłoby to zupełnie bezcelowe. Jak na złość stanęły mu przed oczyma kiście bujnych, soczystych, zielonych winogron. Obraz ten był tak realny, że aż czuł w sobie ich kulisty kształt i ożywczy zapach. Nie mógł tylko napoić się bujną soczystością wyimaginowanych owoców.

Tłumacz i Volksdeutsch odwiedzili Wiktora. Weszli bez słowa, uzbrojeni jak zwykle w pejcz i kij. Chodzili przez chwilę po celi obserwując leżącego.

Wiktor patrzył na nich pytająco, jak pies na swego złego pana, myśląc: co też im strzeli do głowy?

Tłumacz ryknął:

— Wstawaj! Idziesz na badanie.

Wiktor nie poruszył się nawet. Chciał gestapowcom dać do zrozumienia, że z nim także trzeba się liczyć. On także ma tutaj coś do powiedzenia. Jest pobity, chory i nie może wstać. Gdyby go tak nie bito, wstałby, i owszem.

Bardzo szybko wytłumaczyli mu, że ma siłę wstać, a nawet wejść na trzecie piętro. W pokoju 317 czekał już Frost. Spokojny, obrażony, niechętnie patrzył na Wiktora.

Pytano Wiktora, od kogo kupił broń i gdzie druku-

je się prasa. Odpowiadał wymijająco słabym głosem, choć z pewną stanowczością.

Bili go teraz po rękach i palcach. W ten sposób można było bić i bić, a delikwent nie tracił przytomności.

Wiktor cierpiał bardzo, lecz starał się nie krzyczeć. Było mu wstyd. Zgrzytał więc tylko zębami i wyczytniał twarzą najokropniejsze grymasy. Czasem jednak nie mógł się opanować i krzyknął raz, dwa — znów się opanowywał i cichł. Oprawcy zmieniali się — Volksdeutsch luzował Ukraińca i przeciwnie. Ręce Wiktora powoli stawały się jedną krwawą raną. Wzięto pod uwagę uda. Wiktor siedział na krześle i uda stanowiły doskonale uwypukloną płaszczyznę. Zaczął się wyrwać. Nie mógł już znieść bólu. Trzymano go. Szarpał się. Zupełnie machinalnie, bez planu zdobył się na krańcowy wysilek i skoczył ku oknu. Tam, za szybą, chciał szukać ocalenia. Dlaczego upadł, potłukł się silnie, skrzył rękę? Tłumacz, doskonały fachowiec w tych sprawach, podstawił mu nogę.

Teraz już Wiktor nie miał nic w zapasie.

Obalono go na podłogę i poczęto bić zwyczajnie po skrwawionym ciele. Bito go straszliwie, bez pardonu, na śmierć. Z ust Wiktora płynęła ślinka, odór kału wypełniał powietrze: kiszki zareagowały swoiście na ból. Kalesony napęcznieły i uderzenia łaski w pośladki wydawały dźwięk podobny do odgłosu kijanki, jaką wiejskie kobiety piorą bieliznę.

Dopiero, gdy był półprzytomny, w malignie, podjął obronę. Skamlał, prosił, przysięgał, że powie prawdę, niech tylko przestaną go bić. Zaklinał się na miłość do matki i żony. Płakał, rzucił się, jak gdyby był poddany działaniu prądu elektrycznego.

Oprawcy przestali bić Wiktora. Po prostu zmęczyli się.

Kazał się wieźć na miasto — pokaże im instruktora.

Gestapowcy nie mieli nic do stracenia. Udali, że mu wierzą.

W aucie uspokoił się nieco, a świeże powietrze wpadające przez otwarte okno wróciło mu przytomność. Był zupełnie złamany fizycznie i psychicznie. Wpadł w apatię tak wielką, że gdyby w tej chwili zapytano go o cokolwiek, najpewniej byłby udzielił wszelkich informacji. Nie mógł już odczuwać ani nienawiści, ani miłości. Wszystko, co dotychczas było dla niego ważne, czy nawet bardzo ważne, obecnie nie przedstawiało absolutnie żadnej wartości.

Tłumacz spytał go o miejsce, gdzie można spotkać instruktora. Odpowiedział coś grzecznie, sam nie wiedział co.

W pewnym momencie otrząsnął się z apatii. Był jeszcze senny i cichy, lecz już zadowolony i czynny. Łudził się, że wie, co go czeka, gdyż powziął postanowienie. Ogarnął go nagle wewnętrzny, nerwowy pośpiech: rozglądał się dokoła, oglądał do tyłu, mrugał oczami, szeptał coś do siebie, słowem niecierpliwił się, tak bardzo bowiem nęciła go nicość. Dojrzał do niej, był jej godzien, gdyż jej pożądał.

Auto stanęło. Gestapowcy wyszli na jezdnię i wyciągnęli Wiktora. Zmasakrowane ręce kazali mu trzymać w kieszeniach, chociaż poranionej twarzy przecież nie mógł ukryć. Stanęli w bramie. Wiktor, który ledwie mógł się utrzymać na nogach, znajdował się tuż przy wylocie bramy, nieco z tyłu za nim tkwili trzej gestapowcy. Spojrzał na nich z uśmiechem, obrzucił wzrokiem pustą w tej chwili ulicę i ruszył przed siebie niepewnym truchcikiem.

Miał szczęście: Frost akurat zapalał papierosa, Volksdeutsch oglądał się poza siebie, tłumacz zaś wycierał nos.

Wiktor zatrzasnął bramę i biegł poprzez ulicę, a właściwie kolebał się na pobitych nogach, trząsł się.

podskakiwał do przodu. Kał wypełniający kalesony, kolysał się rytmicznie i razil potłuczone pośladki nawet swym znikomym dotykiem.

Volksdeutsch chciał dogonić Wiktora, lecz Frost zdobył się wspaniałomyślnie na wymowny gest ręką: nie mógł już patrzeć na tego człowieka. Miał go dosyć, szkoda było czasu. Volksdeutsch zorientował się od razu, o co chodzi szefowi. Wyjął automat i puścił serię strzałów za uciekającym.

Kule dosięgły Wiktora w chwili, gdy zrozumiał, że nie może już ani biec, ani iść i że zaraz upadnie. Całą siłą woli starał się przedłużyć choć o sekundę swój wysiłek i tak dosięgły go kule.

Pobliski zegar wieżowy wydzwaniał godzinę szóstą, gdy Wiktor został olśniony granicą, która zamyka życie. Ręce z palcami niewiarygodnie wyprężonymi podniósł do góry, usta zacisnął, oczy przymknął jakby z nadmiernej rozkoszy i upadł już martwy twarzą na bruk ulicy. Tak przyłgnął do ziemi na zawsze.

N i e z n a j o m y

MARIA KUNCEWICZOWA

Członkowie Komitetu nie wszyscy znali się między sobą, więc każdy bystro poglądał dokoła, żeby wśród nieznajomych wyłowić twarz przybysza *stamtąd*. Po chwili wielu obecnych zatrzymało uwagę, na drobnym panu z chudymi rysami, z neurasteniczną mgłą w koło oczu. Kobiety uśmiechały się doń ukradkiem, chyląc głowy, a mężczyźni właśnie od niego odwracali wzrok. Wreszcie minister usadowił się za biurkiem, inni pozapadali w fotele, zaszurali krzesłami, chrząknęli...

— Państwo pozwolą — rzekł minister — że w ich imieniu przywitam tak drogiego gościa. Miałam już kilkakrotnie to wielkie wzruszenie i przyjemność mówienia z nim. Ale nie wątpię, że utrafię w myśl państwa, wyrażając raz jeszcze radość, iż dane nam jest mieć wśród siebie wysłannika Kraju...

Kiedy minister tak mówił, spojrzenia wielu zebranych biegły ciągle ze złości do chudego pana. Tymczasem na krześle w pobliżu ministerialnego biurka ktoś się żywo poruszył i wtenczas dopiero stwierdzono, że tam nie gdzie indziej siedzi ten, którego *nikt* nie zna.

Był młody, wysoki, ciemny, miał na sobie ubranie i krawat tak dobre, że niezauważalne. Ani koloru, ani kroju tych rzeczy nie można było wyodrębnić z ogólnego dobrego wrażenia. Z kartką w ręku siedział na swoim krześle lekko, wąsko, jak gdyby oszczędzał miejsca i uwagi zebranych. Powieki trzymał spuszczone, szerokie brwi wyrażały spokój. Kiedy opadły go spojrzenia wszystkich, te brwi nie drgnęły i powieki nie podniosły

się. Minister mówił dalej, wyluszczając cel konferencji i temat referatu gościa. Przy tym, na znak serdeczności, zataczał w jego kierunku ramieniem. „Czy pan gotów?” — spytał wreszcie. Nieznajomy powieki podniósł. Oczy były duże, szafirowe, mało ruchome. „Tak — rzekł — czy mogę przysunąć się jeszcze bliżej biurka, bo rzeczy powiedziane chciałbym wykreślać z notatnika?” Uśmiechnął się błyskawicznie i bez reszty. Jak u dziecka, uśmiech — znikłszy — nie pozostawił na twarzy śladu żadnego uczucia.

Rozpoczął referat od zastrzeżeń. Wymienił dość długi szereg kwestii pierwszorzędnej wagi, o których mówić nie zamierzał. Ściśle wyznaczył teren, na jakim wolno go było pytaniami dosięgać. Żeby z góry wykluczyć nieporozumienia, ustalił terminologię polityczną, zaznaczając, że są to nazwy „brutalne”, nie pokrywające treści zjawisk, które w okupowanym kraju od dawna przekroczyły granice terminów, ustalonych przed wojną. Mówił opornie. Zanim wydobył z siebie zdanie, przyglądał się surowo czemuś dla niego bardzo wyrażnemu, niewidocznemu dla reszty obecnych. Najoczywiściej dopasowywał słowa do konkretów odległych, które nie wypuściły go ze swego kręgu. Wiele zjawisk nie-spornych zaopatrzył w określenie „tak zwane”. „Tak zwany” kraj. „Tak zwane” społeczeństwo. „Tak zwana” lewica, czy prawica. Charakteryzując obecną postać tych zjawisk (charakterystyka dotyczyła szczupłego zespołu cech, objętych tematem), wydawał się patrzeć w ich nową treść, nieznaną swobodnemu światu. Z tego bodaj przymusu transponowania rzeczywistości jeszcze nie nazwanej na język nieaktualnych konwencji, płynęła trudność wysłowienia.

Nieznajomy wyrażał się oględnie i bezosobowo. Nie stosował przymiotników do akcji wroga, ani też do akcji tych, co go zwalczają w warunkach urągających normalnej grze sił. O pieniądzach i o wyrokach śmierci

mówił tonem identycznym. Powiedział np. nie modulując głosu i tyle tylko dając folgi między zdaniami, ile wymaga oddech: „Za regularnie dostarczany czytelny biuletyn radiowy płaci się osobom zaufanym dobrze i regularnie. Wyroki śmierci za słuchanie radia wykonywane są bezapelacyjnie. Szanse niewypadnięcia przy słuchaniu są nieskończenie małe. Komunikaty londyńskie drukuje się in extenso. Opinia informowana jest szybko”. Nie było w tym żadnej sztuczności. Była logika. Dla wolnego świata potworna, dla podbitego, naturalna.

To, co referował, miało pokwitować pewną agendę działalności emigracyjnej. Pokwitowanie nie wypadło pomyślnie.

— Tam chcą prawdy — mówił. — I uzyskują prawdę. Ale muszą jej szukać okólnymi drogami. Przez kraje neutralne. Przez Overseas Service. Bo stąd ona nie przychodzi. Stąd optymizm. Zachęta. Otucha... To jest zbędne. Za to nie warto umierać. —

Znowu wyrzekł słowo „umierać” w ten sposób, jak tutaj wymawiano „bulić”. W jego interpretacji obie te czynności zostały zrównane — płacenie życiem i płacenie pieniędzmi. Zrównane także zostały sprzedażne dobra: tutaj — obiad, garnitur... Tam — byt narodu, honor człowieka...

Nieznamy wyraźnie zdawał sobie sprawę z paradoksalności i krótkotrwałego sensu takiego wyrównania. Żenowało go to, iż musiał tym znakiem równości operować na terenie, gdzie los nie zmuszał jeszcze wszystkich do jego przyjęcia. Oczami, postawą dawał znać, że docenia trudności słuchaczy w pojmowaniu nienormalnego świata i że za te trudności świat normalny przeprasza.

Raz tylko kurtuazja referenta stawała pod falą uczucia.

— Te samoloty strącane przez naszych — powie-

dział i wzrok mu się zapalił — Ten Orzeł, ten Sokół, ten Wilk...

Przerwał. Pozdrawiał pewnie w myśli tych ze świata normalnego, którzy również płacą życiem, kupując dobra nieuchwytnie.

Następnie przeszedł do postulatów polityki krajowej. Wyszczególnił różnicę programów partyjnych. Kiedy z akcentem przekonania przedstawiał postulaty „tak zwanej brutalnie” prawicy, jegomość w zielonym ubraniu mruknął: „To jest prawicowiec”. Zaraz później gość sformułował żądania „tak brutalnie zwanej” lewicy i pan w ubraniu szarym nachylił się do sąsiada: „byczo, to jest lewicowiec”. Gdyż stanowisko lewicy miało w nim komentatora nie mniej wymownego.. „Może centrum?” — szepnęła blondynka. Ale o centrum głucho było w sprawozdaniu *stamtąd*, gdzie wyroki życia są cięższe od wyroków śmierci.

Różnice między prawicą a lewicą istniały więc po dawnemu. Były to jednak różnice „brutalnie tak zwane”, skoro z raportu wynikało, że *tam* i lewicowcy i prawicowcy umierają za to samo — za wolność. Uprzymiwniając sobie ten fakt, obecni dowiedzieli się już bez zdziwienia, że ani lewica, ani prawica nie są skłonne do ustępstw na rzecz ościennych potęg.

Na zakończenie gość przytoczył jeszcze jeden dezyderat od „tak zwanego” kraju. „Tak zwany” kraj nie życzył sobie, żeby propaganda nazywała go cierpiącym. Żądał, aby go nazywano *walczącym*.

Nastąpiła z kolei część nieformalna wieczoru: pytania. Ludzie ożywili się. Pragnęli dawno wyjść poza ogólniki, przekroczyć oficjalny dystans, zwyczajnie gadać z rodakiem. Nie chodziło im tyle o komunikat, co o prywatne wskazówki *stamtąd*, o informacje *stąd* — chodziło im o kontakt. A także — kto wie, czy nie najbardziej — o wytłumaczenie sobie wzajemnie, dlaczego oni tu, tamci tam i jakie są wspólne szanse.

Niektórzy nawet wstali z krzeseł i pogarnęli się w stronę przybysza, szykując dłonie do uścisku. Ale wysłannik siedział nadal na swoim krzesełku wąsko, lekko z rękami skrzyżowanymi na kolanach, z kartką papieru złamaną teraz we czworo, ujętą w dwa spokojne, cienkie palce. Siedział w charakterze kogoś tak przypadkowego, przelotnego... Kogoś, z kim zawieranie znajomości osobistej nie może mieć żadnego sensu. Zebrani cofnęli się na swoje miejsca. Sekretarz zapisywał do głosu, minister go udzielał. Pierwszy zapytał o jakąś sprawę techniczną kierownik pewnej agendy rządowej. Podczas gdy jąkał się i czerwienił, przybysz patrzył nań, jak przed chwilą na biurko, a jeszcze przed tym na własne paznokcie: uważnie i bez uczuć. Do odpowiedzi przystąpił nie natychmiast. Ważył coś w sobie, czy przypominał, czy wybierał...

— To nie należy do mojego działu — odrzekł w końcu — pan może się tego dowiedzieć inną drogą.

Wszystkie podobne pytania zlikwidował tak samo, zawsze po namyśle.

Z odpowiedzi powiało wielkim chłodem. Chłodem nie z tego świata. Wyjaśnienia, o które proszono, nie naruszyłyby Tajemnicy, dostarczone być mogły w rezultacie drobnego wysiłku pamięci, a omyłka w nich nie spowodowałaby nieszczęść. Wysłannik odmawiał tego drobnego wysiłku, czy też tej nieważnej omyłki. Sprawa cuchnąca ranami, więzieniem i śmiercią — zapytanie od wolnych, odbierane przez niewolników podziemną, „inną” drogą — dla niego od tej sprawy dopiero zaczynała się skala wysiłków i omyłek... Dół twarzy miał pokryty niewielkimi, sinymi bliznami. Może połknął kiedyś zagraniczne pytanie i nie chciał szcęk rozwiązać, kiedy oprawca kłuł go w zęby ostrym, przypadkowym narzędziem?

Jedno było pewne: przybysz płacił osobiście wszystkie ludzkie ceny za wolność w roku pańskim 1943

i nigdy nie kupował dla siebie. Odwykł więc od darmochoy. Odwykł także od pomyłek, za które egzekucja zbiorowa nie grozi.

„Co to znaczy? — ktoś szepnął — Dlaczego on nie chce mówić?”. Ktoś drugi wzruszył ramionami: „Psychoza”.

Tymczasem wysłannik sam przerwał milczenie.

— Kraj się dziwi — powiedział — że państwo tak mało żądają danych. My wprawdzie materiału przysyłamy wiele, ale w radiofonii światowej tego materiału nie słyhać. Jeżeli więc o kraju głucho teraz, kiedy jego sytuacja w świecie jest taka wspaniała, to pewnie nasz materiał nie jest ten, co trzeba. Czemu nikt stąd nie żąda materiałów właściwych?

Zapanowała cisza. Minister mrugał forsownie, niektórzy poczerwienieli, inni zbledli, ktoś przerażony syknął, ktoś się głośno zadziwił: „Ooo, sytuacja wspaniała?”.

Gość, zadawszy *swoje* pytanie, siedział nieco mocniej, pochylony do przodu.

— No, tak, sytuacja wspaniała, — powtórzył — wkład wojskowy i polityczny kraju w tę wojnę jest przecież olbrzymi.

Jakieś pół-szaleńcze, pół-sprytne uśmiechy przewiały po twarzach. Głowy poderwały się w tył, powieki opadły, dech zamarł, jak u ludzi, którzy w rozpędzonym pociągu zauważyli na tym samym torze pociąg inny, pędzący im naprzeciw. Czerwony od krwi, pociąg widmo... „Nie zawarliśmy armistice’u, nie mamy Quislinga” — dyszał ten pociąg coraz wyraźniej, coraz bliżej, głośniejsz.

Londyńscy pasażerowie skurczyli się. „Nie zawarliście armistice’u, nie macie Quislinga — zażegnawali pasażerów z kraju — wiemy, jaki wieiecie wkład: męstwo bezbronných, nieprzekupność zgłodniałych, szczerobroblliwość nędzarzy. Chwała wam. Ale zatrzymajcie

się w pędzie, zanim nas zmiążdżycie. Bo przepaść jest za nami! Bezdenna przepaść normalnego świata”.

— Więc pan sądzi — odezwał się minister — że radia Ankary, Zurichu, Stockholmu, nie mówiąc oczywiście o Londynie, Washingtonie i Moskwie, czekają tylko na moje materiały stamtąd?

Gość powoli odwrócił głowę w stronę prezydyjnego fotela. Wyglądało na to, że ów fotel, wypełniony grubym brodatym ministrem, wydał mu się pusty, bo szerokich brwi uniósł nieco z wyrazem zdziwienia. Po czym odwrócił wzrok ku lampie, milczał. Natomiast osoby dotąd obojętne zaczęły naraz reagować.

Chichotano, błyskano oczami, napastliwość skupiała się raz w jednym, raz w drugim kącie sali... Nieznajomy nie podążał za ściegiem lokalnej intrygi. Składał i rozkładał swoją kartkę. Nieprzenikniony, czekał.

Znowu nastała cisza. Człowiek, siedzący pośrodku, nie miał więc żadnych zainteresowań tutejszych? Niczego tu nie chciał odgadnąć, wytropić, z niczego osobiście skorzystać? Kim że był w końcu? Inteligent? Tak. Ale jego czasowniki miały twarde, jak gdyby chłopskie akcenty. Cienkie, długie palce? Tak. Ale kiedy mówił o nadziejach „ludu”, głos jego nabierał proletariackiego brzmienia. Doskonały garnitur? Tak. Ale kołnierzyk od koszuli przetarty. Narzecze ani wschodnie, ani zachodnie, ani południowe. Słownictwo ani bogate, ani biedne. Młody, lecz ze spokojem starca. Spokojny, ale silny, jak ktoś, co o starości nie wie.

Co wiedział naprawdę? Czego się spodziewał? Z jakiego domu wyszedł, idąc po raz pierwszy do szkoły? Jaka matka go pieściła, jaki ojciec go karał? Gdzie jest to miasto i ta wieś, które złożyły się na obraz jego świata? I skąd, od Boga, czy od Szatana otrzymał siłę przedzierzgnięcia się z chłopca w osobę mitologiczną, w posła od wszechmocnych nędzarzy do bezsilnych ministrów, w posła Tajemnicy?

— Jeszcze jakieś pytania? — poddał grzecznie.

Pewien brunet zerwał się z krzesła, poczerwieniał, pierś mu falowała, zrobił gwałtowny ruch ręką, usta otworzył — i tak zastygł. Po chwili, nie wymówiwszy słowa, usiadł.

Wreszcie z rogu pokoju, zza pleców innych ludzi, podniósł się głos nieśmiały.

— Proszę mi nie odpowiadać, jeżeli nie można. Jednak zapytam o dwie rzeczy: kto bierze górę w kraju — lewica, czy prawica? I czego kraj pragnie — wojny długiej, czy krótkiej?

Nieznamy po raz pierwszy w ciągu wieczora okazał niepokój. Cofnął się na swoim krześle, wargi mu drgnęły. Skoncentrował wzrok na jakimś dalekim punkcie.

— Kto bierze górę? — powtórzył wolno — kto... — zastanowił się i nagle, jak zbudzony ze snu, krzyknął prawie — Nie wiem! tego nikt nie wie...

Urwał. Znowu zapadł w myśli i znowu wynurzył się z nich, wstrząśnięty.

— Co do wojny... Kraj, owszem, wie. Wie, że historyczna racja stanu państwa wymaga wojny długiej. Biologiczna zaś racja narodu wymaga wojny krótkiej.

Po oczach wysłannika przeszedł cień, źrenice pociemniały i zgasły. Dokończył cicho:

— Jak najkrótszej.

Zrobiło się straszno. Cień z oczu wysłannika poszedł na całą salę, zczerniał i zgęstniał. W tej czerni dopiero dojrzeć było można tamtą stronę świata — strefę nieobecnych, strefę, z której pędził na spotkanie świata tutejszemu pociąg widmo, wiozący „material”: trupy cywilne, sine, zielone, albo białe jak mgła, ciała męskie, ciała kobiece okaleczone przez tortury, przez mróz, przez głód, miliony dziecinnych szkieletów, stada oszalałych matek, tłumy jeńców utapianych w błocie, przez które tunelami podziemnymi uciekli, miliony wysuszo-

nych mózgów, spuchniętych brzuchów, nieulękłych serc. Pociąg pędził sam, bez maszynisty, bez palacza, jak rakietę śródgwiezdna, wystrzelona przez Ziemian ku Marsjanom. Pędził wysoko, pędził szybko, pędził niezawodnie — i Ziemianie, którzy taki „wkład” w niebo wystrzelili, mieli prawo sądzić, że ich sytuacja w świecie jest sytuacją „wspaniałą”.

Członkowie Komitetu zrozumieli to i było straszno... Ale pora dinner'u nadeszła w londyńskich jadłodajniach: zebranie musiało się kończyć.

— Więc kraj wie — podjął ten sam nieśmiały głos — I my wiemy. Jakiż stąd wniosek? Która racja jest ważniejsza: historyczna czy biologiczna? I co my tutaj mamy robić?

Nieznajomy powstał. Tak powstał, jak dzień powstaje z nocy: tajemniczy, mogący znaczyć wszystko, mogący znaczyć nic.

— Wniosku nie ma — rzekł — Co jest ważniejsze, tego nikt nie wie ani tutaj, ani tam. A co wy macie robić? Róbcie swoje. Gdzieś kiedyś może zejść się te drogi.

Ruszono do wyjścia, nie przedstawiając się gościowi i nie żegnając go. Nazwiska tutejsze, formy tutejsze nie miały znaczenia *tam*. On zaś nie posiadał nazwiska, ani żadnej formuły na użytek *tu*.

Londyńczycy wychodzili śpiesznie. W drzwiach od windy stał ów drobny pan z chudymi rysami, z neurastenią we wzroku, ten pan, którego zrazu część zebranych wzięła za wysłannika. Bardziej jeszcze niż przedtem wyglądał, jak Chrystus. Kobiety nagle rozczuliły się i obstały go. Niektóre szeptem wymieniały swoje nazwisko. „My się jeszcze nie znamy”. Przyjaciel go zaczął: „No co, Nieznajomy przywiózł ci może wiadomości od żony?”. Chudy pan otarł łzę na rękę. „Nie, nic nie przywiózł”. Kobiety ścisnęły jego dłonie. Nareszcie ktoś cierpiał i mówił w sposób zrozumiały.

Kazachstańskie noce

HERMINIA NAGLEROWA

Zachody i wschody słońca sąsiadowały z sobą na horyzoncie. Brzask zachodu, przez wiele godzin przykryty nocą, przedzierał się znowu i tym samym złoto - zielonym mżeniem rozświecał brzeg nieba jako wschód.

Były to dwa krańcowe momenty, zamykające czas mojej nocnej służby w kazachstańskim łagrze, w Burmie. Zanim jeszcze zupełnie zmierzchno, dopomagałam przyrodzie, wzniecając kłęby kurzu kilkuprętową miotłą. Wtedy nad wielkim dziedzińcem unosił się już wysoki, gęsty i krztuszący zmrok. Po sześciokrotnej wyprawie do stawu (6 razy po 1500 kroków), gdzie nabrałam za każdym razem wiadro wody dla sześciu drzewek powiędłych od upału dnia — zastawałam już prawie noc na ziemi. Na niebie trwał jednak jeszcze turkusowy blask jako tło dla oficera z „kantoru” i dla inżynierki Nataszy. Odbывał się właśnie ceremonial pieczętowania zamków i klódek u drzwi dwóch pomieszczeń składu trucizn. Składów tych i ich zawartości strzegłam noc w noc.

Kiedy oficer schodził na dół do „loszku” aby wciśnąć pieczęć w gorącą smołę, zawsze przypominałam sobie to samo: — Przygarbioną postać gumienego z latarnią zawieszoną na guziku kurtki i wesołego chłopaka, wywijającego blaszaną bańką. W porze turkusowego zmierzchu, który nie sięgał już grządek pietruszki, a postaci idących wyrzucał z siebie jako czarne sylwetki — szli do loszku po naftę, po „kanfinę”, jak się to w moich stronach mówiło.

Wyczerpanie fizyczne odbierało mi zdolność do urozmaiconego odtwarzania treści uzbieranej przez wszystkie lata mojego życia. Dlatego, zapewne, siedząc na ławce pod ścianą składu trucizn, patrzyłam na światelka, które gdzieś w dole tliły się jeszcze do oznaczonej godziny w oknach baraków — jak na wieś, zamieszkałą przez ludzi, dobrze mi kiedyś znanych. I dlatego też niebo pełne gwiazd było niebem Wojskiego z „Pana Tadeusza”.

Wyobrażenia ubożała od tych ułatwień, po czym już zamazującymi się konturami gasła i pustoszała w niedozwolonym drzemaniu. Ocknienie przychodziło z nagła wywołane jakby uderzeniem pięścią albo ukłuciem szpilką. Trzeba było utrzymać się w granicach rzeczywistości, trwając w niej przytomnie i gniewnie.

Noc, która pięknem nie zawiniła ludzkiej krzywdzie, spełniała swoje czary według nakazanego programu. Gwiazdy, mocno osadzone na niebie, przetaczały się wraz z nim w miarę posuwającego się czasu. I te, które tworzą rysunek grup, i te trwające samotnie, i te drobiazgi się w miriady. Niektóre opalowe w rozmruganiu, inne miedziane lub mosiężne, zastygłe w punkty i kulki. Nie widziałam ich promienności na wysokim, szklistym niebie. Natomiast widziałam, jak bladły gdy księżyc zamrażał swoim światłem niebo i ziemię.

Księżyc, nieodparty, straszliwy, pojawiał się za zarysem „sopków”, przesuwając za każdym razem miejsce swoich wschodów. Wylaniał się prawie znienacka, czerwony i ogromny, bez względu na to, czy pełnią, czy też tylko ćwiartką, rogiem, sierpem wychodził na niebo. Tracąc czerwień, choćby był tylko rąbkiem, rozjaśniał ziemię, odsłaniając daleko obszar stepu aż do jego zetknięcia się z ciemną ścianą północy. Tu bliżej ściany domku, w którym spała inżynierka Natasza, i ściany składu trucizn rzucał cień wygładzający nierówność dziedzińca.

Na stepie prychały konie, w głębi łagru łomotał jakiś młyn, młynek czy motor. Za łagrem gasły i znowu zapalały się latarnie wzdłuż toru kolejowego. O godzinie jedenastej przebiegał ciemny pociąg. Księżyc na chwilę srebrzył smugę dymu, w sopkach podwajał się echem stukot tłoków, a gwizd parowozu brzmiał już gdzieś dalej zwalniającym oddechem przy stacji.

Głosy i widma nocy obchodziły się długo bez ludzi. Nie było ich w mojej wyobraźni i świat zdawał się ich nie potrzebować. Sopki, zachowując swój niezmienny falisty rysunek, górowały nad dachami baraków. Niekiedy wielkie sowy, lecąc nisko, miękkimi skrzydłami przesłaniały na moment księżyc. Nietoperze natomiast trzepotem wprawiały w popłoch moje powieki. Czasem też komar szczególnie natarczywy, nie przegnany chłodnym światłem księżyca, brzęczał zjadliwie przy uchu. Zdarzały się wtedy omyłki słuchowe, bo trudno było odróżnić brzęczenie komara od grania motoru samochodów, które od czasu do czasu biegły po niewidocznej szosie. Muzyka motoru rozdrażniała wilki stepowe, krążące koło pasących się koni. Wycie-szczekanie rozdzierało wtedy noc, która na pewien czas stawała się piekłem pełnym żalobnej wściekości. Pastuchy — więźniowie z łagru — podnosząc wrzawę, wprowadzali wreszcie głosy ludzkie na scenę nocy. Ale były to głosy podobne do wilczych, tym tylko się różniące, że brzmiał w nich ponadto strach. Konie w przerażeniu uciekając ze stepu, pędziły przez dziedziniec składu truziczn, aby moje „stróżowskie” noce upiększyć balladowym widowiskiem.

Bywało jednak, że przerażenie nadchodziło z daleka, z przestrzeni nieobjętych nawet domysłem. Łagodząc przeczucia, ustalałam byle jakie miejsce. Mówiłam: „To za „zoną”. Palba karabinów oklaskiwała rozrzutnie jakąś scenę, którą odgrywał samotny człowiek. Gdzieś tam biegł, przykucal, pelzał. Zdradzony świa-

tłem księżycy, odpychał swój cień, klucząc po stepie. Jeżeli jeszcze nie padł przygwożdżony kulami, jeżeli jeszcze biegł — wciągał go w siebie step pustką nie obliczoną na dzień i noc. Ale karabiny podjęły koncentryczny ogień ze wszystkich posterunków łagru. Więc człowiek stał już tam bezradny, w oczekiwaniu niezawodnej wolności. Konającego dopadła kolba, dyszało nad nim plugawe słowo, wysuszona ziemia smakowała słono na wargach. Step uciekał w swoją nieskończoność, przeganiając się ze sklepieniem nieba. A niebo pozostawało przecież nade mną i miało płynność głębokich, ciemnozielonych wód. Po tym, co się tam gdzieś dokonało, zostawał tylko lęk przestrzeni. Step. — step...

Innym razem, gdy księżyc schodził z nieba, na dręczce, mijającej składy trucizn, skrzypiały karawany wozów, zaprzężonych w woły. Toczyły się więc wolno i długo, zanim dotarły do magazynu po jarzyny przeznaczone dla stółówek NKWD i ładowane w Karagan-dzie do Moskwy dla Kremla. Odbywało się to zawsze w głębokiej ciemności i tajemnie, jakby w ukryciu przed nieprzyjacielem. Ale Kazacy, nie zważając na surowe zakazy, śpiewali w rytm wlokącej się karawany swoje płaczliwe: ajajaj. Może to były modlitwy, może baśnie, a może tylko skargi, które pręły ciemność nieprzychylną ludziom. Słuchając tych zawodzeń, nie doznawałam jednak uczuciowych refleksji, gdyż zapadałam w długie, nieznosne majaczenia głodowe. Jarzyny — marchew, cebula, ogórki, kapusta, buraki, kartofle — surowe, soczyste, ich chrzęst między zębami, słodycz na podniebieniu, ostrość ich zapachu, ich mączność wtłaczająca się w przełyk... Osłabiony z głodowania żołądek spełniał urojoną pracę aż do omdlałego zmęczenia. Papieros, skręcony z papieru gazetowego i ze szczypty suszonych kwiatów, szczypał w język i wysuszał ślinę, nie dając nikotynowych omamień.

Nic już nie było omamieniem w takich chwilach. Głód, niedospanie ścinały ciało dręt看otą i łachmanily duszę. Chwiejąc się na nogach, usiłowałam chodzeniem zwalczyć bezżycie. Musiałam jednak przystanąć na jakimś miejscu dziedzińca, które mogło być tak samo środkiem kuli ziemskiej. Stałam pod zenitem nieba, wepchnięta w noc. Raz w takim momencie pogłaskał mnie Bóg błyskawicą, otrzeźwił piorunem i pokarał nawałnicą deszczową. Od tej chwili zaczęłam się modlić bardziej żarliwie.

Odczekawszy „hudok” — wieczny sygnał trąbki, dającej znak do gaszenia światel w barakach, zaczynałam modlitwy. Były różne — i te prawidłowe, nauczonne, i własne układane ze słów pokornych i pysznych, prostych i patetycznych. Do modlitw dołączałam potem wiersze, wydobywane z zastygającej pamięci. Te świeckie strofy i rymy ofiarowywałam również Bogu. Spokojniałam, nabierając jakby pewności życia, mimo, że słowa wierszy dotyczyły śmierci: „Tej samej nocy Hafne i Amina umarli, leżąc na łożu przy sobie...”, „Zbrodnia to niesłychana, Pani zabiła pana...” Cierpienie i grzech „wierszowych” ludzi oddawałam boskiemu miłosierdziu tak samo, jak swoje własne cierpienia i grzechy.

Ale tuż blisko był człowiek, istota nieznana — inżynierka Natasza. Mieszkała w swojej izdebce, w niej jakim wyróżnieniu. Za to, że umiała truć pasożyty na roślinach i odkażać stepową pszenicę, zaznawała tego szczęścia samotności. Legowisko na stojakach, stół, skrzynia i własna kopczą lampa w izdebce-komórcie, przesiąkniętej zapachem owych jadowitych chemikalii, określały pozycję inżynierki. Jako mieszkanka „baraku 100”, gdzie natłok ludzki, pluskwy, wszy, pchły i muchy, gdzie smród powietrza, rozmów i łagiernego obyczaju truły gorzej wszystkich jądów — wchodziłam do izdebki Nataszy jak do zacisznej kapliczki.

Natasza była jeszcze młoda i miła wzrokowi. Miała okrągłą, przepaloną od słońca twarz, niebieskie oczy o zaczerwienionych białkach, włosy pszennego koloru, splecione w warkocze ułożone obficie wokół głowy, która przez to robiła wrażenie zbyt dużej. Żyjąc w nieco lepszych warunkach, zachowała czerstwość jakby wieśniaczą. Jej powściągliwość odnosiła się najwyraźniej do mojej obcości narodowej. Opowiedziałyśmy sobie krótko, kim jesteśmy i za co tu jesteśmy. Takie obowiązywały zwyczaje „towarzyskie”, nie zmieniające jednak wzajemnej nieufności. Natasza była komunistką, osadzoną, jak tyłu innych, w łagrze za jakieś niepojęte dla mnie odchylenia czy też kacerstwa ideowe. Pozbawiono ją wolności „za męża”, który również czymś zawinił przeciw dogmatom i reżimowi.

W systemie łagrowym choć wszystko odbywało się na jednakowej płaszczyźnie nadmiernej pracy, głodu i sponiewierania, istniały jednak różnice i hierarchie. To też inżynierka Natasza okazywała mi swoją łaskawość słowem i gestem właściwym osobom wyżej postawionym. A może tak właśnie — powściągliwie i oficjalnie — objawiał się jej beznadziejny smutek po niespełnionych zamiarach nauki i pracy, po zawiedzionych uczuciach i zgaszonych ogniach osobistego życia.

Obserwowałam ją z oddalenia. Weszła w bezludzie moich nocy, abym znowu ćwiczyła się w spostrzegawczości, w wysnuwaniu wniosków, w wiązaniu akcji. Jednocześnie jednak wyzwalalam się z egzotyizmu, tak bardzo dokuczliwego w tamtych warunkach. Ciągłe przecież usiłuje człowiek pozbawiony wolności docierać do swojej istoty, aby biec jej na ratunek przed zagubą. Wspominając przeszłość, przeciwstawiając się teraźniejszości, w rozżaleniu czy w oporze, odbywa się ta zapobiegawcza praca, przy jednoczesnym zdawaniu sobie sprawy z utraty sił fizycznych i zasobów duchowych. Tak umiera człowiek chory na raka albo na roz-

padową gruźlicę, tak właśnie, jak kona powoli, uporczywie walcząc o swoje przebrzmiałe „ja” — sowiecki lagiernik.

Natasza zaludniła mój nocny, księżycowy, gwiazdny albo zaciemniony świat nie tylko sobą. Odwiedzali ją niekiedy znajomi, których także usiłowałam rozpoznać ze spłowiałych oznak życia. W skojarzeniach tłumaczyli się wyraźniej, a nabierając znajomych mi cech ludzkich, budzili współczucie. Nie wiedząc o tym, stali się moją troską i niepokojem.

Odczuwałam to zwłaszcza wtedy, gdy przychodziła Szura. Nie przychodziła, tylko przemykała się o zmierzchu. Jej biały fartuch — była bowiem pomocnicą inżynierki, więc czymś w rodzaju laborantki — wpływał niespodziewanie ze stepu. Stamtąd szła, unikając spotkania ze „strielkami”. Natasza ryglowała wtedy drzwi od wewnątrz i po długich minutach a nawet kwadransach ciszy, domek zaczynał jakby drżeć od wzburzonych, rytmicznych słów. To i deklamowała Szura. Czasem mogłam uchwycić dobiegające do siebie rymy, czasem krzyknęło słowo protestem albo rwało się płaczem, aby potem powoli i długo zamierać, jak człowiek umęczony torturą. Bywały jednak i zwroteczki pełne czułości, młodziutki, kapryśne, kolorowe.

Natasza powiedziała mi, że Szura była na wolności aktorką. Mówiąc to, jakby usprawiedliwiała przyjaciółkę, która ciągle jeszcze nie chciała zapomnieć o tym, co przepadło. Kilka razy widziałam Szurę niemal za widna. Miała cygańską urodę, ale jej zgrubiała cera była chropawa i cynobrowego koloru, jakby natarta cegłą. Szura była drobna i tak chuda, że biały fartuch zdawał się mieścić w sobie tylko rozwidloną gałązkę. Tym dziwniejsze wydawały się więc jej zbyt wielkie ręce jakby rozplaszczone pod kowalskim młotem. Kiedy, witając się z Nataszą, brała jej twarz w te swoje

ręce, wyglądało to tak, jak gdyby niosła w nich pękaty garnek albo kawon.

Po deklamatorskich wybuchach, wypadała Szura z domku Nataszy — wcale nie uspokojona. Płacząc, prawie krzycząc, wołała „dobranoc!” i można ją było widzieć jeszcze przez jakiś czas fruującą jak biała ćma nad suchymi, księżycem posrebrzonymi badyłami stepu.

Zostawał po niej niepokój. Kiedy odchodziła tak wzburzona, Natasza długo w noc stała na progu domku i mówiąc zdawkowo: „piękna noc”, albo „duszno w izbie”, patrzyła jak przewijam bandażem rany od cyngi na nogach, jak z płóciennej torby wyjmuję stwardniałe kruszyny po dziennej porcji chleba i skąpo je sobie wydzielam, żeby starczyły na całą noc. Nie miałyśmy sobie nic do powiedzenia i tak przecież wiedząc, jak z nami jest. Milczenie nasze przebiegało dzielącą nas dwu, trzymetrową przestrzeń, jak nitki na motku trzymanym w obu rękach. Ktoś — tak mi się zdawało wtedy — zwijał z tych nitek kłębek, nie — kłęb tak już wielki, jak piłka nożna. Ktoś tę piłkę podbijał nogą. Podbijał tak wysoko, aż zawisła księżycem na niebie.

Tak myślałam, również pełna niepokoju, zdziczała w milczeniu i nie zdolna już do kontrolowania przywidzeń. Natasza mówiła rzeczowo: „Trzeba wam witamin, bo macie cyngę”. Odchodząc, przypomniła tak samo rzeczowo, żeby ją zbudzić rano, jak zatrąbi „hudok”. Zostawałam znowu sama wobec wyścielającej się nocy. I znowu wracałam do przywidzeń, które trzeba było teraz przymuszać, aby zjawily się z powrotem.

Nie wystarczało bowiem samo pragnienie, więc niejako wewnętrzne wytwarzanie kształtów i barw. Musiało się pomagać mrużeniem powiek, naciskaniem skroni, nawet powstrzymywaniem oddechu. Wtedy dopiero ukazywał się obraz, zawsze ten sam. Za snopkami, właściwie nad nimi — łuna, a na niej zarysy miasta, wieże kościołów, drapacze chmur, kominy fabryczne.

zygzakowata linia dachów. Miasto było czarne na tym czerwonym tle. Na nieco bliższym planie jawiły się słupy telegraficzne połączone drutami. Na drutach siedziały jaskółki. To wszystko.

Zapatrzona w to dalekie miasto, posiadałam w istocie już wszystko to, co mogłam wydobyć z nicości. Ani nie pragnęłam być w tym mieście, ani wiedzieć, co to za miasto. Dziwiły mnie tylko jaskółki. Skąd się tu mogły wziąć, kiedy nawet wróbli było niewiele w tej Burmie. Ptaki unikają głodnych ludzi, a może głodni ludzie wytępilli ptaki, nie nasyciwszy się nimi. Wystarczyło jednak zdziwić się tym jaskółkom, żeby nagle polunie nad miastem zaczęły lecieć stada ptaków. Leciały tak, płynęły, kłębiły się w drobnym rozkruszeniu niby roje komarów. Ten ruch ptasi stawał się wreszcie monotony jak sen. Niewątpliwie też był zasypianiem.

Budziłam się jakby ostrzeżona. Bo właśnie — z daleka od magazynu jarzyn, od stajen, od garażu odzywały się w przerwach głosy innych stróżów nocnych: „Kto idiot!” i głuche odpowiedzi: „Swoj!” — To szła „prowierka”, ront, inspekcja nocna. Czy stróż stróżują, czy nie posnęli? Słysząc było pomruk krótkiej rozmowy, albo podniesiony głos nagany i zapowiedź kary. Czekałam już na skraju dziedzińca, uzbrojona w słowa: „Kto idiot!” Jeden albo dwa cienie schodziły z drogi i mówiły „swoj!”, szły do zamków i kłódek aby zbadać pieczęcie.

Kiedy przychodził tylko jeden wysoki cień, było zawsze jeszcze dodatkowe pytanie: „Inżynierka śpi?” — Odpowiadałam: „Śpi”. Cień wchodził do domku i przez okamgnienie tłumił się w izdebce. Po czym wypadał gniewny, kląć, spluwając, krzycząc w moją stronę: „A ty nie śpij, pilnuj jak pies majątku sowieckiej własności!” Po chwili wychodziła na próg Natasza w kusej koszulinie i to już musiała powiedzieć „obcej”, to już musiała wyjaśnić: „Nie wolno zamykać drzwi od

środku, taki nakaz w łagrach". A potem niemal czule: „A wy nie spali, jak przyszedł?"

Nie wiem, czy o tych nocnych wizytach opowiadała potem Natasza inżynierowi Iwanowi Kiryłyczowi. Ten przychodził z wieczora, po pracy i zostawiał na żwirze ślad zakosu kulawej nogi. Nie zastawszy Nataszy, siadał obok mnie na ławeczce i niby trochę rozmawialiśmy z sobą. Iwan Kiryłycz mówił po francusku i po niemiecku, ścisząc głos do szeptu. Odbywał swoją karę już szósty rok i cały stał się jakby szarym szeptaniem. Jego pociągła, zapadła twarz inteligenta była także szara. A w płucach miał szarą flegmę nieco tylko zabarwioną żyłkami krwi.

Nasze rozmowy nie były osobiste. Ale raz, patrząc przed siebie na zachodzące słońce, na tę rozlewającą się skrajem ziemi czerwoną ławę — wyznałam mu, że modłę się. Uśmiechnął się dziecinnie i zapytał: „Na co się to zda?". Spieraliśmy się o te sprawy zapalczywie, po studencku. Inżynier trzymał w rękach bukiet stepowych kwiatów, bo zawsze przychodził do Nataszy z bukietem. Na kołnierzu jego wytartej marynarki chodziła wesz, duża, majestatyczna. Paliliśmy papierosy z suszonego zioła i dociekaliśmy prawd bytu. Nie chcieliśmy sobie wzajem przekonać, bo każdy z nas rozumiał swoje tak niezbiecie, że już tylko precyzował końcowe tezy. Wreszcie twarz Iwana Kiryłicza rozjaśniła się ekstazą. Z daleka zobaczył nadchodzącą Nataszę. Nie była jednak sama — obok niej fruwał biały fartuch Szury.

Przez uchylone drzwi dolatywała mnie rozmowa niegłośna i stateczna. Napływał też ostry zapach cebuli i rzodkwi. Do tego właśnie był potrzebny szeroki fartuch Szury — domyśliłam się. Jedli ukradkiem kradzione z ogrodu jarzyny. Kiedy skończyli, najpierw wymknęła się Szura, uspokojona tym razem. Dźwięcznym głosem „aktrisy" powiedziała mi „dobranoc". Jej

spękane wargi były zwilżone. Po niedługim czasie pokuszył się dziedzicem Iwan Kiriłycz. Natasza wyniosła obierki, żeby je zakopać w ziemi. Spełniała te czynności rozważnie. Przydeptała starannie ziemię, jak zbrodniarz, który zakopuje swoją ofiarę i zaciera ślady. Przechodząc obok mnie, nie patrzyła w moją stronę.

Gdy noc już zupełnie ściemniała, Natasza niespodzianie wyszła do mnie. Po ciemku dotknęła mojej ręki swoją ciepłą ręką, a potem poczułam chłód jakichś przedmiotów. Wzdrygnęłam się, zanim rozpoznałam ich kształt. Pierwej jeszcze ujawniły się zapachem jarzyn i ziemi. Natasza powiedziała: „Poprawiajcieś” — i jeszcze dodała przestrożę, żeby nikt nie zobaczył, bo nie wolno, bo wielka za to kara.

Nadgryzłam ogórek. Ale nawet zęby nie miały do niego ochoty. Wydawał się w ustach kawałkiem korka, którego przelęk nie chciał już zupełnie przepuścić. Kiedyś w dzieciństwie podpatrzyłam żebraka, który, siedząc pod drzwiami kuchni, żuł leniwie jakieś wyniesione mu jadlo. Przelykał je, dławiąc się. Resztki rzucił do worka. Pomyślałam wtedy, że nie jest znowu tak bardzo głodny, skoro nie zjadł wszystkiego. Teraz i ja włożyłam resztki do mojego płóciennego woreczka. Tak samo.

Któregoś dnia pod wieczór zerwał się „buran”. Ruda od piasku wichura szła wysokimi falami. Łagiernicy z krzykiem trwogi uciekali do baraków, ale kto miał nocną służbę musiał o oznaczonej porze iść na stanowisko. Przedzierałam się przez „buran”, który dał na mnie. Żwir ciał po twarzy, po ranach cyngi. Pęd wiatru uderzał twardo, jak taran. Na dziedzińcu składów trucizn okręcał się wichur. Miał tu wysoką postać secesyjnej damy. Zaplątałam się w rozwiany tren jej sukni i nie mogłam ruszyć z miejsca. Nagle „buran” opadł i jakby zgasł.

Noc jednak była burzliwa. Błyskawice szczyrzyły się

na widnokręgu, albo rakietami spadały po łuku nieba. Gromy zbliżały się niebezpiecznie, to znowu burczały gdzieś za sopkami. Niekiedy chmury odsłaniały swój kształt na częściowo oczyszczonym niebie. Za to ulewa spłynęła z jednostajnej już czerni, pluszcząc i szumiąc. Stałam pod okapem, który był złudną osłoną. Jak zwykle przebiegł pociąg, jak zwykle turkotał młyn czy motor. Z dachu stoczył się, jak grudka błota, zabity przez ulewę nietoperz.

Kiedy burza ustała, wilgotna ciemność przygarnęła się do mnie tak ciasno, że musiałam dalej trwać nieruchomo pod okapem. Wreszcie zdecydowałam się odszukać ławeczkę. Zgarnęłam z niej wodę i zdawało mi się, że siedząc odpoczywam po ogromnym trudzie. Po trudzie, który jednak zmogłam. Ciszę dzielił plusk spadających z dachu kropli. Należało teraz uporządkować mój nocny świat. Najpierw strony tego świata, potem miejsca w nim oznaczone: garaż na prawo, nieco z lewa magazyn jarzyn, obory i stajnie na wprost, za barakami. W porządku. Potem ludzie: Natasza śpi w swojej izdebce. Dobrze sypia się w czasie burzy. Iwan Kiryłycz na pewno nie rwał dziś kwiatów na stepie. Leży na narach w baraku, wypluwa flegmę, pali śmierdzące papierosy. Szura domierza wiersze do wiatru, do piorunów. Wstrząsnął mną śmiech czy dreszcz, bo ubranie moje przemokło. Ale naprawdę śmiałam się z Szury, która deklamowała tylko wtedy, kiedy była głodna.

Rozweseliłam się tym, jak żartem dobrze utrafiłbym. Śmiałam się półgłosem, chcąc słyszeć jak brzmi wesołość. Nagle usłyszałam już nie mój śmiech, ale krótkie tępe strzały rewolwerowe. Po kolei — sześć. Były po czymś krzyku trwogi. Kiedy ustały, rozciągnął się długi jęk kobiety. Potem w odstępach powtórzył się kilkakrotnie i zamilkł. Wszystko to działo się gdzieś koło magazynu jarzyn. Porwałam się z ławeczki.

Zawahałam się, czy zbudzić Nataszę, czy zawiadomić ją. Zrobiłam to jednak.

Kiedy powiedziałam Nataszy o strzałach i krzyku kobiety, nie uniosła nawet głowy. Leżała dalej pod cienkim, popielatym kocem, malutka w skuleniu. Zapytała sennie: „Gdzie tak strzelali?” — Zdawało się, że jej to nie obchodzi, czy strzelanina była koło magazynu, na ogrodzie, za „zoną”, albo gdziekolwiek. Zobaczyłam tylko tyle, że zaczęła drżeć. Wiedząc o tym, wparła się policzkiem mocniej w sienniczek-poduszkę, wtuliła usta w powłóczkę i zamknęła oczy jakby znowu zapadała w sen. I jak przez sen zaczęła bełkotać: — „Wyzdychamy... zamęczą... zabijają... nie ludzie...”

Noc była czarna, pachnąca wodą i ziemią. Ale świt wzbierał różowy i staw zaśnieł w dole jak muszla. Jak zawsze o świcie dzwoniły zęby i dreszcz marszczył skórę. Trębacz ogłosił dzień roboczy wraz ze słońcem, które zaczęło promienieć za sopkami.

Wracając do baraku, stawiałam sztywno stopy zdrętwiałe po nocy. Omijałam kałuże i witałam się z małym kundlem o kaprawych oczkach. Jego sierść zjeżona od strupów miała zielono-szarą barwę, podchodzącą pod kolor błota. Zawsze biegł za mną kawałek drogi. Dnia tego, towarzysząc mi dłużej, niespodziewanie zaszczekał. Nigdy dotąd nie słyszałam jego głosu, który tak nagle i jaskrawo rozległ się i przeciągłym ujadaniem jakby mi coś sygnalizował. Prawie go pojęłam, ale nie zaraz popatrzyłam w tamtą stronę. Dopiero, gdy piesek, bardziej niż zwykle zjeżony, tam pobiegł, spojrzałam nieznacznie. Magazyn jarzyn stał w środku warzywnego ogrodu, wśród młodych, nierodnych jeszcze drzewek owocowych. Jego gliniany dach był wygładzony i błyszczący po nocnej ulewie.

Patrzyłam, nie zatrzymując się, gdyż tak nakazywał łagrowy przepis. Byli tam ludzie na ogrodzie.

Czapki strielków znaczyły się barwami. Dostrzegłam, że ludzie ci coś podnoszą z ziemi, że ustawiają się, że wreszcie ruszają z miejsca. Między szarymi postaciami noszących, zabelalo to, co nieśli. Przecież wiedziałam o tym już wczoraj w nocy, wiedziałam o tym już dawniej, już od tamtej chwili, kiedy pierwszy raz zobaczyłam Szurę w białym fartuchu!

B u z u ł u k

JÓZEF CZAPSKI

Wezwany do Sztabu Armii w połowie listopada spędziłem grudzień, styczeń, luty i połowę marca w Buzułuku i na rozjazdach od Czkałowa do Moskwy zawadzając dwukrotnie o Kujbyszew, gdzie znajdowała się nasza ambasada.

Otrzymałem rozkaz stworzenia komórki, która miała na celu zbieranie nazwisk ludzi zaginionych, kolegów aresztowanych, a nie wypuszczonych jeszcze z obozu. W ostatnich dniach października zestawiliśmy pierwszą alfabetyczną listę nazwisk starobielszczan, kozielszczan i ostaszkowców, które udało się nam zebrać z pamięci i ze spisów zrobionych przeważnie jeszcze w Griazowcu. Lista ta wynosząca koło 4 tysięcy nazwisk została złożona Stalinowi podczas audiencji generała Sikorskiego i generała Andersa 4 grudnia. Potem powstała kartoteka tych nazwisk, która była stale rozszerzana, dopełniana i uściślana według nowych napływających informacji. W moich „Wspomnieniach starobielskich” napisałem o tym, co w tamtym okresie było związane z powierzonym mi zadaniem i do tego nie będę wracał. Ale podczas tych paru miesięcy również miałem najwięcej zetknięć z obywatelami sowieckimi, najwięcej szczupłych, niemniej interesujących obserwacji.

Rząd sowiecki robił co mógł, żeby nas od ludności swojej odseparować, jeżeli po dużych trudnościach pozwolono nam w Buzułuku zajmować pokoje mieszkalne w domkach prywatnych — jakiegokolwiek rozmowy szczere były tam jednak rzadkie, bo były niebezpieczne

dla gospodarzy, u których mieszkaliśmy, zresztą i tak doszły do nas wieści już w Turkiestanie, że zesłano wielką ilość mieszkańców Buzułuka, którzy byli w przymusowym zresztą z nami kontakcie za czasów naszego tam pobytu, zesłano ich na wszelki wypadek.

Sam mieszkalem przez pewien czas w małym, niemożliwie chłodnym pokoiku, w mieszkaniu staruszki, dawnej służącej jakichś baronów, którzy mieli za czasów carskich majątek w okolicach Buzułuka.

Staruszka była milcząca, ostrożna i zastraszona. Cóż miała do skrywania, chyba że była wierząca, że się żegnała, że miała biblię i ikonę, że pokazała mi kiedyś w tajemnicy dziwną bibułę, na której był odcisk modlitwy napisanej cyrylicą. Tę bibułę chowała skrzętnie na chwilę swego zgonu. Umierającemu w Rosji, który jest wierzącym prawosławnym, kładą bliscy taką bibułę na twarz, na tej bibułce jest modlitwa, którą mówi kapłan przy umierającym, zastępuje ona w tamtych warunkach oderwania wiernych od cerkwi ostatnie oleje i przedśmiertną pociechę religijną.

Po paru tygodniach zdobyłem sobie względne zaufanie staruszki. Anna Stiepanowna miała 72 lata, była przysadzista, rzeźka jeszcze, o chytrych żywych oczach, ukrytych pod ciężkimi zmrużonymi powiekami. Mówiła do mnie „ty”, besztła za nieporządek w pokoju, żegnała kiedy szedłem do pracy słowami „gaspod’ s taboju”, a kiedy czasami przynosiłem kawał mięsa czy konserwę, prosząc by mi zgotowała obiad, robiła to chętnie, nadzwyczaj starannie, ale nie przyjmowała żadnych wskazówek.

„Nieuzto nie znaju” mówiła pogardliwie, a potem świszczącym pełnym poczucia swojej tajemniczej wyższości, półszeptem „u baronow służyła”.

Staralem się ją wypytać o stosunki religijne. Do 35 roku istniała jeszcze jedna cerkiew we wsi odległa o 30 kilometrów od Buzułuka, tam jeżdżono raz do roku,

ale w 35 roku i ją zamknięto, teraz cerkwi nie ma nigdzie w zasięgu buzuluczan. Kiedy w związku z wojną sowiecko - niemiecką zaczęły gazety sowieckie pisać o swobodach religijnych, zaczęły się też budzić nadzieje na zmianę „kursu” w sprawach religii, zjawił się niewiadomo skąd kapłan prawosławny. Zamieszkał u jakichś gospodarzy i parę osób zaczęło się zastanawiać nad otwarciem Domu Bożego. Przeszło zaledwie parę dni, właścicielka mieszkania, u której pop mieszkał, została wezwana, kazano jej natychmiast popa wyrzucić, na nią zaś nałożono wielką karę pieniężną. Ledwo się obroniła, była bardzo biedna, miała dwóch synów na froncie, ale popa musiała usunąć natychmiast.

Kiedy wyjeżdżałem z Buzuluka, Anna Stiepanowna przeżegnała mnie prawosławnym krzyżem, powiedziała jeszcze raz „nu gaspod’ s taboju” i miała łzy w oczach.

Dwa lata później zwiedzałem Jerozolimę, zaprowadzono mnie do klasztoru prawosławnego, który jest na górze Wniebowstąpienia Pańskiego i skąd był widok w złocistym świetle słonecznym na góry Palestyny i Transjordanii, wśród których w białej mgłę lyskał skrawek Martwego Morza. Wszedłem do cerkwi, śpiewał chór prawosławny, schodziły się przed carskie wrota zakonnic w czerni i w czarnych welonach. Poza tym cerkiew była zupełnie pusta. Stałem obok jednej z zakonnice, przypomniała mi się Anna Stiepanowna w jej niemożliwie chłodnym mieszkaniu, w zasypanym śniegiem Buzuluku. Nachyliłem się i szeptem poprosiłem zakonnicę o modlitwę za Annę Stiepanowną, wierzącą prawosławną, która jest w Rosji, która od wielu lat nie była w żadnej cerkwi, bo tam cerkwi nie ma. Patrzyłem w twarz zakonnicy, surową, starczą z drobnymi zmarszczkami i jakby niewidzącymi, wielkimi, ciemnymi oczami. Nic mi nie odpowiedziała. Powtórzyłem moje słowa drugi raz i znowu to samo wrażenie skamieniałej obojętności. Myślałem, że jest głucha i

spytałem, czy słyszała, co do niej mówiłem. Zakonnica nagle zakiwała głową „słyszała, słyszała” odpowiedziała z irytacją.

Garstka bardzo starych zakonnic, czysta jasna cerkiew, carskie wrota, złocenia, wylizane malowidła niby bizantyjskie, niby włoskie. Myślałem o nikłej bibułce z wypisaną modlitwą cyrylicą w dalekim Buzuluku.

Wówczas pobytu mego w Buzuluku było na tyle zimno, że prawie nie wysuwałem nosa poza sztab i mój pokój, znajdujący się o parę ulic od tego sztabu. Raz jeden poszedłem z moją gospodynią na targ, który w Buzuluku odbywał się w każdą niedzielę. Udało mi się kupić topionego masła w lodowej bryłce za 14 rubli i 10 jajek po 4 ruble. To była gratka. Moja Anna Stiepanowna odzyskała tam młodość, nurkowała w tłumie myszkowała i targowała się zajadle o parę jaj, czy parę marchewek. Wszystko to na wielkiej płaszczyźnie cerkwi z dwiema zielonymi kopułami i albo wybitymi, albo zabitymi oknami (cerkiew, jak mi mówiono, od wielu lat już zamknięta), pod niebem kremowym, mlecznym, bardzo jasnym z przecierającymi się tonami blado-niebieskimi. W sinym śniegu tłoczył się tłum ludzi w szarych kożuchach. Na ten targ przyjeżdżali chłopci z daleka, dziesiątki sań niskich zaprzężonych w niskie małe koniki, w woły, albo nawet w wielbłądy. Zwierzęta stały spokojnie w białym szronie na gęstej sierści. Mróz by około 30 stopni. Na każdych prawie saniach złożone były wielkie dynie, poza tym w niedużych ilościach marchew i cebula; sprzedawano także mleko zamrożone, które odrąbywano siekierą, jajka i chude sery.

Ten szary tłum w starych łatanych kożuchach (ani jednej chustki kolorowej, ani jednej plamy barwnej) w jasnym śniegu pod mlecznym niebem.

To był jedyny pejzaż, który z Buzuluka zachowałem w pamięci. Mieszkalem w Buzuluku jeszcze w in-

nym domu u starego kolejarza. Brał udział w rewolucji i był wierny z wiernych. Stary, milczący, miał pokorną cichą żonę i ciche dziecko, jedynaka. Stary był wciąż uczącym się samoukiem, widziałem w jego rękach nie tylko Gorkiego, ale nawet Anatola France'a w rosyjskim tłumaczeniu. Rewolucja rosyjska dała mu stanowisko. Wobec nas Polaków był szczerze i konsekwentnie nieufny i niechętny. Nie udało mi się w żaden sposób tej niechęci przełamać. O jakiejś rozmowie, rzetelnej dyskusji nie mogło być mowy, miał na wszystko argumenty z politgramoty. Wierzył w dogmaty bolszewickie, podłość, wrogość, głupotę „burżuaznawo mira”. Słuchałem pod jego głośnikiem mowy generała Sikorskiego wygłoszonej w Moskwie, słuchaliśmy jej razem. Tych słów generała i premiera polskiego transmitowanych parokrotnie na stillu na całą Rosję stary kolejarz słuchał z widoczną niechęcią i milczał.

Jeszcze dwa domy pamiętam w Buzuluku. W jednym z nich kątem mieszkała żona malarza z Leningradu, jeszcze młoda kobieta. Nie wiem z czego żyła. Mąż chory na płuca młody malarz był zesłany od paru lat na daleką północ, znowu nie wiedziała nic, ani na jak długo, ani za co. Wiedziała jedno, że prawie nie ma nadziei, by go jeszcze zobaczyć. Jej mała klitka była zawieszona rysunkami, akwarelami męża. Przypominały mi z daleka młodzieńcze rysunki Zygmunta Waliszewskiego kiedy przyjechał do nas do Krakowa z Tyflisu w 1920 roku. Na rysunkach nieznanego rosyjskiego malarza znać było te same wpływy sztuki rosyjskiej jeszcze przed-bolszewickiej, a więc Mira Iskustwa, Sudejkina i nawet Jakowlewa. Była linearna manieryczność, trochę sztuczna deformacja, ale były też świeże pomysły, kolorystycznie śmiałe zestawienia, zmysł dekoracyjny, był na pewno talent. Jeszcze do jednego domu zachodziłem, gdzie mieszkali ludzie cisi i bardzo smutni. Raz w drzwiach matka paru drobnych dzieci o-

powiedziała mi szeptem, że najstarszego jej syna, chłopaka ze szkół zesłano na daleką północ, że był zdolny, że się wyróżniał. Za co go zesłano, ona nie wie. W tym samym domu mieszkały dwie młode żony oficerów, były wesole, miały różne nowe szmatki, kobiety z szerokiego świata. Spędziły parę miesięcy we Lwowie i Stanisławowie, brakowało im słów, żeby wyrazić, jakie tam było złote życie.

Pisząc przypominam sobie co raz to nowe twarze, co raz to nowe fakty dojrzane przez sekundę „przez szparę”. Byłem w jednym biurze w tymże Buzuluku, siedziały maszynistki, biegali urzędnicy, za cienką przegródką pracowała kobieta. Nagle głosem urywanym z tłumionymi łzami, nie oglądając się na niebezpieczeństwo widząc mnie pierwszy raz zaczęła mi mówić: „mój mąż był kolejarzem w Mandzurii, kiedy kolej przeszła do rąk sowieckich wywieziono nas wszystkich, kolejarzy, ich rodziny do Rosji sowieckiej i zastąpiono nas innymi, nas przydzielono tutaj do Buzuluku, mój mąż otrzymał nawet dobrą posadę. Po paru miesiącach męża mego wywieziono nie wiadomo za co i dokąd. Od paru lat nie mam wieści od niego”. Żeby być tak nieostrożną, żeby Polakowi takie rzeczy mówić prawie na widoku ludzi, trzeba było, by ta kobieta była doprowadzona do ostatnich granic wytrzymałości.

Nie, tego nikt nie może zrozumieć, tu musi przyjść genialny pisarz, obserwator, nowy Tolstoj, czy nowy Proust rosyjski czy polski, któryby mógł opisać to, co w Rosji jest wszędzie, co chwila, co zdradza nagle w życiu zwykłym powszednim jeden gest nikły, jedno spojrzenie niezapomniane. Nie trudne warunki, nie głód, to wszystko jest mniej ważne w porównaniu z tym zadławieniem człowieka, z tymi spojrzeniami ludzi zadławionych, wśród których nie ma prawie takiego, który by nie miał kogoś najbliższego w obozach północy.

Nie wiem, ile jest ludzi w więzieniach i obozach sowieckich, słyszy się cyfry od 16 do 35 milionów, ale charakterystyczne jest powiedzenie jednego z sędziów śledczych: kiedy mój znajomy badany powiedział mu, że nas Polaków jest 30 milionów, że nie tak łatwo jest nas zgładzić — zaśmiał się, „no wielka rzecz, my w samych obozach pracy i w więzieniach mamy więcej”.

Te wrażenia przelotne, które tak trudno opowiedzieć, przypomniały mi inne o wiele dawniejsze, identyczne.

„Wiele lat temu, bo na początku roku 19 przedostałem się do Polski z Rosji po trzymiesięcznym pobycie w Petersburgu, wysłany tam przez mój pułk w poszukiwaniu uwięzionych kolegów. Wracalem przez tzw. Oberost pod fałszywym paszportem i przedostałem się na żydowskich sankach z Białegostoku do Łap (tam była wówczas granica Polski). Zaszedłem do restauracyjki, która była pełna, jedli ludzie i popijali, jakiś „kanarek” z towarzystwem, szlagon w świtce, chłopci w kozuchach i Żydzi — cała Polska. Wszędzie popijano wódkę i wszyscy gadali, naturalnie o polityce, krytykowano na głos wszystkich i wszystko.. To te, to tamte partie, według słów biesiadników składały się z szubrawców jedynie, wymyślano sobie wzajemnie, co nie psuło ludziom ani apetytu, ani humoru. To nasze polskie nieodpowiedzialne pienaczenie i krytyki, hałaśliwość i poczucie bezpieczeństwa, z którym każdy wypowiadał swoje zdanie, dosłownie wstrząsnęły mną po Rosji, jakbym nagle znowu poczuł, że mogę oddychać po okresie bliskim asfiksji.

To wrażenie bardzo dawne, ale ten kontrast między zachowaniem się ludzi w pociągach, w tramwajach sowieckich, milczeniem, nie opuszczającą bacznością i ostrożnością, a zachowaniem się w knajpie na polskiej prowincji było tak silne, przy tym niewyrozumowane i radosne, że zachowałem je w pamięci do dziś.

Drugi raz przeżyłem to samo w rozmowie z nieznaną kobietą.

W 35 roku jechałem trzecią klasą do Paryża z Warszawy. Wsiadłem do wagonu Stołpce — Paryż znajd granicy sowieckiej. W czystym, wygodnym, ciepłym przedziale jechała poza mną tylko jedna kobieta. Niemłoda, miała zamiast bagażu jakiś okropny worek i małego szpetnego, kudłatego pieska.

Buty z niewygarbowanej skóry, zniszczona mętna cera i przestraszone oczy bitego psa. Zaczęliśmy mówić, była to Niemka. Był to okres, kiedy Hitler wyciągał z Rosji kogo mógł. Ta Niemka była w Rosji od zawsze i była tak jak wielka ilość Niemców prawie zupełnie zasymilowana. Mieszkała w małym miasteczku ukraińskim, dawała lekcje języka niemieckiego i pracowała w jakimś zakładzie dla głuchoniemych. Jechała do tych Niemiec, z którymi ją już nic prawie nie łączyło. Hitler dla niej nie istniał, wiedziała jedno, że opuszcza Rosję. W pustym wagonie już w Polsce opowiadała o niej półszepem. Nic nadzwyczajnego, rzeczy banalne dla każdego, kto nie jako turysta był w Rosji: że jak zamordowano Kirowa, wywieziono nie wiadomo dokąd na drugi dzień setki i setki ludzi, że to był jednocześnie dobry chwyt dla wydobycia kilkuset tysięcy darmowych robotników na leśne roboty. Pamiętam jeszcze parę faktów: z jednej z fabryk zabrano kilkudziesięciu ludzi, naładowano na otwarte lory i wieziono kilkadziesiąt kilometrów w trzaskający mróz, utkani byli tak, że wszyscy mogli się zmieścić tylko stojąc, przeważnie byli bez ciepłych ubrań, gdy lory dojechały do celu, trzeba było ich wynosić jak kłody drzewa, bardzo wielu z nich zamarzło na śmierć. Razem z tymi ludźmi wywieziono również wówczas młodą kobietę, przyjaciółkę Niemki. Jej ojciec był podczas tamtej wojny komendantem placu, czy czymś w tym rodzaju w miasteczku, które zamieszkiwali, był starym

pułkownikiem. Rewolucja ich jakoś oszczędziła. Córka utrzymywała się z tego, że miała zakład fotograficzny, staruszek ojciec, którego nie ruszono, nauczył się suszyć kwiaty i robić piękne ramki do fotografii dokonywanych przez córkę, naklejając pod szkło na kartonie te suszone kwiaty. Staruszek i córka żyli nieźle, każdy krasnoarmiejec z miasteczka chciał mieć taką fotografię w ozdobnej ramce, córka jeszcze do tego dorabiała lekcjami. Ci ludzie drżeli o jedno, by im wybaczone ich pochodzenie, by mogli żyć i pracować. Na drugi dzień po zabójstwie Kirowa wywieziono ich oboje i ślad po nich zaginął. I znowu to jest historyjka jakich miliony, dla każdego, kto był w Rosji historyjka banalna, opowiadam o niej przygodnie, ale pamiętam jeszcze jeden szczegół, gdy zaczęła o nim opowiadać nieznana Niemka w wagonie, oczy jej latały.

„Kiedy przeszłam granicę (jeszcze w ostatniej chwili chciano mi odebrać pieska, że... rasowy — ja go w rynsztoku szczeniaka znalazłam, odratowałam, karmiłam od ust sobie odejmując, nie oddałam pieska) otóż za polską granicą pozwolono mi przenocować w jakimś schludnym domku Czerwonego Krzyża, dano mi pokój. Przyszła kobieta, która sprzątała i zaczęła od tego rozmowę, że urągała na rząd polski, że „dranie”, że „złodzieje”. Chwyciłam ją za rękę, „kobietko co mówisz, milcz, przecie ciebie za to zabiją, ześlą”. A ona na w e t n i e z r o z u m i a ł a o c o m i c h o d z i”.

I jeszcze w pociągu tej kobiecie, temu cieniowi człowieka latały oczy z przerażenia.

Wojsko polskie, organizujące się w Rosji, fala Polaków wypuszczonych z więzień, spływająca ku południowi zasługiwała na największą baczność i podejrzliwość niechęć „dobrze myślących”, ci ludzie inaczej się ruszali, inaczej reagowali, myśleli i mówili szczerzej pomimo więzień i zsylek i na bardziej wrażliwych Rosjan robiło to wrażenie nieraz gwałtowne, budziło po-

trzebę pełnego oddechu, gwałtowną tęsknotę za życiem
b e z s t r a c h u .

„Nasza żyźń oczeń grubaja”, nagle przybyliście do
nas, zobaczyliśmy, że jeszcze są ludzie swobodniejsi,
ciężko jest nam was żegnać, powiedziała mi Rosjanka
wybitna specjalistka i patriotka Związku Sowieckiego.

Zatopienie " Bismarcka "

ERYK SOPOČKO

Cztery kontrtorpedowce brytyjskie i jeden polski nawiązały kontakt z nieprzyjacielem. Oto jak dowódca O.R.P. Piorun*) opisuje to spotkanie:

Dn. 26 maja 1941 r. o godz. 11.15 rozpoczął się pościg za pancernikiem niemieckim „Bismarck” przez cztery kontrtorpedowce jednej z flotylli H.M.S.S: Cossack, Zulu, Siklu, Maori — i O. R. P. Piorun, które miały za zadanie zatrzymać nieprzyjaciela do czasu przybycia głównych sił. Godz. 22.37: został zauważony pancernik niemiecki. Zarządzono alarm bojowy, którego odbój nastąpił o godz. 04.00 w dniu następnym. O.R.P. Piorun, idący na lewym skrzydle I dyonu, zauważył nieprzyjaciela i został ostrzelany. Po pierwszej salwie „Bismarcka” O.R.P. Piorun otworzył ogień z odległości 13.000 jardów i oddał trzy salwy, po czym okręt uchylił się od skutecznego ognia nieprzyjaciela przy pomocy manewrowania i zasłony dymnej. W ciągu całej godziny okręt skupiał na sobie ogień nieprzyjaciela i utrzymywał z nim styczność wzrokową, manewrując na przemian na kurs oddalenia, to znowu zbliżenia na odległość minimum 8.000

*) O.R.P. Piorun ofiarowany przez admiralicję brytyjską w miejsce O. R. P. Gromu, który zatonął trafiony bombami niemieckimi w czasie operacji pod Narvikiem.

yardów, co umożliwiło samolotom i innym kontrtorpedowcom dojście na pozycję ataku.

Po zapadnięciu zmroku łączność z nieprzyjacielem została przerwana. Wskutek utracenia kontaktu z resztą okrętów, oraz wskutek złej widoczności, całonocne poszukiwania nie dały możliwości ataku torpedowego. O godz. 07.00 na rozkaz dowódcy flotylli, okręt opuścił teren walki celem uzupełnienia zapasów ropy. W drodze powrotnej O.R.P. Piorun napotkał samoloty nieprzyjaciela różnego typu. Dzięki intensywnemu i skutecznemu ogniewi artylerii przeciwlotniczej, okręt nie dopuścił do wykonania przez nie ataku.

Dn. 28 maja 1941 r. o godz. 09.40 wszedł do portu, mając we wszystkich zbiornikach razem 30 ton ropy.

W czasie tych działań bojowych, każdy z załogi okrętu spełnił chlubnie swój obowiązek. Załoga okrętu wykazała doskonałą sprawność morską, doskonałą postawę i wysoką wartość bojową — przynosząc zaszczyt naszej banderze i okrywając chwałą imię Polskiej Marynarki Wojennej.

Dziękuję Wam za chlubne spełnienie obowiązku.
Niech żyje Polska!

DOWÓDCA O.R.P. PIORUN

* * *

Z powrotem jesteśmy na pokładzie H.M.S. Rodneya. Na godzinę przed północą dowódca floty admirał Jack Tovey zarządził alarm bojowy. Zabrzmiął głos trąbki. Serca zabiły w nas mocniej i prędezej. Zmęczone twarze ubarwił rumieniec podniecenia. Dla marynarzy, którzy o ostatnich zmianach nic jeszcze nie wiedzą, głos trąbki znaczy wszystko.

Bryzgi słonej wody zwilżyły mi twarz. Czapkę muszę trzymać mocno, bo wiatr uparcie stara się zrzucić mi ją z głowy. Mokre deski pokładu stały się oślizgłe. Kilka zbłąkanych mew z krzykiem towarzyszy nam po lewej burcie. Niewielkie pasemko dymu wyrasta ponad kominem „Rodney’a”. Przeciskam się przez wąski właz na górze wieży. Mrużę oczy przyzwyczajone do półmroku. Ocieram mokre ręce pękiem pakuł. Zaraz za mną wchodzi kapitan „mariners’ów”, krótko pytając:

— Co się stało?

Opowiadam zdarzenia ostatnich kilku minut, które z kolei tubami głosowymi przekazywane są po całej wieży. Z komór prochowych słyszę śpiewy, z magazynu pocisków — wesołe okrzyki — potwierdzenie, że nowina dotarła do wszystkich zakątków i że przyjęta została z jednomyślną radością.

Wszystkie mechanizmy okrętowe zostają drobiazgowo sprawdzone. Ładujemy butle sprężonego powietrza, meldują sprawne działanie hydrauliki.

— Godz. 23.10 — mówi kapitan „mariners’ów”. — Przypuszczalne spotkanie nastąpi jeszcze przed zapadnięciem zupełnego zmroku.

— Tak należałoby sądzić, bo ogłoszono dzienny alarm bojowy — odpowiadam.

— Jak długo idziemy na zbliżenie?

— Niecałe pół godziny.

— Jesteśmy więc dwadzieścia mil bliżej — oblicza kapitan. — Ogień będzie można otworzyć na 20.000 jardów.

— Za późno już na to. Widoczność bardzo spadła — mówię patrząc przez peryskop.

— Jaka jest obecnie granica widoczności? — pyta dalmierzystę.

— Niedawno podano 17.000 jardów.

— Co było poprzednio?

— O godz. 21.000 — 30.000!

— Tak, w takim razie rzeczywiście zdaje się być wątpliwe moje 20.000. Niech pan słucha!

Dowódca mówi. Powtarza rzeczy znane w mojej wieży. Niemniej jednak podanie tego wszystkiego oficjalnie budzi jeszcze większy entuzjazm.

— Za dwie godziny spotkanie — słyszę wokół siebie głosy.

Zamkowi niemal pieśczośliwym wzrokiem patrzą na swoje działa. Skrzętnie ścierają nawet najmniejszy pyłek. Grube, zatłuszczone i spracowane ręce sprawnie ślizgają się po błyszczącej stali. Starzy, doświadczeni kanonierzy — żaden drobiazg nie ujdzie ich wytężonej uwagi.

— Granica widoczności 15.000 — melduje telefonista przekazany przez oficera artylerii rozkaz.

Nie mam przy sobie zegarka. Ale to lepiej. Bo gdybym miał, patrzyłbym nań jeśli nie wciąż, to w każdym razie co pół minuty. Tak muszę pytać. Zbyt często nie wypada — więc robię to regularnie dwa lub trzy razy na kwadrans.

Wieczorna mgła opada. Niebo otulają gęste mgły. Zdaje mi się że zaczyna się leciutki deszcz. Linia wody i nieba zlewa się w jedno szare tło. Hm, to niedobrze...

W wypadku niemożliwości prowadzenia ognia całą artylerią przez dyrektor i centralę, każda z wież musi być zdolna prowadzić strzelanie samodzielnie. W tym wypadku moim zdaniem byłoby celowanie w podniesieniu i odpalanie — ciekawy tylko jestem, jakie to da rezultaty, kiedy już teraz — nic, zupełnie nic nie wiadać.

— Wątpię, żebym mógł zobaczyć „Bismarcka” na tyle bym mógł celować — mówię do kapitana „marinersów”.

— Proszę się nie obawiać. Znajdą się pociski oświetlające. Będzie jasno jak w słoneczny dzień — odpowiada.

— Oby tak było! — dodaję pewniejszy siebie.

— Granica widoczności 7.000 — głos telefonisty.

Z dziennego alarmu bojowego przeszliśmy w nocny. Słyszę w głośnikach zastępcę:

— Za godzinę możemy już spotkać nieprzyjaciela. Jeszcze więc mała godzina.

— Koniec z poniedziałkiem 26 maja — mówi kapitan.

— Może to nawet lepiej — wysuwam przypuszczenie. — Cholera! — zakląłem.

Zimna struga wody polala mi się za kołnierz przez niedoszczelnione umocowanie peryskopu.

Mamy przed sobą godzinę. O czym myślę? Zasadniczo o wszystkim. Tematów przynajmniej nie braknie. Cieszę się — zaszczyt udziału w tej bitwie i mnie przypadnie w udziale. Brr... Trochę zimno. Zapiąłem do ostatniego guzika mundur. Sweter podciągnąłem wysoko pod szyję. Woda monotonnie kapie. Fala uparcie długa i wolna. Wiatr wciąż wzrasta.

— Za pół godziny spotkanie — słyszę dowódcę.

Nerwowo poprawiłem się na wąskim siedzeniu, wyprostowałem zdrętwiałą nogę i przycisnąwszy twarz do okularu peryskopu — staram się przebić panujące na zewnątrz głębokie ciemności nocy. Czasem widzę jaśniejszy grzbiet fali, cień wieży „B”, to znów chmury, a więc już lada moment, lada minuta...

Przed tym jednak znów mówi dowódca:

— Kontrtorpedowce wykonały skuteczny atak torpedowy. Samoloty z lotniskowca H.M.S. Ark Royal, po raz ostatni wysłane przed zapadnięciem zmroku, mogły również zameldować trafienia. Szybkość pancernika niemieckiego spadła z 19 węzłów na mniej wię-

cej 12. Nie ma mowy, chłopcy, aby nieprzyjaciół udało nam się wymknąć.

Czekamy, co będzie dalej. Rozgłosnia jeszcze nie zamknięta.

— C. in C. of the H. F.***) zdecydował odłożyć decydującą rozprawę do rana. Możecie na swych przydziałach położyć się spać.

Spojrzałem na twarz kapitana „marinersów”.

— Poczekamy na wschód słońca. To lepiej — wyraża swoją opinię.

— Lepiej, bo przynajmniej zobaczymy „Bismarcka”. Ale przetrwanie tych jeszcze kilku godzin...

— Męczące. Ja wiem. Cóż to jednak znaczy?! Mamy za sobą — bądź co bądź — przeszło dwudobową praktykę.

— Nie mogę, niestety, powiedzieć, żebym się przyzwyczaił.

— Ale, prześpi się pan teraz?

— Będę się starał, choć z góry wątpię, czy mi się to uda.

— Zobaczymy.

W kabinie kontroli ognia nie ma absolutnie miejsca, kładę się więc pomiędzy lufy dwóch załadowanych 16-calowych dział. Zmęczony jestem strasznie, trochę mokry i przemarznięty do szpiku kości. Spać nie mogę. Nie mogę nawet drzemać. Tak chciałbym się przemóc. Zyskałbym kilka godzin czasu... a tu nic. Zupełnie nic.

Słyszę zastępcę:

— Podchodzimy jeszcze bliżej niemieckiego okrętu liniowego. Spać nie można. Musi być 100%-owa gotowość bojowa.

Wracam na swój stołeczek. Głowę opieram o pancerz wieży.

**) Commander in Chief of the Home Fleet.

— Widnieje — mówi kapitan „marinersów” po dłuższej chwili.

Nie odpowiadam — w moim peryskopie noc głucha. Dopiero dochodzi piąta. W wieży jednak robi się ruch. Ten i ów przeciąga się. Ktoś głośno ziewa...

— Pogoda poprawiła się — niestrudzenie kontynuuje rozmowę mój dowódca.

— Jak pan to poznaje? Przecież jeszcze nic nie widać! — pytam.

— Bardzo prosto. Przede wszystkim odsuwam zasłonę z peryskopu. Tego właśnie pan jeszcze nie zrobił — wyjaśnia z uśmiechem.

— Przepraszam i dziękuję — usprawiedliwiam się, zawstydzony. — Rzeczywiście zapomniałem.

O tak. Wyraźnie świt. Deszcz ustał. Fala raz po raz wdziera się na pokład. W nielicznych przerwach między chmurami przebija jeszcze ciemnogrnatowe, gwiazdziste tło nieba. Mgła nocna przerzedza się. Widooczność rośnie. Ku mej wielkiej radości widać nawet horyzont.

O godz. 06.00 ma być spotkanie.

Mija godz. 06.00. Jeszcze się nie rozwidniło.

Mówi dowódca:

— Za godzinę zobaczymy jeden z brytyjskich krążowników, który przez całą noc był w kontakcie z nieprzyjacielem.

Nie wiem jak, ale to pewne że kilka razy w ciągu nocy i bieżącego ranka zmieniamy kurs. A więc zostaje godzina. Nie wydaje mi się, żeby pojedynki artylerii trwały po nad kwadrans. Tyle czekania dla kilku minut walki. Ale czuję, że mogę jeszcze czekać. Pewnie miał rację kapitan „marinersów”, mówiąc wczoraj, — nie, to już dziś było — że do wszystkiego można się przyzwyczaić. Dobrze że postrzelamy sobie w dzień. Obawiam się trochę że załoga „Bismarcka”, zobaczywszy

takie siły, gotowa poddać się — zatapiając okręt. To byłoby przykre. Wprost tragiczne. Nie zobaczyłbym bitwy morskiej. Nie. To niemożliwe.

Oficer artylerii podaje wytyczne dotyczące prowadzenia przez nas ognia. Rozpocząć mamy salwami, potem będą „broadside'y”***). Obsługa dział zaciera ręce. Kapitan „marinersów” skubie wąsa. Ja wyglądam tak jakbym wyskoczyć chciał na zewnątrz przez peryskop. Przekażniki dla celów ćwiczebnych zaczynają pracę. Granica widoczności wzrasta. O godz. 08.00, tak: godz. 08.00, jest 27.000 jardów. Niebo wypogodziło się. Nad horyzontem czarny pas chmur niskich, nad nami średnie. W nich duże okna — pół na pół błękitu i chmur wysokich.

Głos dowódcy:

— W pewnej chwili zobaczyć możemy krążownik. Na przekążniku rozkazów ogniowych:

— Naśladować dyrektor.

— Krążownik spostrzeżony — odległość 25.000 jardów.

Już nie jest mi zimno. Dalsza akcja toczy się z błyskawiczną szybkością.

— Enemy in sight — słyhać w głośnikach.

Godz. 09.03.

Idziemy kursem na nieprzyjaciela — a wobec tego strzelać będą tylko dwie pierwsze wieże. My musimy czekać. Trochę rozczarowania. Mignęła mi w peryskopie sylwetka H.M.S. King George V. Na maszcie dziobowym ogromna wojenna bandera. Trochę mniejsza na gaflu masztu rufowego, na którego szczycie powiewa dumnie flaga dowódcy floty — czerwony krzyż św. Jerzego na białym polu. Sznury kolorowych sygnałów flagowych łopocą na wietrze. H.M.S. Rodney

***) Wszystkie działa od razu.

też pewnie podniósł bojowe bandery — tradycja przemawia — Flota Jego Królewskiej Mości Jerzego VI rozpoczyna bój.

— Open fire — rozkaz dowódcy.

Odległość 24.400 jardów. Na tablicy kontrolnej światła gotowości palą. Dwa krótkie dzwonki. Huk. Ogluszający huk. W peryskopie morze ognia, a potem czarny kłęb dymu.

Następna salwa... Odległość maleje — 24.000 jardów. Idziemy na zbliżenie. Ani „Bismarcka”, ani wyprysków, spowodowanych upadkiem naszych pocisków, nie widać. Pewnie jeszcze za wcześnie i za daleko.

— Enemy has opened fire — podaje przez głośnik dowódca.

Tak widzę. Teraz widzę. Dwa ogniki błysnęły jednocześnie hen daleko, z mgły jak gdyby. Na moment wstrzymałem oddech. Przecież to w nas strzelają. Huk salwy „Rodney’a” przerwał rozmyślenia. My też strzelamy, a słychać że H.M.S. King George V również otworzył ogień.

Kilkaset jardów przed naszym dziobem wyrastają wysokie słupy wody. Ile ich jest?! Dwa, trzy, cztery... Chwilę utrzymują się, nikną... Pierwsza salwa nieprzyjaciela dobra w kierunku, ale... za krótka. „Bismarck”, lub raczej ciemniejszy punkt, w którym już raz go umiejscowiłem, znikł mi nagle. Widzę H. M. S. King George’a — strzela. Na rei jakieś inne rzuty flag. Jakies nowe sygnały.

Co to? Druga salwa „Bismarcka”?! Dwie góry wody przysłaniają mi cały obraz. Stłumione wybuchy dochodzą jak gdyby od dna okrętu. Salwa niemiecka okoliła nas — dowiedziałem się potem. Dwa wypryski wzdłuż dziobowej części — po prawej burcie, dwa

wzdłuż części rufowej burty lewej. Woda ochlapała pokłady.

— Hm — mruknął obojętnie kapitan „marinersów”. — Dobrze strzelają.

— Tak — odpowiadam krótko.

— Chłopcy, na nas czas — mówi do obsługi wieży. — Zmieniamy kurs.

H. M. S. Rodney odchylił się w lewo. Lufy wszystkich naszych dział skierowane są na nieprzyjaciela. Nareszcie możemy strzelać. Dwa dzwonki, Stalowe cielska cofnęły się pod wpływem odrzutu. Zygzakujemy. Syk sprężonego powietrza, warkot spowodowany obracaniem się wieży, stuk wywołany automatycznym obracaniem, nasze salwy, salwy H.M.S. King George'a", wybuchy pocisków „Bismarcka” — wszystko zlewa się w jedną symfonię — symfonię bitwy.

W miejscu, w którym znajdowalibyśmy się, gdyby nie ostatnia zmiana kursu — cztery wypryski. Trzy tuż obok siebie — jeden osobno. Manewr Captaina Dallrymple Hamiltona, R. N., ocalił, być może, „Rodney'a”.

Niemcy muszą się znowu wstrzelać. Zauważyłem że ogień ich rozdzielił się. Strzelają i do nas i do okrętu flagowego. W powietrzu, zdaje mi się, są samoloty. Bóg łaskaw wiedzieć, jakie. Pewnie jednak własne, bo nie otwieramy do nich ognia. Odległość zmniejsza się stale. Salwa po salwie leci w kierunku nieprzyjaciela.

— Our 6 guns has opened fire — podał do wiadomości dowódca.

Słysząc. Rozpoznać można łatwo — ujadanie jamnika przy wilku. Artyleria główna „Rodney'a” na chwilę milknie. Robimy zwrot o 360 stopni.

„Bismarck” uparcie idzie na zbliżenie — 20.000 jardów. Na tle wyprysków, mgły, dymu i chmur — widać sylwetkę pancernika niemieckiego. Z zapartym

oddechem czekamy aż wyleci w powietrze lub zacznie się palić.

— Dymi, dymi — pełen nadziei głos kapitana „marinersów”.

Nad częścią rufową tuż za kominem pojawia się smuga dymu — nie odrywam oczu od peryskopu. Smuga rośnie. Obraz zakrywa mi ogień i dym własnych dział. Znowu po chwili widzę „Bismarcka”, ale nie widzę dymu.

H.M.S. King George V zostaje po naszej lewej burcie z tyłu. Działa jego nie milkną. Hitlerowski okręt zasłania mi wieża — „B”. Drgnąłem, po prawej naszej burcie dwa wypryski. Blisko. Drobne kropelki potu wystąpiły mi na czoło. Brr... nieprzyjemne uczucie — nie trzeba myśleć. Odchylamy się w prawo — wieża nasza wolno się obraca. Na tablicy kontrolnej światła gotowości naszych dział znowu palą. Stalowe lufy poruszają się w pionie — początkowo gwałtownie, potem coraz wolniej... dwa dzwonki... Odległość 15.000 jardów.

— O, teraz! — krzyknąłem.

— Nice work — szepnął kapitan.

— Co, panie? — pytają „marinersi”.

Nasza salwa „6” trafiła w dziób. Jeden z pocisków wybuchnął u podnóża drugiej wieży dziobowej — odpowiedź.

— Tak. Pokazał się blask, ogień... chwilę utrzymał się i zwolna zagaśł.... Wieża nieprzyjacielska umilkła na zawsze. -

— Prawie dziesiąta — ktoś mówi.

Nie chcę wierzyć. Więc już godzinę trwa walka? Przez rury głosowe słyszę z magazynu pocisków czy komór prochowych śpiew:

There'll always be an England,
And England shall be free...

Patrzę na postacie kanonierów. Upiory. Błyszczące smarem, mokre od potu, czarne od sadzy. Zacierają ręce. W wieży szaro od dymu... W oczach ich widzę ogniki... Pamiętają Coventry, Londyn, Plymouth — Plymouth, to ich rodzinne miasto. Sprawiedliwości — ty jesteś na świecie!... Kilka zduszonych wybuchów...
— Znów tylko w nas grzeją — stwierdził kapitan.

„Bismarck” wciąż i uparcie rośnie. Okalają go słupy wody. Różnej wielkości. Co dziwniejsze: nawet różnych kształtów. Największe — przerastające jego maszt — to 16-calowe działa „Rodney’a”. Trochę mniejsze, to 14-calowe pociski H.M.S. King George’a i ostatnie — śmiesznie małe — 6-calowe nasze. Słońce świeci. Załamuje się w wypryskach, lśni barwami tęczy. Czasem na ciemnym tle burty nieprzyjaciela pojawia się plama ognia. Niknie jednak szybko. Pocisk przeciwpancerny trafił. Stopił stal pancerza. Wybuchnął pewnie wewnątrz okrętu, bo z tego miejsca widać wydostającą się ciągle smugę dymu czy pary.

Odległość 12.000. Pierwsza wieża dziobowa hitlerowskiego pancernika strzela tylko jednym, prawym działem. Drugie zwisa smętnie — nie widziałem nawet kiedy się to stało. Wieże rufowe strzelają nieuszkodzone. Szybkostrzelność jednak spadła. Niemcy wyraźnie zaczynają się wahać.

Odległość 10.00 jardów. Zaczynamy ogień „broadsideami”. Dziewięć 16-calowych dział strzela jednocześnie. Wolne, długie przechyły — spowodowane falą. Krótkie lecz majestatyczne wywołane odrzutem. Z każdą minioną minutą jesteśmy coraz bliżej „Bismarcka”. Na maszcie jego nie ma już bandery wojennej — któryś z naszych pocisków musiał mu ją zerwać. Jedynie

jeszcze znak dowódcy — długości kilku yardów — łopocze niespokojnie w podmuchach wiatru, jak gdyby czekając kiedy i na niego przyjdzie kolej. Nie ma obawy — przyjdzie na pewno! Pierwszy z naszych „broadside'ów” jest trochę za krótki. Wzdłuż całej sylwetki „Bismarcka” wyrasta wysoka ściana wody, zasłaniająco na chwilę przed naszymi oczami.

Na rufie niemieckiego okrętu liniowego pojawia się kilkadziesiąt, a może nawet więcej ludzkich postaci. Część z nich skacze w wodę.

Strzelamy bez przerwy. Wypryski okoliły rufę. Nie widzę już na niej nikogo. Dwa znajdujące się tam działa umilkły w płomieniach eksplozji pocisków H.M.S. Rodney'a. Okrętu flagowego nie widzę.

Odległość 7.000 yardów.

— „Bismarck” już nie może strzelać — ryczy w tuby głosowe kapitan „mariners'ów”.

— Jakto! A to jedno działo z wieży dziobowej? — pytam.

— Nie liczy się. Zaraz go nie będzie!

„Bismarck” zmienił kurs. Początkowo szedł lekko ukośnie na nas — teraz idzie dziobem. Raz po raz strzela prawa lufa pierwszej wieży dziobowej. Jej mechanizm obracający jest uszkodzony — widocznie przez nasz ogień — a więc żeby móc strzelać, dowódca niemiecki manewruje i celuje całym okrętem. O skuteczności takiego ognia w ogóle nie może być mowy. Wypryski pojawiają się raz kilkaset yardów przed naszym dziobem, to znów tyle samo za rufą.

Co teraz? Widok niezapomniany. Pocisk artylerii głównej — kto wie, może z mojej wieży? — trafił w górną część pomostu nieprzyjaciela. Ogień. Trochę dymu, a potem wolno, jakby zastanawiając się, przechyla się w dół, łamie i wreszcie spada — maszt, dyrektor z dalmierzem i cały szczyt pomostu.

Na szmaragdowo-brunatnej sfalowanej powierzchni

oceanu pojawia się biała smuga. Niknie. Co to było? Torpeda!? Tak. Na pewno. Wybuch następuje spod dziobu „Bismarcka”. Strzelamy, i torpedy. Znów. Teraz pióropusz dymu wyrasta spod komina.

Odległość 4.000 jardów. Cały obraz w peryskopie zajmuje niemiecki okręt liniowy. Widzę szczegóły. Liczę dziury — ślady naszych pocisków na jego prawej burcie. Ponad piętnaście, więcej nawet. Niektóre dymią jeszcze — inne milczą — martwością śmierci. W dali chodzą kontrtorpedowce. Krążą wokół miejsca, gdzie rozgrywa się bitwa, mając za zadanie niedopuszczenie ewentualnych gości podwodnych.

Nieprzyjaciel już nie strzela. Umiłki, uciszony ogniem dział brytyjskich. Bierze mnie złość, a jednocześnie podziw. Złość, że „Bismarck” nie chce zatonać czy wylecieć w powietrze. Podziw?! Tak, ten jest podwójny. Nigdy w życiu nie widziałem piękniejszego okrętu. Ideal proporcji... Długi dziób, pomost — trudno o tym pisać, bo jest w ruinach, jeden szeroki, dosyć niski komin, zgrabna, nie za wysoka i nie za niska rufa.

Ale to oczywiście nie jest głównym powodem mego podziwu. Są okręty piękne i bardzo szybkie — myślę o niedoszłych władcach Mare Nostrum — które są zerem jeśli chodzi o ich wartość bojową.

Wszystko zależy od ludzi. Trzeba być sprawiedliwym. Ciężko mi napisać następne zdanie — ale nieprzyjaciel zaimponował nam swym fanatyzmem i zaciętością.

Odległość 3.000.

Komenda:

— Przerwij ogień.

Robimy zwrot. „Bismarck” przechylony do dziobu i na prawą burtę. Kilka minut po godz. 11.00. Widzę H.M.S. King George V. Daleko. Na oko sześć, siedem mil. Zbliża się krążownik H.M.S. Dorsetshire. Ale tra-

cę go w peryskopie. Zastanawiam się co zrobią dalej z „Bismarck’iem”.

Dowódca mówi:

— Rozkaz C. in C.: H.M.S. Dorsetshire ma zatopić niemiecki okręt liniowy torpedami.

Tego już nie widziałem.

Thank you, cap'n, thank you... *

ARKADY FIEDLER

I.

Wybitnym, może najwybitniejszym marynarzem wśród kapitanów polskiej marynarki handlowej jest kapitan Czarny. Nie dlatego, że od 33 lat wiernie służąc morzu, poznał wiele jego tajemnic i zdobył wszystkie stopnie sztuki żeglarskiej i że, jak nikt inny, wyprowadzić potrafi statek z każdej przygody — nie dlatego: wielkość jego jest w tym, że kapitan Czarny całego siebie poświęcił morzu, z niebywałym po dziś dzień zapamiętaniem całe swe serce oddał statkom, wszystkie myśli swe, wszystkie sny pogrążył w statkach. Posiadał władzę nad nimi ogromną, lecz przy tym tak głęboko ugrzązł w tej pasji, że już nie stać go było na nic innego i że zaniedbał innego kunsztu, równie ważnego w życiu, może nawet ważniejszego, a przy tym tak prostego: pokochania ludzi.

Kapitan nie nauczył się kochać człowieka, nigdy nie umiał dojść z człowiekiem do ładu. W tym obcym dla siebie żywiole stale popełniał błędy, często wybuchał gniewem, ranił. Ranił człowieka na morzu i ranił człowieka na lądzie. Był z nim twardy i zawzięty, jak zaw-

*) Opowiadanie niniejsze, ze względu na tajemnicę wojenną, zostało znacznie okrojone przez cenzurę brytyjską (przypisek red.).

ziętym trzeba być przy zwalczaniu morskich sztormów. Lecz tych sztormów nie przewyciężył: z człowiekiem przegrywał. Przegrywał swój wielki morski dorobek. Gdy zaszedł w lata, w których pragnie się widzieć owoce swej pracy i gdy od ludzi żądał uznania swych niezaprzeczonych zasług, spotykał go zawód: odmawiano mu uznania. Omijały go awanse i nagrody, unikało go słowo wdzięczności. Kapitan piecił się i gorzkniał. Ludzie wzruszali ramionami.

Gdzieś, na sinych przestrzeniach między Gdynią a Atlantykiem, później zaś, podczas wojny, między Atlantykiem a Londynem, narastał dramat ludzkiego istnienia: wielki marynarz przegrywał sens swego życia, ponieważ nie umiał rozwiązać po ludzku swych spraw ludzkich. Był surowy jak Spartanin, szorstki jak zmarznięta gruda, lecz bezradny jak dziecko. Odpychał od siebie ludzi, a przy tym — o, rzewna niekonsekwencjo natury ludzkiej! — łaknął ich wdzięczności. Owo niezaspokojone pragnienie podzięki stało się dla niego w końcu udręką, prześladowającą go dniem i nocą. Nie opuszczało go na mostku w czasie wichru, ani w kabinie, ani na ulicach kontynentów. Było z nim w zgielku Manhattanu i w ciszy manchesterskiego kanału. Coraz rozpaczliwiej potrzebował kapitan ludzkiej wdzięczności. Już nie tylko dla ratowania treści własnego życia, dobiegającego jesieni, lecz i dla życia swego syna: gdzieś w Kanadzie mieszkała jego żona i rósł kilkuletni synek.

Więc coraz żarliwiej domagał się wdzięczności, walczył o nią, zgrzytał, warczał, ranił i w coraz błędniejszych motał się sieciach. Była w tym wielka bezbronność beznadziejność i okrucieństwo, i czasem miało się wrażenie, jakby zmartwychwstał któryś z tragicznych bohaterów Conrada i żywy obnosił swą dolę po świecie.

Aż oto, którejś nocy w tej wojnie, podczas jednego z najkrwawszych epizodów bitwy o Atlantykę, gdzieś u wybrzeży śnieżnej Grenlandii, kapitan posłyszał na-

reszcie słowa wdzięczności. Wyplwały z najgłębszych uczuć ludzkiej duszy. Nie wypowiedział ich żaden możliwy tego świata. Wypowiedział je nędzny, na pół żywy marynarz chiński. Biedny Chińczyk, a przecież słowa jego były niezmiernie ważne, bo tak właśnie, tym samym uczuciem, z tą samą słusnością, dziękować wówczas mogła kapitanowi cała ludzkość, cały świat.

2.

Późnym latem, w trzecim roku wojny, olbrzymi konwój opuścił Stany Zjednoczone, idąc w kierunku Brytanii. Na kilkudziesięciu statkach wioził setki tysięcy ton najcenniejszego ładunku wojennego. Statki tworzyły kolumny, płynąc obok siebie. Szły bandery wszystkich sojuszników. Polskich statków było dwa: „Odra”, prowadzona przez kapitana Czarnego, i mniejsze od „Odry” „Gopło”.

Eskorty podzielono skąpo: było ich mało jak na tak ogromny konwój. Toteż, aby do pewnego stopnia wyrównać braki osłony, konwój tym razem okrążał wielkim łukiem zwykle żerowiska nieprzyjaciela. Ostatnie telegramy donosiły, że jego łodzie podwodne zauważono na południu, na trasie Nowa Fundlandia — wyspy brytyjskie.

Wzdłuż Labradoru pogoda była paskudna. Kilku-dniowy sztorm dawał się we znaki statkom i ludziom. Potem nagle uspokoiło się, i ludzie odetchnęli, a gdy z nastaniem następnego dnia zaświeciło mocne słońce, zadowolone oczy odkryły na północno—zachodnim nieboskłonie rozległy ląd o wysokich górach, pokrytych lśniącym śniegiem.

Wszyscy witali ten ląd radośnie. Zresztą pogoda! Słońce, niebieskie niebo, granatowe morze, martwa fala, fenomenalna widzialność i śnieżne, romantyczne góry,

tak wyraźne w odległości dwudziestu mil jak na dłoni — wszystko to tchnęło świeżą, wielką ufnością. Konwój pruł fale powoli, lecz we wzorowym porządku. Kolumny jego szły jak karne wojsko. W ich stalowej ociężałości był majestat. Były to szeregi jakby gigantycznych żołnierzy, świadomych swej roli w rozstrzygającej bitwie. Był to pochód niemal triumfalny, a marynarzom, patrzącym na to wszystko, na statki i na ląd, rosły serca, i tego poranku śniadanie smakowało im więcej niż kiedykolwiek: jedli na pogodę, jak wilki.

Kapitan Czarny obserwował odległy brzeg przez lornetkę, i w pewnej chwili uwagę jego przykuł niezwykle szczegół

— Co to?! — zawołał zdziwiony do oficera wachtowego. — Góra lodowa?

Tak było w istocie. Prawie już na trawersie konwoju, między statkami a odległym lądem, sterczała z wody biała bryła lodu. Samotna, średnich rozmiarów góra lodowa, wędrująca z północy.

— Tak, panie kapitanie: góra lodowa! — potwierdził wachtowy.

Kapitan Czarny jak to on: był impulsywny i łatwo powstawał nawet na nieporządki w przyrodzie. Twarz jego, twarz o rysach drapieżnego ptaka, zaostrzyła się a oczy zapłonęły wyraźnym gniewem.

— Góra lodowa? — krzyknął. — W tej porze roku?...

Lecz nie uległo wątpliwości, że była to góra lodowa, na tych wodach i w tym miesiącu jakiś wybryk przyrody. Wybryk czy nie wybryk, z wyjątkowym zjawiskiem należało się pogodzić i przejść nad nim do porządku. Kapitan przestał się przejmować.

Potem, po śniadaniu, coś go jednak tknęło. Pomyślał znów o górze lodowej i dalej śledził ją przez lornetkę. Góra pozostała już nieco w tyle, konwój ją mi-

nał. Uparta myśl nie dawała spokoju kapitanowi. Niemcy, wiadomo, są mistrzami maskowania i niewyczerpanych podstępów: gdyby chcieli w tym newralgicznym zakątku Atlantyku założyć pływającą bazę, czyż nie ukryliby jej najsprytniej właśnie pod maską takiej oto góry lodowej?

Kapitan wysilał wzrok, lecz nic podejrzanego nie zauważył. Tymczasem konwój oddalił się od góry na przeszło dziesięć mil. W pewnej chwili myśl własna wydała się kapitanowi niedorzeczna. Poniechał jej trochę zawstydzony.

Właśnie na statku komandorskim wywieszono flagi na zmianę kursu. Konwój zwrócił się na wschód.

3.

Po pięknym dniu zapadł mroźny cichy wieczór. Na niebie świecił księżyc, dochodzący pełni. Powietrze jakby nasiąknęło lekką mgłą. Zaciemnienie statków było zupełne i nawet z bliska, z odległości mili niktby nie przypuszczał, że tuż przemyka się wielki konwój.

Po południu, kilka godzin temu, jedna z korwet rzuciła dwie bomby głębinowe. Marynarze, przyzwyczajeni do fałszywych alarmów, nie przywiązywali do tego zbytnej wagi, raczej drwili sobie, jak zwykle, z „bezcerek śmiechu”.

— Znowu dokuczają biednym rybom!...

To było po południu, i teraz, wieczorem, epizod z bombami głębinowymi, już zapomniany, tonął w niepamięci jak coś bardzo odległego. Teraz jedynie bliski i żywy był pracowity oddech turbin i cylindrów, jedynie rzeczywiste było parcie naprzód.

Wnet gdzieś spoza konwoju zadudniły głuche odgłosy grzmotów. Były tak silne, że statki się od nich

trzęsły. Jednocześnie na niebo wykwitły oświetlające rakiety. Chociaż słabiej niż przedtem, stało się znowu widno nad morzem. Rakiety paliły się długo. Niektórym marynarzom zadrżały dusze. Wielu zaczęło wołać:

— Raider! Raider!...

Ze statku komandorskiego poszły rozkazy świetlne. Konwój wykonał je skwapliwie i we wzorowym porządku. Wszystkie statki równocześnie, jak za pociąganiem sznurka, zmieniły kurs o 45 stopni w lewo: znak dobrej dyscypliny.

4.

Nie był to — jak w pierwszej chwili sądzono — atak nieprzyjacielskiego raidera, okrętu nawodnego, lecz atak łodzi podwodnej. Odgłosy licznych wybuchów pochodziły od bomb głębinowych, rzuconych przez własną eskortę. Eskorta również puszczała rakiety oświetlające. Miała odkryć wroga, w razie gdyby był na powierzchni morza, lub miała przynajmniej zmusić go do chowania się pod wodą.

Uciekać! Uciekać! Był to jedyny ratunek konwoju, jedyny jego obowiązek i jedyna jego myśl, jaka przenikała serca i mózgi marynarzy: uciekać! Mimo to nie było żadnej paniki. Konwój wciąż szedł zwarty i skrzętnie wykonywał manewry: statki pilnowały jak oka w głowie swych stanowisk.

Słaba eskorta, uwijając się jak szalona, zdwajała swe wysiłki i gęsto waliła bombami głębinowymi w morze a rakietami oświetlającymi w niebo. Niektóre statki wołały ciemność. Więc by zgasić te same rakiety, gromiły do nich z karabinów maszynowych i w górę

sypały bujne smugi czerwonych pocisków. Inne statki widziały w morzu podejrzanе cienie: były do nich zawzięcie z dział. Był huk, był harmider, był chaos, była potęga światła, a w tym wszystkim ściśnięte gardła i oczy, wpatrzone trwożnie w powierzchnię morza.

—Pysznie jak na Broadwayu! — zażartował nagle ktoś z załogi „Gopła”.

Zaśmiał się przy tym gardłowo, lecz śmiech się nie udał, brzmiał jak stłumiony skowyt.

5.

Noc była jak koszmar, zła, długa i dręcząca. Wróg był liczny i zawzięty. Rzucił się na konwój co godzinę. Szatańskie tropedy groziły z ukrycia, znienacka, nie wiadomo skąd. Jak słuszne okazało się porównywanie konwojów do trzody zwierząt! Tej nocy konwój był trzodą bezbronnych owiec, i marynarzy najbardziej upokarzała zupełna bezradność.

Trudno było zmrużyć oko tej nocy. Więzość marynarzy, ubrana w pasy ratunkowe, czuwała na pokładach niedaleko kominów. Oficerowie, trzeba to podkreślić, dawali przykłady równowagi ducha i męstwa. Najgorzej było ludziom w kotłowniach i przy maszynach. Nic nie widzieli, a wszystko w dwójnasób odczuwali i słyszeli. Wybuchy, nawet odległe, odbijały się tu najsilniej. Łatwo chwytaly za ludzkie nerwy. Wiadomo z opowiadań, że starszy mechanik „Gopła”, inżynier Bruno Szmyt, schodząc często do maszynowni, świetnie nerwy wygładzał. Wiadomo również, że drugi oficer Smogulski, po skończonej wachcie nagle oświadczył, że ma wszystko w czterech literach, po czym zeszedł do swej kabiny, rozebrany położył się do koi i spał snem najsmaczniejszym aż do rana.

Kapitan Czarny stał przez całą noc na posterunku na mostku „Odry”. Raz pomyślał o swej żonie i dziecku. Właśnie wtedy, gdy w sąsiedztwie zapalił się storpedowany statek. Była to chwila nad wyraz przykra dla kapitana: nie mógł przypomnieć sobie rysów twarzy własnego synka. Doznał zabobonnego strachu. Obłął się zimnym potem. Zbiegł na dół do kabiny i spojrział na fotografię ich dwojga. Potem wrócił na mostek i był znów spokojny.

6.

Dzień nastał podobny do wczorajszego, słoneczny i chłodny. Morze było spokojne. Przez kilka godzin panowała niezmącona cisza, i ludziom tykały serca. Doznawano ulgi i wierzono, że wróg wycofał się przed jasnością dnia. Lecz błogie nadzieje zawiódły, i na krótko przed samym południem nastąpił nowy atak.

Atak bezczelny. Wyrwał ofiarę z samego środka pierwszego rzędu, tuż obok komodora. Odgłos wybuchu był stłumiony, raczej jak odległy stuk, i z lewej burty statku wytrysła, jak biała krew, okazała fontanna wody. Na wielu pokładach nie zauważono wcale ataku i dziwiono się, dlaczego statek, zwalniając nagle biegu, nie wziął udziału w zarządzanej zmianie kursu. Leżał mocno i prosto na wodzie. Sąsiedzi mijali go, on jakby odbierał tragiczną defiladę. Załoga jego pośpiesznie spuszczała wszystkie szalupy. Niektórzy marynarze, mniej cierpliwi, skakali z burty wprost do morza.

— Ależ im spieszo! — dziwiono się dokoła.

Wtem z kotłów wypuszczono parę, która otoczyła śródkręcie białym obłokiem: oczywisty dowód, że uznano statek za stracony.

Podczas gdy rozbitków brał na pokład ostatni w konwoju frachtowiec francuski, opuszczony statek wciąż leżał na wodzie, ogromny i wyniosły, jak poprzednio. Wcale nie zanurzał się, i nic nie wskazywało, by był uszkodzony. Ludzie wyrzucili go ze społeczności konwoju, lecz on jakby nie przyjmował ich wyroku i wznosił się dumny i niezachwiany, obraz życia i tężyzny.

Konwój oddalał się od niego coraz bardziej, był już na trzy, cztery mile. Minęło pół godziny. Żadnej zmiany, żadnego przechyłu! Ludzie w konwoju zaczęli wątpić i przebąkiwać, czy załoga nie opuściła go przedwcześnie. Może stchórzyła?

Wtedy stała się dojmująca rzecz. Statek poruszył się. Wypadł ze swej niewzruszonej okazałości. Nagle podniósł dziób do góry, szybko i rozpaczliwie, niby wyrzucona ryba, chwytająca powietrze, i w kilka sekund pogrążył się w wodzie. Ogromny kadłub znikł prawie piorunem, w jednym przerażającym oddechu. Cały końcowy dramat nie trwał dłużej niż ćwierć minuty.

Ludzie mieli przerażającą wizję: widzieli jakby piękną, dzielną kobietę, znoszącą długo i z godnością jakiś wielki ból, by naraż, bez ostrzeżenia dla bliźnich, bez jęku załamać się i upaść nieżywą.

Był to nowy rodzaj śmierci, w którym koniec przychodzi niespodziewanie, jak podstępny cios, i była to przestroga dla marynarzy, że nigdy ufać nie można statkom, raz zranionym torpedą.

— Zapadał się, jakby w pysk strzelili, jak nóż w masło! — zżymał się ktoś na „Gople” z niesmakiem i oburzeniem w głosie.

7.

Tymczasem „Odra” przeżywała dreszcze szczególnej emocji. Szła jako ostatnia w swej kolumnie, nikogo za

sobą już nie mając. W chwili, gdy konwój wykonywał zwrot na lewo, powstało w szeregach małe zamieszanie, i obok „Odry”, na jej trawersie, znalazł się poprzedzający ją brytyjski statek, tankowiec. Naraz asystent Siejski, pełniący służbę na mostku, krzyknął:

— Uwaga! Peryskop za rufą!...

Złowieszczy znak pojawił się o jakie dwieście metrów za tankowcem, a trzysta metrów za „Odrą”. Pruli wodę, aż wytryskiwała jasnym łukiem, i dążył w kierunku na kilwater „Odry”. Najwyraźniej wypatrywał nowej ofiary. Jednej z dwóch, tankowca albo „Odry”. W jasny dzień, w słońcu, na dość spokojnym morzu, była to beczelność zdumiewająca.

Na tankowcu również zauważono peryskop i otworzono do niego ogień z karabinów maszynowych i artylerii przeciwlotniczej. Wkrótce przyłączyła się do walki i „Odra”. Zaczęła walić z działa na rufie. Ogniem kierował drugi oficer Anczewski. Pociski wybuchały blisko celu na powierzchni wody. Niewiele zapewne wyrządzały szkody, ale przynajmniej przepłoszyły wroga. Peryskop znikł.

Żywa kanonada zwabiła dwie korwety, które w czas przybywszy, zaczęły obkładać miejsce bombami głębinowymi. Marynarze zaciskali pięści i radowali się: nareszcie jeden ze zbójów wpadł w kleszcze i sam był szczuty jak zwierzyna. Korwety tropiły jak wściekle psy, zbyt długo trzymane na smyczy. Aż buchały od zawziętości. Przy piątej czy szóstej bombie wypłynęły na powierzchnię morza płamy oliwy. Któryś z marynarzy zawył triumfalnie. Rzucono jeszcze kilka bomb, potem konwój odpłynął zbyt daleko, by dokładnie wiedzieć co się dzieje.

Gdy tankowiec wymijał „Odrę”, by wyprzedzić ją i wejść na swoje miejsce, z pokładu jego witano ją we-

solo podniesionymi kciukami. „Odra” odpowiadała o-
choczo.

Były to chwile radości, krótkie chwile. Na czołach
pozostała troska, ludzi trawił niepokój. Wyrażał się w
jednej żądy: uciekać! uciec!

8.

Reszta dnia upłynęła w spokoju, lecz cisza nie zwio-
dła nikogo. W nocy należało spodziewać się piekła.

O godz. 8 wiecz. przed dziobem „Odry” storpedo-
wano statek brytyjski. Słup ognia i silna detonacja, któ-
ra wszystkich sąsiadów poderwała na nogi. Kapitan
Czarny był właśnie w swym salonie. Jednym susem
wyskoczył na mostek. Po drodze słyszał dzwonek okrę-
towego telegrafu. To wachtowy, trzeci oficer Porszycki
posyłał jakiś rozkaz do maszynowni.

— Zwolniłem biegu! Dalem w prawo!... — zawi-
domił młody oficer kapitana, który nagle wściekły,
wrzasnął:

— Dlaczegoś pan zwolnił?!...

— Jesteśmy przecież „rescue ship...”. Ostatni w ko-
lumnii! — tłumaczył się wachtowy.

— To wiem!!!

Kapitan pożarłby go głosem. Potępił manewr ofice-
ra. Z oczu jego tryskały gromy. Huknął przez tubę na
dół:

— Całą naprzód!

Do sternika:

— Lewo na burtę!

— Lewo na burtę — powtórzył spokojnie sternik.

W kilkanaście sekund „Odra” zatoczyła ćwierć ko-
ła i była już niemal na wysokości płonącego okrętu, o-
koło dwieście metrów na lewo od niego. Okręt palił się

teraz na dziobie zwykłym, miarowym ogniem i szedł naprzód już tylko siłą dawnego rozpędu.

Wtedy kapitan Czarny znów się odezwał. Padł rozkaz:

— Całą wstecz!...

Woda dokoła rufy naraz zaczęła syczeć: zabulgotała. Statek jakby zajęczał w swych wnętrznościach, które zatrzęsły się od dreszczów. Rzekłbyś: zapasy dwóch potwornych mocy, jednej wciąż naprzód, drugiej coraz silniej hamującej. „Odra” przystawała. Brzezienną decyzją rzuciła wrogowi rękawicę. Wyzwała wielki los.

Wiatr dał od strony palącego się okrętu. Lecz właśnie dlatego kapitan słusznie obrał to stanowisko, gdyż w tę stronę wiatr musiał również zapędzić wszelkie szalupy czy tratwy, spuszczone z nieszczęsnego statku. I nie mylił się. Na powierzchni morza, nieco z przodu, już było widać migotliwe sygnały, nadawane czerwonym światłem z szalupy. Dochodzi także z dołu chrapliwy głos:

— Help! help!

Na mostku zadźwięczał dzwonek telefoniczny. Drugi oficer Anczewski, z pozycji działowej na rufie, pytał się, co będziemy robili.

— Ratować ludzi! — warknął kapitan i zawiesił słuchawkę.

Anczewski chwilę pomyślał. Potem rzekł do kucharza i stewarda, wojaków z obsługi dział:

Nie potrzebuję was tutaj. Idźcie do kuchni przygotować kawę!...

9.

Okręt palił się w całej swej przedniej połowie, i w różowym blasku ognia „Odra” jaskrawo oświetlona, stanowiła wprost wymarzony cel dla torpedy. Oczeki-

wano jej lada chwila, a jednak nikt na statku nie tracił zimnej krwi, wszystko odbywało się zadziwiająco składnie, rozkazy były celowe a wykonanie ich poehopne.

— Zawiesić sztormtrap! — zarządził kapitan.

Sam pozostawał na mostku, nadal manewrując statkiem, natomiast właściwą akcję ratunkową powierzył pierwszemu oficerowi Bojce. Ów, człek młody, szczupły, energiczny, zawzięty w dyskusjach, zuchwały w poglądach, równie odważnie umiał zabierać się do czynu jak do słowa.

Gdy „Odra” i szalupa zbliżyły się do siebie, rzucono z pokładu linę. Szalupa była przepelniona po brzegi masą ludzką, która widocznie nie ochłonęła dotychczas z przerażenia. W pobliżu sztormtrapu wybuchła panika. Kilku naraz wyskoczyło z łodzi, lecz tylko jeden zdołał uchwycić drabinkę, reszta wpadła do wody. W szalupie powstała kotłowanina. Bojka, wiedząc czym to grozi, przeciął linę i krzykiem nakazał spokój.

Rozbitka wyciągnięto ze sztormtrapu na pokład. Wyglądał cudacznie, i marynarze zaczęli mu się dokładniej przyglądać przy świetle pobliskiego pożaru.

— Ola Boga — zawołał ktoś w najwyższym zdziwieniu. — Toż to Chińczyk!

Fakt, że pierwszym wyratowanym marynarzem tu, na Atlantyku północnym, był Chińczyk, podzielał jak magia. Wszyscy wyczuili w tym wyraźny komizm. Ktoś zarechotał głośnym śmiechem.

Drugie zbliżenie się szalupy do „Odry” poszło już sprawniej. Jeden z obecnych na szalupie oficerów objął na niej komendę — okazało się, że był to drugi oficer palącego się okrętu — i znakomicie podprowadzał ją pod sztormtrap. Tu stanął przy końcu łodzi i silnym ramieniem pilnował porządku. Martwa fala dość niepokojnie uderzała o burtę. Szalupa skakała w górę i na dół. Tylko w chwilach, gdy była u góry, drugi oficer

puszczał za każdym razem jednego rozbitka na sztorm-trap. W ten sposób wyladowywanie odbyło się bez wypadku.

Drugim wyratowanym, ku ogólnej uciechu, był również Chińczyk. — Trzecim znowu Chińczyk — czwartym — Chińczyk. Tego już było za wiele.

Jakaś ogromna, nieprzeparta wesołość ogarniała marynarzy, gdy przy piątym Chiczyku powstała na dole krótka przerwa, chciano się już zakładać między sobą, co będzie następnie: Chińczyk czy nie-Chińczyk.

— Chińczyk — stwierdzono w chwilę później z udanym oburzeniem, i nowy wybuch śmiechu na tyle chińskiej obfitości.

Chińczyków było przeszło trzydziestu w szalupie; białych, przeważnie oficerów, około dziesięciu. Drugi oficer palącego się okrętu, człowiek niezwykle dzielny i obowiązkowy, chciał natychmiast wracać łódką w poszukiwaniu reszty rozbitków, jeszcze nie wyłowionych z morza.

Tymczasem Chiczyki, zaledwie schodzili ze sztorm-trapu wszyscy jak na znowę, biegli bez namysłu na pokład szalupowy „Odry” i tu siadali przy obydwóch łodziach ratunkowych. Otoczyli je murem z ludzkich ciał. Czekali. Mieli twarze zamknięte, lecz w oczach ich palił się strach. Nie spuszczali wzroku z szalup. Patrzyli w nie jak w ołtarze. Były to nędzne, biedne, zaczajone stworzenia. Byli cisi, skupieni i groźni. Przerażenie odebrało im poczucie rzeczywistości, prócz jednego: patrzenia w szalupy. Szalupy „Odry” stały się dla nich jedyną istotą życia. Czekali na następny atak torpedy, by zawładnąć szalupami.

Tak to „Odra” znalazła się nagle w obliczu nowego niebezpieczeństwa, można powiedzieć: niebezpieczeństwa chińskiego.

Dziw! Torpedy jeszcze nie było. Marynarze „Odry” nie mogli tego zrozumieć, zdjęci zabobonnym zdumieniem. Działy się niewiarygodne cuda.

Pożar objął już prawie cały pokład palącego się okrętu i sięgał do komina na rufie. Na wodzie pod rufą tkwiła tratwa z kilku ludźmi, niezdolnymi odbić od burty. Lada chwila groziła im śmierć.

— Spuścić łódź na wodę! — zawołał kapitan Czarny po wysłuchaniu krótkiej relacji drugiego oficera Brytyczyka.

— Motorówkę? — zapytał z dołu starszy oficer Bojka.

— Tak, motorówkę!

Spuszczenie jej odbyło się w mig. Starszy oficer Bojka objął ster, drugi mechanik Terlicki — motor; do pomocy zabrano dwóch marynarzy, starszego marynarza Chabę i młodszego marynarza Gorlickiego. Gdy motorówka odbijała od burty, towarzyszyły im ciche powinszowania kolegów: jej przynajmniej już nie dosięgnie eksplozja torpedy.

Teraz dopiero będąc bezpośrednio na wodzie, Bojka uświadomił sobie całą groźbę położenia „Odry”. W promieniach pobliskiego pożaru statek jak gdyby wyrósł na morskiego lewiatana. Stał obnażony i jasny niby pomnik, widoczny na wiele mil dokoła, łup ponętny i cel najdogodniejszy dla wroga. A wróg był w pobliżu. Znów, jak nocy poprzedniej, atakował konwój. Tam, o dwie, trzy mile stąd, wrzało piekło. Jakimże kaprysem losu „Odra” wciąż jeszcze była nietknięta?

Wtem nad ich głowami, tuż blisko, rozbłysło rażące światło. Jakiś samolot wypuścił silną rakietę. Snop jej promieni rozwierał się ku dołowi olśniewającym kłosem, pod którym były obydwa statki, „Odra” i płonący okręt, naraz oświetlone jak w dzień. Marynarze

kleli jak nigdy dotychczas. Gdyby przekleństwa coś znaczyły, niefrasobliwy pilot by nie żył. On tymczasem zataczał niskie koła i robił zdjęcia filmowe. Był to amerykański samolot. Był to Amerykanin. Prawdziwy.

Gdy motorówka zbliżyła się do płonącego statku, ludzie na tratwie zaczęli rozpaczliwie wołać o pomoc. Było ich czterech czy pięciu. Nie mogli odbić od statku, wciskani pod jego rufę przez kontrprądy, jakie tam się wciąż tworzyły. Statek bowiem jeszcze sunął naprzód.

Starszy oficer Bojka, rozdrażniony rakietą świetlną i dzikim wrzaskiem rozbitków, powstał i krzyknął do nich tubalnym głosem, z odcieniem wyrzutu w tonie:

— Are you British?!

To poskutkowało. Tratwa natychmiast ucichła.

Okazało się, że był na niej jeden ranny, i to kapitan okrętu. Wypadało leżącego ostrożnie przeladować, więc motorówka wtoczyła się między tratwę a rufę statku. Ktoś przy tym dotknął burty; szybko rękę cofnął:

— Parzy cholera!!

Żelazo parzyło, ogień był już za ścianą. Statek sprawiał niesamowite wrażenie rozpalonego od środka kotła.

Piorunem przeniesiono rannego, już i reszta rozbitków się usadowiła. Na tratwie pozostał tylko jeden, starszy marynarz Chaba. Marudził tam, czegoś gorączkowo szukał, coś nerwowo przewracał.

— Co tam robicie? — zapytał go niecierpliwie Bojka.

Żadnej odpowiedzi. Marynarz przetrząsał jak opętany zapasy żywnościowe tratwy.

— Co robicie? — huknął Bojka.

Nic... Szukam whisky... — usprawiedliwiał się tamten rozżalonym głosem.

Na to starszy oficer Bojka ryknął z całą furią:

— Natychmiast wracaj, sk...synie!...

Chaba zerwał się, wrócił. Mruczał. Wszyscy musieli pomagać, by motorówkę wydostać z klina między trawą a statkiem. Chwila była ostatnia.

Lecz i motor zaterkotał. Łódź w samą porę zaczęła się oddalać.

Po chwili, gdy niebezpieczeństwo minęło, starszy oficer schylając się nad głową Chaby, zapytał go cicho i troskliwie:

— Było co?

— G.... — odpowiedział marynarz ze szczerym smutkiem.

Skoro tylko rakietą świetlna wygasła, ujrzano w oddali na wodzie czerwone światełka. Pochodziły od drukiej szalupy z kilku rozbitkami. Bojka dowiedział się od nich, że więcej ludzi na wodzie już nie ma.

Zabrał ich i wrócił do „Odry”.

II.

Gdy „Odra” przechodziła najcięższą godzinę swego żywota, kapitan Czarny przeżywał osobliwą ekstazę, starego bojownika morza, który znalazł się w swoim żywiole: w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Był to zawsze człowiek twardy i srogi. Wrodzoną twardość jego potęgowały przebyte sztormy morskie i burze życiowe oraz stałe obcowanie z owym zawilym tworem żelaznym, jakim jest statek. Sam nabrał od niego cech żelaza, i oto człowiek, który tak bezgranicznie oddany był statkom (a tak obcy ludziom i wszystkiemu co ludzkie), podjął teraz walkę zażartą i najdziwniejszą tej pamiętnej nocy.

Pienił się i miotał. Złorzeczył i zaklinał. Wściekał się i rzucał. Była to wściekłość twórcza. Zapładniała ludzi, ruszała narzędzia, budziła zrywy. Napędzała statek magiczną mocą. Jeżeli dokoła niego czyhały zło-

wieszczę siły, chcące go zniszczyć, kapitan jakby odpychał je i w duszy swej przeciwstawiał im inne siły, jemu tylko właściwe, choć równie zajadłe. Tej nocy na statku stał rzucając zaklęcia na statek i morze.

Były chwile, gdy cichł i zaczynał się w milczeniu. Wtedy twarz jego wyglądała okropnie. Zaciągała się ostrymi brózdami, które nadawały jej wyraz niebywalego okrucieństwa. Zmienione rysy odbijały napiętą do ostateczności wolę; wciągnięte z pasją wargi narzucały obraz ryby głębinowej i jej nienasyconej drapieżności.

Zdawać się mogło, że drapieżność ta i owe zaklęcia nie były płonne: statek stał nietknięty. Jakby jednak coś zaciemniało oczy, nieprzyjaciela i odwracało jego peryskopy, precz, na inne wody. Jakby prąd energii, spływający z mostku, był zbawienny. Poruszał cały statek ożywczą sprężyną.

Akcja rozwijała się jak z płatka. Już motorówkę podciągnięto na taliach na pokład szalupowy wraz z rannym kapitanem. Już rozwiązano sprawę umieszczenia owej niespodziewanej ciżby: białych w kabinach oficerów „Odry”, załogi chińskiej w bunkrach, należycie oczyszczonych. Zanim dwie godziny minęły od storpedowania okrętu, dzieło było dokonane. Wśród okoliczności dramatycznych, w posępnej iluminacji pożaru, w niepewności życia następnej chwili, dopełniał się pomyślnie dwugodzinny obrządek, w którym celebrowały instynkt i zaciekleść. I skoro to był czarnoksiężnik, pieniały się na mostku, to w istocie zaklęcia jego odnosiły zwycięstwo.

„Odra” ruszała już w stronę konwoju, gdy w tym kierunku, daleko na horyzoncie, nastąpił straszliwy wybuch statku, prawdopodobnie z ładunkiem amunicji. Przywołało to wszystkich do rzeczywistości, choć trwało krótko, „jak spalenie siarki na zapalce”. Mary-

narze zaniepokoił się serdecznie o los „Gopła”. Wiedzieli, że statek wiezie amunicję.

Pod „Odrę” podeszła korweta, i dowódca zapytał, czy czego nie potrzebuje i czy zabrała wszystkich rozbitków.

— Wszystkich — meldował kapitan Czarny przez megafon, — 54 ludzi, w tym 16 Brytyjczyków, reszta Chińczycy. Dwóch rannych. Brak starszego oficera i trzech Chińczyków, którzy zginęli podczas wybuchu.

— Well done, captain! — odpowiedział dowódca okrętu z uznaniem i przy tej okazji pochwalił się, że korweta miała również niezłą zdobycz: 52 niemieckich jeńców z zatopionej łodzi podwodnej.

W salonie „Odry” ulokowano kilku oficerów oraz urządzono stację opatrunkową. Jeden z Chińczyków, stary bosman, odniósł tak fatalne oparzenia, że była obawa o jego życie. Zupełnie wyczerpany, z twarzą zniekształconą, niezdolny poruszać się o własnych siłach, biedak zdawał się godzić apatycznie z przeznaczeniem. Właśnie zakładano mu opatrunki. Kapitan Czarny zajrzał do salonu. Gdy Chińczyk go zobaczył i poznał, powstał ku zdumieniu obecnych na bezwładne nogi i roztrzęsiony, nagle odezwał się do niego głosem drżącym ze wzruszenia:

— Thank you, cap'n, thank you!... Thank you!...

Ów nieoczekiwany wylew Chińczyka na pół żywego sprawił na wszystkich wielkie wrażenie, lecz najbardziej osłupiał kapitan. Zamigotało mu coś obcego w źrenicach — czyżby ślad wzruszenia? — i on, uosobienie odpychającej surowości, rzekł nieswoim głosem, niemal miękko:

— Bądź cicho, człowieku.

Gdy to nie pomogło, a Chińczyk wciąż stał i jakby błogosławił, kapitan nagle rozsrożył się. Widocznie nie wiedząc co począć ze sobą, wrzasnął z całych sił na nieszczęśliwca:

— Siadaj, do kroćset!...
I jak burza wypadł z salonu.

12.

Rano następnego dnia „Odra” dopędziła konwój. Noc wyrwała w kolumnach statków zatrważające szczyrby, ale „Gopło” nienaruszone, ocalało. Tego poranku do konwoju dobiła silna flotylla sojusznicznych kontrtorpedowców i korwet. Oznaczało to opanowanie sytuacji i kres udręki: nieprzyjaciół natychmiast cofnął pazury, skulił swą zuchwałość. Jeszcze napastował, lecz blade, bez przeboju i z małym skutkiem.

Konwój dotarł ostatecznie do portów Brytanii. Prawda, poniósł szkody bolesne. A jednak, pomimo dwóch piekielnych nocy i wściekłych wysiłków wroga, nie rozbił się, nie zaprzepaścił, wykonał swe zadanie: moc statków i sprzętu wojennego doprowadził do celu.

Razem z innymi, „Odra” i „Gopło” spełniły dobrze swój marynarski obowiązek. Przywiozły amunicję, samoloty i czołgi. „Odra” — ponadto ładunek specjalny: ludzi. Jeżeli amunicja, samoloty i czołgi, jeżeli rządy, fronty, sztaby generalne i miliony żołnierzy służą — poprzez upiorną maszynę wojny — jednemu celowi: ratowaniu człowieka, to „Odra” w jakimś wspólnym skrótce syntetycznym, swym odważnym czynem zobrazowała owe cele wojny i ratując od zagłady ludzi, polskiej marynarce handlowej przysporzyła wymownego, szlachetnego symbolu. W tym była jej zasługa, jak i zasługa jej kapitana, oficerów i marynarzy.

A kapitan? Wiadomo, jak dojmująco spragniony był ludzkiej wdzięczności; lecz również wiadomo, jak dziwnie oślepiony i bezradny błakał się we wszystkim co ludzkie, jak błądził z człowiekiem. Więc czy teraz przynajmniej potrafi uporać się z zadaniem? Czy od-

najdzie w sobie samym ludzką nutę? Czy potrafi doszukać się, wśród toku pozornych wartości, jedynej prawdziwej, człowieczej nagrody swego czynu? Czy zrozumie ów dzielny, lecz surowy i prymitywny samodzierżca morski, tak mało rozumiejący duszę ludzką i miłość ludzką — czy zrozumie, że wzruszenie i słowa staro Chińczyka otwierały świat niepomiernej wagi dla niego, i niepomiernej wagi również dla przyszłości jego syna? Że, jeżeli rychło nie znajdzie klucza do tego świata, zaprzepaści dla siebie cały swój wielki dorobek morski?

Ś w i ę t e b o m b y

PORUCZNIK HERBERT

Pierwszy tydzień sierpnia 1942 r. był dla nas i dla „Genowefy” bardzo męczący: Hannover, Kolonia, Lubeka i dwukrotnie Hamburg. Pięć wypraw w ciągu siedmiu nocy... W dodatku latali z nami na te wyprawy kolejno aż trzech strzelcy przedni, ponieważ Bujak „utleniał się” w izbie chorych pod opieką naszego kono-
wała.

Pierwszy z tych strzelców, młodziutki chłopak, bardzo zresztą miły, nie wytrzymał nerwowo hannower-
skiej łaźni, i trzeba go było zamienić. Drugiego postrze-
lili Niemcy nad Lubeką. Trzeci, stary wyjadacz, czter-
dziestoletnie chłopisko, dostał wietrznej ospy czy też
odry. Wstydził się okropnie tej dziecięcej choroby, ale
nie było innej rady: zabrali go zaraz po drugim Ham-
burgu do szpitala dla zakaźnych, niemal prosto z ma-
szyny. Zygmunt mu jeszcze przygadał na odjezdnym,
żeby do nas napisał, czy nie ma kokluszki i czy przysłać
pieluszki, ale tak czy owak — zostaliśmy bez przednie-
go strzelca i nie poleciliśmy ani na Koblencję, ani na
Bremę.

Merkury mówił, że to lepiej, bo kilka naszych załóg
stamtąd nie wróciło, a i my mogliśmy byli nie wrócić.
Zresztą trzeba było odpocząć, bo „Genowefa” też się
zmęczyła, a mechanicy ledwie żyli, nie śpiąc, nie jedząc,
żeby tylko wydażyć z robotą.

Góral się zirytował i powiedział Merkuremu, że je-
steśmy po to, żeby latać, a mechanicy po to, żeby tyrać.
i że nie wiadomo, kto nie wróci z następnej wyprawy.

To brzmiało jak groźba lub jak memento, ale Merkury się tym nie przejął, tylko zaprosił Kozę „ne jednego”, bo na kolację miał być losoś z puszki, a Merkury utrzymuje, że w takich wypadkach koniecznie trzeba „kapkę” się napić, „żeby losoś nie pomyślał, że go psy jedzą”. Przypuszczam, że w danym wypadku losoś nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do ludzkiego pochodzenia tych dwóch konsumentów: widziałem ich obu wieczorem, jak się odprowadzali do baraku, obaj „ciężko wisząc na skrzydło”. Merkury opowiadał, jak w cywilu sprzedawał diagonale i szewioty, a Koza deklamował sonety własnego wyrobu.

Zygmunt z Góraleem pojechali do „Lordówny”, chrestnej matki dywizjonu, dalej szturmować tę niewzruszoną cnotę, ja zaś wojowałem piórem w „Kronice”, odrabiając zaległości.

Wreszcie po kilku dniach Bujak wrócił. Powitaliśmy go z radością, bo się już wszystkim to nieróbstwo sprzykrzyło, a dywizjon właśnie miał składać wizytę Niemcom w Wilhelmshaven, gdzie nas jeszcze nie było.

Oblataliśmy przed południem naszą „Genowefę”, sprawdziliśmy przewody tlenowe, uzbrojenie i przyrządy, po podwieczorku zaś ruszyliśmy w bojowym nastroju na odprawę.

Odprawa — jak odprawa: każdy specjalista myśli, że najważniejsze jest to właśnie, o czym sam mówi. Ale robota — ważna robota — zaczyna się dopiero po odprawie. Studiujemy komunikat meteorologiczny, kombinujemy trasę, dobieramy szybkości na poszczególnych jej odcinkach, po czym setki cyfr zapelniają log Zygmunta.

Każda załoga ma swoje chody i sposoby na dojście do celu i powrót do bazy. Jedni lecą zawsze tym samym szlakiem na te same cele, jak słonki na wiosnę. Inni — zależnie od pogody — zmieniają tylko wysokość lotu nad morzem i nad nieprzyjacielskim brze-

giem. Jeszcze inni chodzą „na nos”: tu odskoczą w bok z kursu, tam wrócą: idą wprost na zapory artyleryjskie, żeby w ostatniej sekundzie wykręcić i przedelfilować wzdłuż nich bez gazu, cicho, niby cień wymykający się nożycom reflektorów; kluczą między obłokami, schodzą pod nie lub pchają się w chmurach; wracają nad samą wodą, albo niemal w stratosferze. Zależnie od dnia, od wiatru, od nastroju, od przeczucia, od dziesiątków drobnych okoliczności i nawet przesądów.

Bo nocna wyprawa jest grą, a załogi bombowców są graczami. Jedne idą „va banque”, inne podwajają za każdym razem stawkę, inne grają ostrożnie, inne używają wybiegów przeciw zmiennemu losowi, jeszcze inne wierzą w fatum, które tą grą rządzi.

Na „Genowefie” zaś jest tak, że każdy z nas myśli trochę inaczej, ale zgadzamy się w sumie doskonale. Zaczynając od przodu — Bujak jest optymistą: bez względu na to, jakbyśmy polecieeli, damy Niemcom szkołę i nic się nam nie stanie; Góral wierzy święcie, że jeśli dotąd żyjemy, to wyłącznie dzięki jego wykrętasom i lotom w chmurach; Merkury powiada, że do celu najlepiej nie lecieć w ogóle, a gdy już koniecznie trzeba — wszystko jedno jak, byle prędko; natomiast wracać lubi wysoko i prostą drogą; Zygmunt powoduje się przeczuciami; Koza wierzy w swoje radio i w Opatrzność; klnie i modli się na przemian; wreszcie ja — podzielałam po troszę przekonania ich pięciu, a nade wszystko ufam, że damy sobie radę, bo — nie ma co ukrywać — załoga jest dorzeczna.

Załoga jest dorzeczna — tak. Gdyby nie to, może nie wrócilibyśmy tym razem z nad Wilhelmshaven...

* * *

Komunikat meteo przepowiadał same przykrości: silny wiatr północno-wschodni, bardzo niska tempera-

tura w górze, grady, deszcze i burze magnetyczne. Niby jak na jedną noc, to dosyć...

— A bombek ile na ten raz? — pyta Zygmunt.

Góral niechętnie wymawia poważną ilość funtów.

— Mam z tym wejść na 18.000 — dodaje z gryzącą ironią.

Merkury robi beznadziejną uwagę, że trzebaby pozyczyć jeszcze z 500 koni mechanicznych, aby „Genowefa” zdobyła się na podobny wyczyn i przechodzimy do porządku nad tą niewykonalną sprawą.

Omawiamy trasę powrotną, zjadamy kolację i jedziemy ciężarowym samochodem do „dispersalu”, czyli — jak się to nielogicznie teraz nazywa — do „punktu rozproszenia”.

Po chwili, ciszę wieczoru zaczynają drążyć bliższe i dalsze warkoty, pomruki i ryki silników, a potem migocą latarki elektryczne w rękach obsługi startowej, która kieruje maszyny na zawietrzny skraj lotniska. Jak za dotknięciem różdżki czarownika, zapalają się wszystkie naraz czerwone światła przeszkód na dachach budynków i na masztach radiostacji.

— Hallo, Genowefa! Hallo, Genowefa! — w słuchawkach.

Zatrząskuję pancerne drzwi mojej ciasnej wieżyczki tylnego stanowiska strzeleckiego w ogonie samolotu.

— Gotowi?

— Gotowi!

Ziemia rusza z miejsca i wykręca w lewo. Sylwetki mechaników ze wzniesionymi ramionami i z odgiętymi w górę kciukami obu dłoni. Trzęsie, chrobocze; oleopneumatyczne amortyzatory dobijają twardo na nierównościach. Potem — gładki betonowy „runway”. Rząd latarni startowych. Budka radiostacji. Poślizgi światła na trawie szczytywanej pędem wichru od śmigieł. W oddali, w mroku — czarny cień Wellingtona oddzielający się od ziemi...

I znów: „Halo, Genowefa!” — w słuchawkach.

Silniki łomocą — raz lewy, raz prawy; zamiata mną w skrętach po „runway’u”. |

Wreszcie „Good luck” — i startujemy.

Zielone światło oddala się, oddala... Na prawo wyskakują raz po raz lampy stojenne, znaczące drogę rozbiegu... Ziemia klei się do podwozia, nie puszcza. Od rozkraczonych goleni przez podłużnice kadłuba idą dreszcze i udzielają się statecznikom ogona, które szarpiają moją wieżyczką, jakby w konwulsjach.

Wiem, że „Genowefa” dobywa wszystkich sił: nabrać pędu! Ulżyć podwoziu! Oderwać się od ziemi! Czuję wszystkimi nerwami ten straszny wysiłek i sam podświadomie biorę w nim udział. Wstrzymuję oddech, napinają mi się wszystkie mięśnie, a w głowie panuje tylko jedna myśl: naprzód i w górę!

Śmigła ubijają fale powietrza na gęsty, twardy nurt, który wali o ziemię i wygina grzbiet, by dźwignąć na nim skrzydła. Podsadza się pod nie, spręża się coraz mocniej, coraz gwałtowniej, z siłą wściekłości, za którą czyha już tylko rozpacz u końca „runway’u”. Silniki wyją, płaczą, skarżą się boleśnie. Rzekłbyś — nie dadzą rady, bo wypór wciąż jest za mały w stosunku do ciężaru maszyny: ogromne płyty skrzydeł orzą zbity, oszalały od pędu potok wichru i nie mogą znaleźć na nim dostatecznego oparcia; ześlizgują się po jego powierzchni, grzęzną w nim i toną, póki znów nie podeprze ich amortyzacja podwozia.

„Genowefa” przysiada i toczy się, cała rozdygotana, spazmująca, niemal pokonana przez siłę przyciągania ziemi. Ale — gdyby się teraz poddała — nie starczy już lotniska na wytracenie pędu. Więc, posłuszna sterom, gna dalej naprzód.

Teleskopowe człony goleni tępo uderzają o siebie na każdej nierówności betonu. Silniki zdają się wyłamywać z łożysk, a wibracja kadłuba trzęsie wszystkimi

instalacjami, które dostały febry i dzwonią szkłem i metalem. „Genowefa” cierpi, lecz musi wyjść w powietrze albo roztrzaskać się w kawałki...

„Genowefa” cierpi... Taki start, start z takim obciążeniem, pewnie jest dla niej okrutną próbą. Czuję tę straszliwą mękę wybijanych stawów, tę szarpaninę ścięgien, te skręty kadłuba i omdlenia skrzydeł, bulgot wypełnionych zbiorników, stękanie wnętrzości, opchanych bombami, ciężkich, nadrywanych podskokami na wybojach, tę niezdolną wibrację przyrządów i zegarów, to bolesne ćmienie wewnętrznych światel ekranowych i drzenie nerwów radiostacji — lamp i anten. To musi być okropne... Ale maszyna musi to wytrzymać, jeśli ma nadal istnieć.

Oto opuszcza lekko ogon, by ulżyć podwoziu; jakby się wspinała na palcach. Golenie przestają dobijać, pneumatyki kół ledwie muskają powierzchnię „runway’u”. Jeszcze chwila...

Zaciskam pięści aż do bólu.

— W górę... w górę, „Genowefo”!

Czuję, jak skrzydła wchodzą na tego ubity nurt, twarde i prężne jak olbrzymia sprężyna stalowa. Uginają się pod nimi, spłaszcza się, ale niesie! Niesie! Ogon dźwiga się do poziomu, i teraz pędzimy równalegle do ziemi, lecz już ponad nią. Opływ syczy w antenie, zaczynają gwizdać fletnery na sterach — wypycha nas w górę: ostatnie czerwone światła płyną coraz wolniej, zapadają w dół, maleją.

— No, — mówi Góral, — toby było to.

* * *

Pchamy się przez chmury na ślepo. Nord-East cwałuje po nich to tu, to tam, przyśiada gdzieś zmęczony i zrywa się, jakby go diabeł uszczypnął w pośladek. Tratuje gęste chmurzyska, czarne od grozy i rude od

złości, skacze na Nord, odbija się, jakby mu Północ dała w pysk, i zatacza się na East, by na łeb na szyję runąć w dół, w jakąś powietrzną przepaść, w którą „Genowefa” zapada za nim, nagle tracąc oparcie. Robię się lekki, jakbym był z papieru, i mimo woli chwytam rękami za krawędzie mego krzeselka, żeby nie uderzyć głową o kopułę wieżyczki.

Lecz w tej samej chwili wszystkie moje członki, serce, płuca i wnętrzności napęlniają się ołowiem: aż mnie przegina w krzyżu od tego ciężaru. To pod skrzydłami samolotu pękł olbrzymi bąbel gęstego powietrza, ściśnięty z dwóch stron napierającymi falami wichru. Pękł, chlusnął w próżnię, rozlał się, wypełnił sobą przepaść i dźwignął nas w górę, by rzucić w skręt innego podmuchu, który zawinie maszyną i poda ją następnemu z kolei. Ten wpadnie na skrzydło, wymknie się spod niego i grzmotnie sprężystym łbem w drugie, a potem zatarga sterami i znów skoczy w jakąś studnię, żeby nas tam za sobą pociągnąć.

Tak było ciągle; od stu pięćdziesięciu stóp do sześciu tysięcy: niemal od chwili startu — przez trzecią część drogi.

Dopiero na wysokości siedmiu tysięcy wicher nieco się uspokaja, i tylko wertepy, wały, leje i wyrwy powietrznego poligonu chwieją maszyną wśród chmur. Jest bardzo ciemno. Lecimy jak w rozpylonej sadzy, nie widząc, czy jesteśmy jeszcze ciągle w chmurach, czy też przebiliśmy ich warstwę.

Nagle w tej czerni wybucha blask! Oślepiający, błękitno-biały, ogromny!

Niezmierny przestwór ocknął się, mrugnął ciemną powieką nocy, spojrział przeraźliwie jasnym wzrokiem, którego nie mogą znieść ludzkie oczy, i znów zapadł w drzemkę.

Błyskawica oświeciła skłębiony odmęt chmur tuż pod skrzydłami „Genowefy”, ich ciężki brzuchaty o-

kap, który zdaje się urywać nad nami, i kilka spłoszonych, rozpelzłych obłoków na naszej drodze. Ziemi nie ma. Nie ma ani gwiazd, ani nieba. Świat, w którym istniejemy, składa się z chaosu chmur, z wąwozów, dolin i przełęczy między nimi. Słońce, dzień, mój pokój, zieleń lotniska, wszystko na co patrzyłem jeszcze niedawno — zaledwie kilka godzin temu — oddaliło się tak niezmiernie, jest takie inne od tego co mnie otacza, że wydaje się niemal nieprawdziwie, nieistniejące.

Nowy błysk potęguje to uczucie: walimy prosto w otwartą lukę spiętrzonych gór gęstej pary; gór o zmiennych, ruchliwych kształtach; gór — nie — gór — potwornych worów, baniastych kopuł, ponasadzanych wzajem na siebie, wydymających się, pełzających, wijących się w konwulsjach, kipiących i puchnących, pożerających się i miotanych torsjami. Nie ma nic więcej. Harmonia tamtego, ziemskiego świata zginęła. Jest tylko chaos, rozrywany białymi zębami błyskawic.

Mrok pruje się teraz co chwila wzdłuż krzywych zygzakowatych szwów i zrasta się natychmiast, jeszcze czarniejszy, jeszcze bardziej gęsty. Raz po raz cień samolotu wyskakuje na chmurach przede mną lub z boku, to bliski i prawie czarny, to daleki mglisty, szary, z otęczę dookoła — zależnie od tego, z której strony wyszczerzy się błyskawica.

Między zdwojonymi lufami karabinów maszynowych nieustannie przeskakują iskierki wyładowań elektrycznych. Jeżeli zbliżę dłoń do jakiegokolwiek metalowego przedmiotu, w końcach palców czuję ukłucia takich samych iskieriek.

W słuchawkach — trzaski. Chrypiący, jakby czkawką przerywany, głos Kozy.

— Wyłączam radio.

Próbuję obrócić wieżyczkę: w lewo, w prawo. I-skrzy!

Z fletnerów na sterach ciekną paciorki płynnego

światła: zatrzymują się na krawędzi i skaczą w mrok. Skrzydła fosforyzują. Pokrywa je świecący szron, który rozprzestrzenia się nieregularnymi plamami blasku, znika i znów się ukazuje. Świeci białe, zielonkawo, błękitnie. Pelgające, ruchliwe meduzy, węże i smoki wiją się po kadłubie. Mnożą się, rosną, to znów maleją, dzielą się i łączą, zmieniają kształty, przeobrażają się, zlewają się i liżą burty, by po chwili znów skoczyć na skrzydła i tańczyć na lotkach jak rozbawione chochliki. Górna antena drży, jak pajęczyna pokryta rosą, i strząsa kropelki blasku, osiadające na niej nie wiadomo skąd: dolna, lekko wygięta pędem, błyszczy jak wypolerowana stalowa klinga.

„Genowefa” pławi się w żywym srebrze elektryzacji i zieje smugi lśniącego pyłu, cała w aureoli wyładowań, drgająca, nierzeczywista, jak zjawą, która może rozwiać się i zniknąć.

— 8.000 stóp — chrypi głos Merkurego.

Bujak zawiadamia nas ze swego przedniego stanowiska, że „jeszcze w życiu swoim czegoś takiego nie widział”, na co Góral odpowiada opryskliwie:

— To się przyglądaj.

Ta krótka wymiana słów wraca mi poczucie rzeczywistości: lecimy na Wilhelmshaven; to nie jest sen z palarni opium, tylko jawa.

Góral irytuje się, że nie może wyciągnąć maszyny wyżej. Nic go nie obchodzą niezwykle zjawiska burzy magnetycznej w luce między chmurami. Koza martwi się o radio, które zwariowało w tych warunkach, a Zygmunt z całą swoją wiedzą nawigacyjną jest jak tabaka w rogu, bo — ani namiarów, ani ziemi, ani gwiazd.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur.

— Widzę gwiazdy! — woła Bujak.

Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Za to widzę w dole coś jakby fale na morzu.

Pod nami jest rzeczywiście morze, usiane wyspami,

na prawo zaś, o cztery, pięć mil — brzeg holenderski. Idziemy równolegle do tego brzegu i dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkury melduje: 9.000, 10.000, 11.000...

Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu artylerii wszystkich kalibrów.

— A co będzie nad celem?...

To nie jest myśl „krzepiąca”. Każdy zadaje sobie takie pytanie i każdy stara się tę myśl odpędzić: może uda się wejść choćby na 15.000 — 16.000?...

Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, bo do celu już jest zbyt blisko. A w ślad za tym trzeźwym stwierdzeniem prawdy płyną natrętne myśli o ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem:

— Mamy prawo nie lecieć nad cel w takich warunkach!

— Możemy skrócić o 90 stopni w lewo, na północ, i wyrzucić bomby w morze!

— Powinniśmy zawrócić!

Za nic na świecie pierwszy nie wypowiem takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć każdy czeka, by je wypowiedział ktokolwiek.

Gdyby jednak zostało wypowiedziane, wszyscy by zaprotestowali. Bo wolno nam się bać, ale nie można o tym mówić.

Nie zawrócimy, nie skrócimy na północ. Nie wyrzucimy bomb do morza, bo „te bomby są święte”, jak raz powiedział Bujak.

Nie potrafię tego tak krótko i prosto wytłumaczyć, jak on to ujął, choć nie każdy od razu to pewnie rozumie. Ale Bujak ma rację: te bomby są święte. Muszą upaść na ziemi niemieckiej i wybuchnąć. To że mamy możliwość bombardować Niemcy, jest naszym przywilejem. Nikt inny z Polaków tego przywileju nie ma: tylko my. Więc nie mamy prawa zrzec się go, póki ży-

jemy. To są nasze *polskie* bomby, choć pochodzą z brytyjskiej fabryki. Dlatego są święte, dlatego każda musi wybuchnąć w celu; dlatego nie rzucimy ich do morza.

Dlatego także polecimy nad cel na tej idiotycznej wysokości, na której może nas osiągnąć każdy pocisk. To trudno; nad celem będzie gorąco, ale dolecieć tam musimy.

Maszyna leci teraz spokojniej — może z powodu większej wysokości, a może dlatego, że minęliśmy front burzowy. Rozglądam się po niebie. Księżyc wlecz się między obłokami, uśmiecha się, wynurzając zza nich jajowatą, spleaszczoną głęczę, i smutnieje, gdy go zakrywają.

Wtem na lewo w skos, trochę powyżej nas, dwie małe gwiazdy ruszają z miejsca. Przecieram oczy z niedowierzaniem. Ależ tak! Płyną po wielkim łuku w naszą stronę, rosną, mijają inne gwiazdy.

— Samolot od ogona! Widzę światła pozycyjne — 500 jardów!

— Jakto? Ma światła?! — pyta naraz kilka głosów. Potwierdzam, starając się przezwyciężyć skurcz gardła.

— Uważaj, Góral!

Góral mówi:

— Daj mu szpryca, tylko nie za wcześnie — i zapada milczenie.

Obca maszyna zbliża się wolno. Jej pilot chyba nas nie widzi, bo podchodzi raz z lewej, raz z prawej, oddala się i znów nas dogania, jakby tracił ślad i znów go odnajdywał. Wreszcie zniża się na nasz poziom i trawersuje lekko o 200 jardów od prawej ku lewej.

„Teraz”! — myślę.

Seria! Zgasił...

Ale w tej samej chwili coś dzwoni po kadłubie, od-

zywają się karabiny Bujaka, i czarna masa, jak oślepy, wystygły meteor, przewala się nad nami.

Machinalnie naciskam spust — za późno! Seria mija znikający cień i chybia.

— To drugi! — wołam, dygocąc z emocji.

— Atakował z przodu, z góry — mówi Bujak — Ten nie miał świateł.

— Uwaga, Bujak!! — wrzeszczy Merkury. — Uwaga! Na prawo światła!

Bujak strzela, i natychmiast z mroku nade mną czterema smugami sypią się koraliki pocisków.

Szarpię karabinami, wykręcam wieżyczkę — poprawka — ognia!

Znów za późno: smugi tamtego nikną, słyszę jak ktoś klnie i potem Bujak...

Nie słyszę końca zdania: nowa seria głuży słowa i — jest! Strzelam, prowadząc ogień przed nimi, a potem przepuszczam je w smugach moich pocisków.

Odszedł. Zwalniam nacisk palców i słyszę krótkie serie Zygmunta i Bujaka — to razem, to na zmianę. Koza klnie:

— Odbiornik mi, cholery, postrzelali...

Znów coś przewija się koło nas — o 100 jardów? — o 50 jardów?...

Bujak strzela i — —

— Uwaga, Herbert! Z lewej!

Podrywa mnie, mało mi oczy nie wyskoczą z czaszki.

— Jest!

Walę. Bujak strzela także. Między dygotem serii raz po raz słyszę urywane słowa, strzępy okrzyków i wreszcie:

— Dostał! Patrzcie, jaki wybuch!

— Hurra! — wrzeszczy Koza.

Wszyscy naraz gadają — nie mogą zrozumieć...

— Powiedzcie mi...

Znów kilka naraz:

— Bujak go zwałił! — Rozleciał się! — Pali się!
...same śmiecie! Bujak...

— Przed nami reflektory — mówi Bujak.

W maszynie pełno dymu i czadu, który zwolna uchodzi przez odwietrzniki i szpary. Robi mi się mdło, mimo tlenu. Straciliśmy ze dwa tysiące stóp wysokości, a reflektory macają: pod nami na lewo, na prawo, wyżej... Jesteśmy nad lądem.

Zygmunt pyta:

— Jaki masz kurs?

— 80 — podaje Góral. — Ale grzeją!

Po chwili Zygmunt ustala:

— Minęliśmy Emden. Weź 75.

Wkrótce potem:

— Weź 70.

Ziemia wysyła ku nam setki i tysiące pocisków. Rodzą się tam jako błyski i iskierki i pędzą, coraz większe, gasnąc u szczytu drogi, albo migając rozpryskami wybuchów. Rośnie napięcie nerwów. Każdy z nas czeka, wstrzymuje oddech.

Reflektory, zapory ogniowe, stożki. Pociski idą wysoko nad nami, odłamki trzepią po skrzydłach z góry. Widzę brzeg zatoki, więc wchodzimy chyba na południe celu? Tak; Zygmunt zduszonym głosem mówi:

— Kurs 350. Zamknij gaz.

Brzeg naszpikowany reflektorami usuwa się, wykręca. Ogień jest tak gęsty, że nie można zrozumieć, jakim cudem „Genowefa” trafia na przestrzeń wolną od wybuchów.

Nagle ostre światło zalewa moją wieżyczkę i zapewne całe wnętrze gondoli. Jeden, dwa, trzy reflektory... Już wszystkie skłaniają się ku nam; ze wszystkich stron. „Genowefa” błyszczy jak srebrna wałka; setki promieni skupiają się na niej i suną razem z nią przez niebo. Nad całym ogromnym dnem nocy nie ma nic

więcej, tylko nasza maszyna, schodząca wciąż niżej i niżej nad te setki dział, które teraz biją do niej wszystkie — wszystkie razem!

Wiem, że wzrok każdego kanoniera wpatrzony jest w „Genowefę”, która błyszczy jak przynęta u wędki na pstrągi.

— Kiedy rozprysnie się w ogniu pocisków?...

Cale niebo, pokreślone pasemkami światła reflektorów, zbiegło się w jeden punkt. Jest tak jakby to „Genowefa” wysyłała ogromny snop promieni, obejmujący ziemię. Ona jest punktem centralnym. Ona jest najważniejsza. Ona jedna — przeciw tylu bateriom! —

Schodzi w dół majestatycznie, wolno, sycząc i gwizdząc opływem powietrza na sterach i w antenach. Schodzi w dół, prowadząc za sobą po niebie pochylający się stożek reflektorów. Jest patetyczna w tym spokoju prostego lotu ślizgowego na zamkniętym gazie. Miele bez pośpiechu śmigłami, lśniącymi w blasku jak lustra, a na nitce jej celownika sunie ziemia przed wzrokiem Zygmunta.

Rzucamy flary, żeby tę ziemię lepiej widzieć. Jedna zgasła w rozprysku granatu, ale druga płonie, i widzę ją, jak zostaje z tyłu za nami. Świeci: widzę miasto — port — nadbrzeża — statki...

Ciągle idziemy w dół bez gazu. I — ciągle jeszcze... żyjemy!

— Jakim cudem?!

Widzę za ogonem raz po raz kłęбки dymu i błyski — po pięć, po dziesięć wybuchających pocisków. Odłamki trzepią po skrzydłach, dzwonią o metalowe żebra, zgrzytają po wieżyczkach. Słyszę wybuchy.

Jak długo to już trwa? Kwadrans? Godzinę? Pół minuty? — Nie wiem: nie umiałbym odgadnąć.

Wreszcie — pełny, dźwięczny jak dzwon na Alleluja, głos Zygmunta:

— Uwaga — bomby!

Widzę je doskonale, jak migają w pasmach światła, i kiwając się, lecą w dół. Zaraz potem gwałtowny młyniec porywa nas w ślad za nimi.

— Trzymajcie się! — woła Góral.

Pół zwitki korkociągu wtacza mnie w oparcie niskiego siedzenia i natychmiast rzuca z powrotem na tyłce karabinów. Serce zatrzymuje się na sekundę i rusza cwałem. Strach skacze do gardła:

— Co się stało?!

Odpowiedzi nie ma. Spadamy w dół z sześciu czy siedmiu tysięcy stóp, jakby się nam urwały skrzydła, albo stery. Spadamy, prowadzeni bez przerwy reflektorami, w potopie oślepiającego blasku — prosto do morza. Maszyna wyje pędem, gwizdże, szamoce się. Słyszę głosy załogi, ale nie rozróżniam słów. Nie mogę ruszyć wieżyczki z miejsca; zapewne zacięła się albo mechanizm został uszkodzony pociskami. Jestem uwięziony i nie zdążę wyjść, jeżeli nawet nie zginę natychmiast przy uderzeniu na wodę.

Jakiś paraliż opanował mi myśli i nerwy: wiem, że gdzieś w moim umyśle, czy w instynkcie, zapalił się lont przerażenia, ale płomień nie doszedł do ładunku, i wybuch nie następuje. Nie uświadamiam sobie jasno grozy tego co się dzieje. Tego co się tak krótko będzie jeszcze działo... Nie umiem sobie powtórzyć, uprzytomnić, nie umiem zrozumieć, że nas zestrzelono; że ginieemy; że to już koniec.

Nie rozumiem także, co znaczy mrok, który mnie po chwili ogarnia, i ciężar, który mnie przygniata coraz bardziej i bardziej. Czuję tylko olbrzymi rozkołysany dzwon w uszach raz — dwa — raz — dwa...

— Oh, jak słabo... Czy tak się umiera?...

Nawet ten dzwon już cichnie.

— Herbert! Herbert! Herbert!

Nagle budzę się z omdlenia.

— Herbert!

— Czego... — chcę powiedzieć: „Czego chcecie?“, ale nie wystarcza mi głosu.

— Żyje, nic mu nie jest — mówi Góral.

Aha, to o mnie. Nagle wracają mi siły.

— Czego chcecie? — pytam głośno.

Ktoś się śmieje.

— Aleśmy im wyrwali, no!

Byli pewni, że nas zestrzelili, a my — cyk! nad samą wodą i — moje uszanowanie! — cieszy się Góral.

— Przestali nawet strzelać — potwierdza Bujak.

Rozglądam się dokoła. Lecimy nisko nad morzem. Daleko, daleko widać błędzące reflektory, ogień artylerii i łuny pożarów. To Wilhelmshaven się pali.

A my żyjemy! Nie urwało nam ani skrzydeł ani sterów, tylko Góral zaryzykował 6.000 stóp pionowej piki, żeby wyjść z obstrzału niemal wszystkich naraz baterii obrony przeciwlotniczej, i wyszedł! Pocziwa, stara „Genowefa” wytrzymała i teraz niesie nas do bazy. Podziurawiona, z posiekanymi na strzępy burtami, z przestrzelonym radio-odbiornikiem, ale żywa, grająca basem silników, lekka i szybka.

O, „Genowefo”!

A p e l

JERZY ANDRZEJEWSKI

Dzień pracy w koncentracyjnym obozie w Oświęcimiu trwa dwanaście godzin. Zaczyna się rano o szóstej apelem i kończy o szóstej wieczór także apelem. W południe odbywa się jeszcze jeden apel, gra orkiestra i jest przerwa obiadowa. Gdy za jakieś przekroczenie regulaminu poszczególne blok czy cały obóz otrzymują wieczorem apel karny, dzień z dwunastu godzin przedłuża się daleko w noc. Raz, w październiku czterdziestego pierwszego roku, pewien chory na biegunkę zamarudził w latrynie i o parę minut spóźnił się na apel. Cały trzeci blok otrzymał za karę czterogodzinny apel nocny. Blisko siedmiuset ludzi stało na wietrze, pod ulewnym deszczem, w przenikliwym chłódzie. Umarło wtedy czternastu więźniów, z tych trzech apel zastał w agonii. Był to już drugi karny apel w niedługim przebiegu czasu. Na niecały tydzień przedtem, gdy blockführer, SS Hans Kreutzmann, znalazł w sienniku jednego z więźniów woreczek z tytoniem, trzeci blok stał na apelu dwie godziny. Winowajcę zapakowano na tydzień do ciemnicy. Po tygodniu przeniesiono go do krematorium. Był to silny mężczyzna po czterdziestce i chociaż rok przebywał w obozie, wyglądał zdrowo i mocno.

Rygor dwunastu godzin jest ustanowiony dla całego roku. Latem lżej go znosić, jesienią i zimą ciężiej. Słoty i mróz podwajają czas. Ludzie są źle ubrani, mają na sobie cienkie drelichy i do pierwszych przymrozków są

bosi i bez czapek. Obojętna natura sprzymierza się wtedy z ludzkim okrucieństwem i z ludzką pogardą.

Gdy nastają krótkie dni, praca zaczyna się w nocy, a końca dobiega także w mrokach. Oślepiający blask reflektorów wydobywa z ciemności jasność ostrzejszą niż dzienna. Oba apele, ranny i wieczorny, odbywają się przy tym obnażającym i złowrogim świetle. Dokoła jest noc ogromna i niema. Gardłowe krzyki Capów i SS-ów donośniej i chrapliwiej rozbrzmiewają aniżeli w dzień. SS-si dozorujący obóz z drewnianych wież pilnie czuwają przy swoich karabinach maszynowych. Potem wstaje mglisty, chmurny dzień lub zapada noc.

Jesienią czterdziestego pierwszego roku Oświęcim przechodził ciężkie dni. W związku z masowymi areztowaniami oraz łapankami przygodnych ludzi, po drogach, do obozu przychodziły coraz nowe transporty. Zwożono je zawsze nocą. W blasku reflektorów, wśród wrzasków SS-ów, wystrzałów i ujadania szczu-tych psów, gnano z kolei ten ciemny, stłoczony tłum aż po bramę, na której płonął wielki napis: „Durch Arbeit zur Freiheit”.

Po niedługim okresie znośnych warunków mieszkaniowych, w sztubach obliczonych niegdyś, gdy budowano austriackie koszary, na siedemnaście łóżek, gnieździło się teraz po stu i więcej ludzi. Sienniki ciasno stłoczone przy sobie służyły dwom, a nieraz i trzem więźniom. Wcześniej zaczęły się tego roku chłody. Jesień była ostra i słotna. Śmiertelność wzrastała z dnia na dzień. Szerzyły się choroby, szczególnie biegunka, zapalenia płuc i schorzenia pęcherza.

Poza tym, w związku z przybyciem do obozu nowych strażników, kurs w stosunku do więźniów uległ silnemu zaostrzeniu. SS-si, przysyłani tutaj przeważnie za służbowe czy prywatne uchybienia, chcąc z miejsca wykazać się przed komendantem obozu, szaleli z goryliwością, która wyładowywała się w nieustannych bi-

ciach, kopaniach i w najwymyślniejszych szykanach. Śladem przełożonych szaleli również Capowie bloków i ich zastępcy. Nawet niejeden spośród sztubowych, więźni jak wszyscy inni, ulegał tej ogólnej atmosferze i bity bił z kolei współtowarzyszy. Plaga kar spadła na obóz.

W kilka dni po drugim karnym apelu trzeciego bloku zdarzyła się rzecz groźna: jednego z więźniów należących do tego bloku schwytano na nieudanej próbie ucieczki. Stało się to przed południem, w godzinach pracy. Natychmiast zarządzono apel.

Gdy obóz wśród wzmożonych wrzasków SS-ów i Capów ustawił się blokami w przepisowych dziesiątkach, po długim, prawie godzinnym czekaniu, wpędzono na plac przed front szeregów uciekiniera. Był to młody, dwudziestoparoletni chłopiec, drobny i ciemny. Kopany i popychany przez gromadę otaczających go SS-ów, szedł potykając się, w postrzępionym pasiaku, oślepiony krwią spływającą z rozciętego czoła. Kilka tysięcy ludzi, sztywno wyprostowanych na baczność, wpatrywało się w niego z natężeniem i w milczeniu. Gdy doszedł do środka placu, uderzenie pięścią w plecy zmusiło go do wyprostowania się. Wtedy jeden z SS-ów, Schmidt, znany z nieprawdopodobnie długich rąk, wepchnął mu za szyję kij z niemieckim napisem: „Znowu jestem tutaj”. Drąg przymocował do szyi sznurkiem. Drugi SS, osiemnastoletni, kędzierzawy Dietrich, wsadził chłopcu na ostrzyżoną głowę koguta, skleconego z kolorowych papierków, a do rąk wcisnął bębenek z pałeczką. Pozostali SS-si ryczeli ze śmiechu. Przycichli wtedy dopiero, gdy zabrał głos komendant obozu. Był to średniego wzrostu, bardzo zwarto zbudowany mężczyzna około czterdziestki o nieproporcjonalnie dużej głowie i martwej, ziemistej twarzy, która przypominała maskę. Przemówił krótko głuchym i donośnym głosem człowieka przywykłego do rozkazywania. Uciekiniera

skazano na sto kijów. Cały obóz miał być świadkiem egzekucji. Ale nim nastąpiła, kazano winowajcy przemaszzerować wzdłuż szeregów współtowarzyszy. SS-si i Capowie pilnie uważali, aby nikt się nie odważył opuścić lub odwrócić oczu. Kto to uczynił, był natychmiast bity. Po paru pierwszych egzekucjach spojrzenia wszystkich wlepione były w idącego.

Szedł wolno, krokiem dziwnym, jakby na obcych nogach, wyprostowany, lecz z oczami ciągle niewidzącymi, powleczonymi mgłą, która nadawała im nieobecny wyraz. Wargi miał pokrwawione i skrzywione grymasem, widać było, że końcem języka zwilża odruchowo ranę po wybitych zębach. W lewej dłoni trzymał bębenek, a prawą, która była krwawym strzępem, uderzał weń palczką, wybijając takt równy i monotony. Przed frontem szeregów trzech Capów ustawiało prowizoryczną estradę. Cisza była ciężka i przytłaczająca, jaka zalega w tłumie spętanym grozą. Wśród niej niezmiennym rytmem rozbrzmiewały tępe i krótkie uderzenia palczki w pergamin bębena.

Po chmurnym ranku przejaśniło się teraz cokolwiek i nawet słońce ukazało się spoza strzępów brunatnych obłoków. Delikatna jasność prześwieciła mgliste powietrze, a srebrne liście topoli rosnących wzdłuż czerwonych bloków zalśniły wilgocią. Czas mijał wolno.

Na koniec uciekinier, przeszedłszy wzdłuż wszystkich szeregów, wrócił z powrotem na środek placu. Tam Capowie wykańczali jeszcze coś przy podniesieniu, musiał więc chwilę czekać obok. Gdy skończyli, zmuszono go, aby wdrapał się na estradę. Pomagano mu biciem i krzykami. Wreszcie stanął tam. Porwany pasiak więzienny ledwie skrywał jego wychudłe, ciemne ciało. Stał z opuszczonymi rękami, ciągle trzymając w jednej bęben, w drugiej palczkę. Błazeński kogut przekrzywił mu się na głowie, którą pochylał trochę na bok, uwierał go widać kij z napisem. Oczy jego do końca pozo-

stały niewidzące, choć wyraźnie szukały kogoś wśród tłumu, w miejscu, gdzie stał trzeci blok. Być może znalazły tamtego dalekiego człowieka, bo w pewnej chwili, jak gdyby cię uśmiechu, nieśmiały i prawie pogodny, przesunął się po skrzywionych wargach chłopca. Wtedy pchnięto go na środek podniesienia. Dalej już wszystko poszło szybko. Biło kijami sześciu Capów. Z początku uderzali kolejno, rytmicznie, lecz gdy po pierwszych kilkunastu razach skazaniec upadł, poczęli leżącego tłuc wszyscy równocześnie. Gdy skończyli i zeszli z estrady, na deskach pozostała bezkształtna miazga. Na tym się skończyło. Obóz wrócił do przerwanych prac. Estradę zostawiono.

Zabity nazywał się Wacław Zawadzki. Miał dwadzieścia trzy lata, był z zawodu radiotechnikiem, a do obozu dostał się przed rokiem za kolportaż nielegalnej prasy. Jeszcze tego samego dnia w sztabie, gdzie sypiał, wszczął się spór o miejsce po nim na sienniku. Ponieważ współtowarzyszem Zawadzkiego był młody i zdrowy student z Warszawy, Stanisław Karbowski, pragnęli z nim spać wszyscy ci, którym zatruwali sen choroby na pęcherz. Chętnych było wielu. Ostatecznie dzięki nieporadności sztabowego Pawłowskiego, magistra praw z Krakowa, wmieszał się w te spory zastępca Capa, tzw. Unter-Capo. Był nim zniemczony Ślązak, postrach całego bloku, niejaki Nadolny, przestępca kryminalny, a przedtem, na dobrych kilka lat przed wojną, posługacz w miejskim szpitalu w Pszczynie. Nadolny przydzielony był do pilnowania swego bezpośredniego zwierzchnika, Niemca Schrödera, który swój socjalizm odpokutowywał od sześciu lat po różnych obozach, a przeniesiony z Dachau do Oświęcimia, pełnił tutaj obowiązki Capa trzeciego bloku.

Interwencja Nadolnego skończyła się zbiciem kilku więźniów. Sztabowy, niepozorny człowieczek o twarzy gryzonia, też przy tym dostał za swoje, a na siennik

przydzielono Karbowskiemu starszawego i ledwie się już trzymającego na nogach nauczyciela przyrody z lubelskiego gimnazjum. Nazywał się ten profesor — Ignacy Śliwiński. Siedział w obozie od miesiąca zaledwie, lecz nie wyglądał na takiego, który długo pociągnie. Od paru tygodni pracował przy wałowaniu terenu, a ponieważ był boso, poranił sobie stopy od ostrego żwiru. Te rany jątrzyły mu się boleśnie i ropiały. Cierpiał poza tym na silny bronchit, na głowie miał kilka ran od uderzeń Capa kierującego walcem, lewą nerkę oblużowaną od kopnięcia, a na domiar wszystkiego zalaćwał się w spodnie. Unter-Capo znał go z tej strony, codzień regularnie bił go za obsiusiony siennik. Ponieważ Karbowski od wielu miesięcy sypiał i przyjaźnił się z Zawadzkim, Nadolny powziął podejrzenie, że student musiał wiedzieć o planowej ucieczce tamtego. Postanowił mieć go na oku, a na początek zdecydował uprzyjemnić mu życie nowym współtowarzyszem.

Tego wieczoru Staś długo nie mógł zasnąć. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami, głowa mu ciążyła i chwilami zdawało mu się, że całym sobą zapada się w głęboki mrok. Lecz był przytomny i senności nie czuł wcale. W pewnej chwili, kierując się odruchem wielomiesięcznego przyzwyczajenia, uniósł cokolwiek rękę, aby znaleźć w ciemnościach dłoń przyjaciela. Natrafił na obce ciało.

Profesor jeszcze nie leżał. Skulony, ciężko mocując się ze świszczącym oddechem, opatrywał po omacku stopy gałganami. Niespodziewanie dotknięty, drgnął i Staś prawie natychmiast uczuł, jak ciepła mokrość poczyzna mu podpływać pod uda. Machinalnie uniósł się i równie machinalnie położył z powrotem. Było pod nim tak mokro, jakby wylano na siennik kubel wody.

Profesor siedział bez ruchu, zaprzestał opatrywania nóg. Dokoła ze wszystkich stron dobiegały ciężkie po-

chrapywania śpiących. Upłynęło tak parę chwil. Wreszcie profesor szepnął cicho i pokornie:

— Przepraszam...

Stasia załaskotało w piersiach od naglej ochoty głośnego roześmiania się. Nie wytrzymał i parsknął krótko, lecz dość głośno. W odległym kącie sztuby poderwał się ktoś na sienniku.

— Cisza! — krzyknął zdenerwowany głos.

Był to sztabowy Pawłowski, który dzisiaj na apel i ostatnio od Unter-Capa oberwał niezliczoną ilość uderzeń po twarzy. Zazwyczaj koleżeński i uczynny, w okresach, kiedy ulegał strachowi stawał się niemożliwy. Tak i teraz zerwał się na nogi i począł wołać przyciszonym głosem:

— Chcesz do raportu jeden z drugim, chcesz, co, chcesz? Który się roześmiał?

W przeciwnym kącie sztuby pierdnął ktoś bardzo głośno.

— Świnia! — krzyknął sztabowy.

— Ty! — odezwał się ze środka niski głos — nie bądź za mądry, jak Unter-Capo usłyszysz, to i ty dostaniesz w mordę, mało ci było?

Sztubowy przycichł.

— O Boże! — jęknął — zwariuję tutaj.

Staś coraz większy wkładał wysiłek, aby stłumić w sobie śmiech. Trzęsło nim jak febrą od środka, gdzieś aż z głębi brzucha, bulgotało mu w piersiach, do gardła nabiegały jedna po drugiej jątrzące łaskotki. Przypierała go ta potrzeba śmiechu na głos coraz natarczywiej, całkiem jak biegunka. Jednocześnie zamierał ze strachu na myśl, co się stanie, gdy nie zdoła w sobie śmiechu uciszyć. I tak wśród tych dwóch sprzecznych uczuć męczył się dłuższy czas. Wreszcie odwrócił się na brzuch i nagle, nie wiedząc kiedy, zasnął.

Nowy dzień zaczął się normalnie. Wstawano, gdy na dworze było ciemno. Okazało się, że na izbie jest

konający: lekarz z Warszawy, doktor Parczewski, chory od kilku dni na zapalenie płuc. Parczewski był przytomny. Wiedział, że mu niewiele godzin pozostało do życia, i prosił, żeby się nim nie zajmowano. Sztubowy pobił jednak po Capa. Ponieważ był zajęty gdzie indziej, stało się jak wczorajszym wieczorem — przyszedł Nadolny. Ten dzięki dawnemu fachowi miał dość dobre oko, aby z miejsca rozpoznać agonię. Pochylił się nad doktorem i kopnął go końcem buta.

— Wstawać, ty!

Sztubowy, widząc skierowane ku sobie spojrzenia towarzyszy, zaryzykował.

— Może go z apelu zwolnić? — spytał lękliwie.

Unter-Capo zwrócił ku Pawłowskiemu swoją pociągłą twarz, ścienioną sinawym zarostem bruneta. Wulgarne, choć regularne rysy nadawały tej twarzy niepokojącą, pochmurną urodę. Sztubowy nerwowo wyprostował się. Tamten przypatrywał mu się uważnie i długo, wreszcie twardo powiedział:

— Na apelu ma nikogo nie brakować, a jak co, to ty będziesz odpowiadać, już ja cię wtedy oporządczę, zobaczysz!

I ogarnąwszy powolnym spojrzeniem stojących dookoła, dorzucił:

— Nie radziłbym nikomu zwracać się wyżej.

Nadolny cieszył się szczególniejszym zaufaniem blok-führera, jasnowłosego, chłopięcego Kreutzmanna. Wiedzano zresztą, że Capo Schröder nigdy nie cofał zarządzeń swego podwładnego. Wszelkie odruchy niezadowolenia starannie skrywał i tylko bardziej spozostzegawczy i długo przebywający w obozie więźniowie zdawali sobie sprawę, co ten człowiek, na zewnątrz służbista jak inni, istotnie myślał i odczuwał. Był dobrze zbudowany, miał silną i muskularną rękę mechanika, którym był w Hanowerze za czasów swojej wolności, lecz gdy bił, uderzenie jego było łagodniejsze od

uderzeń innych dozorców, nigdy się też nie zdarzyło, aby Capo z premedytacją uderzał w specjalnie wrażliwe na ból części ciała. Można też było zauważyć, że Schröder nigdy nie bił, gdy był sam. Surowym okazywał się dopiero w obecności swego Unter-Capa albo block-führera, Kreutzmanna.

Tak więc, ponieważ sprawę wziął w swoje ręce Nadolny, do apelu stanąć musiał i umierający doktor. Magister Pawłowski, roztrzęsiony i rozkrzyczany, osobiście dopilnowywał, aby rozkaz Unter-Capa sumiennie został wykonany. Przed opuszczeniem sztuby Nadolny zdążył jeszcze skontrolować siennik, na którym spali Karbowski i profesor. Posłanie przeszło, lecz pozostała na nim zdradziecka, wielka, żółta plama. Nadolny z miejsca zwrócił się do Stasia:

— To ty?

I nie czekając na odpowiedź uderzył chłopca w twarz. Profesor, dusząc się kaszlem, chciał coś powiedzieć, ale Nadolny odtrącił go na bok ramieniem. I nie spuszczaając ze Stasia jasnych, prawie przeźroczystych oczu, powiedział:

— Od dzisiaj, gówniarzu, ty będziesz odpowiadał za siennik, rozumiesz?

Staś milczał, wyprostowany na baczność. Chociaż wiedział, że Unter-Capo nie lubi, gdy patrzy mu się zbyt długo w oczy, nie odrywał spojrzenia od tej chmurnej twarzy tak blisko ku niemu pochylonej, iż czuł na wargach ciepły nikotyną przesycony oddech tamtego. Uderzy mnie zaraz — pomyślał. Było mu wszystko jedno. I nawet nie drgnął, gdy tępy ból przeszył mu głowę od lewego ucha aż po głębię czaszki. Pościemniało mu tylko w oczach i nagle ogarnął go gęsty, prawie bezgłośny szum.

— Rozumiesz? — powtórzył Nadolny, przysuwając się bliżej.

— Tak — odpowiedział Staś, pokonując wysiłek.

na jaki musiał się zdobyć, aby otworzyć usta i z głębi szumu wydźwignąć głos.

— Zadowolony jesteś?

— Tak — powtórzył Staś ciszej, ledwie siebie słysząc.

Oprzytomniał dopiero wówczas, kiedy znalazł się na dworze, w mglistym, chłodnym powietrzu ranka i gdy doczekawszy się swojej kolejki przy pompie, począł oblewać się zimną wodą.

Białe, oślepiający blask reflektorów jak zawsze nadawał obozowi wygląd ogromnego filmowego atelier, gdzie wśród dziwacznych, jakby z mrocznego snu przeniesionych dekoracji, płaczą się tłumy statystów przygotowujących się do odegrania jakiejś wielkiej sceny zbiorowej cierpienia lub buntu. Na środku placu stała wczorajsza estrada. Osamotniona, wśród pustego obszaru, pomiędzy rzędami ceglanych bloków, wyglądała bardzo drobna i krucha.

Odchodząc od pompy Staś natknął się na profesora, który stał nieco z boku, skulony w przykrótkim drellichu, dygocący z zimna i z kaszlu. Zamierzał go ominąć, gdy tamten uczynił ręką niepewny ruch. Przystanął więc. Widać było, że profesor ma coś do powiedzenia, lecz kaszel nie pozwalał mu przyjść do słów. Trwało to dosyć długo. Tymczasem wielu z więźniów zdążyło się już umyć i koło kuchni poczynił gromadzić się tłum. Wydawano śniadanie. Na koniec profesor przycichł i podniósł na towarzysza śmiertelnie zmęczone oczy chorego człowieka:

— To przeze mnie... — wyszeptał.

I chwycił Stasia za rękę.

— Niech mi pan wybaczy.

Znowu począł kaszleć. Naraz wzdłuż cienkiego drellicha jego spodni spłynęło na ziemię dużo mokrego i pomiędzy nogami stojącego utworzyła się kałuża.

— Tak — bąknął Staś spoglądając w stronę ku-

chni — to się samo przez się rozumie, tutaj nikt nikomu nic do wybaczenia nie ma, wszystko jest, jak jest.

— Nie, nie! — zaprzeczył słabo profesor — dopiero tutaj potrzebuje się przebaczenia.

Dokoła kuchni ciemniał tłok. Nagle Staś zwrócił się ku profesorowi i powiedział z twardym akcentem, którego nie chciał:

— Może, ale nie trzeba o tym mówić, to jest, albo tego nie ma.

Profesor pochylił głowę i patrzył w ziemię. Z jego spodni skapywały ostatnie krople. Wtem z powrotem podniósł ku chłopcu oczy nagle odmienione, rozjaśnione żarliwym pragnieniem życia.

— Mnie zwolnią niedługo — szepnął rzeźwiejszym głosem — przyjdzie zwolnienie, na pewno, czuję to...

Rzeczywiście zanosilo się, że profesorowi przypadnie w losie ta niezwykła wygrana. Na razie otrzymał wygraną mniejszą. Gdy po apelu poczęły się według codziennego porządku formować drużyny robocze, profesora zwolniono niespodziewanie z obsługi ciągnącej maszynę od walcowania i przydzielono do pracy lżejszej, polegającej na rozwalaniu kilkunastu domków na przedmieściach miasteczka. Domy te psuły komendantowi obozu piękny widok z okien jego mieszkania, zostały więc przed kilku dniami opróżnione z dotychczasowych mieszkańców i przeznaczone na rozbiórkę. Praca była właśnie w toku i miała w obozie opinię nie-najgorszej, ponieważ odbywała się pod częściową osłoną dachów i murów, a dozorujący Capo należał do mniej bezwzględnych i okrutnych.

Lecz cóż z tego? Jak się później okazało, zwolnienie Śliwińskiego było rzeczywiście na najlepszej drodze. Lecz wieczorem zabrakło profesora na apelu. Podczas ustawiania się bloków w dziesiątki pierwszy zauważył jego nieobecność sztabowy Pawłowski. Miniony dzień, chociaż spokojniejszy niż poprzednie, nie zdołał przy-

wrócić mu utraconej równowagi. Z roztrzęsionymi rękoma i z rozbieganymi oczami począł nerwowo rozpytywać współtowarzyszy o Śliwińskiego. Nikt nic nie wiedział. Znajac schorzenie profesora sztubowy pobiegł do latryny. Tłoczyło się tam dużo ludzi, przekleństwami i wyzwiskami przynaglających do pośpiechu tych, którzy się załatwiali. Profesora nie było wśród nich.

— Apel! — krzyknął Pawłowski.

I ze strachem zjeżonym w brzuchu pognał szukać Capa dozorującego przy rozbiórce domów. Znalazł go na placu przy piątym bloku. Capo, tęgi, dobrodusznie wyglądający, brzuchaty Niemiec, przybladł, gdy dowiedział się, że jednego z jego robotników brakuje.

— Wszyscy wrócili! — zakrzyknął ostro — wszystkich liczyłem.

Wzrok sztubowego skosił się w kierunku głębi placu, gdzie gromadzili się SS-si. Wzrostem i smukłą sylwetką wyróżniał się pomiędzy nimi Hans Kreutzmann.

— Jak wyglądał ten drań? — spytał Capo.

Ale raptem Pawłowski całkiem zapomniał, jak wygląda profesor. W jego mózgu stało się pusto i w tej próżni kołował tylko strach. Zdenerwowany Niemiec, widząc ogłupiałą twarz sztubowego, wyrznął go w policzek.

Tymczasem wśród SS-ów wszczął się ruch. Paru z nich zdążyło już ku szeregom. Pawłowski momentalnie zawrócił w stronę bloku. Chociaż ciągle nie pamiętał wyglądu profesora, od razu, gdy tylko oczami przebiegał po szeregach, wiedział, że go nie ma. Więźniowie także już zauważyli nieobecność jednego z współtowarzyszy i wśród dziesiątek wszczęło się bezgłośnie zaniepokojenie. Ale ani Capo, ani Nadolny o niczym jeszcze nie wiedzieli. Za to Unter-Capo natychmiast spostrzegł sztubowego, pośpiesznie zdążającego ku swojemu miejscu w szeregu

—Halt! — krzyknął.

Dopadł go paru skokami i chwyciwszy za drelichową kurtkę począł potrząsać nim i tłuc po głowie gumową pałką. Z lewego skrzydła, gdzie stał pierwszy blok, dobiegły krzyki komendy. Zaczynał się apel.

Gdy Pawowski zdołał wykrztusić z siebie fatalny raport, smagła twarz Unter-Capa pociemniała. Puścił sztubowego i wkopnąwszy go w szeregi zawrócił ku Schröderowi. Uwolniony Pawłowski szybko wślizgnął się na swoje miejsce. Nikt na niego nie spojrzał. Siedmiuset więźniów trzeciego bloku stało wyprężonych na baczność. Cisza była martwa i ciężka, podobna do tej, która towarzyszyła wczorajszej egzekucji. Zbliżające się krzyki SS-ów pogłębiały to milczenie. Dokoła ciemniała noc. Jej ogromny i wyniosły wał gęstniał, a z tej głębi podrywał się ostry wiatr.

Capo Schröder stał już na swoim miejscu z lewej strony dziesiątek. Za nim Nadolny. Mocna, poryta bruzdami twarz socjalisty nie wyrażała nic prócz służbistego napięcia i oczekiwania. Za to prostacka uroda Unter-Capa ciemniała chmurniej niż zwykle.

Tymczasem przy pierwszym bloku wywiązać się musiały poważniejsze historie, bo nagle gromada SS-ów wdarła się w głąb szeregów i zaraz dobiegły stamtąd gardłowe wrzaski i odgłosy bicia. Wielu z więźniów trzeciego bloku wymieniło między sobą ukradkiem spojrzenia. Ale chociaż w tłumie związanym wspólnym oczekiwaniem i grozą jednego losu, każdy spośród tych siedmiuset mężczyzn czuł się beznadziejnie samotny. Pogarda i okrucieństwo nadchodzące wolno, lecz nieodwołalnie, już samą bliskością deptały braterstwo swoich ofiar. I jeśli w tej chwili ocierającej się o cień śmierci, wśród blasku i wśród ciszy rozdrapywanej chrapliwymi krzykami, łączyło cokolwiek tych ludzi, to tylko ciała nędzne i półnagie, wydane strachowi.

Staś Karbowski stał w pierwszym szeregu. Przez

cały dzień czuł się źle. Szum w głowie, ściszony porannym myciem, począł przy pracy ćmić na nowo, a gdzieś koło południa z wnętrza tego monotonnego bełkotu wyklął się nieznacznie w głębi ucha cienki jak ukłucie igłą ból. Pod wieczór szum zgęstniał, a ból jak gdyby spęczniał. Staś wcale się tym nie przejął. Chwilami tylko, gdy ból natarczywiej szarpał, zdejmował go strach na myśl, że granice tego cierpienia mogą się okazać bardzo rozciągle. Bał się wtedy nie bólu, lecz nieświadomości jego ostatecznego natężenia. Lecz i ten niepokój chwytął go na bardzo krótko, nagle zapadał się i zacięchał.

Od wczorajszej śmierci Wacka Zawadzkiego, od chwili, kiedy ten przeszedł o krok przed szeregiem wybijając na bębenu straszliwy i dziecinny rytm, a potem stojąc na wzniesieniu błędził niewidzącym spojrzeniem po tłumie towarzyszy, Staś czuł się tak, jakby przestał do siebie należeć. Coś się w nim przekręciło i przelamało. I tylko instynktownie i bardzo mglisto zdawał sobie chwilami sprawę, że jakaś niewiadoma siła poczyną go odrywać od życia, bezboleśnie i wolno pociągając z sobą w martwy mrok.

Stał, wyprostowany jak inni na baczność, bosymi nogami wparty w ostry żwir placu i monotonny szum, który wypełniał mu głowę, zdawał się odrealniać całą tę noc mroczniejącą dokoła, blask oślepiających światel, chrapliwe nienawistne krzyki i tłum niemy i sztywny. Czuł w sobie gorączkę, lecz było mu z tym dobrze. Wiatr, gdy zanosił zimnym, wilgotnym podmuchem, chłodził mu rozpaloną twarz.

Obok stali ci sami ludzie, którzy od pewnego czasu stale zajmowali tutaj swoje miejsca. Po lewej stronie aktor Trojanowski, przysadzisty, krępy mężczyzna po pięćdziesiątce, przywieziony do obozu przed paru tygodniami wraz z kilku innymi kolegami z teatru, z ciężko opuszczonymi, trochę opuchniętymi powieka-

mi, dzięki czemu robiły wrażenie bardzo dużych i ciężkich, a całej twarzy grubo ciosanej i szarawej nadawały wyraz skupionego tragizmu. Karbowski pamiętał Trojanowskiego sprzed wielu jeszcze lat w roli Ryszarda III. Utkwiła mu szczególnie w pamięci owa nocna scena, kiedy króla dręczą wyrzuty sumienia. Z głębi ciemności blask reflektora wydobywał tę samą tragicznym cierpieniem ściętą twarz, która znajdowała się obok, a usta teraz zacięte mówiły były przejmującym szeptem:

...nikt tu mnie nie kocha,
I nie zapłacze po mnie nikt, gdy zginę.
Lecz czemuż miałby płakać, jeśli w sercu
Sam nie znajduję litości dla siebie?

Za Trojanowskim stał wymizierowany młody człowiek, niejaki Olszanowski, ziemianin spod Biłgoraja. Z drugiej strony najbliższym towarzyszem Stasia był Wachowiak, osiemnastoletni robotnik z Łodzi, szczerbiały od uderzeń, zacięty i pochmurny. Z tyłu sędzia z Torunia, Makowski, chory ciężko na serce od czasu kiedy został skazany na półgodzinne oblewanie zimną wodą z hydrantu. Dalej znany ludowy działacz, Smoła, sztabowy Pawłowski i ów umierający lekarz, Parczewski, który nie skonawszy w ciągu rannego apelu, po raz drugi został ściągnięty na plac.

Staś słyszał tuż za sobą, prawie na plecach, jego krótki, rzężący oddech. W ciszy, jaka panowała wśród dziesiątek, to dyszenie niehumanitarne, uporczywie walczące ze śmiercią, rozbrzmiewało chwilami bardzo głośno. Gdy ścichalo, Staś odruchowo prężył się w sobie, mocniej wyprostowywał ramiona, pewien, że dogorywający człowiek zwali mu się za chwilę na plecy. Zanikał w nim wówczas własny ból. Przez kilkanaście sekund męczył się napięciem tego oczekiwania. Z nawrotem rzężenia

ból wracał, lecz po tamtym wydawał się nieomal odprężeniem.

— Tss! — szepnął w pewnej chwili zaciśniętymi wargami sztubowy.

Cisza, już i tak do ostatnich granic napięta, stała się jeszcze bardziej wyostrzona. Wśród stężałego skupienia ludzie przestali prawie oddychać. SS-si nadchodzili.

Pierwszy szedł Hans Kreutzmann. Spośród obozowych SS-ów był jednym z najmłodszych. Miał dwadzieścia, może dwadzieścia parę lat, lecz wyglądał na mniej, bardzo młodzieńczo, prawie niedojrzałe. Chociaż z dobrą niedbałością nosił długie buty i zbyt obcisły czarny mundur, coś w jego chodzie, w sposobie stawiania smukłych nóg, w linii pleców i ramion sprawiało, iż swoją sylwetką narzucał wrażenie nagości. Był jasnowłosy, o czarnych, mocno zarysowanych brwiach, delikatnym owalu twarzy i łagodnych, niebieskich oczach.

Staś Karbowski patrzył prosto przed siebie, jednak czuł, że dłonie stojącego obok robociarza odruchowo zaciśnęły się w pięści. Rzężenie doktora Parczewskiego znowu przycichło i można było słyszeć, jak sztubowy, tracąc najwidoczniej nad sobą kontrolę, zalkał naraz głucho i dziwacznie, jak gdyby niespodziewany szloch uciął w nim próbę zaczerpnięcia głębszego oddechu. Akurat Kreutzmann zatrzymał się przy wyprężonym na baczność Schröderze. Lekko przechylony w ramionach, z rzemiennym pejczem niedbale zwisającym z opuszczonej dłoni, zadał Capowi jakieś pytanie. Nikt z bloku słów nie dosłyszał. Kreutzmann rzadko kiedy podnosił głos. Nie dotarła również do szeregów odpowiedź Schrödera.

Tymczasem zbliżyli się inni SS-si. Krótki i opasły, do buldoga podobny Greiser, ospowaty, z długimi, poza kolana sięgającymi rękoma Schmidt, młody kędzierzawy Dietrich, eks-bokser Sturmer o niskim czole i roz-

plaszczonym nosie. Greiser poprawiał kurtkę, Dietrich wetknąwszy pejcz za pas chustką ścierał z dłoni krew. Wszyscy zatrzymali się koło Kreutzmanna. Jeden tylko Sturmer posunął się dalej i przystanąwszy przed pierwszym szeregiem począł swoimi małymi, głęboko osadzonymi oczami tępo wodzić po nieruchomych twarzach.

Tak zaczął się ów apel ze wszystkich, jakie dotąd w Oświęcimiu znano, najdłuższy. Stał cały obóz, wszystkie bloki. Według zarządzenia komendanta obozu odwołanie apelu nastąpić miało wówczas dopiero gdy znajdzie się zaginiony. Poszukiwania trwały już z górą dwie godziny. SS-si i Capowie natychmiast po alarmie rozbiegli się po obozie i po terenach pracy. Penetrowano wszędzie. Macki reflektorów bezustannie wślizgiwały się w głąb ciemności opasujących obóz i po różnych krańcach tych nagłych rozjaśnień, jak gdyby u skraju milczącej i ogromnej nocy rozbrzmiewały ochryple krzyki, ostro i przenikliwie tnące ciszę. Capo dozorujący przy rozbiórce domów, ów dobroduszenie wyglądający, tęgi Niemiec, brał także w poszukiwaniu udział. Lecz chociaż w terenie orientował się najlepiej, niewiele było z niego pociechy, bo zbity i skopany przez Kreutzmanna ledwie trzymał się na nogach. Cały ów teren, na którym znajdowały się domki przeznaczone na rozbiórkę, przeszukano gruntownie i kilkakrotnie. Zaginionego nie było nigdzie.

W miarę upływu czasu furia SS-ów wzrastała. Noc osiągnąwszy mrok ostateczny trwała dalej niezmiennie ciemna i obca. Chłód tylko stawał się coraz przenikliwszy. Powietrze wilgotniało i na koniec mżyć poczęła mialka, kroplista i lodowata mgła. Topole wzdłuż bloków coraz gęstszym wzbierały wiatrem. Szumiały długim szpalerem od końca do końca, rzucając na plac i na ludzi niespokojne, postrzępione cienie.

Te cienie, znaczone niecierpliwym oddechem nocy, podchodziły aż pod trzeci blok.

Staś Karbowski przypatrywał się im uporczywie, usiłując wplątać upływanie czasu i własny ból, i znużenie w to bezgłośnie przenikanie mroku w jasność. O parę kroków przed szeregiem, akurat przed Trojanowskim, leżał na ziemi doktor Parczewski. On pierwszy, ponieważ stał pochylony, obojętny i głuchy na wszystko, zwrócił uwagę rozjątrzonych SS-ów. Wyciągnął go z szeregu Sturmer i ramieniem przytrzymując chwiejącego się, bił go zaciśniętym, boksterskim kulakiem, w skupieniu, jak automat, z niezmiernie tępym wyrazem swojej płaskiej twarzy. Trwało to krótko, lecz tym, którzy stali w pobliżu, wydawał się ten czas nieskończenie długim. Teraz doktor Parczewski leżał na tym samym miejscu, gdzie go porzucił Sturmer. Leżał na wznak, lecz dzięki podkurczonym pod siebie kolanom wydawał się bardzo mały, jak gdyby bez nóg. Cienie topoli nie docierały do tego miejsca. W białym blasku reflektorów, otwartymi oczami wpatrzone w noc ponad jasnością twarz zmarłego spokojniała i cisza ścierała z niej powoli ślady cierpienia. Aż wreszcie stała się samym spokojem i samą ciszą.

Trojanoski stał z ciężko opuszczonymi powiekami. Lecz i tym ułamkiem spojrzenia ogarniał nieżyjącego. Z warg rozciętych pejcem młodego Dietricha ściekała mu krew na brodę i niżej na drelach. Nie zwracał na to uwagi. Natarczywie i w zwolnionym rytmie plątały mu się po głowie jego własne słowa, gdy na parę miesięcy przed uwięzieniem dowodził kilku przyjacielom, że nawet wśród największych cierpień i poniżeń człowiek może uratować swoją godność. Mówił wówczas: „Wierzę, moi drodzy, że nic nie może zabić w człowieku jego wolności, trzeba tylko chcieć jej bronić, ale bronić przed samym sobą, przed słabością, przed lękiem, przed brakiem nadziei. Nie ma na ziemi siły,

która mogłaby zniszczyć naszą wolność, jeśli ją chcemy ocalić. Wobec kogo? — spytacie. Wobec siebie samego, wobec Boga, jeśli chcecie...”. Teraz wiedział, że można samemu znieść poniżenie i można z dumą i z pokorą przyjąć najokrutniejszy koniec, lecz poniżenie, które wydaje śmierci drugiego człowieka, bezbronnego i samotnego, jest ciężarem ponad ludzkie siły. Czuł, jak kruszy się w nim i łamie ta wolność wewnętrzna, której uparczywie i w skupieniu bronił od pierwszego dnia uwięzienia, wolność nie służąca niczemu prócz ratowania własnej godności. Oswoił się już z cierpieniem i z poniżeniem. Widział je co dzień. Także śmierć. Lecz ze złem, z pogardą i z okrucieństwem, które dokoła szalały, oswoić się nie mógł i nie umiał. Nieraz aż oskarżał siebie o oschłość, bo oprawcy poruszali nim głębiej, niż widok ich ofiar. Zło, do którego człowiek jest zdolny, ta otchłań, którą trzeba z bliska ujrzyć własnymi oczami, aby w nią uwierzyć, te bezmiary potworności drzemiące w ludzkich istnieniach i bez wstydu, wśród zwycięskiego triumfu wydobywające się na światło dzienne, to była groza przewyższająca wszystko, co człowiek jest w stanie przecierpieć.

Patrzył na twarz zmarłego doktora i poprzez znużenie, które go coraz natarczywiej obezwładniało, broniąc się przed wewnętrznym odrętwieniem, usiłował uporządkować te strzępki odczuwań. Myślał z wysiłkiem, jak gdyby przedzierając się przez ciężki opar: cierpienie mieści się w porządku świata. Mogę być sobą cierpiąc. Mogę być sobą umierając. To coś znaczy, to jest nadzieja. To może być zwycięstwem. Lecz zło?

Nie znajdował w sobie odpowiedzi. Pytanie jak kamień spadało w przepaść i z głębi żaden głos nie odzywał się echem. Czuł tylko bardzo mgliście i jak gdyby myślał nie sobą, lecz kimś o wiele przerastającym jego, samego, że chociaż nienawidzi tych ludzi opętanych złem, jest w istocie bardziej z nimi związany niż z

cierpiącymi współtowarzyszami niedoli. Nie była to solidarność. Wszystko w nim buntowało się przeciw niej. Nie była to również litość dla zbrodniarzy, gorzkie braterstwo, które każe dzielić z winnymi ciężar wspólnego zła na ziemi. Nie czuł tej litości. „Więc cóż mnie z nimi łączy? — myślał. — Jakże mogę dzielić odpowiedzialność z tymi, którzy mnie biją i poniżają i z których ręki mogę w każdej chwili zginąć? Potępiam ich...”. I po chwili: „Może za tę cenę wolno potępić?”.

Przy końcu bloku, gdzieś z tyłu, słychać było Schrödera. Uderzył kogoś. Potem szybko przebiegł wzdłuż szeregu, z mocno zaciśniętymi szczękami, z pejcem w rękę. W poprzek twarzy miał siną pręgę od uderzenia Hansa Kreutzmanna. Wyminął zwłoki doktora i na nikogo nie patrząc zatrzymał się aż na przeciwnym końcu bloku.

Od strony placu nadchodził właśnie jasnowłosy Kreutzmann. Szedł lekko stawiając stopy, jak gdyby miał pod sobą nagrzane morskie wybrzeże. Schröder natychmiast zawrócił. Przystanął nagle przy Wachowiaku i spytał go o coś po niemiecku. Tamten, nie rozumiejąc, milczał. Wtedy Schröder nie patrząc na niego uderzył go w twarz. Wachowiak nie drgnął nawet. Twarz spochmurniała mu jeszcze bardziej, a oczy utkwione w Capa stwardniały. Schröder nie zdążył odejść, gdy podszedł Kreutzmann.

— Co on zrobił? — spytał wskazując pejcem na Wachowiaka.

Przez moment Schröder zawahał się. Stał na skraju wydłużonych cieni topoli i nieruchomością wyprostowanej postaci podkreślał jeszcze złudzenie, że ziemia porusza mu się pod stopami.

Staś Karbowski z niezmiennym uporem śledził ruch tych cieni. Nagle usłyszał głos Schrödera. Capo wyja-

śniał, że uderzył Wachowiaka za buntownicze spojrzenie.

Zaległa cisza.. Teraz, gdy zabrakło doktora, zastępował go sędzia Makowski swoim ciężkim, urywanym oddechem człowieka, który z trudem chwyta powietrze. Staś znowu czuł ten oddech prawie na plecach. Lecz śmierć straciła dla niego nagle grozę. Nie obejmował jej. Była już jakby poza wszystkim, spokojem i niewiedzą. Umieranie, to było straszne. I po raz nie wiadomo który jak cień przesunął mu się przed oczami Wacek Zawadzki, wybijający okrwawioną ręką takt na bębenku.

Wtem rozległ się łagodny głos Kreutzmanna:

— Spytaj go, czy jest zadowolony, że został ukarany?

Capo, obróciwszy się ku Wachowiakowi, powtórzył pytanie po polsku, ostro i rozkazująco. Ale jego oczy błagalnie zdawały się chłopcu wskazywać odpowiedź. Tamten chwilę namyślał się. Wreszcie podniósł na Schrödera twarde spojrzenie i powiedział:

— Nie.

Kreutzmann przysunął się bliżej.

— Nein?

I ogarnął Wachowiaka chłopięco zaciekawionymi oczami.

— Nein? — powtórzył prawie miękko.

— Nie — odpowiedział Wachowiak.

Kreutzmann uśmiechnął się bardzo świeżo i niewinnie. Wzrok jego ześlizgnął się z Wachowiaka i z pewnym roztargnieniem począł przesuwając się po stojących w szeregach. Na chwilę wszyscy zapomnieli o zmęczeniu o swoich bólach i przenikliwym zimnie. Stali odrętwieni, jak gdyby zahipnotyzowani, nie śmiejąc oddychać. Wzrok młodego block-führera długo i powoli błędził od twarzy do twarzy i przez moment każdy z więźniów był pewien, że na nim zatrzyma się dłużej

to spojrzenie kryjące niewiadomy rozkaz. Wysoko w ciemnościach huczał wiatr. Mroźna mgła siekla w twarze.

Wreszcie spojrzenie Kreutzmanna oparło się na Karbowskiem. Koniec — pomyślał Staś. I uczuł, że odruchowo poczyną się trząść od wewnątrz. Zaciśnął zęby. Gdy Kreutzmann skinął na niego, wystąpił posłusznie z szeregu.

— Bliżej! — powiedział spokojnie SS.

Staś znalazł się tuż przy Kreutzmannie. Ten skinął z kolei na Wachowiaka. Potem, gdy obu więźniów miał przed sobą, zwrócił się do Schrödera.

— Powiedz temu — wskazał na Wachowiaka — że jeżeli nie lubi być bitym, to pewnie woli bić. Niech więc bije tego drugiego.

Schröder powtórzył. Był blady, lecz spokojny. Wachowiak, usłyszawszy rozkaz, którego się nie spodziewał, drgnął. Spojrzenie jego chmurnych, posępnych oczu zamąciło się naraz. Milczał.

— Bij! — rozkazał ochryple Capo.

Wachowiak przez ramię spojrzał na stojącego obok Stasia. Znali się tylko z apelu, nigdy słowa ze sobą nie zamienili. Bij! — mówiło spojrzenie Stasia. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— Prędszej! — odezwał się Kreutzmann.

Wachowiak odwrócił się ku niemu. Wzrok jego znowu był chmurny, zacięty i twardy.

— Nie — powiedział głuchym głosem.

— Nein?

— Nie!

Wtedy Kreutzmann nie spiesząc się sięgnął po rewolwer i nie podnosząc dłoni, nie mierząc, strzelił dwukrotnie. Wachowiak zachwiał się i obu rękoma chwycił za brzuch. Ale nie upadł. Twarz mu tylko ścięła się i poszarzała. Z natężeniem w oczach, przez które zdawały się uciekać wszystkie siły zamierającego życia,

wpatrywał się w młodziutkiego Kreutzmanna, który był jego rówieśnikiem. Ten przez dłuższą chwilę wytrzymał to spojrzenie. Uśmiechnął się lekko. Potem strzelił jeszcze raz. Wachowiak drgnął, jakby wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz. Wyprężył się, urósł przez krótką chwilę. Upadł.

Szmer ulgi przeszedł przez szeregi. To ludzie głębiej odetchnęli. Ale natychmiast zamarli. Kreutzmann szukał nowej twarzy. Tym razem wybór jego padł na Trojanowskiego.

— Bij go! — zwrócił się do Karbowskiego, gdy tamten wystąpił z szeregu.

Staś uczuł, jak wszystko w nim zamiera ścięte strachem. Podniósł machinalnie rękę. Uderzył. Zdrętwiałymi z zimna palcami rozpoznał, że ześliznął się nimi po szyi tamtego. Kreutzman ściągnął ciemne brwi.

— Mocniej!

Karbowski uderzył mocniej. Trojanowski stał przed nim bez ruchu, trochę pochylony, opuszczone powieki skrywały jego spojrzenie. Chce, żeby mi było łatwiej bić — pomyślał Staś. Jeszcze raz uderzył. Nagle Kreutzmann chwycił go za drelch i przyciągnął do siebie.

— Mocniej! — powtórzył ze spokojnym naciskiem. Staś odruchowo skurczył się w sobie.

— Będziesz bić jak należy?

— Będę — szepnął.

Kreutzmann puścił go i pchnął ku Trojanowskiemu. Wtedy, na oślep począł bić zaciśniętymi pięściami. Trafiał w głowę, w twarz, w piersi. Po chwili przestał się orientować, gdzie uderzał. Czuł tylko, że bije z coraz większą siłą, z wzrastającą zaciekłością i coraz boleśniejsze zadając ciosy. Trojanowski począł broczyć krwią. Lecz jego powieki nadal pozostały w półprzymknięte. Oddychał tylko nieco głośniejsz, ciężiej. Raz stłumiony jęk wyrwał mu się spoza zaciśniętych ust.

— Halt! — krzyknął wreszcie Kreutzmann.

Staś opuścił ręce. Dłonie miał rozgrzane, piekące gorąco paliło mu końce palców. Poczuł, że prawą dłoń ma zwilgotniałą czymś lepkiem. Krew — pomyślał obojętnie. Skurczył machinalnie dłoń i począł palcami krew rozcierać. Nie bardzo zdawał sobie sprawę, co się z nim dzieje. Ból przeżerający mu głowę oślepiał go prawie. I gdy Kreutzmann kazał mu wrócić do szeregu, ledwie trafił na swoje miejsce. Było przestronne, obok brakowało Wachowiaka. Trojanowski stał już na swoim.

Staś odrętwiał. Końce palców piekły go coraz silniej, czuł, że zapada się w siebie, w głuchy ból, jak w ciemny gąszcz snu. W rozżarzonym do białości powietrzu słyszał chrapliwy głos Nadolnego. Przed szeregiem przebiegali SS-si. Ich sylwetki ogromniały. Daleko, na drugim końcu placu, był bity człowiek. Bliżej także ktoś krzyczał. I znów dalej i jeszcze w innej stronie. Potem nagle zalegała cisza. Z tyłu dyszał sędzia Makowski. Cienie kołysały się na ziemi. Noc była nad wszystkim, wiatr. Gdzieś w górze, jak gdyby ponad placem, miarowo i przejmująco stukala paleczka w bębenek.

Mijały godziny.

„Wolność! — myślał Trojanowski — moja wolność! Czy byłbym w stanie ocalić ją, gdyby to na mnie przyszła próba?” Czuł, że fałszem zabrzmiałoby: tak, którym jeszcze niedawno gotów był zaświadczyć. Można swojej godności bronić, lecz bez pewności, czy wytrwa się w niej do końca. Myśleć o sobie, a być sobą — ileż złudzeń i kłamstw pomiędzy jednym i drugim. Lecz sens, sens tego wszystkiego? Wyprostowywał się tym niepokojem i trzeźwiał, bo chwilami tak straszliwe ogarniało go znużenie, iż zdawało mu się, że nie utrzyma się na nogach dłużej niż parę minut. Bał się tego. Nieokreślony strach osadzał się w nim na myśl, że w pewnej chwili zmęczenie powali go na ziemię i wtedy

zbiegną się SS-si. Słyszał, że gdzieś z tyłu ludzie padali. Trzem czy czterem zdarzyło się to do tej pory. Jeszcze mu pulsował w uszach krzyk jednego z nich, przeciągły, zwierzęcy skowyt kopanego człowieka.

— Boże! — szepnął z tyłu sztubowy Pawłowski.

Tak beznadziejne udręczenie drgnęło w tym bezgłośnym nieomal szepcie, że Trojanowski zadrżał. Sens, sens tego wszystkiego — począł powtarzać uporczywie — sens tych cierpień, sens ich zadawania? Naraz nie wiadomo skąd wyniknęło w nim wspomnienie pewnej partii chóralnej z Pasji św. Mateusza, czysta i prosta melodia otwierająca niebo, aż wreszcie w miarę powolnego nasilania żarliwości sama stająca się niebem. Słuchał z napięciem tego śpiewu w sobie. Nie potrafiłby go zanucić, chociaż wznosił się w nim pewnie i nieskazitelnie. Ale to było niepotrzebne. Wystarczał mu zarys bezgłośny, jasnymi kadencjami prosto wznoszący się ku górze. I jak gdyby z samego serca tego chóru, prowadzonego czystymi głosami kobiecymi, zeszło w niego ogromne i usilne pragnienie, aby każde cierpienie, każdy ból, każdy strzęp udręczonych myśli tych ludzi, kilku tysiącami zapelniających plac pod nocą, ocalały od zniszczenia i zagłady i chociaż innym ludziom nie wiadome, a przez samych poniżonych zapomniane być może w przyszłości, trwały jednak wiecznie, wymowniejsze od chwili swego istnienia, głoszące świadectwo samego życia i spełniających się losów człowieka. „Może to jest sens? — myślał. — Może musi istnieć Hans Kretzmann, aby sztubowy Pawłowski cierpiał ponad miarę swoich mizernych sił, a chłopak, który leży przede mną, mógł w swojej ostatniej chwili powiedzieć: Nie? Może to jest cena zapłaty, ta nie dająca się wymierzyć ani zgłębić więc niewidzialna pomiędzy poniżeniem i pogardą, pomiędzy jednym człowiekiem a drugim? Nie wiedział, czy tak jest. Pragnął tylko, aby tak było. Śpiew w nim

opadał i zacichał, pozostawiając po sobie pustkę, która nie była spokojem.

Mijał czas. W ludziach skostniałych z zimna, półprzytomnych ze zmęczenia, zacierała się powoli świadomość minut i godzin. Cały ten apel, już bez pamięci początku i bez nadziei końca, zdawał się stawać naraz i trwać jednocześnie, zastygły pośrodku nocy.

Sędzia Makowski oddychał coraz ciężiej, dyszał urywanie i chrapliwie. Boże! — szepnął znowu Pawłowski i zalkał po swojemu, w sobie, wstrzymanym ze strachu oddechem. Gdzieś dalej, z tyłu, rozległ się kaszel suchy i ostry, podobny do szczekania.

— Milczeć! — wrzasnął w tamtej stronie Nadolny.

Ale szczekanie dalej jątrzyło się w ciszy. Nagle przeszło w krzyk. To Nadolny bił.

— Nie wytrzymam — wybełkotał sztubowy — o Boże!

Stojący obok Smoła szepnął coś swoim niskim, twardym głosem i tamten przycichł.

Smoła był mężczyzną po czterdziestce i jednym z przywódców ruchu ludowego. Pracował w kuchni przy obieraniu kartofli, więc mimo ośmiu miesięcy, jakie spędził w Oświęcimiu, trzymał się jeszcze dobrze. Był wysoki, kościsty, jego twarz o zaostrzonym, drapieżnym nosie przypominała krogulca. Od paru dni dokuczało mu lekkie przeziębienie. Nie przywiązywał do niego dotychczas większej wagi, prawie wszyscy w obozie byli mniej lub więcej przeziębieni. Lecz teraz z godziny na godzinę czuł coraz wyraźniej, jak rozwija się w nim choroba. Ostre aż do utraty tchu bóle przeszywały mu piersi, dreszcze wstrząsały jego plecami, czuł równocześnie gorączkę i chłód. Starał się o tym nie myśleć. Całą swoją siłę człowieka przyzwyczajonego od dzieciństwa do pokonywania trudności i do walki wkładał w wolę przetrwania. Skupiał w sobie i umacniał tę jedną tylko myśl, aby przetrwać. Wiedział, że dopóki

go ta pewność nie opuści, nic mu się nie stanie. A bardziej niż kiedykolwiek potrzebował wiary w siebie. Czuł, że przychodzi mu stoczyć walkę najcięższą ze wszystkich, jakie w życiu podejmował. Dotąd walczył ze zdarzeniami, z ludźmi, ze światem. Teraz wróg skrył się w nim samym. „Przetrwam — myślał — muszę przetrwać”. Chociaż był zdrętwiały z zimna, gorączka wżerała się niego coraz gęstszym gorącem i z jej wnętrza, spomiędzy ukłuć coraz częstszych i ostrzejszych. Smoła wyraźnie wychwytywał, nikły dreszcz zwątpienia. Sprężył się w sobie, zacisnął pięści i w tym napięciu cielesnym szukał ratunku przed zdradzieckim podszeptem. Nie bronił się przed śmiercią, bronił się przed myślą o niej. Tak mocno był zrośnięty z życiem, przywiązany do swoich walk, swoich zamierzeń i ambicji, iż wśród tych potężnych namiętności nie znajdował nigdy rysy, jaką jest strach przed śmiercią. Nie odczuwał go i teraz. Pasja życia była w nim silniejsza od wszystkiego, co by ją mogło nadwątlić lub zarysować. Lecz po raz pierwszy wnikał w niego lęk, że może zostać pokonany. I gdy zdał sobie sprawę z tego niepokoju, odczuł go jak klęskę. Wsluchując się w siebie, z niezwykłą jasnością, którą zawsze odnajdywał w chwilach ważnych i decydujących, wyraźnie chwycił wnikający w swoją świadomość strumień obcych myśli. Było to przejmujące, fizyczne nieomal uczucie, jak gdyby wrastał w niego nowy, nieznany organizm i powoli nabierając życia stawał się niezależnym człowiekiem. Tym więc usilniej starał się odciąć od wszystkiego, co działo się dokoła. Świadomość, wprowadzie mniej od poprzedniej jasna, więc tym bardziej dręcząca, mówiła mu, że pomiędzy owym wnikającym w niego istnieniem, a ludźmi stojącymi w szeregach zachodzi jakaś wspólność, mgliste i obciążające braterstwo. Stał pomiędzy sztabowym i sędzią Makowskim, a luka, jaka powstała przed nim w pierwszym szeregu, ukazywała

bosę nogę zabitego Wachowiaka. Starał się nie patrzeć na nie, lecz niepokój, którego nie mógł zgłuszyć, uporczywie skierowywał jego spojrzenie w tamtą stronę. I wbrew wszystkiemu, czego od siebie żądał, wpatrywał się uciekającymi oczami w te stopy piętami zwrócone ku górze, szerniały od wżartej w nie ziemi, nieruchomo wystające z przykrótkich nogawek pasiatego drelichu. Resztę ciała zasłaniało ramię Karbowskiego. Nagle to ramię drgnęło.

Z głębi mroku dobiegł Stasia głos Trojanowskiego.

— Przyjacielu! — szepnął aktor.

Staś obrócił ku niemu głowę. Jeszcze słyszał w sobie suchy, urywany stuk bębna i poprzez ten rytm natarczywy i poprzez chwiejące się w blasku powietrze ujrzał zwróconą ku sobie twarz Trojanowskiego, potwornie zniekształconą sińcami, skurczoną jakoś dziwnie, a równocześnie opuchniętą, szerniałą od rysów krzepnącej krwi. Począł wpatrywać się w tę twarz nieprzytomnie, aż wreszcie oczy jego spotkały się z oczami tamtego.

— Przyjacielu! — powtórzył Trojanowski.

Staś ciężko dyszał w półotwartymi ustami. Nagle Trojanowski odwrócił się od niego. Przez plac szli grubo buldog Greiser i długoręki Schmidt.

— Uwóżaj! — szepnął Trojanowski.

Lecz tamci skręcili ku pierwszemu blokowi. Gdzieś na tyłach trzeciego chrypiał głos Nadolnego. I nagle Staś poczuł na swojej dłoni obcą rękę. Dotknęła go zrazu lekko końcem szukających palców, potem zamknęła się naraz mocno i tak pozostała. Trojanowski nie ruszał się patrzył przed siebie. Staś także. Czuł jednak wyraźnie, jak ta skostniała z zimna, chropawa męska dłoń wydzwiguje go z nieprzytomności i przywraca samemu sobie. Wtem, nim zdążył całkiem otrzeźwieć, krzyk Nadolnego począł się przybliżać. Dłoń szybko się cofnęła.

Nadolny biegł wzdłuż szeregu, na oślep bijąc stojących rzemiennym pejczem. Świst jego bata gwizdał wśród ciszy, któryś z uderzonych krzyknął, świst zbliżał się, szybki, rytmiczny, coraz przenikliwszy. Przez ułamek sekundy Staś ujrzał przed sobą smagłą twarz Unter-Capa i jednocześnie ostry jak cięcie nożem ból przeciął mu lewy policzek. Nim się zdążył zorientować, co się stało, Nadolny był już u końca pierwszego szeregu. Ale natychmiast zawrócił z powrotem i przez puste po Wachowiaku miejsce przedarł się ku szeregowi następnemu. Z rozmachem zamierzył się na Makowskiego, który pierwszy nawinął mu się pod rękę.

Jeden tylko Smoła usłyszał w tej chwili głośnie, nagle urwane chrapnięcie sędziego. Nadolny z poodniesionym wysoko pejczem nie zdążył uderzyć, gdy tamten całym ciężarem upadającego ciała zwałił się wprost na niego. Unter-Capo był silnym mężczyzną, jednak w pierwszej chwili zachwiał się i jak gdyby broniąc się przed uderzeniem, oburącz uchwycił sędziego za ramiona. Zbladł przy tym, jego pochmurna twarz skurczyła się strachem. Trwało to moment. Oprzytomniawszy, szarpnął z furią ciałem. Było bezwładne. Głowa sędziego bezsilnie opadła na piersi Nadolnego. Ten dopiero wtedy zorientował się, że trzyma trupa. Zaklął i gwałtownie odepchnął ciało od siebie.

Na swoje nieszczęście Pawłowski nie mógł w tym momencie opanować drżenia, które nim zatrzęsło. Gdy dojrzał to Nadolny, rzucił się ku niemu i zaczął bić ze zdwojoną zaciekłością. Pawłowski zakrzyczał cienko i żałośnie, rękoma osłaniając się przed uderzeniami. Ale jego mizerna i niedorzeczna obrona podnieciła tylko furię Unter-Capa. Przewrócił sztabowego i leżącego twarzą do ziemi począł podkutymi butami kopać w nerki. Pawłowski zaskowywał i raptem przycichł. Tamten kopał dalej. Jego uderzenia wydobywały z nieruchomego ciała głuche, tępe stęknięcia. Smoła stojący naj-

bliżej słyszał, jak wewnątrz tego ciała rozluzowuje się, jak coś się w nim łamie i pęka. Odgłos kopnięć stawał się coraz większy. Trojanowski słyszał to samo. O niczym nie myślał. Nie czuł w sobie litości, nie czuł także nienawiści ani strachu.

Na koniec Nadolny miał dość. Wyprostował się i starannie obciągnął kurtkę. Na ten raz był koniec. Pozostawiono chwilowo blok w spokoju.

Przez długi czas sztabowy nie ruszał się. Leżał w pozycji, w jakiej go zostawił Nadolny, rozplaszczony dziwacznie i śmiesznie, z pokurczonymi ramionami. Mysią twarzą wciśnięty w wilgotny żwir, dotykał prawie nóg Smoły. Ten nie mógł zorientować się, czy Pawłowski omdlał tylko, czy skonał. Postrzępiony na plecach, krwią przesiąknięty drelich leżącego odsłaniał jego chude i szerniałe ciało. Jeśli tliło się w nim jeszcze życie, to bardzo chyba nikłe, utajone gdzieś w głębi oddechu. Smoła uporczywie doszukiwał się śladu tego oddechu. Ale Pawłowski leżał cichy i nieruchomy.

Tymczasem Smoła czuł nasilającą się w sobie gorączkę. Klucia w lewym płucu stawały się tak ostre i bolesne, iż bał się głębiej odetchnąć. Oddychał jak najpłycej, ostrożnie i oszczędnie. Właściwie nie bronił się już przed postępem choroby. Nie odczuwał tego również jako rezygnacji z życia. Sam nie zdawał sobie sprawy, kiedy i jak ścichł w nim cały poprzedni niepokój. Gdy uświadomił to sobie po dłuższym czasie, nie doznał zdziwienia ani sprzeciwu. Wysilek, w który wkładał tyle uporu, wydał mu się nieważny i niepotrzebny. I jedyne, co go teraz utrzymywało w napięciu, to niepokój, aby nieuważnym poruszeniem bosych nóg nie dotknąć leżącego obok siebie. Od czasu do czasu, gdy bezruch stawał się nie do zniesienia, przestępował z nogi na nogę i wtedy, choć pilnie uważał, zdejmował go lek na myśl, że może potrącić tego człowieka. I coraz usilniej zawiązywało się w nim przenikliwe odczucie, w

którym zawstydzienie łączyło się z poniżającą świadomością własnej bezsilności. Niepewność, czy stoi nad trupem, czy nad człowiekiem dogorywającym, męczyła go z wzrastającą natarczywością. Lecz wśród tej niewiedzy i sprzecznych doznań, których dotąd nigdy nie był przeżywał, zapominał powoli o samym sobie, jak gdyby los tego obcego człowieka stawał się jego własnym. Nie wiedział, co z tym począć. Dopiero teraz, odkrywszy własną bezsilność począł zdawać sobie sprawę, że jest jednym z tłumu i że brakuje mu sił i odwagi, aby wyrwać się z tych więzów pętających kilka tysięcy ludzi biernym poddaniem się, że po raz pierwszy w życiu dotarł do jej kresu. I naraz wszystko, co dotąd dokonał, wszystkie walki, wysiłki, zwycięstwa i osiągnięcia, wydały mu się łatwymi okazjami bardziej niż wartościami istotnymi. „Ileż osiągnąć — myślał — jest osiągnięciami tylko dlatego, że nie staje na drodze do nich próba najtrudniejsza i najcięższa!” Widział teraz swoje życie jaśniej niż kiedykolwiek. Nie pogardzał nim. Wychwycił tylko w sobie, jak gdyby wątłe drgnienie żalu, że wcześniej nie pojął, czym może się stać ludzki los. Ale jednocześnie i coś w rodzaju wdzięczności, że ta próba została mu tak długo oszczędzona, wnikało w niego uciszeniem.

Padał teraz deszcz gęsty i równy. Pełno było jego szumu. Wiatr przycichł. I tylko ten szum monotonny pod wysokością nocy przechodził z krańca placu na kraniec, powolny i ogromny, ponad ciemnymi szeregam i wśród ciszy. Stał się bowiem dokoła prawie spokój. Tylko gdzieś i z rzadka rozlegał się krzyk któregoś z SS-ów. Większość z nich, zmęczonych kilkugodzinnym apelem, przycichła. Gruby Greiser włóczył się po placu osowiały i zmoknięty, Sturmer zatrzymywał się przy różnych blokach i tępo wpatrywał się w twarze stojących, na tym jednak poprzestawał, nikogo nie bił. Kreutzmann i Nadolny przepadli gdzieś.

Tak samo kędzierzawy Dietrich. Światła reflektorów ciągle wdzierały się w głąb ciemności. Poszukiwania zaginionego trwały.

— Ludzie, która może być godzina? — szepnął ktoś za Smolą.

Nikt nie odpowiedział. Cisza trwała wśród szeregów, lecz różna od poprzedniej: ciszy strachu. Było to milczenie znużenia i powolnego zamierania, gdy w ciastach przestaje się już tlić nadzieja i nawet lęk w nich wygasa i martwieje. Coraz częściej rozlegały się głuche odgłosy ciężko padających na ziemię ludzi. Deszcz szumiał niezmiennie równo i gęsto. Kto raz upadł, nie podnosił się więcej. Konał cicho, nie wiadomo — kiedy.

Sąsiadem Trojanowskiego z prawej strony był Olszanowski, ziemianin spod Biłogaja. Ten młody mężczyzna o twarzy wynędzniałej i naznaczonej ciężką chorobą robił wrażenie nieobecnego wśród otaczających go ludzi. Rzeczywiście był daleko myślami. Myślał o swoim dziecku, które powinno się było w tych dniach urodzić. Gdy zabierano go wraz z ojcem i z młodszym bratem z domu, żona jego było w drugim miesiącu. Ten czas wydawał mu się nieprawdopodobnie dalekim. Lata całe oddzielały go od wolności. Ojciec już nie żył, brat, dziewiętnastoletni Franek, tak samo. Tutaj umarli. Chwilami Olszanowski zapominał, jak wygląda żona i jak wygląda ich wspólny dom. Całe jego dotychczasowe życie kruszyło się w nim i nieraz, gdy tak jak obecnie usiłował je wskrzesić, znajdował w sobie tylko mgliste cienie. I jedynie myśl o dziecku, które miało się narodzić była w nim jasna i pewna. Nie miał nadziei, aby ujrzał kiedykolwiek tę nieznaną istotę. Wiedział, że gruźlica żołądka, której objawy zauważył przed paru miesiącami, nie pozwoli mu długo żyć. Wyraźnie czuł zbliżający się koniec. Lecz im bardziej opadał z sił, tym mocniej utrwalała się w nim myśl o dziecku. Utrwalała się w nim także pamięć o ziemi. Ona jedna

z dwudziestu siedmiu lat jego życia poddawała się ocaleniu, istniejąc w polach i w lasach, niebie i w powietrzu, tak bliska i wyraźna, jak gdyby nigdy nie miała ulec zmianie, wierna i trwała wśród wszystkich przemian ludzkich spraw. Doszedł teraz do stanu takiego zmęczenia, iż wszystko stało mu się obojętnym. Nie odczuwał ani własnych cierpień, ani cierpień towarzyszy. Było mu wszystko jedno, czy będzie stać godzinę jeszcze, czy dziesięć. Nawet własnej śmierci nie ogarniał wyobraźnią. I tylko te dwie splątane w nim myśli, jak dwa głosy bardzo wyraźne, choć ściszone, przybliżały sobą echa zanikającego życia. Niosła się w nich prawie pogodna nadzieja. Lecz jej mglistą obecność odczuwał, jak gdyby poza sobą, przerastającą go, doskonałą i trwalszą ponad wszystko, cokolwiek był zdolny przeżyć. Myślał, że jeśli się urodzi syn, to będzie miał na imię Piotr, a jeśli córka, to Anna. Powtarzał te dwa imiona i ich bezgłośnie dźwięki kojarzyły mu się ze wspomnieniami rodzinnych stron. Chwilami zatracił zupełnie świadomość, że znajduje się w tłumie. Wnikał w głęboką samotność, lecz nie odczuwał jej jako osamotnienia.

Tłum więźniów trwał w niezmiennym bezruchu. Mijały godziny. Noc schodziła w swoją głęb.

Gdzieś o późnym czasie Pawłowski ocknął się z omdlenia. Wąty dreszcz wstrząsnął naraz jego plecami. Smola drgnął i wpatrzył się w nie z natężeniem. Tamten cicho zajęczał, lecz dalej leżał bez ruchu, z twarzą przywartą do ziemi. Po chwili znowu jęknął. Akurat ukazali się na końcu placu Kreutzmann i Nadolny. Smola, który już się chciał pochylić nad leżącym, szybko cofnął się i wyprostował. „Skończyłem się” — pomyślał. Dalej jednak nie odrywał załzawionych z zimna i z gorączki oczu od leżącego. Jęk powtórzył się, tym razem głośniejszy.

— Cholera! — zaklął ktoś cicho z tyłu.

Po chwili, gdy jęk nie ustawał, Smoła usłyszał za sobą wrogi szept:

— Ty, ucisz tego durnia, posłyszają...

Smoła nie poruszył się.

— Ty! — szeptał ten sam głos — słyszysz? Chcesz ich tu zobaczyć?

Smoła odruchowo spojrzał po swoich dalszych towarzyszach. Zobaczył zwróconych z szeregu w swoją stronę kilka spojrzeń śmiertelnie znużonych, natarczywych ślepą nienawiścią. Czuł, że powinien je od siebie twardo odrzucić. Lecz nie uczynił tego. „Ja też się boję” — pomyślał. Czuł się teraz tak źle, iż pewien był, że nie utrzyma się długo na nogach. „Jeśli nie umrę zaraz, będę im przeszkadzać” — myślał ociężale. Przymknął oczy i poddał się gorączkowemu odurzeniu.

Nagle usłyszał blisko głos Schrödera. Wyprężył się i podniósł powieki. Przed nim stał Capo.

— Co ten? — spytał Schröder, wskazując na leżącego Makowskiego. — Żyje?

— Umarł — odpowiedział Smoła.

Capo spojrzał na Pawłowskiego.

— A ten?

Smoła nie zdążył odpowiedzieć, gdy leżący jęknął. Schröder milczał chwilę. Chociaż wyprostowany i z twarzą jak zawsze obcą i nieprzeniknioną, wyglądał na bardzo znużonego. Wreszcie na nikogo nie patrząc powiedział głucho:

— Jest rozkaz, żeby wszyscy żywi stali w szeregach. Trwała cisza.

— Wszyscy — powtórzył.

I nagle spojrzał na Smolę.

— Podnieś go!

Smoła schylił się i podjął leżącego pod ramiona. Przez chwilę ujrzał tuż przy sobie mysią twarz Pawłowskiego, szarą, bez kropli krwi, z szeroko otwartymi oczami, które zapadały się w głęb oczodołów i za-

chodziły mgłą. Chciał go podźwignąć, lecz naraz opuściły go siły, zrobiło mu się słabo i zatoczył się. Ktoś z boku go podtrzymał.

Schröder spojrzał tylko na niego i bez słowa schyliwszy się począł sam sztubowego podnosić. Ale ten leciał mu przez ręce. Przytrzymał go ramieniem i objął w pól. Gdzieś z niedaleka doleciał dźwięczny, jasny głos Kreutzmanna.

Głowa Pawłowskiego bezwładnie zwisała przez ramię Schrödera. Wątle dreszcze wstrząsały jego drobnym ciałem. Schröder przyknuł oczy. Przytrzymując umierającego, sam wyglądał jak umarły. Mżył teraz deszcz i pełno było w powietrzu kleistej mgły. Ziemia dymiła jak po wygasającym pożarze.

Wtedy więźniowie trzeciego bloku ujrzeli, że Schröder z powrotem składał sztubowego na ziemię. Gdy to uczynił, przyklęknął obok. Umierający chwycił go za rękę. I naraz z pochylonej twarzy Capa jak gdyby opadła maska, którą stale i od tyłu lat nosił. Zniknął z niej znany wszystkim rygor służbisty, a niezwykle piękna i czysta jasność, jasność miłości i cierpienia nasświetliła od wewnątrz te męskie, twarde rysy.

— Kamerade! — szepnął półgłosem.

Pawłowski z natężeniem wpatrzył się w nachylonego nad sobą człowieka i kurczowo zacisnął rękę dokoła dłoni Capa. Ten zdawał się o wszystkim zapomnieć i widzieć tylko twarz konającego. Głos Kreutzmanna wyraźnie przybliżał się.

— Kamerade! — powtórzył Schröder głośnie.

Oczy Pawłowskiego rozszerzyły się i zatliło się w nich znikające życie.

— Trzeba wierzyć, Kamerade — szepnął Schröder — wierzyć w zwycięstwo, rozumiesz? Wierzyć w wolność, w przyszłość...

Twarz Pawłowskiego skurczyła się żałośnie. Poruszył wargami.

— Co mówisz? — spytał Capó, pochylając się jeszcze niżej.

Pawłowski wpatrywał się w niego z wzrastającym natężeniem w stygnących oczach. Znowu poruszył wargami. Wreszcie wyszeptał:

— Nikt mnie nie kochał...

I skołał.

Potem przez długi czas szaleli SS-si. Schrödera zabrali ze sobą Kreutzmann i Nadolny, którzy akurat wówczas, gdy Pawłowski konał, znaleźli się nie opodal trzeciego bloku. Los Capa był przesądzony. Zresztą Schröder nie tłumaczył się i swoim milczeniem i spokojem sam na siebie podpisywał wyrok. Nie zastrzelono go na miejscu zapewne dlatego, że był Niemcem. Wszyscy jednak więźniowie zdawali sobie sprawę, że najlepsze, co może Capa spotkać, to szybka śmierć. Czy tak się stało, nie wiadomo. W każdym razie nikt więcej Schrödera nie widział.

Cokolwiek z nim uczyniono, zdarzenie to, pierwsze tego rodzaju, odkąd Oświęcim istniał, zemściło się fatalnie na więźniach. Ospałość i znużenie natychmiast odeszły SS-ów. Wszyscy stanęli na nogi i gromadą zbiegali się na plac. Ich rozjuszenie było zbiorową furją, ślepym szaleństwem, które prześcignęło wszystkie poprzednie. Obóz przeżył swoją najcięższą godzinę. Mogło się здаwać, że wszystka ludzka nienawiść i okrucieństwo całej ziemi skłębiły się pod tą nocą, oszalała i nienasycone, i że nikt żywym z tego piekła nie wyjdzie. Wśród ciszy chrypiały wrzaski bijących. Po krańcach szeregów i w ich głębi jęczały i skowytali bici. Aż wreszcie te wołania oprawców i ofiar zwały się z sobą w jeden głos ludzkiej udręki, głos z dna ciemności, głuchy i bez nadziei, będący samym cierpieniem i losem najsamotniejszym ze wszystkich losów na ziemi.

Wypogadzało się tymczasem. Mgła zrzędła, wiatr na-

cichł. Mróz teraz brał i nawet gwiazd kilka w wysokich przepaściach zabłysło. Po godzinie, gdy znużenie dosięgło wreszcie SS-ów, powoli zaczął nastawać spokój, cisza pobożowska, która trwa jak gdyby poza światem, poza przestrzenią i poza czasem, każdego z ludzi wywołując oddzielnie i po imieniu. Ostatniego człowieka zabito w końcowym szeregu trzeciego bloku. Był nim młody ksiądz z Radomia, który schylił się, aby udzielić rozgrzeszenia umierającemu towarzyszowi. Zastrzelił go Kreutzmann.

Apel trwał dalej.

Nad ranem Staś Karbowski stracił przytomność. Męczył się przedtem długo i ciężko. Pobity raz jeszcze przez Nadolnego, kilka godzin przeleżał zamroczony bólem i gorączką, nim wreszcie całkiem utracił świadomość. I tylko raz jeden wniknęło nagle w niego coś, co odczuł jak żal, którego nie zdążył ogarnąć, ani zrozumieć.

Noc dobiegała wtedy końca. Było mroźno, a powietrze coraz czystsze. O samym przedświcie wypogodziło się zupełnie i z ostatkiem ciemności wszystkie gwiazdy ukazały się na niebie. Wkrótce potem zaczęły błędnąć i zagasać. Lecz mrok długo jeszcze stał nad ziemią. Wschód nadchodził niepostrzeżenie, osłonięty niezmiennym blaskiem reflektorów. Pierwsza jego poświata, szklista i krucha, położyła się na wysoką smugę topoli i tam trwała jak nikły odbłask niewidzialnej jasności.

Cisza witała ten ranek. Ludzie w szeregach, niemi i sztywni, wyglądali w powoli rozjaśniającym się świetle jak upiory, które spędzono tutaj, aby świadczyły o nędzy stworzenia nazywanego człowiekiem.

Już nikt o niczym nie myślał i nikt niczego nie pragnął. Jeśli tliła się jeszcze w kimkolwiek świadomość, była nikłym strzępem, który gubił się bezsilnie we własnej pustce i w pustce i w milczeniu świata. W każ-

dym z bloków było po kilkunastu umierających. Ale obozowi nie grozi wyludnienie. W najbliższych dniach nadejdą z różnych stron nowe transporty.

Aż wreszcie pod koniec piętnastej godziny apelu, gdy dzień już był jasny i pogasły reflektory, odszukano profesora Śliwińskiego. Znaleziono go za stosem beczek i skrzyń, w kącie ciemnej piwniczki jednego z rozbieranych domów.

Był zimny i zeszywniały, musiał przed wielu godzinami umrzeć.

Krajobraz, który przeżył śmierć

KORNEL FILIPOWICZ

Jonaszowi Sternowi

Znam tamte strony, łatwo więc mogę sobie wyobrazić kształt tej okolicy, zarysy wzgórz i parowów, linie zarośli spajające wszystko w całość i to okrutne parzące słońcem niebo, na którym jedynym ruchomym zjawiskiem są chmury, nie dające się nawet wzrokiem zatrzymać.

Przedsionkiem śmierci był obóz, otoczony prowizorycznie drutami, o pomieszczeniach tymczasowych — rodzaj poczekalni, w której pacjenci lub rekruci stający przed komisją poborową rozbierają się do masowego przeglądu lekarskiego. Cóż po tym, jeśli opiszę ludzi: kobiety, mężczyzn i dzieci, ich małosłowne odruchy przed śmiercią, nienawiści i zawiści, które nie doczekały się niczyjej wzdąrdy, opanowanie i bohaterstwo, które były czymś najbardziej bezinteresownym na świecie, gdyż miały umrzeć za chwilę zarówno z tymi którzy ich doświadczyli, jak i z tymi którzy je okazali.

Był to wyjątkowo upalny czerwiec. Na ziemi wydeptanej i wysuszonej jak klepisko, ubitej z kałem i krwią jak koszar, do którego wpędza się bydło na noc, czekało na swoją kolejkę sześć tysięcy ludzi, zachowujących jeszcze ruchliwość i życie, a także doskonałą bystrość oka odbijającego obrazy — coś za absurd — po raz ostatni. Byli spragnieni wody tak ogromnie, że

wobec nieuchronnej śmierci, jaka ich czekała, tylko wody wydawał się ocaleniem. Lecz o wodę było trudniej jak o pieniądze, za które by ją można kupić. W takich chwilach nawet instynkty zawodzą. Oto przychodziły momenty, w których śmierć wydawała się jedynym upragnionym wyjściem stąd, jedynym stanem, w którym pragnienie już nie będzie istnieć, lub może zostanie zaspokojone z jakiegoś niewyczerpanego oceanu zimnej wody, który będzie można bezpiecznie przytknąć do ust.

Jakże niewzruszony był krajobraz, gdy rozebrani do naga, kolumnami po dwustu ludzi, brnęli stromą drogą w kierunku, skąd z nawrotami wiatru dochodził stłumiony szelest strzałów, jak gdyby się tam odbywało polowanie w kocioł. Starał się przebić krajobraz wzrokiem, aby odkryć poza nim jakąś ostateczną prawdę; nic poza nim jednak nie istniało, prócz jego własnego przedłużenia, opasującego cały glob ziemski dookoła, z niebem wspartym jak mur na kolumnach powietrza. Nic tam nie istniało poza swobodną przestrzenią, gdzie wolny człowiek może dotykać każdej ścieżki materialną stopą, brać w rękę każdą gałązkę i wybierać wzrokiem drzewo na swoją jedyną własność. Takie było jego pożegnanie z życiem. Był tak wyschnięty, że nie miał nawet jednej łzy, aby nią zwilżyć oczy piekące od pyłu, w którym szli wypaloną od żaru drogą.

Ostatni przystanek urządzono im u wejścia do głównego jaru, z którego odchodziły krótkie odgałęzienia, wypłukane przez wyschnięte strumienie w żółtej glinie. Stąd wydzielano po dziesięciu każąc biec w miejsce, gdzie zrywała się niewidoczna, krótka palba, zakończona paroma luźnymi strzałami. W miarę jak zbliżała się kolej na niego, nie czuł większego lęku niż ten, jaki przeżywał przed ukluciem, podchodząc w szeregu do szczepienia przeciwtyfusowego, za czasów rekruczek. Być może, że im nędzniejsze jest życie, tym bar-

dziej oczywista bywa śmierć. Chociaż można by opowiedzieć sto najdziwniejszych sposobów zachowania się jego towarzyszy na dowód, jak rozmaita jest natura człowieka. Wielu ulegało niepoprawnemu złudzeniu ludzkiemu, że to wszystko to jakiś głupi sen, po którym zbudzą się z bijącym sercem, w bezpiecznym miejscu. (Ale były także dzieci, a nawet dorośli, próbujący uczynić się niewidzialnymi, chowając głowę poza jakąś kępą trawy, nie zdając sobie sprawy, że tylko anioł potrafiłby zakryć skrzydłem ich ludzkie ciało przed esmańskim wzrokiem... Wykopywali ich ze śmiechem z powrotem do szeregu). Przyszła wreszcie na niego kolej. Odcięto nowych dziesięciu, w tej liczbie i jego — był trzeci czy czwarty. Zachrypli esmani smagnęli ich okrzykami i kijami jak zwierzęta wypędzane na arenę. Gdy wbiegał w kotlinę, mignęła mu w oczach sylwetka ostatniego z nagonki, z oszalałą twarzą, głosem zagłuszonym strzałami, wyciągniętym palcem wskazującym miejsce dokąd miał biec.

Ostatnie obrazy, jakie przeleciały mu przez siatkówkę, nie mają żadnych ram ani trwałości (nie tylko pewnie dzięki kulistości oka, ale także ciągłości spostrzeżeń) — podobnie jak wzruszeń, które go wtedy przenikały, nie można nazwać, porównując z czymś dla nas odczuwalnym. (Któż nie przeżył bliskiego sąsiedztwa śmierci, smakuje ono coś jak ostrze brzytwy na wargach w sekundzie, gdy uniknęliśmy zacięcia się nią). Zerwały się dookoła strzały (esmani stali półkołem na stokach kotliny), biegnący przed nim rozchylił się jak podcięte drzewa i na wprost siebie ujrzał ogromną, czerwoną twarz, z szarpiącym się pistoletem maszynowym. W tej sekundzie czyjaś oślizgła od krwi lydka poderwała mu nogi. Od tej chwili zaczął intensywniej myśleć. O czym myślał? Że to właśnie jest śmierć, to jakieś oślepiające wyzwolenie świadomości spod naporu ciała. Zaraz jednak przekonał się, że

myślenie oznacza właśnie życie. Oto czyjeś udo spoczywające na nim drgało uporczywie jednym mięśnieniem, łaskotając mu plecy. Był to już ruch nieświadomy istoty, która przestała nad nim panować.

Teraz, kiedy poczuł się żywy, zapragnął tak silnie ocalić się, że każdy pojedynczy strzał przeszywał go prawdziwie ludzkim strachem.

Gdy umilkły na chwilę strzały, zaczął przymuszać się do powolnego, systematycznego układania sobie w głowie tych paru pierwszych punktów, jakie niewątpliwie osiągnął, zachowawszy aż do tej pory życie. (Czy może raczej zacząwszy żyć). Uświadomił sobie, że pierwszym warunkiem utrzymania życia jest absolutny, idealny bezruch. (Przychodziło mu nawet do głowy, czy nie należy się także wstrzymać od myślenia, jak gdyby praca jego mózgu mogła być przez którekolwiek z nich dostrzeżona). Jakże wiele wysiłku kosztowała go walka z zawczesną radością życia! Powtarzał sobie po sto razy: nie jestem jeszcze ocalony! nie jestem jeszcze ocalony! Każdy głupi strzał może mnie dopiero na dobre przygwoździć do ziemi! To byłaby swoją drogą najgłupsza ze śmierci. (Naprawdę ocalony, o ile to pojęcie mogło mieć jeszcze wielką siłę swojej nazwy — poczuł się dopiero kiedyś długo, długo potem. I nie miał nic ze satysfakcji, jaką się odczuwa, osiągnąwszy skokiem drugi brzeg wzburzonego potoku).

Po ustaniu strzałów domyślił się, że niewielka odnoga jaru, w jakiej się znajdował, została już wypełniona w sposób wystarczający, a esmani przenieśli się na nowe miejsce egzekucji, (po przerwie zaczęły znowu trzeszczeć gdzieś w pobliżu strzały) — pozostawiając zapewne kilku wartowników. Słyszał ich uwagi, odkrzykiwane tym prymitywnym żargonem ukraińskoniemieckim, jakim się posługują wołyńscy koloniści. Co pewien czas rozlegał się pojedynczy strzał karabino-

wy, huczący jak grzmot, uspokajający czyjeś stęknienie lub drganie umierającego nerwu.

Jakżeż dłużyło się to popołudnie, nie ustępując ani o stopień z dziennego natężenia światła. Za każdym razem, gdy przez rozchylone rzęsy wpuszczał próbkę światła do żrenicy, zdawało mu się, że dzień, zamiast gasnąć, rozświeatla się coraz bardziej. Trudno wyobrazić sobie, aby istniały bardziej niehumanitarne tortury, niż panowanie nad własnymi odruchami i zmysłami. Czyż może istnieć coś niedorzeczniejszego, jak niemożność spędzenia wielkiej trupiej muchy, która łazi po nagim ciele, zrywa się i siada znów w nieoczekiwanym miejscu. W każdym miejscu skóry trzeba było być przygotowanym na laskotanie jej szybkich nóżek i na pchnięcie jej okrutnego żądła; nie wiedział jak długo trwała ta ciuciu-babka ze zmysłami, po pewnym jednak czasie doszedł do wniosku, że te drobne stworzenia były jedynymi istotami, które zdawały sobie sprawę, że mają do czynienia z żyjącym jeszcze ciałem. Błogosławił ich instynkt każący im nakłuwać tylko umarłe ciała, dla zaszczepienia w nie nowego życia.

W jakiejś chwili rozchyliwszy powieki przekonał się, że zapadł zmierzch tak nieoczekiwanie, jakby kotlina w której leżał, została przykryta nagle pokrywką. By może, że z zimna, czy aby ulotnić z siebie ogromne napięcie nerwowe, zaczął cały dygotać; przez moment opadł go lęk, żeby nie zostać zdradzonym przez drżenie własnego ciała, nad którym nie miał już sposobu zapanować. Uniósłszy jednak o centymetr głowę (trwało to chyba z kwadrans, na taką powolność rozłożył tę niewielką drogę, aby przestała być ruchem) — ujrzał przed sobą własną dłoń, było to pierwsze radosne spostrzeżenie — wydała mu się spokojna, a jeśli nawet drżała, to ruchem niedostrzegalnym nawet dla jego oka. Następną czynnością, jaką postanowił wykonać, było przekręcenie głowy do takiej pozycji, aby

móc zobaczyć swoje otoczenie. Przedsięwzięcie to zajęło mu chyba pół godziny, powolność zaś ruchu przekraczała już chwilami granice precyzji ludzkich mięśni.

Ruch musiał w końcu wykonać, o ile chciał podjąć czynną walkę o zachowanie życia. Był to konieczny etap na drodze do ocalenia; nie mógł jej przecież rozpocząć zerwawszy się do jakiegoś skoku na oślep przed siebie. Kiedy w nowej pozycji otworzył oczy, świat stał nieporuszony i okrutny, przeżywający wszystko, dotrzymując miejsca nawet najstraszliwszym zmianom swoją statyką kształtu i odległości.

Leżał w miejscu najniższym, najmniej usianym ciałami: w lewo, jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem nie poruszając głową, ciągnął się wał trupów, wiodła tam jakaś niezrozumiała granica, szczególnie atakowana przez kule, w tę stronę biegła widocznie większość ludzi, jakby w oczekiwaniu, że spotka ich tam mniej śmiertelna śmierć. W prawo, o kilka kroków, rozpoczynało się wzniesienie, przechodząc wyżej w gliniastą ścianę jaru obrzeżonego u góry trawiastym nawiasem. Poruszał się tam powoli, tam i z powrotem, strażnik z karabinem na pasie, na tle ciemniejącego nieba.

Na wprost ciągnął się dalej wąwóz, zwężając się w miarę podchodzenia do góry, zarośnięty krzakami i młodymi drzewami: wiało stamtąd chłodem i przestrzenią i dolatywało przerywane pogwizdywanie. Było oczywiste, że i tam, chociaż stąd niedostrzegalny, stoi wartownik.

Zapadała coraz szybciej głęboka ciemność, jak zwykle przed wschodem księżyca. Jeśli ocalenie miało polegać na ucieczce stąd, trzeba było dokonać tego, zanim nie zacznie jaśnieć jego zdradliwe światło. Zanim rozstrzygnął, w którą stronę będzie próbował ucieczki (choć zdaje się, że kierunek jej ustalił już przed chwilą instynktownie: jarem pod górę, w kierunku pogwiz-

dującego wartownika), stracił dobrą chwilę na studio-
wanie pewnego zagadnienia, które w tej chwili wydaje
się śmieszne, wówczas jednak zaprzętało mu nieznoś-
nie umysł. Jak okryć swoją nagość, aby, gdy oderwie
się od lśniącego tła ludzkich ciał i znajdzie się na szor-
stkiej, pochłaniającej światło powierzchni ziemi, nie
stać się nagle osamotnionym, widocznym z daleka
kształtem? Zauważył bowiem, że ciało ludzkie błysz-
czy w ciemnościach silniej jeszcze niż woda, jak gdyby
jakimś własnym, fosforyzującym światłem. Wówczas
nie był w stanie uświadomić sobie tego, że tych kilku
wartowników przechadzających się nad nim nie pa-
trzyło już w tę stronę, tak jak nie spogląda się w prze-
paść, poruszając się nad nią. Zapewne byli to ludzie
nie przejmujący się wiele, ale nie musieli się czuć zbyt
pewnie w nocy, na krawędzi otchłani pełnej tylu zga-
szonych istnień ludzkich.

W jakiejś chwili, gdy powziąwszy decyzję podno-
sił się już na kolana, przeżył pierwszy prawdziwy
strach, (pierwszy od wielu miesięcy, podobny do tego
jaki natchodził go w czasach, gdy był jeszcze wolny,
zanim mu odebrano to wszystko, w odniesieniu do cze-
go wzruszenia miewają swoją siłę). Oto gdzieś w po-
bliżu zawarczało wściekle auto, tym znajomym, pie-
kielnym głosem, będącym synonimem *ich* przemocy
materialnej. Zatrzymało się terkoczące na gazie, słychać
było pomieszaną głośno i rozbłysło na parę sekund ośle-
piające światło reflektora, skierowane na pobojuwisko.

Parę fachowych uwag, dotyczących dzisiejszego żni-
wa i sposobu pokrycia go ziemią, trzask drzewczek —
i jego lęk oddalił się na cichnącym odgłosie motoru,
który odprowadzał słuchem już do miejsca, gdzie zrów-
nał się ze spokojem zapadającej nocy.

Była to jakaś komisja esmańska stwierdzająca
śmierć, rodzaj zabytkowej formalności z czasów, gdy
zgon skazańca musiał być sprawdzony przez lekarza.

Formalność na jego szczęście powierzchowna. Po oddaleniu się auta dowiedział się, że na tę chwilę nie tylko on czekał. Usłyszał swobodne nawoływania, a wartownik, zamykający mu drogę do jaru, zapowiedział głośno, że wybiera się na łyk wódki do swoich towarzyszy na górę. W ten sposób otworzyły się przed nim drzwi w stronę, gdzie pociągał go właśnie instynkt. Przeczekał chwilę, w ciągu której wartownik tarasząc krzaki piał się pod górę — i podniósł się na czworaki, wykręcając głowę na plecy tak, aby ciemna plama włosów rozbijała dużą płaszczyznę barków i starając się przedstawiać dla kogoś patrzącego z góry jak najmniejszy kształt. W tej niewygodnej pozycji począł wędrować w kierunku, gdzie jar zwęzał się tworząc ciasny, ocieniony przesmyk.

W tej fazie ucieczki zdawał sobie sprawę, że bezgłośne poruszanie się jest pierwszym warunkiem udania się jej. Trzeba było stąpać tak, aby nie być słyszany, słysząc równocześnie wszystko. Nie wyobrażał sobie, że jest to aż tak trudne. Zwierzęta nadsluchując przystają nie tylko po to, aby nie słyszeć własnych kroków, ale także aby wyeliminować jak najwięcej czynności zakłócających uwagę, aby przerzucić całe napięcie na jeden zmysł. Po pewnym czasie osiągnął przecież (łamiąc w sobie jakiś naturalny, ludzki rytm) tę minimalną szybkość poruszania się, połączoną z nieprzerwanym natężeniem zmysłów.

W czasie wędrowki natknął się ręką na przedmiot tak obcy wśród gładkich ciał, że w pierwszej chwili przeraził się go, jakby był czymś żywym. (A był to tylko orczyk od wozu). Przedmiot ten stał się odtąd towarzyszem jego samotności, dzięki któremu mógł sobie powiedzieć, że kto stanie mu w drodze — zginie. Oczywiście było to — bardzo symboliczne postanowienie. (Do tej pory każde spotkanie z człowiekiem groziło śmiercią tylko jednej stronie: jemu). Było mu od-

tań jakoś raźniej, jak żołnierzowi, który z bagnetem wyciągniętym przed siebie idzie na spotkanie wroga, nie bardzo zdając sobie sprawę, że ma tak niewielkie szanse w stosunku do niego. Po prostu wraz z tym znalezionym przedmiotem zdobył prymitywną, mięsniową pewność, płynącą z radości zaciskania jakiegoś przedmiotu w garści.

Zbliżając się do miejsca skąd, jak domyślał się, zeszedł przed chwilą posterunek, nie mógł pozbyć się lęku przed jakąś pułapką, chociaż zdawał sobie sprawę, że zastawia ją tylko jego własna imaginacja.

Przeżył wówczas zabawne rozczarowanie do swojej intuicji. Oto nastawiła go ona na fałszywą odległość, jego bicie serca, przeczucie niebezpieczeństwa pośpieszyło się; w tym miejscu gdzie sobie to wyobrażał, nie stał nigdy żaden wartownik, było to w istocie o kilkanaście metrów dalej, gdzie ze spóźnionym przestraszonym spostrzegł wydeptaną wokół trawę, kilka niedopałków zaduszonych na ścieżce i rozchylone, o poodwracanych listkach krzaki, któredy piał się pod górę. Ta omyłka wyzwoliła go do reszty z obaw do tego stopnia, że dziś nie potrafiłby sobie przypomnieć odcinka drogi aż do miejsca, gdzie wydostał się z ciasnego przesmyku na otwartą przestrzeń. Przeszedł ją najzwyczajniej w świecie, jak drogę, którą odbyło się sto razy w życiu.

Wilgotniejącą łąką zbiegał w dół tak lekko, jakby brał wiatr pod gołe pachy. Przed nim i dookoła niego, w zasięgu płoszonymi krokami milkły żaby, odzywając się znowu o kilka metrów za nim, jakby biorąc go w swoją bezpieczną opiekę. Do stawu, połyskującego jak oko między szuwarami, dopadł niby zgonione zwierzę. Pił na płasko, klęcząc w wodzie, tracąc chwilami przytomność i odzyskując w zamian tylko świadomość bezgranicznego zmęczenia — zamiast sił fizycznych. Nic nie da się porównać z tą zmysłową przyjem-

nością, — jaką jest zaspokojenie pragnienia. Jeśli przed kilkoma godzinami po myśleniu poznał, że żyje, to teraz po raz pierwszy poczuł, że to życie jest jego najbardziej radosną własnością.

Kiedy po jakiejś chwili (opity wodą do ostatnich granic pojemności, lecz wciąż czując nienasycenie komórek, których jeszcze nie dosięgła) — z sercem bijącym ciężko, porajającym się gwałtownie z nagłym przyływem życia — podniósł oczy, ujrzał wschodzący księżyc, ogromny, podnoszący się szybko w oczach spoza widnokregu, rozświetlający ostro krajobraz.

Rozejrzał się dookoła jak zwierzę; strona, od której uciekł, pogrążona było jeszcze w głębokiej ciemności, wzgórza stykały się tam nieregularnymi liniami z wygwieżdżonym niebem. Dookoła czuł masywy wzgórz; odległe lasy, pola i wsie widoczne były jak bezbarwny negatyw, chłodny i tragiczny. Przed nim krajobraz zniżał się, schodząc pod ostrą, lśniąca krawędź blasku księżyca. Wiało stamtąd chłodem, wilgocią i nieprzerwanym rechotem żab, który wydał mu się łagodnym, spokojnym oddechem wolności.

Postanowił iść dalej w tę stronę. Oddalała go w najprostszym kierunku od jaru i ta okoliczność wydała mu się przemawiać w wystarczający sposób za instynktem wiodącym go niepowstrzymanie w tym kierunku. (Od czasu jednak figla wyplatatanego mu przez jego omylną naturę stał się ostrożny i sprawdzał rozumem każdą decyzję).

Dalsze wspomnienia odnoszą się dopiero do miejsca, gdzie jego przeżycia zagęszczają się znowu. Było to już nad ranem, po nocy przeleżanej w zbożu. O brzasku poczuł się podle, jak robak, którego upał zaskoczył na powierzchni ziemi. Noc osłaniała jeszcze jako tako jego nagość: z dniem stanęło jednak przed nim okrutne zagadnienie, jak przedzierzgnąć się z powrotem

w tę skórę, która jest najbardziej ludzką powłoką — w ubranie.

Nie ma się pojęcia, co to jest za problem — nagość! Dopiero teraz o świcie poczuł się odarty w bolesny sposób z własności, bez której życie jest fikcją. Jakżeż marzył o zdobyciu bodaj kawałka szmaty, aby móc uchodzić przynajmniej częściowo, w paru dopuszczalnych sytuacjach, za istotę na swoim miejscu, za człowieka kąpiącego się, opalającego się, dobywającego torf czy robicego cegłę!

Na skraju wsi, do jakiej zbliżył się, o kilkanaście kroków od odbitej od stada domów chałupy, przykucnął w jakimś krzaku obdeptanym przez kury, na niebezpiecznej granicy bliskości mieszkających tu ludzi.

Obserwował bacznie podwórze ściskając orczyk w garści i nie wiedział na co, ale gotów był na jakiś czyn najbardziej nieludzki. Na szczęście w obejściu nie było psa. Tylko zbudzony kogut piał zapalczywie raz po raz w zamkniętej stajni, budząc przeraźliwie rzeczywistość i przywodząc mu na myśl deszcz i jego nagość. Przeżył tam dziwne chwile. Budzenie się żyjącego świata ludzi bezpiecznych, z ich codziennym korowodem zajęć i trosk — o krok od niego, nagiej istoty ukrytej w krzaku czarnego bzu, tak bliskiej ich oczywistego życia, a tak odległej, jakby obok zwyczajnego świata istniał drugi, jego świat, świat życia niezupełnego, istot potępionych, pragnących choćby na chwilę wcielić się w prawdziwie ludzką doskonałość. Być tym zaprzęgającym konie, orzącym czy tnącym gałęzie na pnia-ku!

Wtedy, na spotkanie jego gotowości na wszystko, wyszła dziewczynka, biegła skosem przez podwórze, widocznie aby uwolnić ze stajni piejącego koguta. Rozchylił gałęzie i zawołał najgłośniejszym szeptem, jaki mógł wydobyć ze siebie: — dziewczynko! jestem biedny człowiek, rzuć mi jakąś szmatę do ubrania! — i

zaciśnął oczy, jakby zadawał komuś śmiertelny cios. Kiedy po paru sekundach otworzył powieki, dziewczynki nie było. Zobaczył ją dopiero po chwili, wskazującą oczyma krzak, w którym siedział, kobiecie stojącej z założonymi rękami na piersiach i chłopskim, chytrym sposobem nie patrzącej w jego stronę. Kobieta obeszła potem chałupę dookoła i znikła z powrotem w izbie. Można sobie wyobrazić, że do chwili, gdy przechodząc koło niego upuściła na ziemię porwane spodnie i bluzę — upłynęło wiele czasu.

Przebrał się i porzucił orczyk w krzaku. Oddalając się spokojnym krokiem, poczuł nagle, że teraz on z kolei jest obserwowany przez czyjeś oczy. Przystanął i oglądał się poza siebie, odwracając się powoli i prowadząc wzrok po ziemi, aby jakimś gwałtownym gestem nie zamącić rytmu łagodnego poranku. Zdawało mu się, że kobieta, poza małymi, ciemnymi szybkami okna, zrobiła ręką jakiś ruch, jakby znak krzyża, ruch jakim chrześcijanie zażęgnują zło lub błogosławia.

Ten pierwszy dzień aż do zmroku przesiedział pośrodku ładu zboża, pasąc się wyluskanymi ziarnami. Po raz pierwszy od chwili powrotu do życia pomyślał wówczas o istnieniu drugiej osoby w swoim życiu, o obecności żony. Istnienie jej było tak ogromnym odkryciem emocjonalnym, że uczuł naraz, jak zakres jego życia rozszerza się kilkakrotnie. Po raz pierwszy od chwili powrotu do świata ludzi żywych przeżył wzbogacenie się świadomości o wspomnienie. Jego istnienie nabrało jakiegoś uzasadnienia wstecz, a także dzięki nieśmiałej nadziei, że będzie jeszcze kiedyś mógł z nią wspólnie żyć — perspektywy na przyszłość. Przestał być tą nieczułą komórką, zawieszoną w jałowej przestrzeni, zajętą tylko własną egzystencją biologiczną. Z nowym bagażem wzruszeń, rozrastającym się, obejmującym coraz to nowe kręgi przyjaciół, towarzyszy i spraw, puścił się tego wieczoru w drogę ku granicy.

Reszta jego historii, to już tylko dziennik podróży, odbywanej nocami, przy świetle księżyca, na przełaj, na kierunek wyznaczany z gwiazd. Leżąc z twarzą przy ziemi żdźbłem trawy przechodzącym przez gwiazdę polarną sprawdzał co wieczór północ, celując okiem niby wizjerem busoli. Nogi wskazywały południe, stronę, w którą trzeba było wędrować. Tam leżała bowiem granica węgierska.

Oto historia człowieka, który jako jeden z niewielu wyniósł życie z zagłady, przypadkiem jaki mogła dostarczyć masowa śmierć, dzięki wyjątkowi dającemu pojęcie o ilości istot, jakie trzeba było zabić, aby mogło zaistnieć jedno nieprawdopodobne ocalenie.

Z jakimż wstydem przechowuję w pamięci te niewiele faktów znanych mi z życia jego żony wśród nas. Jej życie odbyło jakąś odwrotną drogę w porównaniu do jego. Do miejsca, z którego on wyszedł ominąwszy kulę, ona doszła tracąc punkt za punktem z życia: jakżeż nieludzko musiał on walczyć o każdy z nich, zdany tylko na siebie samego.

Nie udało się jej uchronić od śmierci, tu na wolności, w warunkach, o których tyle ludzi zaledwie mogło marzyć w tych czasach! Jest to jakiś wstyd społeczny rodzący się w chwili, gdy nic nie można zarzucić każdemu z nas z osobna, a jednak odpowiedzialność czujemy wszyscy za to, że nie wyrzekliśmy się jeszcze większej części swego osobistego bezpieczeństwa, że nie umieliśmy umocnić czyjegoś życia przynajmniej w tych granicach, w jakich nam wolno było się poruszać.

O ileż łatwiej mogła się ocalić, gdyby nie była skazana na kręcenie się w zasięgu kilku osób, na których dyskrecję mogła liczyć, lecz którzy przez swoją przeszłość polityczną, sympatie, działalność konspiracyjną, stwarzali najgorszą, najmniej bezpieczną osłonę dla niej.

Zjawiła się jakiegoś jesiennego popołudnia, w chłopskiej chustce na głowie, z podartą torebką w rękę, do-

wiedziawszy się, że kartka od jej męża, nadana z Węgier, leży u nas od paru dni. Donosił o sobie i dopytywał się o nią w sposób pełny niedomówień, lecz dla niej tak wymowny, że potrafiła z tych paru linijek wysnuć całą prawdopodobną historię jego ocalenia. Przecież był tak obstawiony przez przyjaciół: tyle pieniędzy i zachodu kosztowało nawiązanie subtelnych kontaktów. Ileż zapewnień otrzymała od różnych ludzi uchodzących w jej oczach za mogących wiele zrobić.

Na jej nieśmiałe zastrzeżenia, dlaczego do tej pory jeszcze nie umożliwiono mu wydostania się z ghetta, nie dostarczono dokumentów i nie podano drogi — powtarzano jej, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, dopóki nie zanosi się na jakieś zmiany, tłumaczono, że w wielkim skupisku ludzi pewniej jest utrzymać się, niż prowadząc indywidualne życie, w walce ze wszystkimi. Na ryzyko będzie zawsze czas, należy go odroczyć jak daleko się da. (Czyż mogła bardziej natarczywie naciskać tych ludzi, którzy może nie sami, lecz w jakimś tam miejscu stykali się ze strażnikami i esmanami i trzeba było liczyć na ich gburowatą i kapryśną uczynność. Nie zależało im przecież na niczym innym jak na pieniądzach i jeżeli stwarzali jakieś pozory handlowej uczciwości, to tylko po to, aby interes szedł, aby nie zrywać złotego strumyczka, który ciekąc im przez palce zostawiał niezłe dochody. O tym oczywiście ona nie mówi. Natomiast my zdawaliśmy sobie sprawę z tych rzeczy doskonale. Ileż wiedziało się o mistyfikacjach uprawianych przez tych bezinteresownych, plato-nicznych pośredników! Ilu nieżyjącym przedłużyli oni życie nie po to, aby oszczędzić rozpacz ich rodzinom! Ale człowiek w sytuacji bez wyjścia, szuka go nawet w najbardziej niedorzecznych miejscach. Na cóż byłoby się zdało dzielić się z nią naszą nieufnością, skoro kartka, którą trzymała w rękach, pochodziła niewątpliwie od niego, a o ileż przyjemniej było wie-

dzieć, że ocalenie zawdzięcza jej zabiegom, a nie jakiemuś ślepemu trafowi). Ile postaci żyło w jej opowiadaniu! Dobierała swobodnie ludzi nazywając jednych porządnymi, innych niepoważnymi lub nieuczynnymi. Ci porządni, był między nimi jakiś restaurator, milicjant kolejowy, ukraiński sekretarz gminny i dwie siostry mieszkające w pobliżu ghetta. Oni to zorganizowali jej mężowi ucieczkę, zawczasu, zanim przewieziono mieszkańców ghetta do obozu straceń, skąd nie było już żadnych ludzkich szans wydostania się. Była tak niezachwiana w wierze w tę koncepcję ocalenia, że nie miałem sumienia podawać jej w jakkolwiek wątpliwość. „Wyobraźcie sobie” — mówiła do mnie tonem łagodnego, poufnego zawstydzenia — „jakie pomysły przychodziły mi nieraz do głowy, gdy całymi dniami i nocami szukałam, zdana tylko na to co wymyślę, ratunku dla niego. Dochodziłam do takich ostatecznych pomysłów, jak na przykład ten, aby któregoś dnia, dowiedziawszy się dokąd wyprowadzą go na robotę, dostarczyć mu ubrania kominiarskiego i sadzy do poczernienia twarzy. Byłam gotowa też zgodzić się na jakieś potworne okaleczenie go, zmiażdżenie, zderzenie skóry lub oparzenie twarzy, aby tylko przestał być Żydem. Zdawałam sobie bowiem sprawę, że na wolności może żyć tylko w dwóch wcieleniach, jako ktoś, czyja rasa nie budzi żadnego zastanowienia, jak kominiarz — lub jak człowiek strasznie okaleczony, czołgający się, żebrzący, wykraczający postacią poza przeciętność, poza tę obowiązującą przeciętność, wśród której istnieją jeszcze rasy, klasy i narodowości. Zapomniałam tylko” — Kończyła z uśmiechem „że tym czarnym kominiarzem bywa się przez parę godzin dziennie i to tylko dla przechodniów, a kalekę trzeba się stać. Takie głupie, babskie myślenie”.

Przyjechała tu spod Lwowa na kilka tygodni przed nadejściem kartki od męża, wyczerpawszy ostatek pie-

niędzy, których zresztą miała niewiele, utraciwszy dawno kontakt z ghettem i osobami które opłacała. Ci, jak ich nazywa „porządni ludzie” unikali jej, dając niejasno do zrozumienia, że pieniądze już nie są potrzebne, bo wszystko już jest załatwione i ułożone, czeka tylko na realizację. Od tych „nieuczynnych i złych” musiała doświadczyć czegoś o czym nie mówi, a co widocznie zakrawało na szantaż, gdyż uważała za stosowne uciekać. Nie miała dosyć sił ani środków, aby przedsięwziąć coś stanowczego. Kręciła się więc w kółko po kilku okolicznych powiatach jako krawczyni szwaczka, uprawiając misterną fikcję pokrewieństw.

Rodzące się tu i ówdzie podejrzenia rozwiewała wyjazdami do bliskich krewnych, sióstr i rodziców. Od nich przysyłała listy pisane w poczekalni kolejowej lub na przygodnym noclegu, donoszące o wesołych głupstwach, cenach materiałów i artykułów spożywczych. Potem wracała znów na poprzednie miejsce, łudząc się, że utwierdziła w międzyczasie fikcjami swoją pozycję. O bezpośrednich powodach, dla których opuściła tamte strony, nie mówi wiele. Domyślam się, że kruchy gmach jej wyimaginowanych stosunków zaczął się pewnego dnia walić niepowstrzymanie, być może począwszy od jakiegoś upokarzającego błędu jaki popełniła, nie panując nad stosem skomplikowanych kłamstw. W jej opowiadaniach przewijają się ludzie, o których można się domyślać z paru powściągliwych słów roli, jaką odegrali. Byli to wiejscy spryciarze, młodzieńcy o wrodzonej żylce demaskatorskiej, nieroby z przedmieść obszerwujący życie i czyhający na łatwy sukces. Wreszcie, czyż da się na dłuższy dystans ukryć swoje pochodzenie, odmiennność reakcyj i wzruszeń, w środowisku obcym: nie zdradzić się jakimś brakiem zainteresowania dla rzeczy niezwykłych lub co gorsza przesadną gorliwością emocjonalną wobec zjawisk oczywistych? (Pamiętam nasze rozmowy zakrawające na jakieś seminaria

charakterologii, kiedy studiowaliśmy drobiazgowo odruchy i gesty „aryjskie”: dziś nie mogę o tym myśleć bez uczucia wstydu).

Przyjechała tu, na zachód, do wielkiego miasta — uciekając od nieprzyjaciół i ludzi obojętnych — szukając za przyjaciółmi, i znalazła ich. Ale spotkała się też z wrogami gorszymi niż tam.

Jej czarna, zdefasonowana torebka skórzana poza książeczką do nabożeństwa nie zawierała czegoś ważniejszego: porządnego dowodu osobistego. Bo ileż była warta jakaś stara legitymacja Towarzystwa Szkoły Ludowej, a zwłaszcza wyciąg metrykalny, mały arkusik, starannie złożony, lecz z niezgrabnie wyskrobaną datą. Któż zresztą nosi taki papier przy sobie, czy po to, aby go zgubić? Powiedziawszy jej to, zaszczerpiłem w niej pierwszą wątpliwość. Musiała się zgodzić, że w razie jakiegoś legitymowania (u nas było to na porządku dziennym) lepiej jest nie wzbudzać podejrzenia, niż udawać. Zaczęliśmy więc myśleć o wystaraniu się o papiery, które by zrobiły z niej istotę legalną. Miała wszelkie szanse po temu, była na wolności, wśród nas, chodziło więc nie o żadne ocalenie, a po prostu tylko o utrwalenie jej życia.

Nie wyobrażałem sobie, że to, tak zdawałoby się łatwe i proste do wykonania, okaże się nie do urzeczywistnienia. (Jej życie, zamiast nabierać legalności, zaczęło kurczyć się do tego stanu, w jakim żyją ludzie nie posiadający praw lub zwierzęta szczute i wypędzane zewsząd, dla których nawet noc nie przynosi spokojnego odpoczynku). Od razu pierwsza rzecz, mieszkanie, ułożyło się jak najgorzej. Znajdowało się tam gdzieś w dzielnicy przebytej świeżo pacyfikację i mieszkańcy bali się własnego cienia, ówdzie dom przeszedł rewizje i aresztowania, gdzie indziej spodziewano się lada dzień wizyty gestapo, a jeszcze gdzie indziej lokal miewał otwarte drzwi dla ludzi nie zasługujących na

zaufanie. Skazana więc była na koczowanie, nocne alarmy, wymykania się balkonami, ogrodami, stanie godzinami z bijącym sercem w jakimś załomie muru, na najgłupsze i najdziwniejsze sytuacje, które mogłyby uchodzić za humorystyczne, gdyby nie szło o życie.

Sprawa papierów poczęła się też komplikować. Technika organizacyjna, rekonstruująca dokumenty w najlepszym rodzaju, dysponująca oryginalnymi formularzami, po ostatnim aresztowaniu przestała po prostu istnieć, niedobitki rozprysły się po prowincji i trzeba było miesięcy, aby ją odbudować. Inne organizacje, do których próbowaliśmy uciec się z tym, uprawiały mniej lub więcej oficjalny „*numerus clausus*”. Prywatni fabrykanci dokumentów, ten najgorszy rodzaj quasi-patriotów, równie pewnych jeśli chodzi o dyskrecję co nieubłaganych na punkcie wynagrodzenia za towar — żądali, wyzyskując koniunkturę, ceny — jak mawiali — odpowiedniej do ryzyka. Wreszcie u jednego z takich prywatnych przedsiębiorców udało nam się uzyskać obietnicę sporządzenia karty rozpoznawczej na warunkach ulgowych. Połowę trzeba było zapłacić po dostarczeniu dokumentów, resztę w kilku ratach.

Nadszedł dla niej długi okres niepokoju i wyczekiwania, a dla nas rozczarowania, wstydu i bezsilnej złości. (Tak po prostu trzeba nazwać te nudne i irytujące wizyty u osobnika mieszkającego kątem jako przejezdny profesor czarnej magii, a zajmującego się poza tym handlem dywanami i złotem). Ileż razy trzeba było czekać godzinami na niego, aby się dowiedzieć, że dokument byłby gotów na pojutrze, gdyby nie brak blankietów nie nadeszłych do tej pory z Warszawy, lub że — na nasze nieszczęście — pieczętka znajduje się w mieszkaniu obserwowanym od kilku dni przez gestapo. Na jakimś odrapanym półpiętrze, na cudzych schodach w przedsionku kościelnym, trzeba ją było potem, siłąc się na przezwyciężenie własnej bezsilności — powiada-

miać o niepowodzeniach, wytrzymując dotkliwy wzrok człowieka bezbronnego. Były to chwile ciężkie dla tego, kto się z nią musiał tego dnia spotkać. Ale my wracaliśmy przynajmniej w takie dni do swojego, wprawdzie niezupełnego życia — gdy tymczasem ona... niewiele zastanawialiśmy się wtedy nad tym, co ona robi w czasie, kiedy nam los pozwalał wieść choćby częściowe, ale swoje własne życie, gdy poruszaliśmy się prawie bezpiecznie po ulicach, jeździliśmy tramwajami i pociągami: mieliśmy też szanse sprzedania swojej śmierci za jakąś godną człowieka cenę. Ona tymczasem czekała na ten zbawczy papierek, który postawiłby ją w rzędzie istot podobnych do nas, czekała w komórkach, przy stryszkach, na przelotnych noclegach, jak gdyby pod progiem prawdziwego życia. Bo coś z tego, że żyła: aby być uznanym za właściciela swojego własnego życia, trzeba było mieć na to potwierdzenie, zezwolenie, tę szarą rozkładaną kartkę z fotografią i odciskiem palca.

Któregoś wreszcie dnia, nazajutrz po jednej z niefortunnych wizyt u fabrykanta dokumentów, po nieprzyjemnym rozstaniu się z nim, zostaliśmy zawiadomieni, pewnie z obawy, abyśmy nie wycofali zamówienia — że karta rozpoznawcza jest do odebrania. Wieczorem doręczono jej wreszcie ten upragniony dokument, który miał być dla niej, słabej kobiety, bronią przeciwko wszystkim wrogom.

Potem widziałem ją jeszcze dwukrotnie. W kilka dni po owym wieczorze przyszła do nas wygładzona, ufryzowana, dbała o paznokcie i czystość bucików. Niechcący, traktowaliśmy ją wtenczas jakoś inaczej niż zwykle: była to osoba przywrócona naszej klasie. Niestety, nie wiedziała jeszcze wtedy, że ten kartonik, złożony w jej torebce, nadający jej tyle pewności siebie, nie był więcej wart od kawałka czystego papieru. Dowiedziała się o tym później, pochwaliwszy się nim pew-

nemu naszemu wspólnemu znajomemu. Człowiek ten, obejrzawszy dokument, powiedział jej straszliwą rzecz: jego zdaniem — posiadanie tego rodzaju dokumentu jak ten jest jeszcze gorsze od żadnego. Będąc zatrzymanym bez papierów, można liczyć przynajmniej na obronę przed zarzutem, dlaczego się ich nie posiada. Nie ma natomiast tłumaczenia się z posiadania fałszywego dowodu osobistego. To już jest przestępstwo, za którym kryje się drugie: uchodzenie za kogoś innego niż się jest w istocie. Pokazał jej następnie swoją kartę rozpoznawczą, tę najbardziej autentyczną (cóż za okrucieństwo), w której ramka na tytułowej stronie była o dwa milimetry szersza, inaczej rozstrzelony druk i zwrócił uwagę na nieodpowiednią pieczętkę. Do tej serii, na jaką podrobiono dokument, stosowały władze niemieckie pieczętkę z napisem: „Der Stadthauptmann der Stadt...”, a nie „Der Stadthauptmann in Stadt...”. Napis ten widniał na pieczętkach wyciskanych na dowodach rok temu wstecz. Znak wystarczający dla każdego żandarma i gestapowca. Może gdzieś tam na dalekiej prowincji granatowy policjant nie byłby zwrócił uwagi na te usterki — tutaj pierwsze legitymowanie na ulicy (a trzeba przyznać, że nie było dnia bez tego) — równało się oddaniu się wprost w ich ręce. W ten sposób stała się w przeciągu paru minut znowu niczym, uczuła się pozbawiona znowu wszystkich praw i spokoju wewnętrznego. Kiedy ją w tym czasie zobaczyłem, znalazłem ją w stanie daleko gorszym niż wtedy, gdy pełna niepokoju i lęku, lecz nie doznawszy jeszcze zawodu, oczekiwała na dokument swego ocalenia. Czy może istnieć bardziej zawrotne rozzarowanie, jak to, kiedy przekonujemy się, że rzecz, w której pokładaliśmy wszystkie swoje nadzieje, okazuje się czymś jeszcze gorszym jak nic. Że grozi właśnie tym, przed czym szukało się wybawienia.

Pamiętam, że kiedy po raz ostatni widziałem się z

nią (odtąd dowiadywałem się o niej tylko na podstawie opowiadania osób, u których nocowała), zrobiła na mnie wrażenie człowieka zstępującego już coraz niżej, na spotkanie własnej śmierci. W pewnej chwili naszej rozmowy, starając się nadaremnie przebić przeszkody piętrzące się dookoła nas jak więzienne mury, spostrzegłem z przestachem, że ona przebywa je w wyobraźni tak, jakby przestawały chwilami istnieć. Trudno przecież pozbyć się lęku przed osobą, która próbuje stąpać po głębinie lub wspinać się na pionową skałę. Żegnając się z nią, nabrałem pewnego podejrzenia co do źródła jej irracjonalizmu. (Sięgała kilkakrotnie do torebki, jakby upewniając się o istnieniu tam jakiegoś przedmiotu — a pozostała jej już tylko książeczka do nabożeństwa). Powiedziałem jej wtedy, myśląc właśnie, o tym przedmiocie, że jest to też swego rodzaju fałszywy dokument i nie należy w nim pokładać zbyt wielkiej nadziei. Skarciła mię wtedy z uśmiechem mówiąc, że nie wolno nikomu odmawiać wzruszeń, nie wiedząc, jaką one przedstawiają dla niego wartość.

Straciłem ją potem na długi czas z oczu. Była jednak w naszym środowisku, podawano ją sobie z rąk do rąk i opowiadano o niej. Jej życie w tym czasie było już tylko małą częścią ludzkiego bytowania. Poruszała się w obrębie kilku mieszkań, z których raz po raz kogoś ubywało, w nieustannym lęku i niepewności. Kilka razy spotykała już przedwojennych konfidentów, którzy, być może węższąc okazję do szantażu, a jeszcze bardziej w jej przewrażliwionej imaginacji, tropili ją na każdym kroku. Strząsała ich ze siebie klucząc i myląc drogi lecz nie miała dosyć sił, aby pozbyć się ich psychicznej obecności.

W tym czasie powrócił ze wsi jeden z naszych znanych, przywożąc ze sobą zapas blankietów kart rozpoznawczych, zdobytych w jakimś prowincjonalnym, powiatowym mieście i zabrał się do rekonstruowania

organizacyjnej wytwórni dokumentów. Robota zaczęła iść, lecz, jakżeż powoli, gdy chodziło o życie! Machina organizacyjna z konieczności jest nieczuła na cierpienia jednostek. Znalezienie grawera, wynajęcie mieszkania, to były czynności, które musiały być dokonywane z największą ostrożnością, od ich rozumnego i szczęśliwego wyboru zależało przecież życie niejednego człowieka. Teraz jej ocalenie stało się kwestią czasu. Ściśle mówiąc, nie ocalenie, lecz zalegalizowanie życia. O ileż prostsze zagadnienie w porównaniu z tym, jakie stało przed ludźmi zamkniętymi w ghetcie czy w obozach, skazanymi na śmierć, dysponującymi już tylko bezużyteczną resztką fizjologicznego życia, która mogła im być odebrana tak łatwo w każdej chwili.

Któregoś dnia dowiedziałem się o drobnym wydarzeniu, nie przywiązując do niego większej wagi. Miała zwyczaj spędzania długich godzin południowych kolejno w kilku kościołach, w roli osoby biednej, pogrążonej w modlitwie. Szukała tam oczywiście bezpieczeństwa, a także spokoju do przemyśliwania nad swoim losem, choć nie jestem pewny, czy to jej nieumyślne nabożeństwo nie zmieniło się po pewnym czasie w jakiś rodzaj adoracji metafizycznej. Opowiadała mi przecież kiedyś, jak wypatrując się bezmyślnie w wulgarny tekst jakiejś modlitwy, poczuła się nagle bliska zrozumienia — jak to nazwała — surrealistycznego sensu wiary. Otóż wyszedłszy po godzinnej kontemplacji z jednego kościoła z zamiarem przeniesienia się do drugiego stwierdziła z przestachem, że zapomniała na pulpicie swoją torebkę wraz z książeczką do nabożeństwa, wyciągiem metrykalnym i jakimiś drobiazgami. Wróciwszy, nie zastała już torebki na dawnym miejscu. Musiał to być dla niej cios straszliwy, choć nigdy nie potrafiłem go dobrze zrozumieć. „Nie mam już nic — nie mam już nic!” — powtarzała podobno w kółko u znajomych, u których tego dnia nocowała. I mimo, że zaopatrzone

ją natychmiast w jakieś, kiepskie zresztą, tymczasowe zaświadczenie pracy i nowiutką książkę do nabożeństwa, nie było to w możności wynagrodzić jej tylko wiadomej straty. Widocznie obrabowano ją z jakiejś misternie ułożonej iluzji, która pozwoliłaby jej przetrwać te kilka dni dzielące ją od chwili, w której nowy dokument uczyniłby z niej wreszcie osobę legalną.

Reszta jej życia znana mi już była tylko z opowiadań, odbicia czyichś cudzych słów i wersji, a w końcu domysłów. Kobieta ta ustępowała krok po kroku z życia, aż pewnego dnia znikła za drutami podmiejskiego obozu dla Żydów, według jednych wdawszy się w niebezpieczne pertraktacje z konfidentem, który ją usiłował zdemaskować — według domysłów innych oddała się sama w ręce gestapo, uznawszy ten krok za jedyne wyjście z potrzasku.

Pamiętam doskonale pewien dzień. Był to jesienny wieczór, wypogadzający się, nabierający od wschodu głębokiego błękitu nocy. Przed kilkoma godzinami dowiedzieliśmy się, że została wywieziona transportem tam, skąd już nigdy nie miała wrócić. Staliśmy we trójkę bezradni przy oknie, patrząc przez morze dachów poprzerastanych wieżami kościołów i drzewami, w kierunku przedmieścia, gdzie za ostatnimi kominami fabrycznymi, rzadziejącymi domkami i ogródkami na linii tak nam dobrze znanych, jałowych wapiennych wzgórz, leżał obóz zbiorczy, przedsionek śmierci.

Między nami a miejscem, gdzie ginęli ludzie, rozpościerała się tętniąca życiem przestrzeń, dzwoniły tramwaje i unosił się delikatny szum jak nad układającym się do snu ulem.

Jeden z nas, ten mianowicie, który przechowywał ją przez kilka pierwszych dni z rzędu, (lecz pewnego dnia powiedział jej otwarcie: „no, dłużej już nie będziecie u nas spać, przeniesiecie się znowu gdzie indziej, to będzie lepiej dla was i dla mnie”) — odezwał się pierwszy

jakby chcąc się przed nami z czegoś wytłumaczyć:

— „Dlaczego od pewnych ludzi żąda się więcej poświęcenia, wyrzeczeń się i bohaterstwa niż od innych? Popatrzcie, ilu ludzi w tej chwili układa się spokojnie do snu, nie mając innych trosk jak te, aby włożyć prawidła do butów, lub nie zapomnieć zgasić światła w przedpokoju. Dlaczego tak nierówno, niesprawiedliwie jest rozłożony na ludzi obowiązek reprezentowania człowieczeństwa?”.

— „Możesz być dumny z tego, że na tobie spoczywa. Gdybyś był praktykującym chrześcijaninem, miałbyś o wiele mniejszy powód do satysfakcji. Musiałbyś robić wiele rzeczy dla jakiejś zależności, prawowierności, etycznej i tym podobnych urojeń. Mógłbyś też nic dobrego nie czynić. Bo tam — nie ma obowiązku spowiadania się z tego, że nie czyniłeś bliźniemu dobrze, tylko z tego, co wyrządziłeś mu złego. Pracujesz w organizacji, masz rodzinę, żonę i dzieci. Wystarczające powody, aby się usprawiedliwić z tego, że nie posunąłeś się jeszcze dalej dla ratowania tej kobiety. A jednak czujesz jakąś winę. I twój instynkt moralny ma rację. Bo granice, w jakich my wystawiamy nasze życie w obronie sprawy i cudzego życia, leżą dalej niż tych, zasypiających teraz we własnych łóżkach”.

— „Można było uratować tę kobietę. Chociaż kto wie, czy nie za cenę naszego życia” — powiedział nasz trzeci towarzysz, ten, który właśnie przed chwilą podarł skrupulatnie gotową po niewczasie kartę rozpoznawczą. Po jego słowach zamilkliśmy wszyscy.

Ponary - "Baza"

J. M.

Jeszcze nie tak dawno las wbijał się klinem w miasto Wilno. Mianowicie w to miejsce wężła kolejowego, z którego wybiegają jego obydwie południowe odnogi: na Lidę i na Grodno. Tu rósł na wzgórzach, aż go przetrzebiono po tamtej Wielkiej Wojnie i pozostawiono tylko dęby. Później wycięto i dęby, zostawiając jedynie krzaki leszczyny, gdzieniegdzie młodą jarzębinę i temu podobne leśne nic-potem. Krowy i kozy kolejarzy, pasące się w tych chrustach, wyszargały krzaki, objadły korę, zdeptały skarpy. Potem zabrano je pod teren wciąż rozbudowywanej stacji Wilno-towarowa, zbrukano przy tym pyłem węglowym, zadymiono z kominów. Wreszcie wybudowano jakieś składy wojskowe czy amunicyjne.

Ale wzgórze to ważne jest dlatego, że odeń ciągnie się ich dalsze pasmo, aż do coraz wyższych, do dzisiaj wciąż jeszcze zalesionych i malowniczych, przebitych opodal tunelem i na kilometrze od jego przeciwległego od Wilna wylotu, zaszczyconych (bo na szczycie) stacją-przystankiem: Ponary.

Góry Ponarskie znane są od dawna. Znane są ze swej malowniczości, z wysokości swych sosen, z poematu Mickiewicza, z bitwy rozegranej tu w r. 1831 pomiędzy wojskami polskimi i rosyjską gwardią carską. Zresztą z wielu bardzo wcześniejszych i późniejszych okoliczności. Tamtędy przechodzą szosy, które zaraz za starodawną kapliczką rozbiegają się jak palce u ręki w czterech ukośnych kierunkach: na stację Ponary, na

Grodno, na Wakę i Landwarów, na Rykony i Kowno. Tam, koło przystanka kolejowego zbudowano miasto-gród, po naszymu zwyczajne lotnisko, ale mogące być uzdrowiskiem, bo choć sosny przerzedzone zostały przez liczne wojny i najazdy (od roku 1914-go było ich piętnaście), pachnie tu żywicą rok okrągły, a na jesieni grzybami i zimnym, potężnym wiatrem, który nawiewa świeżość ze wszystkich stron kraju. Rosną też wyjątkowo wysokie wrzosa, na tej jałowej, piaszczystej, suchej, zdrowej dla płuc glebie. Wrzosa nie przynoszą pożytku, ale nadają okolicy jej tylko swoisty koloryt. Podkreślają tę siność, ten smutek, którego źródłem są rdzawo jednostajne pnie drzew, wczesne mgły i bezmierne dalekości horyzontu.

Kto kochał swój podwileński kraj rodzinny, ten kochał oczywiście Ponary. Zimą bywały tam tereny narciarskie. Wstyd przyznać, ale były też tereny... pojedynkowe. Panowie, którzy dali sobie nawzajem po mordzie w knajpie, albo nawymyślali po pijanemu, albo zniesławili w druku — zwyczajem kraju, przyjeżdżali tu z kodeksem „Bożewicza” i staroświeckimi pistoletami. Brnąc zawsze po kolana, bo czy to we wrzosa czy w śniegu, odmierzali potrzebną ilość kroków i wyciągali przeciw sobie długie lufy. Pstry dzieciół przestawał stukać i z niedowierzaniem przechylał głowę, wiewiórka podłaziła wyżej, aby się lepiej przyjrzeć... Szoferzy, którym od świtu nie dano spać, ziewali w taksówkach aż do wymiany strzałów.

Ponary zasłynęły też pewną zbrodnią. Przywieziono tu kiedyś autem do lasu, zamordowaną kobietę, rozebrano, oblano naftą i spalono. Spódnica i bielizna wisiały na drzewach. Cały kraj był wstrząśnięty, przyjeżdżali do Ponar reporterzy i foto-reporterzy, śledztwo trwało latami, sprawców nie wykryto. A mrozące krew przypuszczenia... Takie to były czasy.

Wszystko to było, wszystko minęło. Przyjemność

letniska, piękność okolicy, siność horyzontów, narty, pojedynki i wstrząsające zbrodnie pokojowych czasów, zatrzaśnięte zostały już tylko w pamięci bezpowrotnej, i mogą dziś być oglądane chyba jak przez szybę, przez którą żebrak spoziera na klejnoty.

Ponary stały się w tej wojnie uosobieniem niesłychanej dotychczas grozy. Na dźwięk tych sześciu liter zakończonych „ypsylonem”, truchlał nie jeden człowiek. Ich ponura, odrażająca sława przesączała się zwolna od roku 1941, jak lepkocieknąca krew ludzka, coraz szerzej, coraz szerzej po kraju i z kraju do kraju, ale nie objęła jeszcze świata całego, do dziś dnia.



W roku 1940 założyli w Ponarach bolszewicy, na spiłowanym bezmyślnie kawałku lasu i odebranych od ludności terenach, jakieś nikomu niepotrzebne przedsiębiorstwo państwowe, wielkie place otaczając, swoim zwyczajem, mocnym płotem i drutem kolczastym. Z tak zniwelowanego terenu skorzystali Niemcy w r. 1941 i użyli pod miejsce kaźni, uruchamiając tu jedną z największych w Europie rzeźni Żydów. Nikt nie wie dlaczego i kto właściwie przezwiał ten teren: „bażę”. Do Ponar podwożono ciężarówkami, a następnie całymi transportami kolejowymi, tysiące Żydów i zabijano.

Dalekim echem splywały z tych wzgórz, het, w wielokilometrowy krąg, pojedyncze strzały, krótkie, urywane, gęste, trwające nieraz wiele godzin, albo naprzemian terkoczące seriami broni maszynowej. Odbywało się to w różnych terminach, prawie wyłącznie w białą dzień. Nieraz kilka takich dni z rzędu, przeważnie ku wieczorowi, lub rankiem. Bywały tygodnie, a nawet miesiące przerwy, a później znów, zależnie od

kierunku i siły wiatru, od pory roku, mgły czy słońca, rozchodziły się mniej lub więcej wyraźne postukiwania masowej rzezi.

Miałem nieszczęście mieszkać, wprawdzie przy drugiej z rozwidlających się od Wilna tras kolejowych, ale tylko w odległości ośmiu kilometrów od Ponar. Początkowo w kraju, tak nasyconym wojną i wojną, jak naszym, nie zwracano zbyt wielkiej uwagi na strzały, które bez względu na kierunek skąd pochodziły, wpływały się już były w normalny poszum sosen, nieomal jak rytm znajomy deszczu, bijący jesienią o szybę. — Ale razu pewnego wchodzi na podwórko moje szewc, który odniósł połataną buty i, opędzając się od kundla, tak, dla zagajenia rozmowy, powiada:

— Ale cośi dziś bardzo Żydków naszych stukają na Ponarach.

Nadsluchuję: istotnie.

Czasem to takie, głupie zdanie utkwii w pamięci jak drzazga i przywołuje skojarzone z nim obrazy chwili. Pamiętam, że słońce zaczynało się wtedy klonić, a właśnie na zachodnim, na ponarskim kierunku, rosła w moim ogrodzie rozłożysta jarzębina. Była jesień późna. Stały kałuże po rannym deszczu. Na jarzębinę zleciało stado gilów i stamtąd, od ich czerwonych brzuchów, czerwonych jagód i czerwonego nad lasem słońca (wszystko się tak ułożyło symbolicznie), szły nieustanne strzały, wbijane w słuch z metodycznością gwoździ.

Od tej chwili, od wizyty tego szewca, żona moja zaczęła zamykać nawet lufciki, ilekroć stamtąd biegło echo. Latem nie mogliśmy jadać na werandzie, gdy w Ponarach zaczynała się strzelanina. Nie przez poszanowanie dla cudzej śmierci, a tak, po prostu, kartofle z mlekiem nie chciały jakoś przelazić do gardła. Zdawało się, że cała okolica liła od krwi.

Po roku 1942, gdy do Ponar zaczęły zjeżdżać masowe transporty skazańców, w lasach biegali Żydzi.

którzy się wyrwali z kręgu konwoju, przeważnie postrzeleni, zupełnie tak samo, jak biega ranna zwierzyna. Błąkali się pokrwawieni, krwawiąc pod sobą mech, czy liście, wcale nie sprytniejsi od dzikiego zwierza, który też nie potrafi zatrzeć po sobie śladów. Pewien stary Żyd, ze szczęką oderwaną przez kulę, umarł aż w odległości 10 kilometrów od Ponar, zaszyty w rojsty na torfianej łące. Ani w ich ruchach, ani w ich ucieczce, w sposobie chowania, w ich belkoczącym z głodu i przerażenia języku, w ich fantastycznych łachmanach i ranach, a głównie w ich oczach pozieleniałych dzikością, nie było już nic człowieczego. Tropiono ich też tak samo jak zwierzynę. Szli więc policjanci-strzelcy, z psami, z naganką. Kobieta, dziecko, dziewczyna młoda, mężczyzna-Żyd, to nie robiło różnicy. Ranny, czy zdrowy, czy umierający właśnie gdzieś pod krzakiem jałowca, strzelany był po prostu na miejscu i tropiciele szli dalej. Soltys miał tylko później nakazane wyznaczyć wóz, czy sanie i trupa odwieźć w oznaczonym kierunku.

Żydzi wiedzeni już nie ludzkim odruchem, a zwierzęcym instynktem przedśmiertnej ucieczki, tak samo jak zwierzęta unikali siedzib ludzkich, psów, głupich dzieci, które z czujnym okrzykiem i oznajmieniem nowiny, biegły do wsi wskazując palcami miejsce, gdzie wypadkiem spostrzegły ludzkiego potwora. Bezwzględnie stosowany przepis karał śmiercią każdego człowieka, który by Żydowi udzielił schronienia, a chociażby kawałka chleba, czy nawet tylko wskazówki, który by wiedząc nie powiadomił policji. A policja ta złożona z mętnych opryszków, których Niemcy werbowali na Litwie i przywozili do Wileńszczyzny, nastawiona była nie tylko na zabijanie Żydów, ale gnębienie ludności, na rabunek, szantaż i picie samogonu. — Strach zaś jest najpodlejszym doradcą człowieka.



A jednak żyli ludzie nawet w samych Ponarach. Mniej ich było. Połowa, tj. w ogóle kto mógł, zatrzasnął drzwi, werandę i okna pozabijał z płotu wyciągniętymi deskami i przenosił się do miasta, czy do innej okolicy. Ale byli tacy, którzy nie mogli. — Życie ludzkie toczy się w wąskich, obciosanych ramach, obciosanych z trudem, a już podczas wojny większym niżli w okresie pokoju. Żadne bydło nie potrafi się tak dostosować do warunków, tak obgłaskiwać nawet przez grozę, tak do wszystkiego na świecie się przyzwyczaić, jak — człowiek. Przez stację Ponary szły pociągi i z „Generalnej Gubernii”, i dalekobieżne z Berlina na front i z frontu, lokalne z Kowna, podmiejskie i robocze z i do Wilna. Ludzie więc kupowali bilety, jechali, wracali, jedli, spali. Żyje ich tyle wokół rzeźni zwierzęcych na całym globie ziemskim, dla czegożby po kilku latach nie mieli się przyzwyczaić do życia w bliskości rzeźni ludzkiej?

Zdaje się, że było to w październiku roku 1943 — ...Wieluż to do tego czasu i od tego czasu wymordowano Żydów w Ponarach? Niektórzy twierdzili, że tylko 80 tysięcy. Inni, że 200 tysięcy do 300 tysięcy. Naturalnie nie są to cyfry wiarygodne. Trzysta tysięcy ludzi! Ludzi!!! To się łatwo wymawia... ale cyfry te niewiarygodne się zdają nie tyle ze względu na ich wysokość, co na fakt, że nikt z całą stanowczością, nawet w przybliżeniu, ustalić ich nie mógł. Wiadomo jest, że mordowano tam wszystkich żydowskich mieszkańców miasta Wilna, co musiało stanowić około 40 tysięcy. Poza tym zwożono Żydów transportami ze wszystkich mniejszych i większych miast kraju okupowanego, bo daj, że z całego tzw. administracyjnie „Ostlandu”. Zwożono ich rodzinami z ghetta, bądź też z robót sezo-

nowych, po których zakończeniu nie wracali do ghetta, a jechali na śmierć.

A więc w październiku 1943 roku zaczął się okres masowego zwożenia Żydów do Ponar. Nikt naturalnie nie był o tym uprzedzony, ani nie wiedział, czy po ostatniej masowej egzekucji nastąpi jeszcze jedna, czy też dłuższa przerwa.

Jeden z moich znajomych, który od początku chwytal się był za głowę i zaklinał, że dnia nie wytrzyma dłużej, bo oszaleje, wytrzymał jednak bez mała trzy lata. Miałem do niego interes pilny. Nie przyjechał na umówione spotkanie do Wilna, więc nazajutrz pożyczyłem rower i rankiem ruszyłem do Ponar.

Ranek nie był dżdżysty, raczej tylko śliski. Co chwila przednie koło roweru wybiegało w płytką kałużę i co chwila jakiś liść ze ścieżki, bury, przylepiał się do gumy i obracał z nią kilkakrotnie, odpadał jak coś niepotrzebnego, a później lipnął drugi. Nad górami Ponarskimi wiatr pędził chmury pod chmurami, postrzępił je całe i powyciągał wzdłuż, ale do błękitu nieba nie mógł się przedrzeć. W wąwozach było cicho. Na drogach bocznych pusto-pustynno i woda deszczowa niezmącona przejezdnym kołem, stała w koleinach. — Dla kogoś rejestracja tych prostych faktów wydać się może bląhą i niepotrzebną. Dla mnie była ona dekoracją jednego z największych przeżyć życia. — Minąłem bokiem tunel kolejowy, wjechałem w brzeźniak. Rower tu szedł po złotej ścieżce usłanej z liści i szeptał gumami: lip, lip, lip. A zaraz za brzeźniakiem wpadłem na wartownika. Był to Estończyk, z formowanych przez Niemców krajowych oddziałów SS. Czerwony na twarzy, jakby podpity dobrze. Zrobił ruch, że chce mnie zatrzymać, ale popatrzył tylko zamglonymi oczyma i puścił. Pojechałem ścieżką koło toru kolejowego.

Już z oddali widać było stojący na stacji pociąg osobowy. Stał na bocznym torze, bez pary. Ścieżka

znosi mnie w dół, pod nasyp i oto mijam widok, który z wieloma tego dnia, utkwil mi chyba na zawsze w pamięci. Pod niskorosłą sosenką, wyrastającą, jak wiele w tych okolicach, dwoma pniami w kształcie liry, stoi drewniany stół. Na stole kilka wysmukłych butelek litewskiej monopolowej wódki, pocięty chleb i zwoje kielbasy. Jakby stragan na odpuszcie. Stół otacza kilkanaście postaci w mundurach. — Nacisnąłem pedał. — „Halt”! powiedział Niemiec w mundurze Gestapowca. Wyjąłem dokumenty i odczuwam, że to wszystko razem jest wstrętne, ta wódka, i te twarze pijących, i to że mnie serce skacze pod gardło, i te zwoje kielbasy, i fakt, że ten chleb pokrajał ktoś z takim pietyzmem na równe kawałki, a zwłaszcza ten stół i dlaczego on się kiwa? Nie mogli to postawić go równiej? i co to ma w ogóle znaczyć? Kilku Niemców z Gestapo, kilku czarnych SS. Przeważają policjanci litewcy, ale też jakaś zbieranina w jasnych niemieckich mundurach z odznakami litewskimi, lotewskimi, estońskimi, ukraińskimi...

— Wo fahren sie hin? — pyta Niemiec, oddając mi papiery.

Tłumaczę, że do swego znajomego w osadzie. Kiwa głową i nożem, który trzymał cały czas w ręku, zabiera się do kielbasy, a później dorzuca spokojnie: „Tylko musi się pan śpieszyć”.

„Po co oni piją tu tę wódkę?” ... i nagle wyjeżdżam przed pociąg. W tym miejscu leżały w poprzek ścieżki porozrzucane podkłady kolejowe, więc zsiadłem z roweru i zaczynam na chwilę wszystko rozumieć. Bardzo długi pociąg (wówczas nie przyszło mi na myśl policzyć jego wagony) wypchany Żydami. Wyzierają zeń twarze, czasem do ludzkich twarzy niepodobne, ale i inne o normalnym wyglądzie, niektóre nawet uśmiechnięte. Pociąg obstawiony jest policją. Jakoś to wszystko wygląda mi za prosto, jakoś nie tak, jak dyktowała do-

tychczas wyobrażnia. Czy podobna, żeby tych tu... ich wszystkich... Stałem wsparty o rower i w tej chwili jakaś młoda Żydówka wychyla się z okna wagonu i wprost, najnaturalniej w świecie, pyta policjanta:

— Czy prędko pojedziemy dalej?

Policjant spojrział na nią, nie odpowiedział i miarowych krokiem wartownika wybierając podkłady pod stąpienie, odszedł, a zrównawszy się ze mną, powiedział w pół uśmiechu... (A nie był to uśmiech zły, ani zawstydzony, ani wesoły, raczej gupkowaty), powiedział wtedy:

— Ono się pyta, czy prędko pojedzie?... Ona już za pół godziny może żyć nie będzie.

Patrzę w to okno. Widzę jej twarz, a tam, tam pod łokciem wylazi głowa dziewczynki i nawet coś na jej włosach na podobieństwo kokardki. Na dachu wagonu skaczą wróble. — I dziwna rzecz, ja myślę w tej chwili: „Ona pojedzie i dziewczynka z łachmankiem zamiast kokardki, pojedzie i oni wszyscy, cały pociąg. To raczej wartownik się myli” ...ale gdy tak myślę, czuję, że nogi pode mną drżą. Ktoś wrzeszczy, bym tu nie stał. Odchodzę i wzrok mój pada na ten nieubłagany napis, wymalowany czarnymi literami na białym tle: „Ponary”. Tablica, jak tablica, wsparta na dwóch słupach, słupy wkopane w ziemię. To wszystko bardzo proste i takie same jak tablice innych stacji. Wszystkie one zawsze stoją na przeciw zatrzymanego pociągu i przemawiają doń swymi literami.

Odchodzę za siatkę, przedzielającą w tym miejscu ślepy tor... „P” jak Paweł... „onary” same to nic nie znaczą, pusty dźwięk i w tej chwili dźwięki dochodzące z pociągu zaczynają brzęczeć, zrazu jak rankiem obudzony ul; później coś w nim rzezi, potężnieje chrobot u zamkniętych na glucho drzwiczek, jak chrobot tysięcy szczurów, później robi się rwetes, gwałt straszny, przechodzi w ryk, wrzask, wycie... pękają uderzo-

ne pięściami szyby, trzeszczą, trzeszczą, a później łamią się pod naporem poniektóre drzwi. — Policjanci zaroili się, zwielokrotnili w oczach, zabiegali gestykułując i zrywając karabiny z pleców. Dał się słyszeć metalowy trzask zamków i ich, policjantów, dziki, groźny ryk, w odpowiedzi na ryk ludzi zamkniętych w pociągu.

Zobaczyłem jeszcze, jak wróble uleciały z dachu wagonu, a będąc już oddzielony metalową siatką od fatalnego toru, zdążyłem wskoczyć pod okap budynku stacyjnego. Chwała Bogu, stało tam jeszcze dwóch kolejarzy w mundurowych czapkach. Nie byłem sam. Trzymam kurczowo rower i podświadomie czuję, że wobec tego co nastąpi, tego najstraszniejszego, co nastąpić musi, ten rower, ci kolejarze, do których przyłgnąłem, to stanie w miejscu bez ruchu, to jedyna legitymacja na prawo dalszego życia. Stłoczyliśmy się razem za tym rowerem jak za szańcem, bo uciekać nie było już gdzie.

Żydzi zaczęli wyskakiwać z połamanych drzwi wagonów, a naprzeciwko biegli w sukurs straży, oprawcy w różnorakich mundurach. Z okien zaczęto wyrzucać tłumoki i walizki i oknami też wylazili Żydzi, sami niechlujni i nieforemni, jak ich worki i pakunki. To było dziełem kilku sekund. — Pierwszy strzał padł w sposób następujący: jakiś Żyd wysiadł właśnie tyłem przez ciasne okno, spuścił nogi i wystawił właśnie siedzenie, a policjant podskoczył i z odległości jednego kroku — strzelił mu w tyłek. Strzał padł głośny i zaraz zerwały się wrony z pobliskich drzew. W ogólnym harmiderze nie było słyhać, czy krzyczał trafiony, załopotaly tylko jego zwieszane nogi, w podciągniętych prawie do kolan nogawicach, tak że z bosych nóg spadł jeden kałosz, a drugi zadyndał na sznurku, przywiązany do kostki. Powstał upiorny wrzask i lament i wycie i płacz i ze wszystkich stron naraz gruchnęły strzały, gwizdnę-

ly kule, spadły z chrzęstem łamanych kości i pękających czaszek, uderzenia kolb. — Ktoś skakał przez rów i trafiony między łopatki, spadł weń jak ciemny ptak z rozczapierzonymi na kształt skrzydeł ramionami. — Ktoś pełził na czworakach pomiędzy szynami... Stary jakiś Żyd zadarł do góry brodę i wyciągnął ręce do nieba, jak na biblijnym obrazku i naraz chlupnęła mu z głowy krew i kawały mózgu... Potoczyły jakieś koszyki-kobiałki... wywrócił się w biegu jeden policjant... Tiuuuu! gwizdnęła kula... Tam leżało dlaczegoś kilku ludzi jeden na drugim... Cicho, w poprzek szyny leżał może dziewięcioletni chłopak i choć, gdyby krzyczał nie dosłyszeć by jego głosu, to widać było, że nie żył już, bo nie drga. — Zakotłowało się pod kołami wagonów, bo tam większość szukała ratunku i tam ich najbardziej polewano z broni maszynowej, jak z sika-wek, w ciemną masę zlachmanionych postaci. — Oto zeskakuje ta młoda żydówka, płowe jej włosy rozwiane, twarz wykrzywiona w nieludzkim strachu, z ucha, na kosmyku zwiesza się grzebyk, chwyta córeczkę... Nie mogę patrzeć. Powietrze rozdziera taki jazgot straszliwy mordowanych ludzi, a jednak rozróżnić w nim można głosy dzieci o kilka tonów wyższe, właśnie takie jak płacz-wycie kota w nocy. Nie powtórzy tego żadna litera wymyślona przez ludzi!

...Żydówka pada najpierw na twarz, później się przerzuca na wznak i zataczając ręką w powietrzu, szuka rączki swego dziecka. Ja nie słyszę, ale widzę z ułożenia ust malej, że woła ona: „mame!”... Na głowie jej dygoce wstążeczka z łachmanka i nachylona ku przodowi, chwyta matkę za włosy. — Czy wy myślicie, że ci oprawcy, kaci, gestapowcy, SS-mani, że ta policyjna hołota, zwerbowana do mordowania, nigdy się nie rodziła jak my, nie miała matek własnych? Kobiet? — Mylicie się. Są oni właśnie z tej ludzkiej gliny, po ludzku - zezwierzęceni, bladzi jak śnieg, który tu kiedyś

spadnie, są jak szaleńcy, jak dzicy w tańcu, w ruchach, w obłądnych gestach, w mordowaniu, w strzelaniu... Bo jakżeby wytłumaczyć można, że ten oszalały kompletnie policjant, chwytając Żydówkę za prawą nogę i usiłując wlec ją pomiędzy szynami, cały zgięty, z głową tak przekrzywioną jakby ciętą na ukos szablą, dokąd?! po co?! Nogi kobiecie się rozstawiają, lewa zaczyna za szynę, spódnica zjeżdża do pasa, odsłaniając szare z brudu majtki, a dziecko łapie włóczące się po kamieniach włosy matki i ciągnie je ku sobie i nie słyhać, a widać jak wyje: „Mammme!”... Z ust wleczonej kobiety bucha teraz krew... Gęsta ściana mundurów zasłania na chwilę widok... A później jakiś Łotysz podniósł kolbę nad zwichrzonymi włoskami, uwiązany w ciemieniu kawalkiem lachmanka w kokardkę i... zamknąłem oczy, a zdawało mi się, że ktoś zadzwonił. Zadzwonił istotnie, kolejarz, ściskający konwulsyjnie kierownicę mego roweru, wpił się palcami w dzwonek, kurczowo nim targnął mimo woli, przechylił się na przód i rzyga; rzyga na żwir peronu, na opony przedniego koła, sobie na ręce, mnie na buty, rzyga w drgawkach, podobnych do konwulsji tych, w jakich umierają tamci na szynach...

Żyd chciał przeskoczyć rampę, ranny w nogę padł na kolana i teraz słyszę wyraźnie i kolejno: płacz, strzał, rżenie... Ach, a ten co robi - ?!!!! Ten tam, obok, o czterdzieści kroków, nie dalej, w czarnym mundurze! Co on chce zro... Rozkraczył nogi koło słupa, stanął ukosem, zamachnął się dwiema rękami... Sekunda jeszcze... Co on ma w ręku?! Co on ma w tych rękach?!!! Na rany Jezusa Chrystusa! na rany Boga! coś wielkiego, coś strasznie strasznego!!! zamachnął się i — bęc głową dziecka o słup telegraficzny!.... Aaaa! aaa! aaa! — zakrakał ktoś koło mnie, kto taki — nie wiem. A w niebie... nie w niebie, a na tle tylko nieba, zadrgały od uderzenia przewody drutów telegraficznych.

Nie wszyscy Żydzi opuścili pociąg. Większość została skuta strachem, sparaliżowana w ruchach, z tą iskierką zapewne nie tyle nadziei już, co raczej obłędu, że — to nieporozumienie, że im powiedziano przecież oficjalnie, że „jadą na roboty do Koszedar”. (Tak mówiono wszystkim transportom, które zawijały do Ponar). Byli też tacy, co wyskoczyli, a później struchleli, stanęli wyprostowani przy wagonach, skamieniali, jakby lojalnością swej śmierci chcieli się od niej wykupić. Tych strzelano na miejscu, tak jak stali.

Jak długo mogło „to” trwać? Bóg jeden, który patrzył na pewno, a widział nawet poprzez gęste chmury tego dnia, mógł policzyć minuty. Widocznie jednak zbliżała się jedenasta, bo od południa biegł pociąg pociąg pośpieszny z Berlina przez Wilno do Mińska, nie zatrzymujący się w Ponarach. Maszynista, widząc tłumy ludzi na szynach, z oddali już gwizdał wściekle i widać było, że hamował. Ale stojący u wylotu stacji gestapo-wieć zamachał energicznie, żeby się nie zatrzymywał. Maszynista dał parę boczną, syczącą w białych kłębach i zakrywając na chwilę widok, przejechał po trupach i rannych, krając tułowia, kończyny, głowy, a gdy zniknął w tunelu i rozwiła się para; ostaly już tylko wielkie — kałuże krwi i ciemne plamy bezkształtnych ciał, walizek, tobołków, leżały do siebie wszystkie podobne i nieruchome. I tylko jedna głowa, ucięta u samej szyi, która potoczyła się na środek przejazdu, widoczna była wyraźnie jako głowa człowieka.

Pociąg z resztą Żydów stał już gęsto obstawiony strażami, a strzały dochodziły jeszcze częste, ale już bardziej oddalone, po lesie i wśród zabudowań osiedla.

Mówiono później, że kilkudziesięciu Żydom udało się jednak uciec. Resztę odprowadzono na „bazę”. Mó-

wiono dalej, że takich transportów przybyło w tym miesiącu około siedmiu. Mówiono też, że zastosowano specjalne środki konwojowe, któreby zapobiegały na przyszłość podobnym wypadkom, którego ja byłem świadkiem.

Ś l a d y

LUDWIK HERING

Wychodzą jeszcze nocą korzystając z ciemności i ze szmuglerskich okazji przy murze. Prześlizgują się przez dziury i szczeliny rynsztoków, przez które zdawałoby się, że kot nie przejdzie. Podsadzani przez dorosłych na mur — spadają jak koty na tę stronę.

Tak w mieście wołano za nimi: „kot!... kot!...” i to znaczyło tyle, co „Jude”. Zlepki błota i strachu. Zatajony w mroku sens nadchodzącego dnia: żebrzące, szczute dzieci.

Zaczajone do świtu na umartwionej murem ghetta i cmentarza ulicy, korzystają z pierwszego ruchu rannych godzin, żeby zaplatać się wśród robotników i przemknąć do dalszych od ghetta dzielnic.

Byleby dalej do muru — stamtąd nawet gorliwy policjant ich nie wróci. Po cóż miałby się darmo fatygować długim na Gęsią kursem i tracić cenny czas tak bogaty w zyskowniejsze okazje — choćby takie jak dorosły Żyd.

Cała najmniej zawodna psia psychologia zamknięta w oczach bezbronного dziecka: ominąć, przystanąć, uciec.

Te oczy w wynędzniałych twarzyczkach — baczne, ostrożne, uważne — chroniły i jakże często zdradzały.

Osaczone przez aryjskich równieśników, dziecko przytulone do ściany — nie broni się, nie gryzie, nie kopie. Stoi milczące w chórze wyzwisk starając się wybiec wzrokiem poza głowy napastników, śledząc, czy nie grozi inne niebezpieczeństwo: mundur.

Czeka, aż znudzeni biernością rozluźniają pierścien. Idzie dalej wlokąc za sobą nogi w opadających kurpiach i szmatach — cieniutkie piszczele zgrubione wężami uginających się kolan.

Przechodzą sto ulic, sto pięter. Pukają od drzwi do drzwi. Albo bezsilne, półsenne, zrezygnowane, niebaczne na nic, — siedzą we wnękach bram i sklepów.

Wracają wieczorem jęcząc ze zmęczenia. Brzękają blaszankami podtrzymując troskliwie poły palt napelnionych przemyślnie między podszewką i poszyciem użebbraną żywnością.

Wracają za mur nawet te dzieci, które już nie mają do kogo wracać. W lecie, gdy ciepło, część nocuje w szopach nad gliniankami, w zrujnowanych domach, czy wprost pod niebem w polach na przedmieściu.

Może to, że wracały, dawało im względną bezkarność.

W zimie wracają dla ciepła. W ghetcie już dawno wydarto na opał deski z korytarzy, ramy okienne w klatkach schodowych, balustrady, poręcze schodów i często same schody. Ale w ghetcie każdy zakamarek sieni i piwnic zapchany jest ludźmi. Skłębieni po kątach grzeją się własnym ciepłem. Rano silniejsi wywlekają się spod półtrupów i trupów, żeby za murem przeżyć jeszcze jeden dzień. Są to przeważnie jedyni żywiele rodzin.

Ciągną pod wieczór ulicami z różnych stron miasta — kulejące, niezdarne, jak okaleczone ptaki wracające do gniazd.

Gromadzą się wielkimi chmarami przy bramach za murem. Stoją godzinami w mróz, skwar czy deszcz, czekając na kapryśne skinienie obojętnych jak kamienne bożki wachmistrzów.

Czasem zmęczone oczekiwaniem urządzały zbiorowy atak — rzucały się chmarą i przerywały konwój.

Pchały się „natrętnie”, „nachalnie” i „bezczelnie”.

Doskakiwały, odskakiwały — zachryple, zmęczone. Oganiając się przed złośliwością łobuziaków, przytrzymywały troskliwie — jak ciężkie grona ziemi obiecanej — polę palt wypchane użebranym chlebem i kartoflami.

Bywało często, że na rozkaz żandarma trzeba było ten owoc całodziennego trudu wyrzucić na stos, w błoto przy murze i wejść bez niczego pod razami palek i kolb.



Ma może sześć lat. Siedzi na stolku obejmując sinymi rączkami parujący kubek. Jest owinięty jak mumia zniszczoną chustką zawiązaną na plecach w staranny węzeł. Odchylił w tył zbyt ciężką głowę młodziutkiego faraona na cienkiej szyjce, z odstającymi dużymi uszami. Wypukłe długie powieki łatwo opadają na niepotrzebne teraz oczy. Dwie delikatne rysy wzdłuż nosa aż do ust precyzują przezroczystą twarzyczkę wyniosłym wtajemniczonym wyrazem dojrzałego cierpienia.

Wyjaśnia stanowczo:

Nie chcę kłamać. Ja już skończyłem osiem lat.

Nam przed wojną urodziło się dziecko. Tatuś był fryzjerem — i jak to przy pracy: raz zjadł to, raz tamto — — — nie zawsze koszerne. I nam to dziecko umarło. Dlatego ja mam powiedzieć, że mam sześć lat, jak mam osiem. Żeby się Pan Bóg potem na mnie mścił.

Mówi słabym śpiwnym głosikiem przeciągając końcowe słowa. Nie ma wątpliwości we wszystkim co mówi. Jeśli nawet nie akceptuje — to na pewno się nie dziwi

Stwierdza rzeczowo:

Najważniejsze, żeby nie spuchnąć — bo to już koniec. A żeby nie spuchnąć, trzeba choć raz na dzień

zjeść. A za co kupić jak u nas już wszystko sprzedane.

Jak zostało już tylko łóżko i pierzyna, to mamusia tylko płakała i płakała i coraz odkrywała mi nogi — czy już nie puchną.

Co pomoże płakać.

A tam nikt nic nie da. Tutaj ludzie mniej chytrzy, niż tam. Tam każdy o sobie myśli — nawet rodzina. U nas mieszka siostra ojca z dziećmi. Im to dobrze. Tam jest chłopak co ma już szesnaście lat i on handluje. Ale też się kłóca, bo on ją oszukuje. Raz widziałem jak zjadł w sklepie dwie grahamki i ze trzy deka smalcu. Może pięć.

Rano to w tym sklepie taki tłok! — Tam przychodzą jeść szmuglerzy i piją herbatę. Wódkę też piją. Ja chodziłem tam zbierać okruszyny ze stołu — ale czy to dużo można zebrać okruszyn. A jeszcze przyjdą silniejsi i odepchną. Tam jest tyle chleba! — i pytlowy i sitek i bułki — nawet lejkuch: takie wielkie żółte placiki i to jeszcze po dwa na kupie — jak cegły — aż się uginają.

Raz to stałem i wahałem, wahałem — aż usnąłem. Jak się obudziłem, to leżałem cały w błocie. I czyściłem potem, i czyściłem... żeby mamusia nie poznała. Ona ciągle pierze — chociaż tylko w wodzie. Ciągłe się boi, żeby nie było wszów i żeby nie spuchnąć.

To ja zacząłem chodzić za mur, jak inne dzieciaki. Najwięcej się boję łobuziaków. Ale teraz to ja mądry: trzymam w kieszeni parę groszy — a resztę dobrze schowam. Jak mnie napadną, to wezmą tę trochę. Zresztą mnie to nawet trudno poznać, bo ja nie jestem taki brudny jak inne dzieciaki, już mamusia o to dba. Na razie to poznawali, bo ja miałem taką „niedobrá” czapkę. Najwięcej to się boję w ghetcie jak jest ciemno, żeby nie wejść na trupa. Jak jest przykryty papierem, to z daleka widać — a tak to nie.

Ja przechodzę przez taką dziurę pod murem — ale

z powrotem to nie, bo tam się dużo policjantów kręci i muszę iść na wachę przy Gęsiej. Czasem wracam wcześniej jak jeszcze nie ma dzieciaków i patrzę czy czasem nie stoi porządny Niemiec.

Jak poznać? Jak to! — po oczach! — Tylko trudno trafić, i też się mylę: podchodzę — a on jak nie kopnie!...

(Bury kociak czai się długo pod piecem i doskakuje nagle do rozwiązanej tasiemki przy buciku dziecka. Mały uśmiecha się — odstawia garnuszek, nachyla wolno, wzdychając z wysiłku i podnosi kociaka na kolana):

U nas też był kot. U nas wszystko było — nawet elektryczna łyżeczka do herbaty.

Żeby tatuś żył, to by i teraz było inaczej — a co może poradzić sama mamusia.

Wczoraj w nocy był wiatr — mamusia nie spała i słyszała jak klapie okienko na strychu. Wstała prędko, żeby pójść wyjąć, ale zaraz naleciało się innych ludzi — odepchnęli ją i ktoś inny wziął. Ona krzyczała, że to niesprawiedliwie, że ona pierwsza usłyszała — ale co to pomoże — tam trzeba silnych ludzi.

Mój tatuś to był mocny. On robił ze mną taki młynek przed sklepem: ja się trzymałem laski, a tatuś się kręcił w kółko i ja fruwałem w powietrzu. Ale raz się puściłem, upadłem i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Jak się obudziłem, to taki był krzyk!... i ja musiałem uspokajać, że mnie się nic nie stało.

Jak przechodzę koło tego miejsca, to mnie się wierzyć nie chce, że to wszystko kiedyś naprawdę było. Ja jestem czasem taki zmęczony, taki zmęczony i mysię, jak to było dobrze jak ja wtedy upadłem i nic nie czułem.

Ja spotkałem raz na Grójeckiej człowieka. Stał sam na przystanku i było jeszcze zupełnie pusto. On tak na

mnie patrzył, że ja się bałem przejść. Myślałem sobie: to na pewno zły człowiek. Bałem się tak od razu uciekać, to doszedłem do niego i nic nie proszę, tylko się pytam grzecznie, która godzina. A potem wolniutko, wolniutko odchodzę. Ale słyszę, że on idzie za mną przedko — i jeszcze więcej się zlekłem. Ale nic. On doszedł, wziął mnie na ręce... (naprawdę wziął mnie na ręce!...) i zaniósł mnie do swojego domu. Dał mi śniadanie, wykąpał, położył mnie do łóżka!...) i ja usnąłem. Jak się obudziłem, to było późno — już nie mogłem wracać i musiałem nocować.

Ja mu powiedziałem, że myślałem, że on jest niedobry człowiek. To on się tak zdziwił aż się zaczerwienił: „naprawdę tak myślałeś, naprawdę” i mówi: „To pewnie tak jest” — Ale to nieprawda — on jest na pewno dobry.

(Uśmiech dziecka zamiera wolniutko rozkrzyżowany na zmarszczkach cierpienia):

— Ale w tę noc, to ja się tak bałem, że nie jestem w domu i wcale nie mogłem spać. Ja już nigdy nie będę po tej stronie nocował. Ja się boję, że tam się coś ważnego stanie wtedy jak mnie nie będzie.

Wrócił w porę.



Tamtej nocy dzieci zza muru nie wyszły. Rozpoczęła się wielka likwidacja i wywóz ghetta w czerwcu 1942 r.

Wachy przy murze wzmocniono. Rozstawiono gęsto czarnych żołdaków w parcianych pasach — podobno Łotyszów.

Za murem trwała akcja. Rozlegały się strzały w powietrze, wzywające do wyjścia z domów. Dochodziły krzyki, płacz i mrowiący się rozgwar gromadzonych

dla „selekcji” tłumów. Trzaskaly sucho pojedyncze strzały likwidacyjne do leżących. Wprost w bruk. Nie milkły serie terkotu automatów.

Wylotem od Stawek — w kierunku bocznic kolejowych, do oczekujących sznurami towarowych pociągów — przez długi skwarny dzień płynęła lawa stłoczonych półżywych ludzi.

Jeden jęk mnożony przerażeniem tysięcy oczu — zatraskiwano w cuchnących chlorem wagonach.

Brama cmentarna i brama wachy naprzeciw raz po raz stykały swoje rozwarłe skrzydła. Za ich przejrzystą stalową ochroną pędzono na stracenie partie struchlałych ludzi.

Nocami nie ustawał tam na chwilę turkot — rano policjanci żydowscy zmywali konwiami jezdnię zlaną krwią wyciekłą z wozów i sypali na bruk grubą warstwę piasku, który prędko nasiąkł czerwoną siecią.

I wtedy wypuszczano czasem mniejsze oddziały przeznaczone na transport.

Raz od takiej gromady pędzonych szybko kobiet — Niemiec z wachy oddzielił drepcące przy matce dziecko. Matkę szarpnięto do grupy gnanej prędko w głąb Okopowej ulicy.

Od bramy ghetta wzdłuż muru jest może sto kroków prostej linii — potem mur odchyła się lekko i zamyka perspektywę.

Ta kobieta szła tyłem — patrząc na dziecko. Potknęła się, upadła. Kopnięta przez Niemca zgarnęła się z ziemi i szła dalej, tyłem w rytm kroku pędzonego oddziału, nie odrywając oczu od bramy. Sto kroków — potem mur skręca.



Pada śnieg. Biały, płaski pejzaż ghetta faluje chropowatą różowością skruszonych rumowisk. Sterczą

gdzieniegdzie złamane piszczele szyn i żelaznych konstrukcji. Przy Stawkach rudzieje uśnieżony okiścią rdzawy lan wywleczonych z nieistniejących domów łózek. Niżej barwią się ślisko przywalone osypującym się śniegiem zagony garnków i miednic. W ciszy cyka odskakująca na mrozie jaskrawa emalia. Słychać chrobot blaszanych wieńców: To człowiek wyszarpuje z płataniny badylów wózek dla dziecka.

Mur i brama naprzeciw cmentarza, leżą zwalone pod śniegiem. Przez duży wyłom na boisko przycmentarne widać dzieci zjeżdżające ze wzgórków ziemi, która się nie zmieściła do zasypanych rowów.

Od murów skaleczonych rozstrzałami odbijają jak piłki słowa i śmiech.

Milczą groby, które przez trzy dni falowały, trzy dni krzyczały nim zastygły.

Przestrzeń, zraniona spojrzeniem matki oderwanej od dziecka — nie krwawi.

Pada drobny, gęsty śnieg. Niebo, ziemia i zrównane z ziemią ghetto drżą jak druk na rozsypującej się karcie.

Zabijany na raty

MELCHIOR WANKOWICZ

Przypasła bitwa Karpackiej, aż zgasła.

O 19.30 wycofał się ze swoim oddziałem ostatni obrońca 593 — pchor. R.

O godzinie 21 wyszło na 12 pułk ułanów natarcie niemieckie. Po godzinie odpłynęło — odparte.

Zacichła broń małokalibrowa.

Między zetłalymi trupami amerykańskiego natarcia, między rozkładającymi się ciałami natarcia hinduskiego — leżały ciała zabitych tej doby, leżeli ranni Polacy i Niemcy.

St. strz. pchor. Tereszczuk leży ranny już całą noc i cały dzień i znowu całą noc.

Przydzielony z 4. baonu jako ogniomiotacz do nacierającego 2. baonu, został ranny zaraz w pierwszej fazie. Wyręczył zasapanego sierż. D.-ckiego — wziął od niego 34-kilowy miotacz płomieni, oddając do niesienia lżejszą butlę i tompsona.

Krzyczano: „Biegiem, bo artyleria przedłuża” i biegli w przód wypierając z siebie ostatni dech.

Krzyczano: „Cofać się — bije własna!” i cofali się spiesźnie, potykając się o głazy, lecące z ostrych przechylów.

Objuczony — wpadł na concertinę, nie mógł się wyplątać. Tam go trzasło. Poleciał w dół. Gdy oprzytomniał, zobaczył, że leży w drutach. Potem — poczuł ból w lewej nodze. Spojrzał na nią i przez chwilę nie rozumiał: leżał na wznak, a noga sterczała piętą w górę. Pojął, że widać uległa gruntownemu zgruchota-

niu i przekręciła się na sflaczalym mięsie. Trudno było wiedzieć co jest — noga była masą miazgi sukiennej i jakiejś krwawej kaszanki. Wielkimi wysiłkami obrócił się na brzuch, aby być w zgodzie z piętą. Znieruchomiał i czekał.

Krwi dużo spłynęło — ciśnienie się obniżyło. Lepkość krwi przebijał coraz trudniej jej słabnący strumień. Zmiażdżone na wielkiej przestrzeni ścianki naczyń krwionośnych sprzyjały zakrzepowi. Po kilku godzinach rana się zaczipowała w potwornie narosły strup. Dalsza utrata krwi była zahamowana.

Miejsce, w którym leżał Tereszczuk, nie było najlepsze. W koło szła walka i biło w stok bez opamiętania. Po dwóch godzinach leżenia objęło warem plecy: seria spandaua pojechała po nich i posiekała — gęsto, ale nie uszkadzając kości.

Kiedy już było dobrze światło, walka przycichła i pokazali się sanitariusze polscy i niemieccy.

Polski i niemiecki sanitariusz usztywnili mu nogę karabinem, włożyli na nosze i ponieśli pod górę — do wnęki, która leżała w obrębie zajęтым przez Polaków. Tam leżał patrząc biernie, jak koledzy walczą.

Nad ranem zginął mjr. Rojek. Orzymawszy tę wieść porucznik, strzelający do końca z tompsona, usiadł przy rannym. A potem zaczęli schodzić, a on znów został — sam. Leżał ciągle na brzuchu, unosząc głowę. Zobaczył Niemców, którzy krzyczeli, aby nie rzucać granatów. Ale granatów rzucać już nie było komu. Niemcy pozbierali swoich rannych i poszli. Inny ranny, Polak, doczłogał się. Był to sanitariusz. Miał sprzęt potrzebny i założył szynę, ale rany w tym stanie opatrzyć nie mógł.

Tymczasem w tej ranie rozgorzała zawzięta walka. Skrzep spełnił jedyne swoje zadanie — wstrzymał upływ krwi i obumarł; jako martwa już tkanka nie mógł przeszkodzić przenikaniu w głąb zarazków, które olbrzymia siła ssąca pocisku wciągnęła wraz ze strzępami munduru, zanieczyszczonej skóry i ziemi.

Pierwsze na łup ruszyły baterie gnilne. Przechodzą w ataku, mając gotową broń — exofoksynę, którą wydzielają, same nie umierając. To one powodują zgorzel gazową (gangrenę), porywającą tłumy ofiar w przedpenicilinowych czasach. Bakterie gnilne są beztlenowe — dążą, by jak najszybciej zaszyć się w tkankę podskórną, tkankę zmiżdżenia, gdzie żaden pęcherzyk tlenu nie stanie na ich drodze.

Przeciw nim organizm Tereszczuka posłał specjalnie ćwiczone oddziały przeciwjadów, antytoksyny, wrodzone i nabyte w ciągu życia czynniki bakteriologiczne.

Za bakteriami gnilnymi poszedł zgiełkliwy tłum — zbieranina bakterii ropotwórczych. Bytujące sobie na skórze Tereszczuka, okazały się nielojalną mniejszością, która, jak tylko obcy czynnik przełamał granicę, rzuciły się na osłabiony organizm, który był ich domem.

Szły zagonami łańcuszkowce, szły grupami szturmowymi — po cztery, po sześć, po osiem — paciorkowce. Szły liczne ich szczepy, niektóre współwalczące ze sobą. Szedł licznym klanem najczęstszy — gronkowiec złocisty.

Na ośrodek oddechowy! Na ośrodek naczyniowy! Na wątrobę! Na obie nerki! Na wszystko, co utrzymuje życie...

Gęstym murem przeciwko nim zbiły się tuż za strupem zmobilizowane leukocyty — białe

cząsteczki krwi. Wypuściły macki, grożą, ale same są w strachu. Dopadnięty przez większą ilość przeciwników, poszczególny leukocyt dostawszy się w wydzieliny bakterii obumiera. O ile jednak przeciwwaga sił nie jest rażąca, leukocyt obejmuje mackami, na podobieństwo ameby, bakterię, trawi ją, ale sam obumiera.

Straszna walka rozgrywała się w ciele Tereszcuka. Jeśli bakterie pokonają leukocyty, zatrują najpierw swymi jadami organizm, a potem go zabiją. Nie wiadomy jeszcze wynik tej walki.

Leżał tak do wieczora i znowuż całą noc — do rana. Już półtora doby. Co było w dole ciała — nie wiedział. Wiedział, że usta mu chrzęszczą zeschniętym oddechem, że piekielny stoi w ciele.

Specjalnia komórka sygnalizacyjna w mózgu na gwałt alarmowała, uprzedzała o wzrastającym zakwaszeniu organizmu, które sprzyja rozwojowi bakterii. Cierpiał z pragnienia strasznie.

Rano 13 maja zabrał go patrol niemieckich sanitariuszy i zniósł w dół o jakie 3 km., do niemieckiego wysuniętego punktu opatrunkowego, który mieścił się w jaskini. Niemcy sami nie mieli ani wody, ani nie dali jeść. Było jeszcze czterech innych naszych rannych.

Leżał tak cały drugi dzień i całą trzecią noc — bez jedzenia, bez wody, bez opatrunku. Zmiażdżona noga broniła się tam, urządzała się jak umiała: coś tam wypuchło, pokrzepło, wybuczyło się.

To organizm przystąpił do robót saperskich na granicy części zdrowych i zmiażdżonych, nie nadających się do życia tkanek.

Saperzy-naczynia poczynają pączkować, wał

wznoszony urasta z nowo utworzonej tkanki, zaopatrzonej w gęstą sieć naczyń krwionośnych. Bakterie atakujące mur są brane do niewoli, pędzone za wał, ewakuowane w głąb tymi krwionośnymi naczyniami — a tam już nie obserwuje się względem nich konwencji haskiej — są one w odpowiednich narządach zlikwidowane. Na miejsce prowizorycznego strupa narasta ziarnina — jak cegły muru. Z tego powstaje blizna.

Za to poszarpane przez spandau plecy broczyły, pękały, bolały nieznośnie. Kiedy rankiem trzeciego dnia — był to już 14 maj — przenoszono ich do ruin jakiegoś domku — czuł, jakby na nim żywcem eksplodowało ciało do pasa, od pasa był bezwład.

Ciągle bez opatrunku. Ciągle bez wody. Położyli go na wznak — nie wie, czy piętę uzgodnili, czy leży w dół, czy też do góry. Patrzy w poszarpany pułap. W pułapie raz po raz błyski. Szkielet domku raz po raz napelnia się blaskiem. Nasi mocno biją tej nocy.

Tej czwartej nocy — z 14 na 15 maja Tereszczuk i to coś dalekiego, co wciąż jeszcze rości pretensje być jego nogą — zostaje wyniesione, zostaje niesione jakimś labiryntem skał, zostaje władowane na ciężarówiec razem z pozostałymi trzema ciężko rannymi Polakami. Widać pojedą na niemieckie G.P.O. — gdzie pewno mają wodę... Tereszczuk myśli tylko o wodzie, stara się nie myśleć o tym, że mu rozwiną miazgę, która jest na miejscu lewej nogi.

Ciężarówiec kryty brezentem — rozbłysnął pod budą raz i drugi od bliskich rozrywów. Niemcy uciekli. I zaraz potem trzasnęło w samochód, zawałiła się budą. Tereszczuk poczuł ból, zdrowa noga, prawa została trafiona. Śwąd spalenizny pod zwaloną budą przyniół go jak poduszka, którą doduszają umierającego. Następny zapalający pocisk zapalił budę. Człowiek

zabijany na raty skulnął się przez burtę i padł jak krwawy wór na ziemię. Z wozu słychać było krzyki żywcem palonych. Bańki na wozie poczęły się palić, ogień padał na niego żagwiącymi sopłami, jakaś amunicja na ciężarowcu poczęła eksplodować. Zasłaniał twarz jak mógł, wreszcie, zdjęty zwierzęcym strachem, podciągnął korpus rękami; tak próbuje się ratować owad o zgniecionym odwłoku.

Jęki ścichły, wóz się dopalał. Człowiek, który chciał żyć, leżał na wznak — ku niebu straszliwie popaloną twarzą. Niebo, jak zwykle od lat milionów — mru-gało do niego głupkowato gwiazdkami. Szyna, założona na nogę, odpadła przy upadku z wozu — pięta znowu stanęła palcami w dół.

W pewnej chwili — Tereszczuk już przestaje wyznawać się w biegu czasu — zachrząścił szuter, pokazał się cień. I zaraz ogień armatni ponownie się rozhu-czał — cień przylgnął przy popalonym.

— Gdzie domek? — pyta Tereszczuk; tam pewno pochowali się sanitariusze; tam pośle powiedzieć, że jeden z ładunku spalonego ciężarowca jest żywy.

Przeszedł nad ich głowami pocisk z wyciem i cień ludzki się przypląszczył. Podbiegł drugi. Teraz widzi — Niemcy. Ale nie sanitariusze. Nie wiedzą, gdzie domek. Ciągną go do swego stanowiska. Skóra przy tym obdziera się ze spalonych rąk, ze spalonej twarzy.

W krytym bunkrze opatrzyli jego prawą nogę — lewej ruszać nie śmieli.

Walka leukocytów z bakteriami zakończyła się dla organizmu pomyślnie, ale miriady ciał pomor-dowanych bakterii i leukocytów unosiły się w lim-fie krwi i utworzyły ropę. Ropa bujnie sączyła się i krzepła.

Wody nie mieli. Trwali w tym bunkrze, aż — mo-

gła to być trzecia nad ranem — dał się słyszeć chrzest kamyków.

Do schronu wczółgał się oficer niemiecki. Ranny zrozumiał, że daje rozkaz żołnierzom opuszczenia schronu za godzinę.

— A co z tym? — żołnierze robią gest w stronę Polaka.

— Opuszczając schron dostrzelić — decyduje oficer.

Podchorąży nie pokazał po sobie, że rozumie.

Oficer wypelzł, jeden z żołnierzy spojrział na zegarek na ręku. W schronie tlił się zapalony kaganek ze spirytusu skondensowanego. Gdzieś na ręku niemieckiego żołnierza odmierzał się czas.

Wreszcie — wstali, zgarnęli oporządzenie. Wyczółgali się. Ranny w czasie tego — przetoczył się, czy przekulgnął — zdmuchnął kaganek. Leżał teraz pod inną ścianą. Przez otwór schronu wstawiono szmajser i na dawne jego miejsce poszła seria. Po czym kroki zacichły.

Dobijany człowiek nie chciał umierać. Nie chciał umierać — nie opatrzony i nie napojony przez całych długich siedem dni.

Bo cały dzień 15 maja biła dookoła artyleria — nawet w schronie, mającym wąski wylot, pełno było kurzu, dymu i gazów spalinowych. Strop był jednak uzmocniony, z dwu grubych stalowych belek z podwozia ciężarowca, na tym siatka, dalej skrzynie z piaskiem.

W nocy z 15 na 16 poczyną tracić przytomność.

Organizm jego już w pierwszej dobie, zaniepokojony produktami rozpadu z miażdżonych tkanek, rozpalil piec gorączki resorbcyjnej — zorganizował zakład spalania śmieci, których by nie spalił w normalnej temperaturze.

Ale w drugiej dobie pojawiły się zwały trupów bakteriowych i leukocytowych.

Trzeba je resorbować, trzeba resorbować nagromadzone jady, zwiększyć należy temperaturę.

Centrum termoregulacyjne w mózgu wskazuje maksymalny nacisk, Tereszczuk gorączkuje. Majaczy mu się, że koledzy przyszli, że chcą go wynieść. Potem cuci go przeszywający ból nogi i wtedy wie, że go nikt nie woła. Może bitwa przetoczy się, a do tej dziury zajrzy jakiś pastuszek dopiero za pół roku?

Majaczy, ocyka się, szarpany bólem, jęczy, znowu zapada w majaczenie, przez całą noc z piętnastego na szesnasty, przez całe przedpołudnie szesnastego, przez całe popołudnie szesnastego, przez noc z szesnastego na siedemnasty, przez świt, przez ranek, przez południe, przez przedwieczorną chwilę, przez wieczór siedemnastego, przez północ przechodzącą na osiemnasty, przez czarność nocy osiemnastego, która zapada się w nicość.

18 rano budzi go warkot motoru i głosy. Angielskie głosy! Chce krzyczeć, ale nie wie, czy wydaje jakiś głos. Pewno jęknął. Bo przez otwór wpelza — nie ze szmajserem z manierką! — Anglik!

Głowa, ręce — strupy. Od pasa — wiją się białe robaki (czytałem „przebieg”: „między ścięgnami mięśniowymi kłębowiska robaków”).

Te robaki — larwy much, to przyjaciele, zjadają tylko części obumarłe, a ich wydzieliny zabijają wszystkie bakterie. Wiedziałem go — leżał z językiem wysuniętym ze spalonych warg, z głową spaloną, z obwiniętymi kikutami, już po amputacji: opowiedział mi tę sprawę między śmiercią i życiem.

Anglik nie dotykał niczego, tylko lał delikatnie w spalone rozwarte usta wodę z manierki. Dojrzał błysk

w oczach tylokrotnie zabijanego. Pomyślał. Krzyknął do kolegów na zewnątrz. Wsunęli mu drugą manierkę, którą wsaczył.

Potem... wyciągnęli go.

Potem... układali go na łaziku sanitarnym.

Potem... dwa kilometry pchali łazik do drogi polem nie zapuszczając motoru — aby nie trzęsło.

Mijał patrol z 5 batalionu. Kolega szkolny. Nie poznał, przeszedł, nie będzie przez kogo wieści dać.

Na W.P.O. angielskim — zastrzyk, jakiś napój, maska na spaloną twarz.

Dopiero w 5 polskim C.C.S. zdjęli ubranie omdlałemu. Docucili. Ksiądz wypowiadał w krótkiej drodze. Dr Jakubowski wziął go zaraz na operacyjny stół.

Organizm — na miejsce poległych zorganizował nowe odwody leukocytów. W K.U. organizmu, tzn. w szpiku kostnym, nastąpiły wzmożone procesy twórcze ciałek białych. Odpowiednio do potrzeby — tworzone młode wojsko, lub też bardziej wyspecjalizowane.

Obronił się organizm, zabijany na raty...

I Tereszczuk — żyje!

Kartki z pamiętnika

MARIA CZAPSKA

2 sierpnia 1944 r.

Zdobycie PKO na Świętokrzyskiej i dalsze uciążliwe zdobywanie poczty. Przygotowuje się akcja na Komendę Policji na Krakowskim, na Arbeitsamt (Bank Rolny na Mazowieckiej).

Cała Warszawa pocięta w szachownicę. Oni mają w ręku Ogród Saski, Plac i oba hotele, teren Uniwersytetu, kościół Św. Krzyża, gmach Zachęty. Nowy Świat w barykadach, ale z wież kościoła strzelają ich ciężkie karabiny. U wylotu Czackiego, na Traugutta, barykada. Bank Handlowy i KKO, oba narożniki, to nasze punkty oporu. Obawiają się, że ich tanki wedrą się na Czackiego. W naszym dużym salonie, pokoju narożnym od „Dowcipu”, dziś garderobie, graciarni i spiżarni chłopcy urządzają zasadzkę, znoszą butelki z benzyną i granaty.

Polskie sztandary na Prudential'u i PKO budzą entuzjazm. Śpimy ubrane.

Od rana słowa polskiej komendy w naszej bramie. Rozpromienione twarze tej młodzieży powstańczej, która dosłownie wyszła z podziemi i ogarnęła nas jak płomień. Po pięciu latach poniewierki, zginania karku, tajenia uczuć, spojrzeń, słów — upojeni jawną walką. Kto ma rewolwer, pieści go jak skarb. Wzajemna życzliwość i uczynność, zespolenie całego narodu w jakimś radosnym braterstwie, wynikłym z tych lat wspólnej

powszechnej udręki. Młode dziewczęta, łączniczki, donoszą amunicję i rozkazy, migają jak przepiórki przez ostrzeliwane ulice. Kilka czołgów spalono w śródmieściu, siłami takich dzieci i butelkami benzyny. Wyskakuje do Hali, sypie się tynk. Gwizd kul nigdy nie słyszany i huk zbliżającego się frontu. Władze Hali kazały jej się zabezpieczyć w ciągu tych kilku ciężkich dni. Zwolniła siostrę, która poszła do córki z małym dzieckiem, została ze starą ciotką, która nic nie rozumie i wmawia nam, że to „ćwiczenia”. Hala należy do drugiego rzutu.

Ktoś na fortepianie zwycięsko gra poloneza Ogińskiego, potem Warszawiankę. Podjazdy sowieckie docierają podobno do przedmieść Pragi. Na murach rozlepione afisze:

W a r s z a w a

K u t n o

T o b r u k

M o n t e c a s s i n o

W a r s z a w a !

Ci, co nie są pod bronią, pracują po nocach nad umocnieniem barykad (gruz, deski, kamienie brukowe, pręty żelazne, beczki po benzynie — od nas chodzą Gercia i Mania), nad osłoną okien suterynowych płytami wyjętymi z chodników, zaopatrują strychy w wodę i piasek. Silniejsi idą na tragarzy, także kobiety, trzeba bowiem przenosić różne produkty z dzielnicy do dzielnicy podziemnymi korytarzami, albo przecinać niebezpieczne ulice, nie ma mowy o innym środku transportowym jak tylko człowiek.

Co raz trudniej się ruszać poza naszą ulicę. Mazowiecka ostrzeliwana. Dla walczących zrobiono podkop. Nasi wychodzą tamtędy na nocne wypad. Biuletyn

Informacyjny wychodzi jako dziennik. Dziewczęta i mali chłopcy roznoszą go, wykrzykując triumfalnie. Drukarnia jest na Tamce.

Przeskakują niebezpieczne ulice, docierają wszędzie. Uruchomiono kilka aparatów radiowych. W Normandii sukcesy: Avranche, St. Malo.

3 sierpnia.

Skąpe wiadomości. Ciężka walka o centralę telefonów na Zielnej. 2-go po południu zdobyty gmach poczty, a w nim trochę broni, amunicji, hełmów, pasów. Teraz mają już nasi karabiny maszynowe. Niemieckie kaski przemalowali na prędcie na polskie, niemieckie pasy z nabojami wiszą na tych chłopiętach. Niemcy pilnują magistrali, jako swoich dróg odwrotu. Zwłaszcza Jerozolimskiej. Śródmieście przecięte dzięki temu na dwoje. Nowy Świat, Mazowiecka, Marszałkowska pod ich ostrzałem, w zasięgu ich czołgów. „Oni mają ulice, a my kamienice” — mówią nasi chłopcy. Ale oni też niestety mają mosty.

Nasze siły rozlokowują się na dobre zajmują biura i puste mieszkania. W podziemiach Techników kuchnia, w Towarzystwie Kredytowym Miejskim improwizowany szpital. Zbieramy pościel i bieliznę. Po południu samoloty nieznanego typu krążą nisko nad domami; przekonane że to sowieckie wybiegamy na balkon, otwierają ogień z broni pokładowej w okna kamienic. Ogluszający trzask, płomień, sypie się tynk, cofamy się przerażone: to niemieckie Stukasy.

Zabłądził też do nas przygodnie p. N., nie znam jego nazwiska, a pseudonim wciąż zmieniał. Od trzech lat jest stale poszukiwany, bezdomny. Kilkakrotnie u nas nocował w ciągu ostatnich miesięcy. Syn jedynak zginął w 1939. Jest syndykalistą, gorącym zwolennikiem po-

rozumienia z Sowietami. Zapalony ideowiec, w rozmowach robił mi wrażenie doktrynera. Dziś cały rozdygotany, nie może sobie miejsca znaleźć, chce się koniecznie dostać na Wolę, a Wola już odcięta. Wciąż zapytuje nas czy słyszymy artylerię frontową? „Czy się zbliża? Czy Panie są tego pewne?” *).

12 sierpnia.

4-go sierpnia ukazała się wysoko nad miastem eskadra samolotów, leciała z zachodu na wschód. Ludzie szaleli z radości, płakali.

„Pomoc Anglii, to nasi!”.

Rzucono się do rozkładania flag na ulicach, wszyscy wylegli na podwórza, stali w oknach, na balkonach. Intonowano „Warszawiankę” — ale eskadra okazała się niemiecka i tego samego dnia zaczęły się bombardowania. Sami wskazaliśmy im nasze dzielnice. Z gwizdem opadały Stukasy na dachy, celując precyzyjnie.

„Małe bomby” — pocieszano się. Ale okazało się, że choć małe zrywały 4 piętra. Tego dnia padło ich trzy na Świętokrzyską i Mazowiecką. Koło 18-ej uderzyła czwarta w nasz „Dowcip”, gdzie była komenda tego odcinka, oznaczona flagą i orłem białym. Padła ukośnie, u podnóża naszego domu, pod oknami mojego pokoju. Będąc na ulicy schroniłam się do bramy sąsiedniego domu i zdawało mi się że to ten dom dostał, że zawali mi się na głowę. Zrobiło się zupełnie ciemno. Od strony pocisku wyleciały okna z futrynami, drzwi i

*) Dopiero później zrozumiałam, co go tak nękało: była to straszliwa trwoga czy aby Sowiety udzielą spodziewanej pomocy? Czy nie wstrzymają ofensywy, czy uzgodnią swoje działania z akcją powstańczą?

meble potrzebne, lżejsze rzeczy: kapelusze, papiery z biurka, szlafrok z odbitym podmuchem wyleciały na ulicę. Książki na półkach ocalały. Obrazy poprzebijane jak nożem odłamkami szkła, część tynków z sufitu odpadła, zawalając wszystko gruzem.

Nasi goście odchodzą pod 19-kę; my, domowe, kończymy w stołowym pokoju. Ani jednej szyby w całym domu. Nakaz zdjęcia zasłon i firanek chwytających najłatwiej ogień; od zmroku więc siedzimy w ciemnościach, kurz wapienny osiada na wszystkim, wszędzie pełno szkła.

Doprowadzam w ciągu kilku dni mój pokój do jakiegoś ładu, ratując książki, papiery i resztę odzieży, gruz wyrzucam przez okno. Ręce mam w zadrach.

Nieznane pociski zapalające z 6-cio strzałowego granatnika padły nazajutrz w podwórze Mazowieckiej 4, w chwili zbiórki. Kilku chłopców spaliło się na miejscu, kilku ciężko poparzonych przenieśli do szpitalika w podziemiach Towarzystwa Kredytowego. Dom się zajął od dołu. Przy gaszeniu pożaru, strażacy, opróżniając strych, wyrzucili skrzynie z książkami, które zasypały całe podwórze Świętokrzyskiej 20. Był to nakład 5 i 6 tomu pism Norwida („Rozprawki epistolarne”). Różańce białych kartek zwisały jak festony na drzewach, reszta zdeptana i zalana wodą.

Właśnie Hali, tak wiernej Norwidowi, Hali która od 20 lat uczyła nas go poznawać, która nim żyła, zawsze cytowała, innym wyjaśniała, właśnie jej przypadła posługa uratowania kilkunastu egzemplarzy nieuszkodzonych i trochę braków. Zebrała tego cały koszt.

Tragizm spraw Norwidowych, ironia losu Miriamowych wydawnictw! On sam ciężko ranny. A cały materiał rękopiśmienny zbierany przez Miriamę, co się z nim stało?

Dowiadujemy się o bestialskich zwyczajach nie-

mieckich, znanych już spod Głogowa, brania ludności cywilnej jako osłony czołgów i wozów Czerwonego Krzyża. Skierski, Kowerski i Hanka Kicińska byli w ich liczbie. Obsługa czołgów przebiegała się przy tym w chustki i płaszcze kobiet. Pod tą osłoną docierali do naszych linii. Dopiero wtedy zaczynała się walka. Ludzie z osłony ginęli, albo przebiegali na naszą stronę. Ludność cywilną Niemcy wypędzają z domów, stłaczają na placach, zamykają w gmachach publicznych bez pożywienia. W niektórych dzielnicach wszystkich mężczyzn rozstrzelują jako „bandytów” na miejscu. Mieszkańcy z Alei 3 Maja i Smolnej siedzą w gmachu Muzeum Narodowego, pod grozą egzekucji. Wola w ręku niemieckim, kolejno podpalane Wolska, Chłodna, Leszno, Plac Żelaznej Bramy, Elektoralna, wreszcie Królewska. Ulice przy mostach palą się również. Czerniaków, Mokotów, ulica Polna, Politechnika pod ciężkim ostrzałem artyleryjskim. Plac Teatralny (mury teatru) w ich ręku. Ratusz, Daniłowiczowska, Bank Polski w naszym. Nasze Stare Miasto i Śródmieście. Oni trzymają nadal Ogród Saski i tam się okopują. Ze skarpy uniwersyteckiej biją w Powiśle. Trzymają się w PAST'cie na Zielnej, w BGK, w Polonii. Wodociągi, elektrownia an Powiślu, Filtry — nasze, ale ciągle ostrzeliwane.

W czwartym dniu powstania artyleria frontowa zupełnie ucichła. Odstąpili? Odparci? Znikł także p. N. Powstanie miało trwać kilka dni. Liczono na pomoc od Wschodu, to było jakoby uzgodnione, miała być sowiecka osłona lotnicza? Nic z tego, a jutro już dwa tygodnie.

Słupy dymów zewsząd. W nocy luny dalekie i bliższe. Płoną garaże na Królewskiej, IPS, Sim i „Złota Kaczka” (malutka złota kaczka na kwadratowej sa-

dzawce u wejścia do wytwornej, dla Niemców „dowolonej” restauracji).

Ogień miga poprzez drzewa ogrodu Raczyńskich; płoną domy na Krakowskim; popiół sypie się ze szmerem podobnym do piasku albo suchego śniegu. Ostre przygotowanie przeciwpożarowe, stałe dyżury.

Noce są straszne, od ostrzału dział domy drżą, niekiedy wybucha gwałtowna strzelanina karabinowa, tuż, o sto kroków, kolorowe race oświetlają pokoje jak w dzień, warkot samolotów.

Stopniowo zapoznajemy się z tymi dźwiękami, ale często nie można rozeznac kto, do kogo, skąd? Mimo tego zgiełku nieustannego śpimy urywkami, budząc się co moment: strach przed pożarem, pociskiem, niespodziewanym najściem. Uporczywa nadzieja pomocy, codnocne gorączkowe oczekiwanie zrzutów. Ale jakże tu zrzucić kiedy całe miasto pocięte w kratkę?

Andrzej już pierwszego dnia był ranny, przysłał mi łączniczkę z tą wiadomością, postrzelony kilku kulami pod obojczykiem, duży upływ krwi, odłamki tkwią w ranach, wylot kul pod łopatką, rany wciąż krwawią.

Docieram do niego poprzez różne wertepy, gruzowisko na Świętokrzyskiej, przebitym murem na Warecką, stamtąd pomiędzy dwiema barykadami z olbrzymich karczów przez Nowy Świat, zgięta wpół i biegiem; (warty powtarzają że Niemcy z wież Św. Krzyża polują na każdego przechodnia), zaminowaną Ordynacką na Okólnik (Kopernika ostrzeliwana), schodami koło Konserwatorium na Tamkę, schodami kamienicy w górę, po drabinie na dąszek i po kładce na placu przy ulicy Konopczyńskiego. Szpital już zapelniony, dobrze odżywieni i pielęgnowani.

Andrzej pełen godności i namaszczenia: ranny powstaniec. Zabiegają koło niego mile dziewczęta z katolickiej i postępowej organizacji, wciągają do swego kółka.

Jest wyraźnie zajęty jedną z nich. Więc go żegnam. Czy jeszcze wrócę? Śpieszę do domu.

Ruina ulic. Potrzaskane kamienice i ludzie jak ter-mity snują się pod osłoną murów przez połączone podwórza, przebite piwnice, z bloku do bloku, nie wychodząc na ulicę. Żołnierze trzymający wartę w bramach roześmiani, pogodni, sprzecząją się o to kto pójdzie na nocny wypad, jest kolejka w zależności od posiadanej broni. Z rozbitych kawiarni wyciągnięto pod bramy kolorowe mebelki. W podwórzach stoją konie przeznaczone na rzeź dla wojska.

Zaraźliwa jest radość, ten poryw wolności, to upojenie walką. Już nie myślę, nie rozważam, nie obliczam, unosi mnie fala szczęścia, że przeżywam te dni w Warszawie, że jesteśmy po pięciu latach wolni!

11-go sierpnia nasza prasa ogłosiła odezwę ministra Jana Kwapińskiego w sprawie pomocy dla walczącej stolicy...

„...mam podstawy do twierdzenia, że pomoc dla walczącej Warszawy już się rozpoczęła i mam dane, że zostanie ona udzielona w dostatecznych rozmiarach by być skuteczna... wzywam naszych rodaków do zachowania zimnej krwi i powstrzymania się od wszelkich odruchów”. (O jakich tu chodzi rodaków i o jakie odruchy?).

W audycji wczoraj: „Pomoc została już wysłana...”.

W „Rzeczypospolitej” z 12.VIII odezwa Rady Jedności Narodowej do Narodów Sprzymierzonych.

.....przemawiamy do was z barykad płonącej Warszawy, postawiliśmy wszystko na kartę. Biliśmy się o polskie Wilno — chcecie je oddać Litwinom. Biliśmy się o polski Lwów — ma je zabrać Sowiecka Ukraina. Ułatwialiśmy pochód armii sowieckiej, paraliżując naszą akcją ruchy wojsk niemieckich... Wreszcie ruszyła do boju Warszawa, bez broni i amunicji...

...dziś zmienia się w stos ofiarny miasto, które pierwsze stanęło do walki z hitleryzmem, stolica Polski, zwana „natchnieniem świata”... Zanadto przeciąga się strunę w stosunku do Narodu Polskiego, bohaterski lud Warszawy zaczyna nabierać przekonania, że jest przedmiotem jakiejś gry politycznej. Lud polski dziwi się. Apelujemy gorąco o usunięcie tych trudności i wprowadzenie w czyn dotychczasowych zapowiedzi i obietnic. Nie chcemy od was ludzi... dajemy swoją krew, chcemy walczyć sami, dajcie nam tylko broń i amunicję.

13 sierpnia

„...I o miecz proszą, tak jak o jałmużnę”.

Wciąż nasuwają się pamięci strzępy poezji Słowackiego.

Warszawa spełnia tak radośnie ten wielki cud swojej ofiary i ja na to patrzę własnymi oczami...

C z y s t a r o b o t a

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Długi, łagodny zmierzch uciszał świetliste niebo. Ziemia była nad podziw ciepła, zupełnie jak latem, nie jak w październiku. Maciej siedział oparty plecami o pień. Las sosnowy, wycięty równo w połowie wzgórza, odsłaniał coraz dalsze horyzonty lekko pofałdowanych pól, ciemniejących od podorywek, to zapalających się wąskimi językami jeszcze nie sprzewracanej ścierni. W powietrzu snuły się wątle dymy ognisk wygaszonych na łąkach. Mimo niedzieli ludzie dopiero teraz zostali zwolnieni od robót fortyfikacyjnych. Dziewczęta gromadkami schodziły ku wiosce, schowanej w poczerwieniałym, rzadnym już listowiu wiśniowych sadów. Było tak spokojnie i cicho, że Macieja ogarniała senność. Wypoczywał wraz z ziemią oddychającą lekko słabym zapachem zamierających traw, wytlonego drzewa i poruszonych, suchych skib. Czuł się niezwykle ucieszony i spokojny. Czasami zakołysały się szczyty wysokich sosen, syknęło igliwie na ulotkach tegorocznej, łuszczącej się kory. Pod plecami ledwo wyczuwalne drgnięcie przechodziło przez pień. Łączył je z dalekimi, bardzo dalekimi pomrukami frontu, który niekiedy się odzywał, to milkł, pozostając dla nich ciągle tajemnicą.

Wypoczywał. Kurs minierski został zakończony i piątka terenówki A. K., którą egzaminował ze Zygmuntem, odmaszerowała uszczęśliwiona. Wczoraj dozorował ich tylko, nocą wysadzili tor. Rwali się do roboty. Dobrze, szczere chłopaki. Było ich czterech i sanitariuszka Zosia. Nowa piątka rzucona do walki. Pod

przymkniętą powieką pojawiali mu się mali, dalecy, dziecinnie zapalczywi i spragnieni pochwał. Wiedział, jak będą cierpliwie czekać znaku. Ale środków wybuchowych brakowało, wysadzane tory Niemcy naprawiali w kilka godzin, a dywersję tłumiono mordowaniem zakładników. Właściwie łączenie ogniw było tylko od pięciu lat trwającym przygotowaniem do powszechnego wystąpienia, gdy zbliży się oczekiwany front.

Uczucia, jakiego nagle doznał, nie umiał dokładnie określić. Przez zdrętwiałe ciało przebiegł dreszcz, jak przed zaśnięciem. Równocześnie usłyszał słowa nie wymawiane, ale stające się między konarami drzew, więc ponad nim, a jednak właśnie w nim, gdyż rozrastał się w uczuciu lekkości, nawet niepokojącej. Ogarniał z wysoka i siebie malutkiego, z głową przechyloną, uśpionego pod pniem. Drzewa, kłęby iglaste, tkwiły nieruchomo, widziane ogarniającym wszystko wzrokiem wewnętrznym. Słowa stawały się w nim, wypowiedzane gniewnie i gorzko: „Widziałem ich postrzelanych na sito, wsadzili im serię z bliska w plecy”. Poznawał głos — to mówił kapral Okoń. Usłyszał jeszcze brzęk szprych rowerowych zahaczonych o gałęzie. I to był koniec. Osunął się. Z wrażeniem przykrego zdławienia, prawie duszności, zbudził się prostując powoli. Patrzył w dalekie pola, gdzie zapalały się paliki świeżo ostrugane, jeszcze nie powiązane zasiekami. Zachód się zadymia. Wieczór kładł światła niskie i chwiejne, jakby odbłask zamykanego w dali okna. Siedział tak długą chwilę. Co to było? — myślał zatrwożony. Słów usłyszanych nie wypowiedziały przy nim żywe usta. Na wzgórzu by sam. Wierzył, że piątka przed godziną pożegnana nie żyje. Wierzył jasnosłyszeniu, ale zawsze te stany, napastujące go niespodziewanie, napełniały niepokojem i nieufnością do siebie samego. Wstał. Ścieżka pod nim powlekała się ogniem. Górą las, wykuty w miedzi, tak milczał, nigdy nie zgadłbyś, że

kryje w sobie obóz ćwiczebny i grupę partyzancką. Chwytając się gałęzi ześlizgnął się po zeschniętych wrzósach na stoku. Nie dochodząc do zakrętu usłyszał głosy nadjeżdżających rowerzystów.

Zygmunt stanął pierwszy. Jego rudawe włosy gorzały w zachodzie, a blizna nad skronią świeciła jak świeżo zlepiąca.

— Gdzieś się zaszył, szukałem cię — powiedział — Wiesz, co on gada? — pokazał na Okonia, który poprawiał pistolet maszynowy wystający mu spod wiatrówki. — Całą twoją piątkę zrąbali!

Maciej milczał. Nie lubił swoich „niesamowitych stanów” wywlekać, krył się z nimi i wstydził się trochę.

— Chcesz tam z nami pojechać?

Maciej skinął głową. Serce mu biło mocno aż do bólu. Zsadził jednego z partyzantów. Pojechali we trzech. Zygmunt, Maciej, Okoń.

Słońce po krzewach bluzgało żarem otwartego pieca, twarze i ramiona zanurzali w płynny blask, gdy koła rowerów obracały się w wilgotnym cieniu ścieżki, potykały się w chłodzie podnoszącego się wieczoru.

Kilka razy schodzili i brnęli w strudze miłkiego piachu. Na prawo i na lewo ryły się rowy, rozbudowane stanowiska i rozpoczęte bunkry przyszłego frontu.

— Ale spyskali rolę — odezwał się Okoń deptając pedały. — A jak co do czego, to i tak zwieją... Oni tylko żeby narodowi nie dać spoczynku.

Koła rżnęły się w głębokim piachu.

Za porębą stała już fura i chłopci z obnażonymi głowami rozstąpili się na widok nadjeżdżających. Cała piątka leżała na szkarpie. Nad nimi stał mały chłopiec, może ośmioletni, trzymający krowę na postronku. W takt jej międlącego sennie pyska, opowiadał rozwlekłe, drapiąc się po brunatnych lydkach, to znowu, spojrzawszy na zwłoki leżące pod nim, zacichał i gubił wątek.

— Kto do nich strzelał?

— Kto? — obruszył się wąsaty chłop. — Kto, jak nie ten Lucyper z pancerki, co stoi we dworze w Dalewicach.

Polegli leżeli przytuleni do siebie, jakby uchylając się przed kulami. Topór obejmował ramieniem plecy Zośki. Zygmunt zeskoczył do rowu i poodwracał zwłoki. Krwi nie było znać. Gruby kurz wchłonął wszystko. Grudki czarnego błota przyłgnęły im do podziurawionych piersi, piach był w otwartych ustach, szarymi plamami przyłgnął do czół wspartych o ziemię. Nawet pod na wpół uniesioną powieką było pełno ziaren piasku. To już nie byli oni. Podziurawieni kulami, wyglądali jak kukły, z których wysypuje się ziarnista, jałowa ziemia i kurzawa. Oni już stawali się ziemią, z której powstał i w którą mieli powrócić.

Zwłoki złożono na furę, przyrzucano kocem. Ruszyli noga za nogą. Chłopi gadali półgłosem, nie kierując się z wyrzutami specjalnie do nich, ale raczej z antycznym spokojem winiąc epokę i Boga. Z kurzem poruszonym kołami dymił mrok. Gdy pierwsza gwiazda zakolysała się nad skrajem lasu, zaczęli kopanie grobu.

Maciejowi trudno było w całą tę śmierć uwierzyć. Piątka była z sąsiedniej wsi. Po kursie puszczo ich do domu. Nie mieli nic obciążającego przy sobie. Z tyłu nadjechał pancerny samochód Obergruppenführera SS Baumgardtena i wypruł im serię z maszynki po plecach. Auto nie zatrzymało się, nawet nie sprawdzano papierów pomordowanych. Maciej widzi młode ciała wciśnięte w rów. Dokoła chłopci milczą, nad rowem pastuszek, z nozdrzy przeżuwającej krowy tryskają jak z kadzielnicy dwa strumienie miedzianej pary. Ten obraz zostanie w nim na zawsze.

Narąbanymi gałęziami jedliny wymoszczono dół. Gwiazd nasypało się więcej i twarze chłopców wyrównanych w dwuszeregu bieleły na polanie.

Gdy tylko rozeszła się wiadomość o wyprawie, wszyscy pchali się na ochotnika. Sprawa nie była prosta. Dwór w Dalewicach, gdzie mieszkał dozorujący na tym odcinku robót fortyfikacyjnych Obergruppenführer SS Baumgardten był otoczony dwiema liniami zasieków, strzeżony bunkrami z karabinami maszynowymi. Sam Baumgardten, na którego wyrok polskie organizacje wydały dawno, od czasu, jak go postrzelono z zasadzki, ściągnął do siebie kompanię Ukraińców i nawet po sąsiednich wioskach robił wypadki tylko autem pancernym. Zjawiał się niespodziewanie na robotach, zawsze w otoczeniu kilkunastu SS-mannów, trzymających w pogotowiu rozpylacze. Dopadał wtedy pracujących, których z daleka obserwował przez lornetkę, klnąc na opieszałość, bił szpicrutą i szczuł psem. Kilku chłopów, którzy uchylali się od robót, kryjąc się po stodołach, we wielkiej obławie wyłowił i wysłał do Oświęcimia.

Były dwie możliwości — albo całą grupą uderzyć na dwór i w walce ich zetrzeć, albo w kilku zacząć się w pobliżu i zdmuchnąć szkopa, zanim się strażę spostrzegą. Pierwszy plan zdradziłby pobyt większego oddziału partyzanckiego i mógł rozpętać pacyfikację powiatu. Zostali przy drugim.

— Im nas mniej pójdzie, tym większa szansa, że go się złapie.

— Moglibyśmy podejść rowami na robotę — zaproponował Maciej. — Wzielibyśmy łopaty, nikt by nie zauważył.

— Ludzie cię zawsze zwęszą, będziesz musiał godzinami tkwić, a on może całkiem gdzie indziej pojechać. Najlepiej byłoby go sprzątnąć na własnych śmieciach.

— Więc ilu weźmiesz?

— Trzech, czterech... Okonia muszę, bo zna okolicę. Zawalę, znasz go, idzie bykiem na każdego, Liska, no i ciebie, o ile chcesz?

— Nie pytaj się głupio, tylko pamiętaj, że we wtorek urlop mi się kończy i muszę wracać.

— Jak dobrze pójdzie, to w ciągu jednego dnia go załatwimy. — Bądź spokojny. Chłopcy! — zwrócił się do wywołanych partyzantów — pobrać żywność i niech każdy weźmie „empi”.

— Parę granatów też nie zawadzi — dodał Okoń.

O dziewiątej ruszyli na przelaj polami. Noc była, jak to przed nowiem, ciemna i szeroka. Gwiazdy się tliły na skibach. Opary wstawaly z rowów.

Daleko na niebie zamigotały czasem ogniki i pomrukiwał front.

Maszerowali miedzami, z dala od drogi. Noc pochlodniała. Rosa osiadała na bluzach.

Gdy przystanęli w łysiejacej już olszynie, Zygmunt pozwolił zapalić.

— Chcielibyście się rozgrzać? — zapytał Zawala. Szelmowska radość drgała mu w głosie.

— Masz termos?

— Tak — parsknął odwracając się ku nim. — Monopolowy!

Łyknęli. Wódka zabulgotała w gardłach, rozgrzewała.

— No jazda, jazda, panowie — poganiał ich Zygmunt. Papieros przeświecał przez stulone palce, jak z różowej muszli. Cisza była zupełna. Nasypało się mnóstwo gwiazd. Nagle usłyszeli wysoko wibrujący półton. Grał pod niebem i rosnąc dudnił w czaszce. Przystanęli. Przelot bombowców.

— Idą bez świateł — szepnął któryś — sowieckie...

Klucz po kluczu przewalał się nad nimi na zachód, ku skomlącym syrenami miastom skulonym w mroku.

Maciej szedł obok Zygmunta.

— Mam taki plan: jak wejdziemy do Dalewic, walimy prosto do naszego kaprała, do Poznaniaka z terenówki. Tam byśmy się zatrzymali, zanim się nie rozej-

rzymy, jak się do szwaba dobrać. Mamy tam jeszcze kilku ludzi, ale nie chciałbym się z nimi jawnie spotykać.

— Dobrze idziemy?

— Okoń kręcił się tutaj, przez niego są kontakty.

Idący na przodzie zatrzymał się, poczekał, aż podej-
dą. Maciej dopiero po głosie go poznał.

— Panie poruczniku, byłem już tu raz. Poznaniak pokazywał mi, gdzie mieszka z córką, ale czy tak po nocy prosto zaprowadzę, tobym nie przysiągł.

Na wschodzie niebo uniosło się i pojaśniało. Wyszli z lasu wprost na drogę. Było zimno. Dwieście metrów przed nimi ciemniały podobne do stogów dachy chałup. Strzechy opadały na stoku czarnymi schodami. Droga ujęta w plecione płoty spała. Dwór był na samym końcu wsi, za strugą, na małym wzniesieniu. Była to pora tuż przed świtaniem, chwila pełna martwoty, kiedy wszystko tkwi zdrętwiałe, nawet psy śpią mocno, z nosem wetkniętym w wilgotną sierść.

Stali ciasną gromadką.

— To tam — wskazał Okoń. — Świeci się na wartowni.

— Czuwają — zamruczał Zawala. — Trudno się będzie do nich dobrać.

Z chwilą gdy wynurzyli się z lasu, czuli niepokój i osamotnienie. Zaczynała się nierówna gra.

— Prowadź — trącił Maciej Okonia. — Musimy szukać meliny, za chwilę będzie jasno. — Ruszyli. Okoń zrobił kilka wahających kroków. Kręcił głową niespokojnie. Dał im znak, żeby się zatrzymali. Podeszedł pod samą ścianę i zajrzał przez zapoconą szybkę do chałupy.

— Co tam wieszysz?

— Nie, to nie tu! Panie poruczniku — zameldował z determinacją — wszystko mi się pokręciło.

Gwiazdy nad nimi bładły.

— Cholera — zaklął Zawala. — Byleś tu i nie trafisz?

— Byłem tylko raz!

— No i co teraz? — zapytał Maciej.

— Odszkodźmy od wsi. Niezła byłaby ta chałupa, na lewo od lasu. Widzisz, tam już świecą.

Przecięli wieś. Ciężki od rosy lubin przemoczył im nogawki. Chata otoczona kilku drzewinami, stara i niska. W dachu miała okienko, górowało nad wsią.

— Jakbyś stanął na stryszku i wytknął lufę przez strzechę, nikt nie ma prawa cię podejść. Obstrzał jak złoto.

Przez naddartą zasłonę błyskało żółte światło. Wyjrzeli za chlew.

— Stąd i do lasu jeden skok...

Zygmunt zapukał w okno. Prawie natychmiast odezwał się męski głos.

— Kto tam?

— Otwierać, swoi!

— Co za swoi?

— Otwierać — odpowiedzieli chórem — chłopcy z lasu!

Zawala nacisnął ramieniem deski, zamek zaskrzypiał i zasuwą puściła. Na dole zaczęły psy naszczekiwać. Najpierw jeden, potem wszystkie. Usłyszeli z daleka gwizdanie niemieckiej piosenki.

— Patrol się ruszył — szepnął Lisek.

— Panowie — wychylił się do nich odświeżnie ubrany gospodarz — panowie, nie idźcie do mnie, panowie...

— Włazić — syknął Zawala zaganiając ich do sieni. — Cicho — powiedział groźnie do chłopca — ile was jest rodziny?

— Dwoje. Ja i żona.

— Dzieci nie ma?

— Jest syn, ale w Niemczech, na robocie.

— Dobrze się składa. Zostaniemy u was przez dzień. Ani mru mru o tym, bo kula w łeb, rozumiecie?

— Niedobry znak, wołałbym nie w tym domu...

— Głupiś — obruszył się Zygmunt — nic ci nie będzie...

Otwarli drzwi do izby. Stanęli na progu zaskoczeni. Świece dopalały się rzucając nikły blask. Na zsuniętych stołach stała otwarta trumna, a w niej ciemniała twarz uśpionej staruszki.

— Niedobry znak, wołałbym nie w tym domu...

— Co jej się stało? — zapytał Maciej zdejmując czapkę.

— Pomarła. To moja matka, na dziewiąty krzyżyk jej szło.

Teraz kobieta, której dotąd prawie nie dostrzegli, bo klęcząca z boku przy łóżku z twarzą wtuloną w poduszki, odwróciła się ku nim. Widać modląc się zadrzemała, zaczerwienione oczy patrzyły nieprzytomnie, kosmyki włosów lepiły się do wilgotnego policzka.

— Za późno, chłopcy, na szukanie. Zostajemy tu, ojciec — przeciął wahanie Zygmunt. — Nawet jakby się ruch zrobił, wszyscy się nieboszczką zajmą i nikt o nas nie pomyśli. No, ruszcie się, ojciec, pokażcie, gdzie moglibyśmy dzień przeczekać?

Kobieta nagłe zadrżała, łzy jej spływały po policzkach.

— Idźcie sobie, idźcie — błagała — chcecie nowe nieszczęście na dom sprowadzić...

Chłopcy rozleźli się po obu stronach sionki, tylko Maciej podszedł ku zwłokom i w zamyśleniu patrzył na czarne, spracowane palce ściskające święty obrazek.

— Tak — myślał — ściskała pewnie bilet, gdy jechała do Krakowa koleją...

Duszno było od zapachu świec i stęchłej woni wilgotnej pościeli. Koguty piałły za ścianą. W izbie zmętniało powietrze. W oknie zbieła od pary stał dzień.

Maciej na ochotnika wdrapał się na stryszek. Chłop szedł przed nim, więcej mącąc drogę niż oświetlając pryskającą karbidówką. Powietrze było zimne i nieruchome. Maciej był niespokojny, nie było to jakieś określone przeczucie, raczej ugięcie się, poddanie lękowi. Na bielonym słupie przewodów kominowych wisiała stara baranica, ten kształt dziwnie bezsilny budził odrazę. Gdy chłop odsunął się i przyświecił, zrobiło mu się niewyraźnie: pod kożuchem stały dwie trumny i wystrugane krzyżyki leżały oparte o ścianę.

Chłop poprawił wieka. Stał na skrzyni z owsem, zdjął przezornie z haka wędzoną szynkę i objaśnił spokojnie.

— Tu możecie siedzieć, drabkę odstawię, żeby wam nikt nie wlaził.

— A te trumny — zaczął niepewnie Maciej.

— Te trumny — to dla mnie i dla mojej. Czasy teraz takie, że lepiej mieć na podorędziu, bo gotowi jak psa zakopać. Tanio je kupilem, jeszcze pierwszego roku — popukał palcem — dębowe, zdrowe drzewo.

Maciej opuścił klapę wjazdu. Nie podchodził do okienka, tylko wywiercił kołkiem dziurę w zbutwiałej słomie poszycia. Na prawo, w różowym świetle porannym, widział stodoły wsiove, kilka drzew, na których rumieniły się ostatnie liście. Przed nim było pole, aż niebieski od rosy lubin, kawalkiem zaorany, świecił zielono, przywalony skibami. Krajem szła ścieżka ku wiosce. Dalej, aż po horyzont, łagodne garby wzgórz, ponacinane miejscami meandrem rowów strzeleckich.

Gdyby próbowali ich obejść, potrafi Niemców zatrzymać, dopóki reszta towarzyszy nie uskoczy w las. Niski, krzaczasty zagaj podchodził pod samą wieś. To napelniało spokojem.

Było mu zimno. Okrył się starym kożuchem. Rozejrzał się, gdzieby usiąść. Nie wolno mu było dreptać po

strychu, bo deski skrzypiały i na dole mógł go ktoś posłyszeć.

— Choć na pewno pomyśleliby, że to nieboszczka — szepnął uśmiechając się. Przysiadł na trumnach. Ponad odór kudłów baranicy, jałową woń kurzu i słomy, zapachniały mu cierpko jabłka.

Trącił nogą w deskę, zadudniło tępo. Wstał i podniósł wieko.

Buchnął aromat jesieni. Trumny były pełne jabłek ułożonych warstwami na sianie.

Rozejrzał się. Przecież to na razie skrzynie, o trochę dziwnej formie. Deski przejdą rozkosznym zapachem — myślał gryząc cętkowaną złotą renetę — przyjemnie byłoby leżeć w tej woni jesiennej, w zapachu słodkich owoców.

Usiadł teraz na wieku naprzeciw okna. Przed nim obłoki sunęły szybko poza jedną widlastą gałęzią. Dzień był słoneczny, ale zrywał się chwilami wiatr, który miał napędzić chmury, zaciągnąć deszczem październikowym. Czasem liście przelatywały szybko jak ptaki. Na dachach z północnej strony ciemniał powoli srebrzysty szron.

Chłopcy byli pod nim. Leżeli obok siebie na rozścielonej słomie, w ciasnej komorze, pełnej starej uprząży. Pewnie już zjedli i teraz piją, choć jest zakaz, ale łyk przed zaśnięciem nie zaszkodzi.

Maciej był sam, chociaż siedł jak zawsze w gromadzie. Tyle razy ostrzegano go w organizacji — uważaj na siebie, jesteś fachowcem, tych będzie brakować. Masz się oszczędzać. — A czy inni się oszczędzali, a tych piecioro? Jeden bieg naprzeciw śmierci. Nie, nikt jej nie pragnął, ale że u kresu każdej godziny czeka z nią spotkanie, wiedział każdy. Dlatego nie warto o niej wspominać. Była oczywista jak broń, którą ścisnął w ręce.

Czyż śmierć miała znaczenie? Za wolność płacono najwyższą cenę. Wierzył, że z wojny tej, tak jak wal-

czyli gromadą, jeszcze bardziej zespoleni wyjdą, by razem odbudowywać Polskę. Był pewny, że polegli nie odstąpią ich na krok, że będą wywierać na nich niewidzialną presję, dźwigać ich ramiona i czujnie kształtować losy.

— Chłopcy, słuchajcie — szeptał do pomordowanych — doprowadźcie nam Baumgardena pod lufę.

Wierzył, że krew ich domaga się sprawiedliwości, że umarli mogą wiele uprosić.

Wyrzał. Pola rozpościerały się przed nim długimi zmarszczkami skib. Pierwsi ludzie kręcili się przed chałupami.

— Chcę wiedzieć, czy go sprzątniemy — szeptał w napięciu. Zasłonił sobie oczy, próbował przywołać widzenie. Siedział tak pochylony, prawie wstrzymując oddech. Pod powiekami miał obraz krowy z ostami wbitymi w sierść, i gałęzie czerwone od zachodu. Rozpraszała go mocna woń jabłek. Uśmiechnął się pobłażliwie, zaprzestając próżnych wysiłków.

— Głupiś, syneczku — westchnął sięgając po nowe jabłko.

Kilka razy zapadał w półsen, z którego otrząsał się zaniepokojony, z poczuciem winy. Głosy ludzi przechodziły bliżej, aż skupiły się w izbie z nieboszczką. Ćwierkanie wróbli w szparze przy kominie było prawie wiosenne. Na dole schodzili się żałobnicy. Podnosił się na palce i ogarniał pola. Był spokój. Bładowe słońce nie pozwalało ustalić godziny. Gromady ludzi pracowały na szanćcach.

Dzień toczył się leniwie.

Okno było już w cieniu, gdy usłyszał gwar w sieni — dojechała fura i w śpiewie żałobnym wyniesiono trumnę. Nieliczny kondukt zsunął się po stoku ku wiosce.

Dom opustoszał, tylko wróble hałasowały na podwórzu.

Właśnie sięgał po jabłko, gdy kłapa uniosła się po-

woli i w szparze ukazał się rozwichrzony łeb Zawala.

— Ej kolego, wszyscy poszli, złaźcie — rozejrzał się — a cóż wy tam...

Wskoczył i dobrał się do jabłek.

Gdy zleźli na dół, Zawala zadudnił pięścią po drzwiach.

— Wstawać, rebiata! Gospodarz poszedł się bawic z nieboszczką w chowanego. Wstawać! Można nareszcie kości rozprostować.

Okoń i Lisek zerwali się szybko. W komorze było ciemno i duszno od zleżalej skóry.

— No, co tam słyhać na górze? — ziewał przeciągając się Zygmunt. — Miałem rację, że tu będzie bezpiecznie.

— Ale nasza sprawa nie posunęła się ani o krok. Baumgartenowi zaproszenia nie pošlesz.

— Nie, raczej liczę na przypadek. Wiem już, gdzie mieszka Poznaniak. Dowiedziałem się od gospodarza. Jak tylko się ściemni, to Okoń po niego skoczy. A coś ty tam robił? Myśmy przespali się nieźle.

— Zastąłem go, jak z trumny wyjadał — krzyknął Zawala ciskając w nich jabłkami.

Chłopcy rozsiedli się dokoła pieca, tylko Lisek węszył po szafach. Zegar zazgrzytał, długo wahał się, zanim wystękał godzinę.

— No, zmiana warty. Kto z was idzie na górę?

Okoń obejrzał się niespokojnie.

— Wiecie, że dla duszy najgorszy czas, zanim w ziemi poświęcanej zwłoki spoczną. Wtedy pomodlić się za nią i poprosić, to zawsze się spełni, bo to jej pierwsza prośba przed Bogiem.

— Wobec tego klękać, chłopcy — zakomenderował na wpół błaznując Zygmunt. — Prośmy, żeby nam naogoniła Baumgardtena!

— Ja nawet jestem gotów jej cierpienia czyśćcowe

wziąć na siebie — zaśmiał się chępliwie Zawala.

Przyklękli, ale w ich modlitwie nie było kpín, każdy miał przed oczami kolegów, których śmierć zaskoczyła znienacka.

— A teraz czas na stypę — odezwał się Okoń, który wypatrzył w szafie butelczynę schowaną dla żałobników. — Panowie, pod nieboszczkę! Niech im się dobrze chowa!

Nocą Okoń sprowadził Poznaniaka. W świetle lampy błyskał siwawym wąsem i bystrzymi oczami.

— Tylko tyłu was — zdziwił się rozczarowany — nie dacie rady. Jeżeli go nie sprzątniecie, a ruch się zrobi, to ludzi wybiją, wioskę spalą... On teraz ostrożny.

— Może bym mu minę założył w samej bramie, jak się wyjeżdża z parku — poddał Maciej — musiałby na nią najechać.

— A jak furmanka pójdzie pierwsza? Dziś i jutro na pewno się nie ruszy, bo pancerka zepsuta, reperują pod szopą.

— Nie klei się nam ta robota — syknął Zygmunt. — Trzeba będzie pokręcić się koło dworu, może wpadniemy na sposób.

Noc była ciemna jak zwykle przed nowiem. Gwiazd jeszcze nie zaostrzył przedranny przymrozek, błyskały miękko i mgliście. Nawiewało wilgocią od łąk.

Na progu rozstali się. Maciej i Lisek w komorze czekali z L-K-Mem. Zygmunt zabrał Zawalę i Okonia, cicho niknąc za parkanem. Maciej zasypiając słyszał za ścianą basowe gderanie gospodarza i piskliwe pochlipywanie żony. Nie było w nim lez, tylko obrzędowy żal skowyczał jak wiatr obijający się o ścianę.

Chłopcy wycierając nosy, klnąc półgłosem, wrócili po północy.

— Idziemy? — uniósł się przebudzony Lisek.

— Nie — uciął Zawala — kiblujemy tu jeszcze ju-

trzejszy dzień, a potem, zdaje się, trzeba będzie ściągnąć resztę chłopaków, jeżeli chcemy z nim skończyć. Tu tylko siłą można.

— Dwór dobrze obstawiony. Ostrzegaliśmy nas Poznaniak, że w parku drutów do diabła, zresztą wachy chodzą z pieskami, samiśmy widzieli.

Składali ciężko ryszturnek, zegnali się i kładli drząc z zimna i niedawnego napięcia.

— Kto jutro idzie na górę?

— Ja — powiedział Zawala przypominając sobie jabłka — gotów jestem się dla was poświęcić.

Było koło jedenastej, gospodyni przyniosła im gorącego mleka. Chlipali zadowoleni z parujących kubków. Potem Zawala, robiąc małpie miny do kieszonkowego lusterka, zaczął się przyczesywać. Nagle grzebień wyprysnął mu na ziemię.

— Oho, będzie gość — powiedziała gospodyni splatając ręce pod fartuchem.

— Myślę, że już gości macie dość — zaśmiał się Maciej złośliwie.

— Któż dziś jest częściej niespodziewanym gościem, jak nie Niemiec. Gdyby tu przyszli, dopiero by się zdziwili.

Ale dzień znów wiatry jesienne rozdmuchiwały pogodnie. Gospodarz przyniósł gazetę. Wczytywali się w komunikat, kilka miast było planowo opuszczonych, front się przybliżał.

— Więc, braciszku, o zmierzchu idziemy do swoich. Nic tu nie dziaaliśmy — mrucał Zygmunt.

— W robocie nie może być improwizacji i liczenia na szczęście, ludzi łatwo wytracić — dodał z tchórzliwym rozsądkiem Lisek.

— Tylko ty ludzi nie żałuj — obruszył się Zawala. — Dosyć ich co dnia ginie bez walki. Mam żal do naszej nieboszczki, nie nagnała nam szwaba. — Zakręcił

się zmierzając ku drzwiom: Trzeba zobaczyć, jak się sprawuje Okoń na stryszku, może wyżarł wszystkie jabłka i nakrył się już wiekiem...

Zygmunt siedział nad mapą. Za oknem żółtawe obłoki przewalały się po szczytach grusz.

— Co tam Okoń — wychylił się Zygmunt w sień. W otwartej klapie pokazała się czerwona gęba Zawały, wymamrotał meldunek gębą pełną jabłka.

— Gadaj wyraźniej!

— Jakaś dziewczynka tu leci, mało majtek nie zgubi. Lepiej — tu wykonał nad nimi magiczny krąg ramieniem — zniknąć!

Cofnęli się do starej komórki. Okoń z Zawałą zawisli w otworze stryszku. Koniec drabiny powoli kołysząc się wjeżdżał na górę. Sień zaparła sobą gospodyni. Dziewczynka prawie wpadła na nią, i zadyszany głos dzwonił z niecierpliwością.

— Gdzie oni są, pani Stachoniowa, gdzie partyzanty?

Gospodyni była nieporuszona, nadęła się tylko do odmownej odpowiedzi.

— Pani Stachoniowa, oni muszą uciekać, ojciec mnie posłał! Niemcy idą przez wieś!

Zygmunt wysunął się pierwszy. Automat, który trzymał w ręce, rozstrzygał wątpliwości. Dziecko zwróciło się teraz wprost do niego.

— Uciekajcie, idą Niemcy!

— Ilu ich jest?

— Ojciec mówił, że czternastu.

— Baumgardten jest z nimi?

— Jest. Chodzi po chałupach, bije ludzi i goni na kopanie!

— Słyszycie, chłopcy? Wylazł nam, wylazł nam! Brawo, nieboszczka — ryknął z góry Zawała opuszczając drabinę.

Zbili się w drzwiach.

— Pokaż, gdzie oni są?

— Tam w dole, idą ode dwora...

Nie było na co czekać.

— Okoń i Lisek, jazda z L-K-Mem na dach, jak się zrobi gorąco, grzać po gałęziach parku, przyhamujecie szwabów. My we trzech idziemy ich przywitać.

Dzień był jasny, słońce nikłe i roztarte. Chmury rzucały na ziemię lekkie plamy cienia. Powietrze pachniało suchą ziemią, więdnięcymi liśćmi i poruszonym nawozem. Maciej odetchnął głęboko. Biegli ścieżką ku wsi. Między opłotkami przystanęli na chwilę.

— Słuchaj — objaśnił go Zygmunt. — Baumgardten chłop jak dąb, hauptman. Chodzi zwykle z psem, czarny wilczur. Pamiętaj, przede wszystkim jego. Zresztą idziemy razem. Trzymać się mnie.

Teraz, gdy posuwali się skokami od chałupy do chałupy, wioska rozciągała się na spodzie. Ogródki były pełne zwiędłych ziół, pachniały nagrzanymi, zdeptanymi jesienią badyłami. Serca biły mocno.

— Gdzie on jest? — zapytał Zawała zsuwając czapkę z rozgrzanego czoła. Kieszenie spodni miał rozepchane jabłkami, wisiały mu na udach, jak torby.

— Dajże jedno — złapał go Maciej. Otarł jabłko i gryzł nerwowo.

— Tam — dyszała dziewczynka — jeszcze niżej. — Nogi jej grzęzły w ciepłym kurzu. Biegła cały czas przy nich.

— Nie idź dalej — zatrzymał ją za rękę Zygmunt. Postawił ją pod bieloną ścianą, na której kilka ostatnich much grzało się w słońcu.

— Zostań tu! Tam będzie gorąco — rozkazał.

Stała posłusznie. Kucnęła za parkanem, ale nie zawróciła. Czekala z szeroko otwartymi oczami. Dolna warga uchylonych ust marszczyła się jak do płaczu.

Ludzie uprzedzeni o najściu Niemców biegli pod górę mijając chłopców. Maciej odbezpieczył pistolet masynowy. Zbiegali niesieni pochyłością. Broń ledwie

przysłonięta połami kurtek, lufy i kolby sterczały wyraźnie.

— Panowie — zagroziła im drogę jakaś baba, włosy nad czołem burzył jej wiatr. Maciej poczuł jego przemijający smak. — Panowie, nie idźcie tam! Tam jest ten Antykryst!

— Nie bójcie się, matka — lekceważąco mijali ją.

— Uciekajcie, chłopoki — krzyczała druga — bije ludzi i kopie jak te psy...

— Daleko jeszcze? — zapytał Zawąta. Niemców nie było widać, tylko ludzie przemykali się za chałupami.

— Teraz jest u Pawłasów, ino ino...

Musiałoby być blisko, bo przed nimi droga zrobiła się pusta. Psy tylko w dole ujadaly. Teraz już usłyszeli Niemców.

Maciej wsunął nadgryzione jabłko w kieszeń.

Przebiegli we trzech, przechyleni pod parkanem. Dwaj Ukraińcy, plecami zwrócenii do drogi, wpatrywali się w otwarte drzwi chałupy. Stamtąd słychać było ryki i brzęk bitego naczynia. Nagle wypadła skulona dziewczyna zasłaniając głowę obnażonymi rękami na których występowały w oczach wiśniowe pręgi.

Za nią stanął w drzwiach barczysty oficer. Twarz miał opaloną długim, pogodnym latem. Usta otwarte w krzyku. Był tak wysoki, że przytrzymując okrągłą czapkę, przygiął się przestępując próg. Wtedy w rozchyleniu skórzanej kurtki zamigotała mu wstążka Żelaznego Krzyża. Za nim stali żołnierze, jeszcze po pas w cieniu, tylko ręce i broń dobywało słońce wpadające w sień.

— Mamy go — krzyknął Zygmunt.

Wyskoczyli. Serie z trzech automatów cięły po nich. Baumgardten zrobił teraz krok naprzód, przechylił głowę, czapka potoczyła się. Blond włosy rozdmuchiwał mu wiatr. Powoli obracał się uniesiony na palcach i na-

gle, jakby natrafiwszy na niewidzialną ścianę, zsunął się po niej, padając w wytartą trawę podwórza.

Maciej krótkimi seriami ustrzelił dwóch. Twarz wykrzywiała mu nienawiść. Padali tak szybko, że aż budziło to śmiech. Zawala skoczył do sieni. Niemcy wypryskiwali z niej rozpraszając się po podwórzu. Maciej widział, jak kilku biegło, krzycząc dziko, przez pole. Niski podoficer wskoczył do chlewa, chciał zawrócić, na progu zderzył się z Zawalą. Skoczyli sobie do gardel i tarzali się w mierzwie. Maciej bił krótkimi seriami po uciekających. Nie próbowali oporu. Jeden z nich pochylił się i powoli, jakby wybierał wygodną bruzdę, położył się na oranem.

— Niemiec, Niemiec — usłyszał pisk dziewczynki. Szarpnęła Macieja za spodnie, pokazując na róg stodoły. Gdy tylko spróbował się wychylić, wystrzał przeszedł mu tuż przed twarzą. Cofnął się. Tamten stał ścisnąc karabin o dwa kroki od węgla. Stali tak blisko siebie, czekając, aż któryś pierwszy wyjdzie na strzał. Maciej nie mógł go dosięgnąć. Dygotał cały.

Teraz odezwały się z dworu dwa karabiny maszynowe. Potem trzeci i więcej, bo już nie odróżniłbyś szybkiego mlócenia wystrzałów. Kule szły nad nimi wysoko. Niemcy stracili głowę. Nie mieli jeszcze jasnego obrazu sytuacji. Bali się bić po swoich. Cięli seriami niebo. Nie było na co czekać.

— Zygmunt — krzyknął Maciej — zajdź go z tyłu. — Obejrzał się. Za nim ludzie uciekali z okopów, porzucając łopaty i kilofy, całe wzgórza zaroily się od biegnących w stronę lasu.

— Zabij go — trącała go stojąca z tyłu dziewczynka. Wąski jej pyszczek ścinało okrucieństwo. — Przecież potrafisz go zabić!

Maciej odsunął ją ręką. Oczy miała czarne jak tarki. Sięgnął do kieszeni. Natrafił na jabłko. Przełożył je szybko.

Teraz wyciągnął granat, odbezpieczył i odczekawszy podrzucił za węgiel stodoly. Grzmot przewalił się po belkach. Dmuchięło mu w twarz kurzem ze słomy. Dziewczynka wyjrzała pierwsza.

— Rozerwało go — krzyknęła triumfująco. Niemiec leżał zwinięty pod ścianą, w zeschniętych łopuchach.

Maciej zawrócił na podwórze. Zygmunt stał przechylony z wyciągniętą ręką, twarz miał jak z kamienia, strzelał raz po raz do Niemca wciśniętego pod żłób. Zawala leżał na słomie, pod krową, która po każdym strzale wierzgała miotając klaki mierzwy aż za próg.

— Dostałeś — nachylił się nad nim Maciej odpychając zad krwi.

Trup Niemca patrzył otwartymi oczami, jak dźwigali rannego kolegę.

— Uderzyłem go w łufę, przestrelili mi udo. Potem chciał mnie dobić. Kulaliśmy się pod krowiną, widzę, że nie dam rady, zacząłem wołać Zygmunta. Pomóżcie mi, może sam...

Ledwie go złapali, przewracał się. Pobladał od bólu. Duża ciemna plama krwi, występowała na spodniach.

— Kość przestrelona — zajęczał. Wsparły ramieniem Macieja przekroczył zwłoki Baumgardtena. Mimo cierpienia obejrzał się triumfująco. — Aleśmy go dostali! — Potem zainteresował się. — Obszukaliście mu kieszenie? Patrzcie, on ma na ręce zegarek! Prędeż, — poganiał Zygmunt, który odpinał rzemyk i wyciągał portfel zabitemu. — Musimy wiać!

Na dole słyhać było gęstą strzelaninę i nawoływania zbiegających się Ukraińców.

Dziewczynka nie odstępowała ich na krok. Przerzucili automaty przez plecy, splekli ręce dźwigając Zawalę, który objął ich ramionami. Drobiąc z wysiłku, przebiegali za chałupami. Dyszeli. Droga pod górę odpychała.

— Niemcy ju wyszli ze dworu — zawołała oglądając się mała — uciekajcie!

Maciej teraz spostrzegł, że dziewczynka ściska w brudnej rączce wstążkę Żelaznego Krzyża.

— Rzuć to — krzyknął — bo jak u was znajdą, spalą chałupę!

Pierwszy raz nie posłuchała.

— Jo to schowam — krzyknęła kryjąc ręce za siebie, jakby już jej miał odebrać.

Pięli się pod górę powoli. Zawala ciężył im coraz bardziej, jęczał przez zaciśnięte zęby. Pot piekł ich ściekając do oczu.

— Słuchajcie — powiedział nagle — nie zdążycie, zostawcie mnie, ja ich przytrzymam.

— Nie bądź głupi — warknął Zygmunt. Mocując się podbiegli kilka kroków.

— Zostawcie mnie, to boli jak sk... — syczał — puśćcie mnie do cholery!

— Nie — dyszał Maciej — wlecemy go dalej!

— Zastanówcie się, jak nas zobaczą, wsiąkniecie obaj!

— Zostawcie go u nas — pisnęła mała — tam jest nasza stodoła, zakopiemy go w sianie.

Uśluhalili w milczeniu. Przewlekli go przez przełaz, skrzyli ku stodole. Mała już uchylała wrota. Dźwignęli go na sások i przywalili sianem. Ledwie odbiegli za ogród, już kule przychyliły ich między parkany.

— Widzą nas!

Jak zacięci biczem poderwali się biegnąc obok siebie.

— Ty cholerna smarkulo — mruczał pieśczoćliwie Zygmunt trzymając małą za rękę.

Już była przed nimi chałupa, w której nocowali. Nim zasłoniła ich, kule obskoczyły ich ciasno. Sykliwe miauknięcia mrowiem przechodziły po karku.

— Naprzód, chłopaki — krzyknął Maciej wpadając w sień. — Wiejemy! — Chałupa była pusta.

— Oni już zwiali — krzyknął Zygmunt. — Ale świnie!

W łubinie grzęzły stopy, brnęli coraz wolniej. Za nimi z wioski Niemcy nadbiegali półkolem. Las był o krok.

Nagle z krzaków przed nimi zatrzeszczał karabin maszynowy.

Wpadli między drzewa. Kawalek dalej Okoń z Li-
skiem, usadowieni w wykrocie, bili po tyralierze.

Gdy przedzierali się lasem, wystrzały cichły. Niemcy nie odważyli się atakować. Dokoła słychać było uciekających ludzi. Uchodzili w las przed represjami. Maciej zatrzymał jakąś babę przycupniętą w leszczynie i oddał jej małą.

— Pamiętaj, tylko tacie wolno ci o tamtym powiedzieć — pouczał ją klepiąc w płonący policzek. Potem wsadził rękę do kieszeni. Wydobył jabłko. Ugryzione miejsce jeszcze nie pociemniało. Cierpki, rzeźwy sok spływał w wyschnięte gardło.

— Nam powiedzieli, żeście wpadli... Wszyscy uciekali — tłumaczył Okoń. — Mówili, że was wystrzelali. Nie było na co czekać, więc cofnęliśmy się na kraj lasu...

— Skończyliśmy sukinsyna — rozprężył ramiona Zygmunt — no, a nie mówiłem wam...

— Zawała został — westchnął Maciej. Przystanęli. Nasłuchiwali. Daleko jeszcze bulgotała strzelanina.

Nocą, w pierwszym październikowym deszczu śpiącym powoli, podciągnięto furę i lekarza. Czekali na skraju lasu. Dwa patrole ściekały w opustoszałą wieś. Nikt na noc nie powrócił. Chałupy były pootwierane i mroczne. Tylko dwa reflektory migwały na dole we dworze. Przewracały wyolbrzymione cienie drzew w parku, lizaly srebrem strzechy. Niemcy czuwali.

Zygmunt prowadził ich ostrożnie. Długo nadsluchiwali pod drzwiami stodoły, potem wsunął się i wspiał na sások.

— Zawala, przyszedłszy po ciebie — wołał półgłosem.

Było cicho. Zacinał tylko drobny deszczyk po belkach. Stodoła była pusta. Przyśwecił latarką. Nawet krwi nie było znać na rozgrzebanym sianie.

— Złapali go — szepnął do Macieja, głos łamał mu się w zaciśniętym gardle. Stali bezsilnie.

Powoli wracano w milczeniu. Deszcz bił coraz gęstszy.

— Szkoda chłopca — wyszeptał wreszcie Maciej. To było wszystko.

Przed samym lasem natknęli się na dwóch chłopów ze wsi. Ściskali partyzantom ręce. Głosy ich w ciemności dźwięczały dumą, czuło się, że rozpiera ich radość.

— Aleście narabiali szwabów! Wiecie ilu? Siedmiu! I to bez żadnych strat...

— Żeście się w piątkę porwali na taką robotę...

— Straciliśmy takiego chłopca — mruknął Zygmunt — wy nie wiecie, wyście go nie znali, Zawala...

— Ten ranny — przerwał mu — Poznaniak go zabrał, ledwie się zmierzchało, jak go powieźli furmanką do Kocmyrzowa, do lekarza.

— Mają go wziąć do szpitala. Gmina wystawiła papiery, że jest od nas, że go partyzanci postrzelili...

— Słyszysz — krzyknął Zygmunt — nie dostali go!

Objął mocno Macieja, ściskając ze wszystkich sił. — Słyszysz, brachu, on żyje, wyciągnęli go! Miał chłop szczęście!

Ucałowali się. Pod wargami czuli mokre, nieogolone policzki.

— To się nazywa czysta robota — zacierał ręce Zygmunt.

Gdy ruszyli w stronę biwaku, nie było dla nich deszczu, który rozpadał się na dobre. Piosenka w ciemności zapaliła się sama, niosło ją zrywana wiatrem, zadzierżyście:

*„Bo dla naszej kompanii szturmowej
nie ma przeszkód, nie ma złych dróg!”*

— Pomściliśmy was — szepnął Maciej idąc za mą-
jącą przed nim plamą oddziału.

Pod deszczem słyszało się, tuż nad ziemią niósł się
pogłos dalekiego frontu. Armaty gadały bliżej. Czuł
głęboką radość. Podał twarz nawiewającej fali deszczu.
Ten głos, ze wszystkich, które nawiedzały go dotąd,
był najbardziej wróżebny.

Błoto Apenin ma kolor czerwony

JAN BIELATOWICZ.

Krew wysycha bardzo szybko. Ziemia schnie wolniej. Pamięć ludzka trochę leniwiej, niż krew. Ale nie później, niż mokra ziemia. Kiedy pamięć obeschnie i liście z drzewa żywej prawdy upadną na ziemię, a po nich przehula wiatr historii i stratuja je wiecznie za czymś pędzący ludzie, pozostają widma, sny, przypomnienia, legendy, wiersze, pieśni. Tyle w nich prawdy, ile zieleni w liściach, które upadły na ziemię.

„Nawet i ciebie, z tęsknotą,
Która graniczy z przesadą,
Wspominam, rodzime błoto,
Chlapiąca czekolado”.

Dlaczego się dziwić romansowej pani, że błoto pobudziło jej sny czekoladowe, kiedy nawet żołnierska piosenka we włoskiej przeróbce chlubi się słowami, odmieniającymi wierną treść zwrotki: „Quando nel fango debbo camminar...” — „Gdy będę maszerował w błocie... nie przestanę myśleć o tobie, Lili Marlen”?

Apenińskie błoto ma chyba tylko jedną właściwość czekolady Marii Pawlikowskiej: kolor. Czekolady mlecznej. Nie ma natomiast właściwości pobudzania

duszy do miłości, ni do pieśni. Przeciwnie, do przekleństw. Apeniny spływają zimą do morza. Jak głowa cukru wystawiona na ulewę, jak śnieżny balwan na słońce, nieuchronnie topnieją i obsypują się stożki, garby, lawice, wierchy i połoniny tych gór i ściekają wezbranymi rzekami ku dalekim przeznaczeniom ziemi. Apeniny zimą są olbrzymim plackiem błota. Miesi je razowymi rękami, tapla się w nim przyroda — z uśmiechem i grozą. Gdy człowiek wejdzie w tamte bagniste ostępy, wydaje mu się, że błoto sięga aż do dna ziemi, że topieł jego nie ma granic. To jest błoto żyjące, chwytające obcęgami nogi ludzkie, urągające oklepcami gliny, wywracające ludzi, drzewa i zwierzęta drwinami urwisk, rżące lawinami usypisk, tryskające napaśtliwie do oczu, kpiące z utartych przejsć, ośliniające garby gór, wylewające lawiny ze ścieków i stoków, strącające wędrowców spod szczytu Szklanej Góry, nie-nasycone zemstą nad życiem, niedopuszczające planów rolniczych i inżynierskich, mściwe nad nędzą, nieogarnione, nieosuszone, bezdenne, złe, żywe błoto. Jest ponad nim tylko jedna siła: wojna.

Tędy szła wojna. Front bardzo ciężki. A więc tu walczyli Polacy. Ulewne deszcze padały, gdy weszli na odcinek, ulewne deszcze i kopne śniegi towarzyszyły wszystkim ich bojom, ulewne deszcze zrywały mosty i zamulały drogi, gdy schodzili na krótki odpoczynek. Wtedy to dalej szalała niezmiękczona furia wiary i siły. „Wasza odwaga, zawziętość i wytrzymałość przewzyciężyły wszystkie trudności. Spędziście wroga z jego stanowisk i ścigaliście go setki mil poprzez teren, który jest jednym z najtrudniejszych do prowadzenia wojny w Europie” — brzmiał rozkaz dowódcy Osmej Armii na dzień Bożego Narodzenia. „Kto nie trzy, ale

siedem, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści dni i dłużej w piekielnym ogniu leży, kiedy jest się jednym z wielu w górach Apenin, gdy się dziesięćkroć i częściej do starcia z nieprzyjacielem staje, wtedy nie dziwi się nikt, że jeszcze żyje, bo żyje się dlatego, że się walczy, o walczy się dlatego "że się żyje". „A cudowi temu na imię: niemiecki grenadier” — pisało pismo żołnierzy niemieckich we Włoszech „Die Suedfront” (7.XI.44.). Nie ma zapewne bardziej trafnej charakterystyki żołnierza polskiego, jak w zdaniu Józefa Piłsudskiego: „Chciałbym w narodzie polskim widzieć psychologię szeregowca, który nawet przy najnieszczęśliwszych rezultatach bitwy zachować musi spokój i nie traci nigdy nadziei”. Iść do ataku, przez niekończące się horyzonty, w zimie, zawsze w deszcz i mróz i trwać tygodnie w rowie apenińskiego błota, kiedy co rano dusi obsypująca się glina — żywe groby chciały mieć Apeniny — a płuca wierci wilgoć, paść wielokroć, być rannym, być chorym, powstać, natrzeć i nie ulec — na to trzeba być Polakiem. O, gdybyż tak politycy nakłaniający naród do ustępstw mogli znaleźć się w grudniu 1944 roku na Monte Rinaldo w Apeninach i dotknąć jak Tomasz niewierny ran żołnierza, który sam brnął przez błoto w dół, aby umożliwić pracę patrolowi sanitarnemu na korzyść ciężiej rannych kolegów, choć sam był właściwie krwawym łachmanem, gdyby mogli posłuchać muzyki płuc plutonów, które obsadzały placówkę nad rzeką Sintria, nie śpiąc dni siedem i nie wyciągając nóg po kolana wbitych w błoto: gdyby mogli zobaczyć żołnierza w gorączce, który na wieść o natarciu samowolnie opuścił izbę chorych, aby „być z kolegami”, gdyby mogli odbyć choć ze dwa razy drogę z mulami i kucharzami ku linii w ciemne noce; gdyby spojrzeli w przedziwnie spokojne oczy umierającego artylerzysty porucznika Galasa; gdyby mieli chociaż wi-

zję ciał i ubiorów w czasie walki tych wszystkich ludzi, może by wtedy pojęli, jak rozpaczliwie ze wszech sił i nadludzka jest walka o Polskę tu, w okopach.

„Gdy studiuje się historię wojen, nie trzeba czytać rozpraw o strategii albo o zasadach wojny. Trzeba czytać biografie, pamiętniki, historyczne nowele... zaznajamiać się z ciałem i krwią, a nie ze szkieletem” — pisze w swych uroczych prelekcjach „o generalach i generalstwie” stary, mądry marszałek Archibald Wavell. Nie powiedzą nic świata i przyszłości o kampanii apenińskiej ani wyniki bitew, ani ciężarki i przyczynki operacyjnych encyklopedii, ani wojenne reportaże. I nie powie nikt, tak jak powiedzieć nie podobna o sile gromu lub zapachu białowieskiego lasu. Bo wojna to jest czar. Znają ten czar ci tylko, którzy są z nią ciałem i duszą związani codziennie na śmierć czy życie, a nie ci, którzy tylko przyjeżdżają do niej jak do dalekiej krewniaczki w gości. Kto się modlił nie raz i nie dwa pod ogniem w strzeleckim rowie, pozostanie wiernym wojnie.

Góra Lechicka była już zdobyta, parafia Trebbio leżała pod niemieckim ogniem, języki, forteczki, przystanki patroli nieprzyjaciela zlikwidowane, a jeden z batalionów karpackich podsuwał się zuchwale pod samo serce Castellacio. Jest to naturalne zamczysko skalne, szczerzące zęby kamienne na wszystkie strony. Trzeba było potwora obejść z tyłu, aby tam bić ciosami tak długo i mocno w cielsko niemieckiego oporu, aż wreszcie spełzną zeń jak jaszczurki ku dolinom feldgrauy, wydarłszy z wypieszczonych wnęków bebechy broni. Sunęły więc kolumny oznaczone świerkami ku Dovadoli (Podwójny Bród albo po prostu Brody). Na wojnie marzy się ciągle o domu. Wojna walczy z domem zaciekle. Wielka była uciecha, gdy wojsko mogło półtora dnia zamieszkać w Dovadoli. Taki postój dla

żołnierza oznacza, że trzeba załatwić trzy sprawy: wyprać bieliznę, znaleźć jakieś lepsze wino i zakochać się. Nie próbujcie przeczyć. Nie ma spraw ważniejszych między jedną bitwą a drugą. Dramatyczne i wzniosłe sprawy załatwia się raz tylko — przed pierwszą bitwą, a potem pozostaje już tylko czas na grzechy i złudzenia. Bo wojna, to jest zaćmienie ziemi. Wojna to jest poszukiwanie złudzeń życia i sposobów przeżycia. Wojna strąca z cokołów pomniki niewzruszonych zasad i ośmiesza te, które były poczytane za najpoważniejsze. Wojna, to jest potop nad kulturą, którego nie zatrzymają samotne ludzkie ręce. We Florencji na pomniku poległych Włochów „*Ai caduti pro patria*” niezgrabnym pędzlem namazano: NZ, ANZACS. Zakrekwirowano pomnik na własny użytek. Rodzinne meble Mussoliniego, inwentarz ubogiej chaty w Predappio spalono, wyrąbano, wyrąbano z korzeniami dęb na cmentarzu, pod którym czytywał, w zamku Rocca delle Caminate rozpruto biblioteki i podeptano rękopisy. W Warszawie...

Pracę w lodowatej wodzie jest trudno, zwłaszcza gdy nad brzegiem rzeki zjawia się „*fanciulla*”, trudniąca się bardzo popularnym na wojnie zawodem — wróżbiarstwem. Właściwą pracę wykonuje za nią papuga, wyciągająca karteczki ze skrzynki z receptami na szczęście, wydanymi przed wojną. To już taki przesąd żołnierzy, od czasów chyba dawniejszych, niż księcia Józefa, że wróżb się chętnie słucha. Zwłaszcza jeżeli objawicielką „*pianeta della fortuna*” jest cudna (któraż na wojnie nie jest cudna?) dziewczyna. We włosy ma wpiętą margaretkę, a oczy jej zdają się potwierdzać wróżby: „Szybciej niż myślisz nastąpi wielka zmiana w twym życiu”, „ale unikaj dróg do Wenecji!” „Twoja rodzina jest w strasznym niedostatku, więc przyjm za-

sadę: banknot stulirowy jest dobry, lecz dwustulirowy jeszcze lepszy". Wróżka jest tego samego zdania.

Za górami słychać gwałtowną bitwę. Czołgi i piechota szturmują Monte Fortino. Jutro pójdzie przedłużenie wysiłku. Pozostaje kilkanaście godzin na niezmienny program zabawy. Wino jest ordynarne, ale rozmarza. Panny włoskie powściągliwe, ale zachęcające. W ogródku ocienionym dwoma figami (nieskromne słowo w języku włoskim) siedzą dwie młode włoskie figi — Renata i Maria, uchodźczynie z Tripoli. Mała blondynka Maria o silnie zbudowanych udach pręży je całym kunsztem przyszłej kobiety i nie jest zdecydowana, komu posyłać więcej uśmiechów — żołnierzowi z piętra, który się jeszcze nie zdecydował od rana na przemówienie do niej, czy odważniejszemu a eleganckiemu porucznikowi broni pancernej, wybijającemu czar swej osobistości giętką trzcinką, rytmicznie trącającą ślicznie wyczyszczone żółte oficerskie buty. Renata, jak wszystkie Włoszki z kolonii afrykańskich, jest śniada, rysy ma arabskie, a spojrzenie jak kotwica na głębokiej wodzie. Bambina pelzają rozkosznie po podwórku mimo przenikliwego zimna (panny też są bez pończoch) i odślaniają rąbki sukni wstydliwym pannicom, które całą energię skupiają w uporczywym zasłanianiu ślicznych gładkich kolan. Jest jeszcze jedna żywa istota na podwórku: ocalała przed Niemcami gęś, oczekująca jakiegoś rodzinnego święta, a na razie podkarmiana suto z łaski współczujących żołnierzy o łakomym spojrzeniu. Łakome spojrzenia zresztą nie dotyczą tylko gęsi. Bo prawdą jest napis na włoskim dzbanku na mleko: „tutto passa, tutto vola, l'amor solo ti consola”. Z jakichś dziwnych skojarzeń rodzi się litewska piosenka: „A ja sobie pod Rygon, pod Rygon, Z Kowalowon Jadwigon...”. Co też mogła robić ta Jadwiga pod Rygą?

Piosenki jak przysłowia są mądrością narodów. To

też chyba najbardziej szczerą najbardziej serdeczną pieśnią włoską jest: „Mamma son tanto felice, perchè ritorno da te...”. Często też widuje się łzy w oczach polskich przy słowach: „Mamma! Ma la canzona mia piu bella sei tu”. Matko, Matko! Pieśń się rwie i następuje rozmowa. Żołnierze z Korpusu mówią już biegle po włosku. Są zdania, że samouczki są niepotrzebne, bo język włoski ogromnie łatwy. Ma bardzo krótkie wyrazy, jak np. *precipitevolissimevolmente* i jest tak słodki, że łamańce językowe typu „chrząszcz brzmi w trzcinie” są w nim niemożliwe. Bez zająknięcia można wypowiedzieć takie zdania: „Se oggi non e sereno, domani sereno sara, se non sara sereno, si rasserenera” lub „Sopra la panca la capra campa, sotto la panca la capra crepa”. Na widok od stóp do głów obłoconego żołnierza wykrzyknęła pewna Włoszka jednym tchem: „Aio un quel da immarle imparle inchirichitagliе, a so aude da un immarlador imparlador inchirichitagliador u la immarle imparle inchirichitagliе mei d'un maestar immarlador imparlador inchirichitagliador”. Miało to znaczyć po romańsku, że chce doprowadzić do porządku jego mundur.

Jesteśmy w prowincji Romania i nie trzeba się łudzić, że ludność tutejsza rozmawia po włosku. Przeciwnie chłopci miejscowi nie rozumieją języka włoskiego, a raczej można się z nimi dogadać po francusku: wino znaczy *vin*, a chleb *pain*. Natomiast bardzo nieprzystwoite znaczenie mają wyrazy: *Chicago* i *lord*. Romania! Kraj nędzy i wiecznego buntu, głodu i zmagania się z płoną, uciekającą spod rąk ziemią, włoskie Roztoki, pełne niewyżytych tęsknot tragicznych myślicieli, polityków i poetów: Giacomo i Giosue Carducci, Musoliniego, ziemia śmierci Dantego i Anity Garibaldi. Perły tej ziemi — Faenza, Forli, Rawenna leżą wdeptane w ziemię, gruzy pozostały z wsi i miasteczek. Wojna

jest nieobliczalną chimerą. Tu gdzie się jej najmniej spodziewano, na tych błotnych, górzystych perciach Apenin, gdzie się skupiali w nadziei przetrwania uchodźcy z północy i południa, rozszalała się właśnie najstraszliwiej.

Przez okno widać słup kilometrowy na szosie toskańsko-romańskiej, jak licznik wojny. Kolumna płynnie gościńcem na Forli i nagle, jak urzeczona, tuż za Castrocara, skręca w jakieś aleje winogradów na zachód. Forli i Faenza leżą przy szosie Emilia nr 9 na dolinie nadpadańskiej. Bramy wszelako Forli i Faenzy znadują się na wysokich piętrach Apenin. Po klucze do tych bram spinał się Korpus polski. Korpus od czasów Monte Cassino nie zna niewykonalnych zadań, nie ma w swych kronikach nieudanych natarć. Od dnia 7 listopada do 16 grudnia 1944 trwa wielka bitwa apenińska Dywizji Karpackiej, idącej w awangardzie ogólnej ofensywy sprzymierzonych. Kto by chciał w skrócie zobaczyć jak wygląda groza wielkiej bitwy, powinien odwiedzić Monte Fortino. Nad polem wielkiej bitwy przede wszystkim długo wiśi straszne powietrze z tymi zapachowymi specyfikami wojny, jakimi są rozkład ciał, swąd spalenizny i stalowo-siarczany oddech rozerwanych pocisków. Potem rzuca się w oczy umęczona ziemia, trupy drzew, starte drogi, ruiny domów Bożych i ludzkich, pomordowane bydło, okropne leje w zasiewach i wreszcie setki strzępów żołnierskiego bogactwa. Oto tli się jeszcze stóg, wielkie oczy żywcem spalonej krowy patrzą z rozpaczą na trupa niemieckiego grenadier. Obok niego strzępy listów i fotografii oraz czyjaś ciemno-alabastrowa dłoń, urwana w samym przegubie. Jakaś gazeta z wielkim tytułem: „Schweig! Und warnt jeden, der schwarz!” („Milczcie! I ostrzeżcie każdego który gada!”). Trup jest zupełnie posłuszny. Z kieszonki na sercu wystaje mu żółta książeczka. To

pamiętnik. Wewnątrz takie słowa: „Najgłębiej w serca ludzkie patrzą te oczy, które najwięcej płakały (Wy-spiański)” i kilka wierszy, np. taki:

Gdy zawód ciężki spotka cię w życiu,
Gdy serce w rozpacz zabrzmi echem,
Módl się i zapłacz, ale w ukryciu...”.

Na innej stroniczce dość niezgrabne literki: „Wiedz, że ktoś był, kto kochał cię — Wanda Antoniewicz Nederlandin Post Pinów, Angermuende”. Jeszcze jeden szczegół obok: ogromny lej po pocisku, a na nim gałązka oliwna jak pocałunek pokoju. Opodał spalony i poszarpany czołg kapitana Drelicharza. A między trupami i gruzami pozycje żywych żołnierzy, zwrócone na zachód.

U stóp Monte Fortino w głębokim jarze płynie rzeczka Somoggia. Za nią na zachód różne wzgórza, z których najwybitniejsze nazywa się Kościółkiem (Chiesuola). Patrole odchodzą regularnie jak pociągi ku wzgórzom za Somoggia. W dolinie droga usłana jest śniegiem gazet i ulotek. Pełno na nich okrwawionych Stalinów, rozrywanych pociskami żołnierzy polskich, wyrazów Sybir, Warszawa, 2 Korpus, jest i mapa Polski po Dniepr, „Świt” — „gazetka frontowa żołnierzy polskich” z artykułem wstępnym „Tragedia zniszczenia Warszawy”. Są też ulotki w języku angielskim. Ale zupełnie innego typu. Np. kolekcja obnażonych kobiet z podpisem „Life” („Życie”), a na odwrocie trupa czaszka i podpis „Death” („Śmierć”). Dobrze choć takie kobiety. Toteż patrole chętnie zbierają zwłaszcza te angielskie ulotki i idą dalej do przodu zaglądać, co Niemcy gotują na obiad. Nie jest to zresztą tajemnicą. Przeważnie konserwę — gulasz z pęczakiem. Bardzo to mało tłuste. Mają też niezłe wędliny ze zrabowanych wieprzów. Jest przesada ze zdolnościami złodziejskimi

Niemców. Trochę zawsze zostaje. Nasze patrole nie wracają nigdy z próżnymi rękami. Jedną z rozkoszy frontu jest wracając z patrolu wstąpić na zamówioną kurkę w „minestrze” lub gąskę pieczoną na rozmarynie, do której dochodzi pyszny, choć niesolony pszeniczny chleb, no i te precudowne odmiany włoskich makaronów: maccheroni, spaghetti, pasta asciutta, tagliatelle, cappelletti, tortelli, gnocchi itp. Jest oczywiście i wino. W Apeninach przeważnie białe. Na deser jakieś przedziwne owoce — ni to pomidory ni śliwki o nazwie chachi. Gospodarze cieszą się wielce z apetytu gości i dolewając wina zachęcają ich ślicznym starołacińskim wezwaniem: „per bacco”. Zdarza się nawet, że dzieci występują z powitalnymi recytacjami, popieranymi zwykle rozłożystą gestykulacją w okolicy serca. Ale swoją drogą życie cywilne w zasięgu frontu jest nie do pozazdroszczenia. Wojsko jest jak szarańcza. I doprawdy nie do twarzy żołnierzowi z frazesem o wyzwaniu. Zresztą główną rolę w dziedzinie żywnościowej odgrywają bomby. Często po nalocie rejony byłych domów przypominają arkę Noego, tyle się dokoła kręci dwu — i czworonogów. Najtrudniej jest w takich razach schwycić pantarkę, najłatwiej indyka. I gęś nie jest taka głupia.

Mgła apenińska nie różni się od deszczu. W momencie zmienia góry w błotniste bochny. W zimie w Apeninach stale albo pada deszcz albo mgła. Pod osłoną tej mgły Niemcy wycofali się ku rzece Lamone. Na drodze odwrotu pozostało wiele krwi. Błoto nabrało przez to pięknej barwy. Bardzo to był filmowy widok, gdy drogą na Modiglianę kroczyła grupa rozpoznawcza we mgle i z garbami na przeciwiperytowych płaszczach. Istny pochód duchów! Po cóż powtarzać, że były oklaski, wino, zerwane mosty, miny, wyrwy, artyleria i inne codzienne wojenne blahostki? Drogi dofrontowe powstały z całego labiryntu objazdów, przetartych pól, kilometrów rzuconych na błoto siatek i rumowisk. Gdyby

Adam Piasecki miał tyle „chlapiącej czekolady”, ile było na tych drogach, mógłby żywić całą ludzkość przez tysiąc lat. Dziesiątki tysięcy kół tak wyrzeźbiło koleiny tych dróg, że środkowy garb stawał się barykadą dla dyferencjałów. Różne sztuki trzeba było stosować przy tej samochodowej woltyżerce, a głównie sztukę cierpliwości. Błogosławione dźwigi były ostatnią deską ratunku.

Wiadomości były sprzeczne. Jedne upierały się, że Niemcy mają jeszcze swe placówki po tej stronie Lamone, inne mówiły, że są tuż za rzeką, inne wreszcie, że są dopiero na wzgórzach za rzeką. Wszystko — jak to często na wojnie bywa — było trochę prawdą. Najwięcej wątpliwości nastroczało piękne miasteczko Brisighella. Gdyby u stóp zamku czorsztyńskiego postawić ładne kamienne miasto, mogłoby ono przypominać Brisighellę. Nawet włoskie przewodniki nazywają ją malowniczą. Patrole z Monte Bicocca wypatrywały oczy nie tylko za śladami nieprzyjaciela w okolicy miasteczka, ale i na jej kolorowe kamieniczki, na bramę skalną, której skrzydłami są dwie iglice — Torre i Rocca, gdzie na wieżach miały siedzieć niemieckie załogi, na zielone skręty rzeki Lamone, na wielką daleką górę Sacco i na rozklejające się usypiska horyzontu, gdzie pójdzie nowe natarcie. Jest przed Brisighellą maleńka parafia Ritortolo. Proboszcz właśnie grzebał żołnierza, którego posiekły kule na jakimś patrolu. I pisał mu na krzyżu „soldato polacco”. Ale to nie był Polak. To był F. Harris, Brytyjczyk z numerem ewidencyjnym 6711949. Miał śliczną młodzieńczą twarz i złoty pierścion z fotografią żony zamiast drogocennego kamienia. Tu go nie obdarto. Gdzie indziej spotykało się wiele nagich trupów. Leży ten Brytyjczyk na maleńkim cmentarzyku Ritortolo — samotny żołnierz. Gdyby nie polski patrol, byłby nieznany. Czy kiedyś odnajdzie go tu ojczyzna? Do pogrzebu zagrała mu seria niemieckie-

go karabinu. Tradycji żołnierskiej stało się zadość.

Bo działo się to na ziemi wówczas niczyjej. Włosi z oddziału „Maiella” wisieli wtedy w gniazdach stanowisk pod szczytem Bicocca. Tu w dół schodziły tylko patrole. Osobliwe jest życie ludzi w „ziemi niczyjej”. Żadne stworzenie nie trzyma się tak kurczowo ziemi, jak człowiek. Niczym mrówka odbuduje zawsze wielokroć zburzone gniazdo. Drżący starcy na zapytanie o Niemców, nie wiedząc z kim mają do czynienia, odpowiadali: „niente signori Tedeschi” („nie ma panów Niemców”). Tam nad rzeką leżało też dziecko ze złamaną nóżką w wysokiej gorączce, jak ranny ptak. Ale ludzie „ziemi niczyjej” nie mogli wychodzić z domów. Signori Tedeschi zwalczają takie próby ogniem. A lekarze daleko.

Do natarcia nie można się przyzwyczaić, tak jak nie można się przyzwyczaić do wkładania ręki do ognia albo do krajania ciała nożem. Natarcie przeżywa się zawsze na nowo. Przed natarciem żołnierzom błedną wargi. W nocy tego nie widać. Zato zawsze wspaniały jest widok własnej nawaly artyleryjskiej przed natarciem. Kiedy raptownie budzą się z uśpienia i zaczynają szaleć cierpliwie przygotowywane matematyczne tajemnice stanowisk, dział, działoczynów, azymutów, kodów, kratek, żargonów taktycznych, znaków wywoławczych, drutów, połączeń, punktów obserwacyjnych, poprawek, komend. Zrywa się to jak letnia burza po długiej posusze. I na te minuty serca się uspokajają.

Noc leży na górach nieprzenikniona, tylko z dalekości promieniują atramentowe łuny reflektorów. Przypomina się nagle w rejonie wyczekiwania nad wezbraną rzeką Lamone dziecinna baśń o Sobotniej Górze, teraz oto się urzeczywistniająca. Że aby na górę wyjść, trzeba pokonać po drodze rzeki, błota, gąszcza, urwiska, ogień, strachy, potwory i pokusy, ale nie wolno się za siebie

obejrzeć. Poszło natarcie na Montecchio poprzez bezdroża, nieznane pułapki-zasadzki, miny, ognie, rzeki bagniska, w ulewny deszcz i w noc. Kombinacja ruchu i ognia to jest regulaminowo natarcie. Kombinacja woli i ognia, to jest bohaterstwo. Bohaterstwo to jest strzelec, dyszący ostatkiem sił, aby przez ciemność i linię śmierci dotrzeć do kresu zadania. Nie ma już na Montecchio domów. Ale jest wkopany zwycięski batalion.

Deszcz leje strumieniami. Artyleria nieprzyjaciela, moździerze i „miotacze mgły” o potwornej detonacji to deszcz z ziemi. Żołnierze leżą na podstawach wyjściowych, jednoznaczni, tożsami z grudami błota. Bo trzeba znowu natrzeć dalej i zdobyć dalszy horyzont, chociaż na prawym skrzydle Brytyjczykom nie wszystko się powiodło. Znowu noc. Znowu krew. Znowu jeńcy. Padło Monte Rinaldo, bo kompania spadła nań jak stado kotów. Potem w pożarze stogów trwała kilkugodzinna bitwa o Torre di Marino. Pojedynek strzelców na 100 metrów. Padł do nogi pluton niemiecki. Mija dzień, drugi, trzeci, dziesiąty. Deszcz pada, wojsko tonie w rowach strzeleckich. Nieprzyjaciel okopał się i uwarował tuż pod nosem.

Muły chodzą nocami. Niewiele ich dochodzi na pozycje. Ogromna większość stacza się w przepaści. To nie znaczy, że giną. Muły mają wspaniałą inteligencję. Potrafią się same uwolnić od objuczenia, potrafią wygrzebać się z błota, zjeżdżać w dół na zadzie i hamować nogami, trafić do domu. I nigdy nie dezertują. Muły są głównym środkiem transportu w dżunglach Burmy, muły żywiły i ewakuowały rannych wśród szczytów Owen Stanley na Nowej Gwinei, umożliwiły ofensywę francuską na Belfort poprzez lasy Wogezów, dotarły wszędzie w Apeninach. Dlatego muła nazwali Amerykanie „królem zwierząt piechoty”.

Niemcy szturmowali wielokrotnie pozycje alianckie na południe od Faenzy z wściekłym uporem. Ze wzgórza

Pideura spychali Anglików, a potem Hindusów kilkakrotnie. Zawsze jednak wisiało nad zamiarami Niemców jak lawina wysunięte i nieugięte skrzydło polskie. Były chwile, gdy cały front groził załamaniem się, gdy czołgi niemieckie spływały ku Lamone, ale skrzydło polskie było niezwruszone. Rozbiło ono dziesiątki patroli i niejedno natarcie (14 grudnia na podstawie wyjściowej na wzgórzu 225, według zeznań jeńców, 17 Niemców zostało zabitych, około 40 rannych i 10 zaginionych. Natarcie nie wyszło). Jeńcy bywali różni. Był gadatliwy Duńczyk, który oświadczył, że gdyby Niemcy wiedzieli, jak jest w niewoli, przestałaby istnieć niejedna ich kompania (dostał białego chleba i papierosa). Byli prawdziwi Niemcy o zwierzęcych ze strachu spojrzeńiach. Byli przede wszystkim Polacy: ze Śląska Górnego i Dolnego, z pruskich Mazurów. Znakiem jednego z przeciwników z Apenin — oddziału Rozpoznawczego była jodelka, podobna do karpackiej.

Na szczyty apenińskich pagórów dostać się można tylko pojedynczymi maleńkimi ścieżkami, przeważnie biegnącymi po krawędziach, bo poza tym całe stoki stanowią ławice usypisk, piaszczyste przepaście. Aby Niemców zepchnąć za rzekę Sintria i potem Senio, co jest równoznaczne z wkroczeniem do Faenzy, musi się zdobyć ostatnią ich redutę — wzgórze 225, dokąd prowadzi tylko jedna ścieżka z Torre di Marino, wysuniętej polskiej pozycji. Nieco z tyłu stoi olbrzym Rinaldo. Noce na froncie są niemal zawsze bezsenne. Rinaldo opada w dół dwustu metrami przepaści. Trzeba wbić nogi po kolana w błoto na półce usypiska, aby się nie zesunąć w przepaść. Deszcz pada monotonnym strumieniem. Walą się ognie i z tej i z tamtej strony. Natarcie trwa długo. Śmierć gospodarzy wśród błota. Znoszą patrole sanitarne dziesiątki rannych wolniutko, ze straszonym sapaniem, wywracając się co krok, prześmiesznie. Potu, deszczu i błota już się nie rozróżnia. I tak snuje

się w otchłanie patrol za patrolem. Błoto chwyta za nogi, tłucze o ziemię. Niejeden ranny w pokorze anielskiej przypłaca życiem te trudy ewakuacji. Tak zmarł na noszach radiota artyleryjski ś.p. Oleszczuk. Nie będzie się co dnia martwił o Polskę. Żołnierze z amunicją mocują się z błotnistą ziemią, jak siłacze, którzy trafili na strasznego przeciwnika. Na przedpolu rwą się niemieckie moździerze, palą się domy i stogi, pryskają serie pistoletów. Ludzie już nie mówią nic. Nad światem jest straszna ciemność. I ruszyć krokiem nie można, bo dookoła przepaści. To jest wojna.

Aż krew wschodzącego słońca przypomniwała ludziom, że są rzeczy piękniejsze. Że jest światło.

W Brisighelli dwunastoletnia Marta Graziani grała żołnierzom z przejęciem „Nokturn” Chopina. Okropny huk zagłuszył nagle zabłąkaną melodię. Artyleria rozpoczęła przygotowanie. Wieczorem poszło nowe natarcie. W ciemność, w noc.

M o j a p i e r w s z a wędrownka do Warszawy

MARIA DĄBROWSKA

Zanotowane w lutym 1945 r.

I.

Trzeciego lutego 1945 roku o godzinie w pół do szóstej rano wychodzimy z Dąbrowy Zduńskiej i kierujemy się na pobliską stację Jackowice. Błoto wczorajszej odwilży ściał lekki przymrozek. To pierwsza wygrana. Buty nie grzęzną w tłustej mazi, stopa idzie po wierzchu płytko zamarznętej chrupkiej grudy. Po bokach polnej drożyny bieleją gdzieniegdzie w szarzyźnie brzasku podmarznęte zalewy roztopów. Nim doszliśmy do stacji, ogromny pociąg o kilkudziesięciu wagonach towarowych wyruszył z niej ku Łowiczowi. Spóźniliśmy się. Z rzadkimi trochę minami suniemy przecie dalej. W powietrzu coś rzeźwego, ochoczego, wzbudzającego nadzieję, jaka zwykle towarzyszy rozwidnianiu się poranka.

Na stacji pusto. Nie ma przecie jeszcze żadnych „rozkładów jazdy”, żadnego normalnego ruchu pociągów. Kursują na tej linii tylko wojskowe. Polski kolejarz wesoło i życzliwie zapewnia nas, że następny pociąg pójdzie niebawem. Przez poczekalnie przechodzą sowieccy wojskowi. Pytają, dokąd chcemy jechać. My z kolei pytamy, czy można będzie pociągiem dojechać do samej Warszawy. — „Kanieczno dajedieta — czeraz

dwa — tri czasa budiete w Warszawie" — odpowiada, co znaczy: — Oczywiście, że dojedziecie. Za dwie trzy godziny będziecie w Warszawie.

Czekamy w istocie jak na naszą „wytrawną” już cierpliwość, niedługo. O wpół do ósmej nadciąga od strony Kutna nowy pociąg. Tym razem jadą same cysterny, jedynie w pobliżu lokomotywy dostrzegamy szary wagon kryty, którego drzwi są uchylone, a wejście zaopatrzone w schodki. Nie wiele myśląc ładujemy się do niego.

Druga mała wygrana. Część wagonu stanowi tzw. „ciepluszka”, niewielki pokój z rozżarzonym do czerwoności piecykiem i z ławkami. Pod oknem przy stoliku siedzi dwoje oficerów — kobieta i mężczyzna. Oboje w polskim, czy angielskim suknie koloru khaki. Ona w rogatywce, on w rosyjskiej baranicy. Na obu czapkach polskie orzelki. Oprócz tego szeregowiec, ubrany ściśle tak jak nasi piechurzy z przede dnia wojny, dokłada paliwa do piecyka. Nie protestują przeciw naszemu wejściu. Mężczyźni milczą, oficer — w randze pułkownika — pali fajkę. Chęć do rozmowy zdradza jedynie oficerka. — Uśmiecha się przyjaźnie. Ma wymanikurowane ręce, paznokcie ciemno-czerwone, usta pociągnięte karminem. Rozumie i mówi trochę po polsku. Jest wnuczką powstańca z 1863 roku, zesłanego na Syberię. Na zapytanie, czy jest Polką, odpowiada z dumą: — „Niet, ja ruskaja”. Oboje z pułkownikiem są lekarzami wojska polskiego. Jadą do Sochaczewa po szpital polowy, który mają zabrać na front. Na dokładającego węgiel i drzewo do piecyka żołnierza oficerska para lekarzy woła: „Czarny”. — Pytam „Czarnego” skąd pochodzi. — Odpowiada po chwili milczenia: — „Z Łucka”.

W Łowiczu zrobił się rwetes. Nikt nie wiedział, czy pociąg idzie dalej, ani dokąd. Na koniec wyjaśniło się, że ciepły wagon lekarski zostaje odczepiony i pójdzie

w swoim czasie do Sochaczewa. Chwila wahania. Czy zostać w wagonie lekarzy i czekać na odjazd do Sochaczewa, skąd nie wiadomo, jak dalej idą pociągi, czy jechać na cysternach do Skierniewic. Decydujemy się na Skierniewice. Przy niektórych cysternach są w tyle małe budki dla eskorty, mogące pomieścić dwie osoby. Są puste. Wskakujemy do jednej z nich. Ma zamknięte drzwi, więc nie zmarzniemy tak bardzo, zresztą do Skierniewic niedaleko. W Skierniewicach położenie zaczyna się przedstawiać dosyć ciasno. Na peronach nieprzeliczone tłumy ludzi z tobołami. Wszyscy do Warszawy, większość czeka już dobę. Wiadomo — wojna. Błądzimy po zapchanej mrowiem ludzkim stacji. Przyśtaję w miejscu, gdzie w listopadzie poprzedniego roku czekałam na pociąg z Anną, kiedy wiozłyśmy z Podkowy Leśnej do Dąbrowy nasze ocalone przez dyrektora Lorentza rękopisy. — A teraz o tylu przyjaciółach nie wiem gdzie się podzieli, ani nawet czy żyją. Wśród żalości osamotnienia i wspomnień, uderza mnie przyjemnie nowa rzecz. Cała stacja jest dostępna dla wszystkich — dawna sala pierwszej i drugiej klasy, przez pięć z okładem lat zastrzeżona „tylko dla Niemców”, zatłoczona naszymi ludźmi, których wreszcie nikt z nikąd nie wyrzuca, nie popycha, nie kopie. Jakżeśmy zmarnieli, że to mało wydaje się już tak wiele — myślę mimo woli.

Po jakiejś godzinie oczekiwania, nagle wśród czekających tłumów wszczyna się nerwowy ruch. Ludzie wołają, że idzie pociąg z Łodzi. W samej rzeczy nadchodzi pociąg i to, o dziwo, osobowy. Rzucamy się do niego. A raczej zostajemy rzućni przez napór tłumu. I natychmiast — odrzuceni z powrotem. Młody milicjant polski z karabinem na ramieniu rozkrzyżowanymi rękami zastawia wejście do wagonu i krzyczy: — „Nie wsiadać! Pociąg wraca do Łodzi! Pociąg wraca do

Łodzi!" Ludzie zaczynają się miotać jak opętani. Wskakują, wyskakują, jęczą, piszczą, złorzeczą. Nagle tenże sam milicjant zaczyna krzyżeć: — „Rozkaz zmieniony. Pociąg idzie do Żyrardowa!" O, radości „córko bogów!" Zostajemy „wtrąceni" do wagonu. Jest to polski pulman drugiej klasy, ale tak zapchany, że zdołaliśmy się wcisnąć tylko na jego pomost, a z niego do tzw. „Ubikacji", w której wnet znalazło się nas ze sześć osób. Na szczęście — czysto. Po zamknięciu muszli wychodka zdołaliśmy nawet na niej oboje z moim towarzyszem podróży usiąść. W drzwiach otwartych i na pomoście tłoczą się dziewczęta. Ukrainki powracające z „Hermanii" z wywozu na roboty. Te, które są najbliżej nas pochodzą z kolchozu z okolicy Żytomierza.

Śpiewają. „Ukraińskie pieśni są piękne" — mówię w przerwie do jednej z dziewcząt. „Zaśpiewajcie jaką pieśń ukraińską". Cisnący się z nami w ubikacji Polak „zza Bugu" dla zachęty zaczyna śpiewać znaną ludową pieśń ukraińską: „Serce moje" — „Da, da" — odpowiadają dziewczęta i wołają śpiewać po rosyjsku. — Śpiewają bez wytchnienia jedną piosenkę po drugiej. O komsomolcach, o Katiuszy, co „na krutom bieriegu stoją" („na stromym brzegu stała"). Potem pieśń okolicznościową: „Ej da czto ty matuszku zdiełała, krasatu maju w Hermaniju otdała" („ej coś ty matulu zrobiła, moją urodę do Niemców żeś oddała"), „Tusko ogońki gonią, stariki o prošłom gowariat" („Mętnie ogieńki się palą, starcy o przeszłości gwarzą"), „Kak pojediem na wojnu daliokuju, na taczankie pulimiot waźmiom z saboju" („jak pojedziem na wojnę daleką, na taczance kolumiot weźmiem z sobą...). I wiele innych, których nie zapamiętałam. Niekiedy rosyjskie słowo „wajna" wymawiała z ukraińska „wojna".

W Żyrardowie okazało się, że nie musimy wysiadać.

Pociąg idzie aż do Pruszkowa. Ale staliśmy na tej stacji z godzinę. Do okna wagonu podszedł sowiecki oficer, wojenny naczelnik stacji. Wita przyjazną rozmową powracającą z niewoli rodaczki. „Skażite — pytają go dziewczęta. — Gdzie eta Polska konczajetsia. Jedziem, da jedziem i wsio Polska, da Polska”.

O zupełnym już zmroku dojeżdżamy do Pruszkowa. Dalej pociąg nie idzie. Wysiadamy. Sporo czasu trwało przepuszczenie tłumu przez bramkę przy budce, gdzie milicja legitymowała mężczyzn. — Spora część podróżnych zmęczona i zniecierpliwiona poszła po prostu na przełaj, niegrodzonymi bokami.

Wychodzimy wreszcie na miasto. Ciemno, choć oko wykol. Nogi co chwila potykają się o jakiś gruz i o „kocie łby” bruku lub zapadają w chlupiące na ponownej odwilży bajora błota. Ciemność ta jest gwarna i tłumna, ulice roją się od przechodniów, których większość stanowią wędrowcy, na zapytanie o drogę odpowiadający: — „Ja nie tutejszy”. Mrok nocy rozwidniając co pewien czas race i „sztuczne ognie”, wylatujące w niebo z różnych stron. Oznacza to, jak mnie ktoś objaśnia, manifestację radości z powodu wyzwolenia od Niemców. Mnie zaś, przypomina to race, jakimi w Warszawie w czasie powstania i nasi i Niemcy oświecali sobie pole obstrzału. Tym bardziej, że i palba (wiatowa) z karabinów raz poraz się rozlega.

Idziemy nocować do znajomej mego towarzysza podróży. Droga przez ruchliwą ciemność dłuży nam się wprost nieskończenie.

Nareszcie docieramy do celu. Przyjęcie spotyka nas najserdeczniejsze. Ale w mieszkaniu zimno jak na dworze. Do jedzenia są tylko kartofle otrzymane za... szczotkę do froterowania. Mamy na szczęście podróżne zapasy żywności (a nie jedliśmy nic przez cały dzień). Dostajemy gorącej kawy „zbożowej”. Wywiązuje się

przyjacielska gawęda. W Pruszkowie ciężko o żywność. Życie handlowe chwilowo zatamowane z powodu wieści o skasowaniu dotychczasowej waluty okupacyjnej, tzw. „krakowskich młynarek”. Nowych pieniędzy „lubelskich” jeszcze nie ma, a starych już nie chcą przyjmować. Martwimy się, że w przemówieniach publicznych mówi się za mało o wielkim narodzie bojowników, którego postawie oporu w 1939 roku świat w znacznej części zawdzięcza wyjście z marazmu haniebnej uległości wobec hitlerowskich Niemiec. I którego bezkompromisowa pięcioletnia postawa stała się wyrazem sumienia walczącej o wolność i człowieczeństwo Europy.

Zmęczenie kładzie kres pogawędkom. Ledwie przyłożywszy głowę do gościnnej poduszki, zasypiam wnet jak kamień.

Nazajutrz rano wychodzimy w nadziei zabrania się jakąś wojskową ciężarówką do Warszawy. Ale samochodów jakoś nie widać lub jadą pędem i nie reagują na nasze „machanie ręką”. Co tu robić? Mój towarzysz decyduje się wyruszyć pieszo. Ale kochana Dąbrowa obdarzyła nas potężną racją żywnościową „na Warszawę”. Mając prawą rękę, po złamaniu w czasie powstania, jeszcze nie bardzo władną, nie odważam się z tym ciężarem iść pieszo 17 kilometrów. Żegnamy się i rozstajemy. Mam przez chwilę chęć zrezygnować z dalszej drogi i wrócić do Dąbrowy. Ale na dworzec nie puszczają. Milicjant powtarza, jak zawsze w takich razach: — Mnie nic do tego. Ja bym wszystkich puścił. Ale taki rozkaz. Ba, ale kiedy będzie ten pociąg? — Myślę, czy nie pójść do „Społem” — na pewno mają auta. Lecz to niedziela. Wszystkie biura i urzędy zamknięte. Idę pomału ku Warszawskiej szosie. Po chwili, sama nie wiem czemu — zawracam. Skręcam odruchowo w jakąś szeroką, dosyć pustą ulicę. Gapię się na to, na owo. Raptem w głębi ulicy widzę — stoi przodem

do mnie auto. Bardzo porządna, kryta brezentem ciężarówka. Na „nosie” ma białą-czerwoną chorągiewkę. Pochylony oficer grzebie w motorze. Obok stoi cywil, najwidoczniej tutejszy, pruszkowiak. Zapominam o ciężkiej kobiałce, podbiegam niemal klusem.

— „Panie — pytam cywila — dokąd oni jadą, czy do Warszawy? Może by mnie zabrali?” — „Gdzieby tam zabrali — odpowiada niechętnie. — Tam już pełno”.

W tej chwili oficer wyprostowuje się i obraca ku mnie. Bez żadnej nadziei, że ta naiwna „rekomendacja” coś pomoże, mówię nieśmiało: — Panie majorze. — Moje nazwisko Maria Dąbrowska. Jestem powieściopisarką. — Chciałabym”... Major przerywa mi: — „A to świetnie, bo myśmy właśnie panią szukali. Tam w aucie jest i dyrektor Lorentz”. Następuje niepowiązana wymiana grzeczności, w czasie której ani spostrzegłam kiedy się znalazłam w ciężarówce i pośród wielu znajomych. Bo oprócz dyrektora St. Lorentza byli tam: Elżunia Barszczewska, (moja krewna), Marian Wyrzykowski, Jarosław Iwaszkiewicz. I tak przez czysty przypadek ciężarówką Muzeum Narodowego, którą prowadził major Rafałowski, dojechałam koło południa po 30-tu prawie godzinach podróży do Warszawy.

2.

W Muzeum Narodowym, załatwiłam drobne formalności związane z udzieleniem mi zapomogi w złotych „lubelskich” (a byłam bez grosza przy duszy, gdyż „wiezione” w torebce „młynarki” miały już tylko wartość skrawków papieru) i pożegnałam przyjaciół, jadących na Pragę. Około pierwszej wyruszyłam pieszo na Polną.

W pobliżu Muzeum, na środku Alei olbrzymia za-

paść, ślad wysadzonego w powietrze tunelu kolejowego. Poza tym jezdnie wszędzie raczej nieuszkodzone i w dobrym stanie, tylko przeważnie zasypane jeszcze gruzami. Mimo to na ulicach ogromny ruch i samochodowy i pieszy. Wierni Warszawiacy zbiegają się ze wszystkich stron do ruin ukochanej stolicy, niczym nie zrażeni, gotowi żyć wśród gruzów, gotowi wskrzeszać to miasto, bardziej żywe w swej bohaterskiej śmierci niż wszystkie nienaruszone miasta świata.

Zdążam Nowym Światem ku placowi Trzech Krzyży. Rozmarzający śnieg, błoto, poszczerbione i okropne mury umarłych domów, przez jamy okien widać łagodne szare niebo i gruzy wewnątrz. Na murach wielkie białe napisy: „Min niema”, „Rozminowano dnia tego i tego”, „Miny”. Środkiem ulicy idzie w milczeniu oddział saperów z prętami minerskimi na ramionach. Poszukiwacze min, ryzykujący życiem likwidatorzy szczególnej postaci niemieckiego bestialstwa, znęcającego się nawet nad minami.

Patetyczne zwaliska kościoła św. Aleksandra sterczą w niebo ślicznymi kolumnami rozbitej nawy. Tak, ale nic nie jest w stanie pozbawić tych rumowisk majestatu sponiewieranej królowej, nic nie jest w stanie sprawić, aby te gruzy nie krzyczały wielkim głosem na cały świat: — „Przyjdźcie i oglądajcie jak wygląda dosłowne wypełnienie słów: — „Twierdzą nam będzie każdy próg”. Jak wygląda dosłowne wypełnienie słów Bolesława Krzywoustego: „Wolę królestwo stracić niż oddać je w niewolę”.

Na Mokotowskiej przystaję przed domem Nr. 48, za którym w ogródku pochowana jest moja ukochana siostra, Jadwiga Szumska. Jest to zabytkowy dom J. I. Kraszewskiego, staroświecki, długi, z początków 19-go wieku zachowany. Siedziba wielkiego bazarza obyczajowych i historycznych dziejów narodu i tym razem

szczęśliwie ocalała. Podchodzę do bramy, wiodącej na podwórze i do ogródka. Wielki napis krędą głosi: — „Miny, przejścia nie ma”. Co za perfidne okrucieństwo! Niemcy zaminowali nawet wejście na cmentarze, wiedząc, że ku nim skierują się przede wszystkim kroki warszawskich wygnańców. Stoję długo w zadumie, a pogruchothane myśli nie myśleć zdają się, ale śpiewać się zdają niewysłowioną pieśń złożoną z uczuć gniewu, żalości, entuzjazmu osobliwego.

Idę dalej — o dziwo! Przechodziłam tedy drugiego października, w dzień naszego wyjścia z Warszawy. Wszystkie domy Mokotowskiej żyły wówczas i choć podziobane pociskami, gwarne były i ludne. Dziś cała prawie Mokotowska spalona. Niemcy dokonali tego dzieła zniszczenia już po wygnaniu ludności z samej tylko czystej zemsty nad najbardziej i najdłużej nieprzejeđnanym w walce z nimi narodem polskim. Nareszcie mijam jakiś dom nie spalony. Przed nim zatknięta w kupę gruzu i śniegu, na kiju osadzona kartka papieru z napisem: — „Tu wydaje się gorącą zupę, kawę i zakąski”. — Wewnątrz głośno, kręcą się ludzie, stukają młotki, rżęzą piły. Uśmiecham się. Nie, nie ma śmierci, nie ma śmierci na Warszawiaków!

Mijam Plac Zbawiciela. Na środku — cmentarz. Kościół stoi, ale ciężko poharatany. Mokotowska do Polnej też w znacznej części spalona. Jednym z ocalałych domów jest Dom Katolicki na Jaworzyńskiej. Zglądałam w Jaworzyńską. Dom nr. 2-gi, gdzie był szpital powstańczy, nad każdym oknem osmalony, widać wewnątrz częściowo zgorzało. Tu w tym domu w nocy 21-go września składano mi poraz pierwszy złamaną rękę. Widzę tę noc i naszą chyłkiem wędrowkę do szpitala z rojem świetlnych pocisków nad głowami.

Skręcam w Polną koło zastraszającej miny w domu Nr 32, który tyle razy palił się w czasie powstania i do

którego gaszenia wołano ciągle i mieszkańców naszej kamienicy. Z drugiej strony ulicy mglista perspektywa działek z niezebranymi plonami, z niezdjętymi na zimę altanami, z których zwieszają się festony uschłej fasoli.

Coraz wolniej, coraz wolniej, jakby wszystko widziane czepiało się powoli nóg, wlokło za mną, zbliżam się do bramy Polna 40. Na framudze bramy napis: „Rozminowano 27-go stycznia 1945 r.”. W bramie wita mnie nowy przyjaciel, dozorca domu. Zapaścił długą, siwą brodę. Rzucamy się sobie w objęcia i całujemy się, płacząc. Razem przeżyliśmy powstanie, w którym dozorca stracił syna, ja — siostrę. Tak zaczął się mój pierwszy tydzień w zburzonej Warszawie.

SPIS RZECZY

Gustaw Herling Grudziński: <i>Wojna w oczach</i> <i>pisarzy</i>	5
Józef Wittlin: <i>Wojna i słowo</i>	15

1939-1945

Kazimierz Wierzyński: <i>Chłopi</i>	19
Stefania Zahorska: <i>Rozdział o Karolku</i>	28
Porucznik Herbert: <i>Obóz w Dobrudży</i>	46
Zygmunt Bohusz-Szyszko: <i>Ci spod Narwiku</i>	64
Jerzy Paczkowski: <i>Pierwsza bitwa</i>	99
Jan Erdman: „ <i>Pers</i> ” z <i>Brygady Karpackiej</i>	115
Adolf Bocheński: <i>Jak spaliliśmy włoską wieżę</i> <i>obserwacyjną</i>	125
Zofia Żytyńska: <i>Zwycięzca</i>	132
Jerzy Pytlakowski: <i>Dwadzieścia cztery godziny</i> <i>śmierci</i>	145
Maria Kuncewiczowa: <i>Nieznajomy</i>	166
Herminia Naglerowa: <i>Kazachstańskie noce</i>	175
Józef Czapski: <i>Buzuluk</i>	189
Eryk Sopoćko: <i>Zatopienie „Bismarcka”</i>	199
Arkady Fiedler: <i>Thank you, cap'n, thank you...</i>	214
Porucznik Herbert: <i>Święte bomby</i>	235
Jerzy Andrzejewski: <i>Apel</i>	251
Kornel Filipowicz: <i>Krajobraz, który przeżył śmierć</i>	289
J. M.: <i>Ponary — „Baza”</i>	313
Ludwik Hering: <i>Ślady</i>	327
Melchior Wańkowicz: <i>Zabijany na raty</i>	335
Maria Czapska: <i>Kartki z pamiętnika</i>	344
Wojciech Żukrowski: <i>Czysta robota</i>	353
Jan Bielatowicz: <i>Bloto Apenin ma kolor czer-</i> <i>wony</i>	377
Maria Dąbrowska: <i>Moja pierwsza wędrówka do</i> <i>Warszawy</i>	392



